



KAMIENICA POD IRYSAMI



CZAS ZMIAN

---

WIKTORIA GISCHE

KAMIENICA POD IRYSAMI

# CZAS ZMIAN

WIKTORIA GISCHE

MANDO



## Rozdział 1

Julian włożył zmarznięte dłonie w kieszenie płaszcza. Postawiony kołnierz chronił go od silnie wiejącego wiatru, który wzmagał odczucie chłodu. Grudzień roku 1918 był mroźny i śnieżny. Hrabia Michałowski podązał żwawym krokiem przed siebie, pragnąc jak najszybciej znaleźć się w ciepłym domu Rozalii. Nie pamiętał, kiedy ostatnio do niej zaglądał.

Jego uwagę zwrócił radosny śmiech dzieci dokazujących na pobliskim skwerze. Przystanął na chwilę. Nieopodal najwyraźniej toczyła się śnieżna bitwa. Chłopcy *versus* dziewczynki. Uśmiechnął się na wspomnienie takich zabaw. Nagle jedna z zabłąkanych śnieżnych kul wylądowała na jego płaszczu. Śmiech zamarł na ustach dzieci, które jakby rażone piorunem stanęły, czekając na jego reakcję. Powoli zerknął na biały kleks zdobiący przód ciepłego okrycia, a potem, niespiesznie, trzymając swawolników w niepewności, pochylił się, żeby zagarnąć nieco białego puchu. Śnieg był ciężki i lepki, dlatego jego śnieżka była prawie idealnie kulista. Wziął lekki zamach i wycelował w stojącego najbliższego zatrwożonego chłopca, a potem rzucił się ze śmiechem w stronę dzieci. Te z piskiem rozbiegły się po skwerku, formując naprędce śnieżki, które po chwili poleciały w kierunku Juliana. Michałowski zauważył, że strony walczące do tej pory między sobą w obliczu wspólnego zagrożenia zawarły szyki, zawierając tymczasowy, nieformalny pakt o nieagresji. Zabawa trwała w najlepsze, kiedy Julian dostrzegł zbliżających się w jego kierunku dwóch mężczyzn. Od razu rozpoznał przedstawicieli Straży Obywatelskiej, którą Rada Miejska uformowała na początku listopada. Nie miał nic przeciwko jej powołaniu. Na przestrzeni kilku ostatnich tygodni okazali się bardzo przydatni, jak choćby parę dni po powstaniu Żydowskiej Rady Narodowej, kiedy to kilkunastu mieszkańcom nie spodobała się ta nowa, najważniejsza reprezentacja ludności żydowskiej. Tylko dzięki szybkiej reakcji strażników skończyło się na niegroźnej szarpaninie i słownych obelgach, w jaką krewcy młodzieńcy, sądząc po ubraniach, pochodzący z dobrych domów, wdali się z młodzieńcami z dzielnicy żydowskiej.

Strażnicy byli już na wyciągnięcie ręki. Dopiero po krótkiej chwili dzieci zdały sobie sprawę, że młody, elegancko ubrany mężczyzna, który stał się częścią ich bitwy, zatrzymał się. Reszta uczestników poszła w jego ślady, a radosny śmiech zamarł nagle na spierzchniętych od wiatru ustach.

– Co tu się dzieje? – Starszy z mężczyzn obrzucił dzieci surowym spojrzeniem. Tymczasem młodszy bacznie przyglądał się Julianowi.

– Bitwa na śnieżki – odparł hrabia.

– Pan zdaje sobie sprawę, że nie należy zakłócać porządku? – zapytał starszy strażnik. Julian nie odpowiedział na te słowa.

Wystarczyło mu jedno spojrzenie, aby ocenić stojących przed nim. Służbiści. Nadgorliwcy. Formaliści. Bardziej papiescy od papieża. Znał ten typ. Żadne tłumaczenia nie wystarczyły i nie były brane pod uwagę, dlatego wolał milczeć niż strzępić język po próżnicy.

– Proszę nie wszczynać zamieszania – warknął młodszy, odwracając się w stronę dzieci, które nie czekając na dalszy rozwój wypadków, pobiegły przed siebie, zostawiając Juliana samotnie na polu bitwy.

Michałowski wzruszył tylko ramionami, nie kwapiąc się do dalszej dyskusji. Bezcelowej, tego był pewien. Zresztą i tak nie miałyby ona już większego znaczenia, skoro zabawa została bezceremonialnie zakończona. Ruszył przed siebie, uśmiechając się szeroko. Czuł się zrelaksowany i beztroski jak dziecko. Potrzebował takiego odprężenia. Większość mieszkańców potrzebowała. Radość z odzyskanej wolności już dawno opadła, a w jej miejsce pojawiła się troska i strach o przyszłość, która na razie nie wyglądała obiecująco.

I chociaż miastu oszczędzono ciężkich walk, ślady wojny były widoczne na każdym kroku. Zniszczone ulice, Planty i inne zielone skwery, a na Dietla ziejące czernią okopowe dziury, przypominające o niedawnej tragedii. Julian wzdrygał się, mijając namacalne świadectwa ludzkiego okrucieństwa. Ale nie tylko drogi, ulice, chodniki czy domy doznały uszczerbku. Doznali go przede wszystkim mieszkańcy Krakowa. Wciąż brakowało żywności. Ludzie chodzili głodni, zmęczeni,

zrezygnowani, zmarznięci, ponieważ stan zaopatrzenia miasta w opał był katastrofalny. Braki wszystkiego odczuwano na każdym kroku, ale najgorszy był brak bliskich, którzy albo nie wrócili z wojny, albo zostali zabrani przez grypę hiszpankę, jaka niedawno przetoczyła się przez miasto.

– Uważaj, jak leziesz! – Donośny krzyk tuż przy uchu otrzeźwił Juliana.

Hrabia natychmiast się zatrzymał, odskoczył nieco do tyłu i jednocześnie kiwnął przepaszająco woźnicy, który manewrował wozem tak, żeby nie potrącić przechodnia.

Dość tego czarnowidztwa, pomyślał. Czas spojrzeć w przyszłość, która z wolna zaczynała się klarować. Nie tak dawno podjął ważną decyzję i pragnął się nią dziś podzielić z Rozalią. Miał szczerą nadzieję, że kroki, które zamierzał podjąć, w pewnym stopniu zwrócą mu dawne życie.

W tym celu zajrzał dziś na Uniwersytet. Chciał się wywiedzieć, jakie ma szanse na podjęcie dalszych studiów, które zamierzał zakończyć obroną pracy doktorskiej. Miał nadzieję spotkać profesora Bobrzyńskiego, ale z uwagi na wciąż trwające zawieszenie wykładów – wprowadzone na prośbę samych studentów, pragnących wstąpić do armii, aby wesprzeć walkę o niepodległość tam, gdzie wciąż trwała – skład kadry był mocno okrojony.

Julian zamyślił się tak bardzo, że dopiero mdły smród, który nagle wdarł się do jego nozdrzy, przywrócił go do rzeczywistości. Rozmyślając o przeszłości i przyszłości, skrzył nieuważnie w ulicę Jabłonowskich, na której od niedawna funkcjonowała jatką uruchomiona przez magistrat. Sprzedawano w niej podroby i głowy w połówkach po możliwie najniższych cenach, tak aby na odrobinę czegoś, co mogło nosić nazwę mięsa, było stać nawet najuboższych. A ich szeregi zwiększały się z dnia na dzień. Nietrudno było wśród stałych tu bywalców dostrzec nowych. Ostrożnych, złęknionych, jakby nie na miejscu, noszących wciąż jeszcze dobre i drogie ubrania, kupione kiedyś, kiedy świat wyglądał zgoła inaczej.

Julian odwrócił wzrok i przyspieszył kroku, jakby prędkość, z jaką się oddalał, miała uchronić go przed podzieleniem losu ludzi stojących w kolejce.

\*\*\*

Wreszcie w oddali zamajaczył zarys ażurowego ogrodzenia, które oddzielało posiadłość Tojewa od ulicy, dziś pustej i dziwnie przygnębiającej, chociaż biel śniegu powinna łagodzić krzywizny domów stojących wzdłuż drogi. Szare, wolno sunące w stronę nieba smugi dymu tylko wzmacniały to wrażenie. Julian przystanął na chodniku, tuż obok ozdobnej furtki. Już za pierwszym razem, kiedy miał przyjemność tu gościć, w myślach pogratulował twórcy ogrodzenia talentu, zręczności, precyzji i zapewne morza cierpliwości, jakiej wymagała praca nad płotem, który sam w sobie stanowił małe dzieło sztuki. Hrabia przeniósł wzrok na park. Konary wiekowych drzew uginały się od śniegu. Cieńsze gałązki smętnie zwisały aż do ziemi, niemo prosząc o zdjęcie ciężaru z ich barków. Zarys neogotyckiego pałacyku, ukrywającego się za bezlistnymi drzewami, z grubą czapą śniegu na dachu, przyciągnął wzrok Juliana. Wreszcie Michałowski nacisnął klamkę i otworzył furtkę. Gestowi temu towarzyszyło ciche skrzypnięcie, które brzmiało jak słaby protest przeciwko zakłócaniu panującego spokoju.

Już miał sięgnąć po kołatkę w formie lwiej głowy, kiedy nagle drzwi otworzyły się na oścież.

– Zastanawiałam się, czy wejdiesz, czy jednak zdezerterujesz? – Rozalia uśmiechnęła się do brata.

– Podziwiałem to surowe piękno, które uwidacznia się tylko zimą – powiedział, przekraczając próg i zamykając za sobą drzwi. Nie chciał pozwolić na niepotrzebną utratę tak cennego ciepła. – Śnieg dodaje tajemniczości. Wszystko zmiękcza, upiększa, ale niektóre rzeczy nawet w tej scenerii wyglądają posepnie i przygnębiająco.

– Gdybym cię nie znała, pomyślałabym, że jesteś w nastroju melancholijnym. To do ciebie niepodobne. Radość, ciekawość, energia, złość, a ostatnio nawet agresja. Tak, to Julian, ale melancholia i zaduma? – Na chwilę pomiędzy rodzeństwem zapadła cisza. – Wejdz. Chyba nie zamierzasz stać w korytarzu. Chociaż... – Słowa zawisły w powietrzu. – Jeżeli przysłała cię matka i przychodzisz tylko z jej polecenia, to nie kłopotuj się zdejmowaniem okrycia. Nie zamierzam na nic się zgadzać.

– Nie wiem, o czym mówisz, ale mam niezmienną ochotę się dowiedzieć. – Ruszył za Rozalią, która prowadziła go do niezbyt dużej, ale przytulnej biblioteki.

– Teraz, kiedy mamy taki problem z opałem, proszę, żeby palono tylko w bibliotece oraz wieczorem, kilka godzin przed snem, w sypialni. Spoglądając na dom, musiałeś zapewne zauważyć, że szyby w większości okien pomalował szron. Nie tylko u mnie. Sąsiedzi także narzekają na panujące zimno, przed którym nie ma ucieczki, nawet w domowych pieleszach. Gdybym była dzieckiem, pewnie cieszyłyby mnie te małe dzieła sztuki, ale teraz modłę się już o nastanie cieplejszych dni. Usiądź. Pójdę poprosić o ciepłą herbatę i coś do zjedzenia. Wyglądasz na przemarzniętego i głodnego. Czyżbyś dotarł do mnie pieszo?

– Pomyślałem, że zrobię sobie mały spacer. Po kilkunastu metrach pożałowałem, ale nie miałem zamiaru łatwo się poddawać. Potem ucieszyłem się z tego pomysłu. Nie uwierzysz, zresztą sam nie dałbym wiary, gdyby ktoś dziś rano powiedział, że wezmę udział w prawdziwej bitwie.

Rozalia uniosła jedną brew. Julian zauważył to po raz pierwszy. Nie pamiętał, aby wcześniej tak robiła.

– Przez przypadek stałem się uczestnikiem zażartej wojny na śnieżki, którą niestety przerwali nadgorliwcy ze Straży Obywatelskiej. Przynajmniej przez tych kilka minut mogłem zapomnieć o szarym życiu.

Westchnął, ale na jego twarzy natychmiast pojawił się szeroki uśmiech. Rozalia odpowiedziała tym samym. Od tak dawna nie widziała prawie szczęśliwego Juliana.

– I tak, masz rację. Jestem wyziębiony i koszmarnie głodny, więc jeśli to nie problem, chętnie napiłbym się gorącej herbaty albo czegoś mocniejszego. Albo gorącej herbaty i czegoś mocniejszego. I zjadłbym coś. – Spojrzał na siostrę tak niewinnym wzrokiem, że Rozalia nie mogła się nie roześmiać.

– A skoro mowa o strażnikach, ostatnio widziałam ich, jak pomagali dziewczętom z Organizacji Słuchaczek Uniwersytetu łądować dary z pomocą dla Lwowa. Kiedy je zobaczyłam, od razu pomyślałam o Eleonorze. – Nie zamierzała o niej wspominać i dlatego teraz z niepokojem, czy aby nie popsuka bratu radosnego nastroju, spojrzała na Juliana. Ten niedawno skończył przygotowany posiłek i teraz raczył się resztką ciepłej herbaty, którą Rozalia zgodnie z jego prośbą wzmocniła rumem.

– Kiedy przyszedłem, wspominałaś coś o matce. Czy oświecisz mnie w tej materii? – Julian nie zamierzał podejmować wątku Eleonory. Rozalia uszanowała zmianę tematu.

– Chodzi o święta. Dostałeś zapewne zaproszenie na kolację wigilijną oraz na obiad w pierwszy dzień świąt Bożego Narodzenia, na który ma się zjechać także dalsza rodzina. Matka wymieniała sporo imion i nazwisk, ale pogubiłam się na samym początku. Podziękowałam i obiecałam, że przyjdę. I wtedy matka zapytała, czy Tojew też się pojawi. Zresztą pytała o niego już kilka razy. Nawet ojciec zainteresował się jego nieobecnością.

Julian miał zamiar dodać, że faktycznie ciągły pobyt Tojewa w Wiedniu należy uznać za afront, ale Rozalia, jakby uprzedzając jego zamiary, zgromiła go wzrokiem. Słuchał więc, nie komentując niczego. Na razie.

– Odparłam, że Mikołaja nie będzie. Przyjdę sama. I wtedy matka powiedziała, że Boże Narodzenie to święta rodzinne, a skoro tak, to należy je spędzać w gronie najbliższych, a mąż zalicza się do tego grona jak nikt inny. Chciałam go wytłumaczyć, ale znasz mamę: dodała, że albo przyjdziemy razem, albo mam nie przychodzić wcale, żeby nie wywoływać lawiny pytań, jak to ujęła, chcąc nieco złagodzić ostrość wypowiedzi. Jakiś czas temu przejrzałam na oczy. Już nie tak łatwo mnie nabrać i na pewno nie dam sobą manipulować. Więc jeżeli przysłała cię, żeby zakomunikować, że daje zezwolenie, abym przyszła sama, to przekaż jej, że przyjełam już inne zaproszenie.

– Nie martwi cię bezustanna nieobecność męża? Rozumiem, że Tojew nie był wymarzoną wybranką, ale skoro oboje podjęliście decyzję założenia rodziny i związania się węzłem małżeńskim, jego ciągła absencja jest nie tyle dziwna, ile oburzająca i uwłaczająca. Wiesz, o czym to może świadczyć? Może nie jesteś jedyną kobietą w życiu Tojewa?

Uśmiech Rozalii powiedział Julianowi więcej niż tysiąc słów.

– A więc jednak Tojew będzie zobligowany dać mi satysfakcję, której już raz uniknął dzięki

twoim i Eleonory staraniom. Tym razem nie pozwolę, aby jego niegodne zachowanie rzutowało na moją siostrę, a pośrednio także na całą rodzinę.

– Och, Julianie. – Rozalia westchnęła głośno, prawie dramatycznie. – Przez większość życia uważałam cię za człowieka postępowego. Wychodzącego poza określone ramy. Nieprzejmującego się zasadami, które niczym kajdanki krępowały twój sposób bycia. Tymczasem myliłam się. Zdaje mi się, że to tylko poza dla świata, a w rzeczywistości jesteś jak ojciec i matka. – Podniosła rękę, nie pozwalając bratu dojsć do głosu. – Nie, nic nie mów. Wszystko, co powiesz, i tak nie będzie miało znaczenia. Żadnego pojedynku nie będzie, a z pewnością nie w obronie mojej czci. Gdybym ci na to pozwoliła, byłabym okropną hipokrytką.

– Nie rozumiem. Chcesz przez to powiedzieć, że...

– Oczywiście, że rozumiesz, i wiesz dokładnie, co chcę powiedzieć. Może cię to nieco dziwić, może nawet bulwersować, ale nie próbuj mnie potępiać. To są sprawy między mną a moim mężem i skoro doszliśmy do porozumienia, nie zamierzam tłumaczyć się bratu. Widzę, że chcesz mnie upomnieć, strofować. Niczym matka wygłaszać kazania. Proszę, nie rób tego. Obawiam się, że któreś z nas może powiedzieć o jedno słowo za dużo. Proszę cię także, żebyś nie pytał, kto to, gdzie i kiedy się poznaliśmy. Nie mam ochoty rozmawiać na ten temat, szczególnie że jest już nieaktualny.

Wypowiadając ostatnie słowa, Rozalia posmutniała, zaś Julian, chociaż bardzo się starał, nie potrafił ukryć delikatnego uśmiechu świadczącego o uldze, jaką poczuł na wieść, że romans Rozalii jest już wspomnieniem.

W bibliotece zapadła absolutna cisza, przerywana tylko miarowym tykaniem zegara i dalekimi odgłosami, jakie zazwyczaj słychać w domu, w którym toczy się życie.

– Wspomniałaś coś o zaproszeniu, które przyjęłaś na kolację wigilijną? Prawda to czy tylko wybieg, na wypadek gdyby jednak matka zmieniła zdanie?

– Pewnie kiedyś szukałabym prawdopodobnej wymówki, żeby nie skorzystać z wymuszonego zaproszenia i jednocześnie nie narazić się na gniew matki, ale życie nauczyło mnie, że nie można bać się własnego cienia. Dziś nie potrzebuję już szukać wymówek. Gdybym nie wybierała się z wizytą, nawet otrzymawszy stosowne wezwanie do stawienia się w domu na wigilijną kolację, nie skorzystałabym. Odmówiłabym uprzejmie, acz kategorycznie.

\*\*\*

Julian szedł powoli przed siebie, nie zważając na mróz, który teraz, kiedy zrobiło się już całkiem ciemno, znacznie przybrał na sile. Jako dziecko uwielbiał wsłuchiwać się w każde, najdrobniejsze nawet skrzypnięcie śniegu chrzęszczącego pod butami. Szedł wtedy wolno, noga za nogą. Włókł się przez to niemiłosiernie, denerwując matkę, która nawet wtedy, kiedy ze zdenerwowania gotowała się w niej krew, na zewnątrz wyglądała niczym uosobienie spokoju. I chociaż dzisiejszego wieczoru śnieg chrzęścił w rytm jego wolnych kroków, Julian nie zdawał sobie z tego sprawy. Myśli młodego hrabiego zajmowała niedawno skończona rozmowa z siostrą. Rozalia długo nie chciała zdradzić, od kogo dostała zaproszenie i gdzie wybiera się na kolację wigilijną. Prosił ją, błagał, w końcu zagroził, że obrazi się śmiertelnie, śmiejąc się oczywiście przy tych słowach. Widać jednak jego desperacka chęć poznania tajemnicy sprawiła, że Rozalia wreszcie wyznała mu prawdę.

– Jakiś czas temu spotkałam na mieście Teklę Schramm. Przeszłabym dalej, nie poznawszy jej, ale ona najwyraźniej nie miała takiego problemu, ponieważ zagadnęła mnie od razu. Muszę powiedzieć, że chociaż nie miałam okazji poznać Schrammowej na tyle dobrze, aby ferować wyroki o jej charakterze, z pewnością mogę powiedzieć, że na jej twarzy malowało się prawdziwe zmartwienie i tęsknota. Wyznała mi, że strasznie tęskni za córkami. Stefcia, jak wiesz, wyjechała do Wiednia, Eleonora zaś do Paryża.

Julian westchnął na wspomnienie ich ostatniego spotkania na peronie. Miał wówczas szczerą nadzieję, że kiedy Eleonora odkryje, co wrzucił do kieszeni jej płaszcz, zrezygnuje z wyjazdu. Nie, nie był aż tak naiwny, żeby wierzyć, że od razu wróci do niego, założy pierścionek i zapomni o jego

okrutnym wobec niej zachowaniu, ale gdzieś głęboko chciał wierzyć, że nie wyjedzie.

– Julianie, Julianie! – Rozalia podniosła głos. – Czy ty mnie w ogóle słuchasz?

– Przepraszam, zamyśliłem się. – Mówiąc to, zrobił skruszoną minę.

– Nie umknęło to mojej uwadze. A więc, kiedy tak opowiadała o pustym domu, pozbawionym śmiechu dziewcząt, coś we mnie drgnęło i sama nie wiem dlaczego, powiedziałam matce Eleonory, że najpewniej ja w tym roku również spędzę święta w małym, zaledwie jednoosobowym gronie. Kiedy Schrammowa usłyszała, że zamierzam sama jak palec siedzieć przy wigilijnym stole, od razu wystosowała zaproszenie i nie miałam możliwości go odrzucić. Ta kobieta potrafi być nieprzejednana.

– Coś mi się zdaje, że nie musiała namawiać cię aż tak długo, prawda? – Julian mrugnął do siostry.

Rozalia zdążyła zauważyć, że zachowywał się dziś dużo swobodniej. Naturalnie. Gdyby nie melancholia, która nachodziła go od czasu do czasu, sprawiając, że zamyślał się na chwilę, zatapiał w świecie wspomnień, a może marzeń, powiedziałyby, że rozmawia z dawnym Julianem.

– Masz rację. Nie musiała prosić zbyt długo. W końcu jaka czekałaby mnie perspektywa? Samotność. Nie, dziękuję. Wierzę, że to będzie cudowna kolacja. – Rozalia zamilkła na chwilę. Siedzieli w ciszy przez jakiś czas, każde pograżone we własnych myślach. – A może poszedłbyś ze mną?

I właśnie teraz, wracając do domu, wciąż zastanawiał się nad propozycją Rozalii, choć przecież odrzucił zaproszenie szybko, jednoznacznie i, jak powiedział, nieodwołalnie. W swym zamyśleniu nawet nie zauważył, kiedy z Kanoniczej stanął na Grodzkiej i zatrzymał się przy domu, w którym wieki temu mieszkał mistrz Stwosz. Palce Juliana, jakby prowadzone niewidzialną ręką, dotknęły czarnej opaski przysłaniającej pusty oczodół. Przypomniał sobie słowa ojca, który oprowadzając jego i Rozalię po mieście, snuł opowieści o ciekawych miejscach i ludziach z nimi związanych.

„Trzeba wam wiedzieć – mówił ojciec, patrząc na Juliana, który pożerał każde jego słowo – że mistrz Stwosz nie był człowiekiem wolnym od wad i grzechów. Kiedy skończył pracę nad naszym pięknym ołtarzem, przeprowadził się do Norymbergi. Tam zainwestował sporą sumę pieniędzy, które niestety stracił, a chcąc je odzyskać, najpierw sądził się w majestacie prawa, a potem, kiedy zapadł wyrok nie po jego myśli, dopuścił się fałszerstwa. Z tego też powodu musiał schronić się w klasztorze, w którym służył jego syn. Dzięki wstawiennictwu zięcia uszedł z życiem. Kary jednak nie uniknął. Jako fałszerza naznaczono go, odciskając rozżarzoną przętą piętno na obu policzkach mistrza”.

Ja przynajmniej straciłem oko w szlachetnej walce, ty oszpeciłeś się na własne życzenie, pomyślał Julian, zwracając się twarzą w stronę kamienicy, jakby w którymś z jej okien miał zobaczyć twarz rzeźbiarza, ale zamiast naznaczonych policzków widział tylko ciemne oczodoły okien. W końcu ruszył dalej.

Nogi same zaniósły go na Planty. Przez mieszkańców uznawane za najpiękniejszy park, niczym wianek na dziewczęcej głowie otulający śródmieście. Uspokajająca oczy zieleń ustąpiła miejsca skrzącej się w świetle księżycy bieli.

Wspomnienie spaceru z Eleonorą wdarło się nieproszenie do głowy Juliana. Cisza panująca o tej porze na Plantach została zagłuszona rozmowami i śmiechem przechodniów, których mijali tamtego dnia, w czerwcu jeszcze przed wybuchem wojny. Przed oczami stanęły Julianowi obrazy tak żywe, jakby wszystko zdarzyło się nie przed kilkoma laty, a ledwie przed paroma dniami. Upalny letni dzień. Ławki zajęte przez złaknionych promieni słonecznych krakowiaków. Wypełnione po brzegi kawiarenki. Beztroska, śmiech, gwar.

– Czy wiesz, że niebawem minie sto lat od ich założenia? Dziś to nie do uwierzenia, ale kiedyś jak okiem sięgnąć ciągnęły się tu wały i rowy forteczne. – Eleonora zatoczyła ręką krąg, chcąc tym gestem zobrazować swoje słowa. – Tylko dzięki umiejętnościom Radwańskiego oraz funduszom Straszewskiego możemy cieszyć się tym miejscem. – Przerwała, patrząc karcąco na Juliana. – Śmiesz się ze mnie? – Na jej policzkach pojawił się delikatny rumieniec. Julian zdążył się już zorientować, że nie był to bynajmniej rumieniec zażenowania, raczej wzburzenia, żeby nie powiedzieć: gniewu.

– Gdzieżbym śmiał. – Uśmiechnął się szerzej, prowokując ją jeszcze bardziej. Oczy Eleonory ciskały gromy. – Nie śmieję się z ciebie, tylko do ciebie. Jestem oczarowany twoją wiedzą.

– Dziękuję za komplement, ale to nic takiego – odpowiedziała spokojnie. – Wystarczy poszukać i poczytać. Jak mówi moja mama, chociaż akurat nie w kontekście nauki, dla chcącego nic trudnego.

Odgłos kłótni, najpewniej pijackiej, zbliżających się delikwentów przywołał Juliana do rzeczywistości. Hrabia zwawo ruszył przed siebie. Nie miał ochoty na przepychanki, czy to słowne, czy inne. Najwyższy czas wrócić do domu, pomyślał, chowając głowę w kołnierzu płaszcza. Był głodny i zmarznięty. Długi spacer nie pomógł mu powziąć decyzji, bo chociaż powiedział Rozalii, że nie ma zamiaru brać udziału w kolacji u Schrammów, wcale nie był tego taki pewny.



## Rozdział 2

– Byłam dziś u Dutkiewicza...

Słowa Tekli wyrwały Jana z zamyślenia.

– U kogo?

– Nie słuchasz. – Nie było to pytanie, lecz stwierdzenie. – Jak zwykle ostatnio. – Jan zerknął w stronę żony. Minę miał skruszoną, nie mógł bowiem zaprzeczyć.

– Bardzo cię przepraszam, ale wciąż rozmyślam nad propozycją, którą złożono mi przed kilkoma dniami, abym jako człowiek zajmujący się finansami i od lat szanowany za uczciwość wobec klientów, czy to prywatnych, czy firmowych, przyjął stanowisko w Komitecie dla Zwalczenia Lichwy. Sama musisz przyznać, że władarze miasta wykazali się zmysłem przewidywania, powołując komitet do życia. Nie trzeba robić zakupów, żeby wiedzieć, jaka panuje na mieście drożyzna, nie wspominając już o tych, którzy w ludzkiej desperacji szukają okazji do szybkiego, acz nieuczciwego zarobku, używając pieniędzy na niebotyczny procent.

– A więc właśnie o tym chciałam ci powiedzieć...

– O wysokości stóp procentowych? – Jan po raz kolejny wszedł Tekli w słowo.

Małżonka zmierzyła go ostrym wzrokiem, chcąc przywołać go do porządku. Od czasu szczerzej rozmowy, którą przeprowadzili na temat małżeństwa, ich wzajemne stosunki uległy zmianie, bynajmniej nie na gorsze. Miał wrażenie, że ich rozmowy, sposób bycia i wzajemne postrzeganie stało się jakby bardziej szczerze, niewymuszone i naturalne. Tak jak teraz.

– Mów. Obiecuję nie przerywać. – Uśmiechnął się szeroko. Tekla, choć bardzo starała się zachować powagę, żeby dać Janowi do zrozumienia, że jego zachowanie ubodło ją nieco, odwzajemniła uśmiech.

– Zatem byłam u Dutkiewicza, w sklepie nieopodal.

Jan pokiwał głową. Faktycznie na Rynku, na linii A–B, znajdował się skład, o którym mówiła Tekla.

– Zawsze w okresie przedświątecznym zachodziłam do niego, żeby podyktować sprawunki, które potem jeden z jego pomocników przynosił do domu. Nigdy niczego tam nie brakowało. Wybór u Dutkiewicza zawsze był przepyszny, każda szanująca się pani domu to potwierdzi. Kawa w najlepszym gatunku, nie to co u innych. Podobnie zresztą jak herbata. Pierwszorządne liście, a nie jakaś nieokreślona zbieranina. Pachnąca czekolada i aromatyczne kakao, za którym przepada Stefcia. Zrobiłam całą listę. Potrzebujemy wszystkiego. Kawy, herbaty, bulionów na zupy, serów, masła, najlepiej nieco słonego, takiego jak lubi Eleonora. Przydałyby się też migdały, rodzynki, a i figami bym nie pogardziła. Nasza Joasia wspomniała też, że kończą się mąka, ryż, krochmal, potrzebny na świąteczne obrusy, oliwa i świece, także te na choinkę, o ile w ogóle drzewko stanie w tym roku w salonie.

– Rozumiem, że wszystko zamówione i tylko patrzeć, jak zaczną znosić pudła do domu?

– Na jakim ty świecie żyjesz? – Tekla wzniosła oczy, jakby w górze szukała pomocy. – Półki u Dutkiewicza może nie świecą jeszcze pustkami, ale zapewne już wkrótce zaczną. Skład reglamentuje towary. Owszem, dostałam wszystko, co znalazło się na liście, ale w tak małej ilości, że święta w tym roku nazwać skromnymi to jakby nic o nich nie powiedzieć. I jakby tego było mało, sklep będzie zamknięty już od Wigilii. Niepojęte. Niepojęte! – Tekla uniosła głos, wzburzona na samo wspomnienie niedawnych nieudanych zakupów.

– Faktycznie, świat stanął na głowie. Nigdy bym nie wierzył, gdybym nie usłyszał z wiarygodnego źródła. Czy wiesz, że Stowarzyszenie Fryzjerów zamierza uchwalić dzień Bożego Narodzenia dniem wolnym? Też pokręciłem głowę z niedowierzaniem, ale uchwała zostanie niedługo ogłoszona. Zresztą nie tylko do mnie doszły te słuchy. Wczoraj jeden z klientów nie potrafił ukryć wzburzenia na myśl, że nie zostanie ogolony w tak ważne święto. We łbach się socjalikom powywracało, cały czas powtarzał. Nie chciałem dolewać oliwy do ognia i mówić mu, że są i tacy fryzjerzy, którzy

z uwagi na wieloletnią znajomość zgodzą się przyjąć swoich wiernych klientów mimo mającej wejść uchwały.

– Gdyby tylko nieogolona męska broda była największym zmartwieniem mieszkańców, byłibyśmy szczęśliwcami. – Tekla, która do tej pory chodziła miarowo po pokoju, wreszcie usiadła. – Jeszcze kilka dni temu, kiedy wróciliśmy od Dutkiewicza, martwiłam się rybami. Wszak Wigilia bez karpia lub lina to nie Wigilia. Ale dziś rano Joasia przyniosła cudowne wieści. Miejskie Biuro Apropowizacyjne będzie od soboty przy placu Szczepańskim oraz w parku Krakowskim sprzedawać ryby.

– Chciałoby się powiedzieć, że chociaż raz pomyśleli, ale okazuje się, że w tym roku myślą cały czas. Imaginuj sobie, że magistrat zamierza wprowadzić urzędowe ceny pieczywa. Ciemny chleb będzie kosztować cztery korony, ale biała strucla niestety dwanaście.

– Joasi udało się przedwczoraj zdobyć pierniki miodowe. Za kilogram zapłaciła dwadzieścia cztery korony. Drożyzny takiej nie było nawet w czasie wojny. A przecież trzeba kupić jeszcze mięso i wędliny. Niestety rzeźnicy nie wzięli przykładu z piekarzy i cukierników. Windują ceny z dnia na dzień. Czy magistrat nie mógłby się zająć i tym problemem?

– Przypuszczam, że... – Jan przerwał w pół słowa. – A cóż to za harmider?

Tekla zerwała się z fotela. Z przedpokoju dochodziły niepokojąco podniesione głosy: dziwne pokrzykiwania, coś na kształt biadolenia, a potem wybuch gromkiego śmiechu.

– Na Boga! – krzyknęła, stając w drzwiach gabinetu. Tuż za jej plecami przeciskał się równie ciekawski Jan. – Na Boga! Czy ty widzisz to co ja? Nasza Stefcia wróciła!

Nie czekając dłużej, szybkim krokiem podeszła do córki, która wciąż stała przy drzwiach wejściowych, i objęła ją tak mocno, że dziewczyna nie potrafiła wydobyć głosu.

\*\*\*

Tego wieczora rodzina bankiera położyła się znacznie później niż zwykle. Wybuchom radości z nagłego, niezapowiedzianego powrotu córki nie było końca.

– Dlaczego nie napisałaś, że przyjeżdżasz? – zapytał Jan, kiedy wreszcie uszczęśliwiona Tekla zamilkła i pozwoliła na spokojniejszą rozmowę.

– Nie wiedziałam, że wrócę do Krakowa jeszcze przed świętami. Tego, że wyjechałam, pożałowałam dość szybko. Tęskniłam za domem. Za wami. Myślałam, że wyjazd coś zmieni. Że szybciej zapomnę albo przynajmniej żal będzie mniejszy. Strasznie się myliłam. Tam, w obcym miejscu, czułam się jeszcze gorzej. Smutek był większy, bo i tęsknota ogromna. Postanowiłam, że wrócę, jak tylko nadarzy się okazja. Wiedziałam jednak, że jeżeli nie uda mi się wyjechać z Wiednia przed Bożym Narodzeniem, przybędę do Krakowa zaraz po Nowym Roku. Modliłam się gorąco i chyba zostałam wysłuchana, ponieważ nie dalej jak dziesięć dni temu spotkałam przed katedrą św. Szczepana Frau Goldbaum. To dzięki jej uprzejmości jestem teraz w domu. Przyjechałyśmy razem.

– Nie wiedziałem, że Frau Goldbaum wyjechała z Krakowa. – Tekla zerknęła na Jana, który wzruszył tylko ramionami.

– Przyjechała do Wiednia na początku grudnia, tylko na kilka dni. Nie chciałam być wścibska i wypytywać, więc wiem tylko tyle, ile sama mi powiedziała. Była tam w sprawach, które prowadził kiedyś jej zmarły mąż. Frau Goldbaum nie powiedziała tego wprost, ale mam dziwne przeczucie, że pragnie jego interesy, prowadzone obecnie przez pełnomocników, przenieść do Krakowa.

– Janie, a co z cukrownią?

– Wojna pozmieniała priorytety, Teklo. Ludzie martwili się innymi sprawami, nawet tacy jak Michałowscy. Któż miał czas myśleć o budowie cukrowni? Mam w planie skontaktować się po Nowym Roku z hrabią i zapytać, jak widzi jej dalsze losy. Czy wciąż utrzymuje chęć jej wzniesienia? Wszak budowa już rozpoczęta. Moim zdaniem należałoby działać dalej. Gdyby poszło dobrze, bez dalszych przeszkód, pod koniec przyszłego roku wszystko byłoby ukończony. A skoro i Frau Goldbaum jest w mieście, to i z nią należałoby omówić tę kwestię. W końcu zawiązaliśmy spółkę.

Jan zerknął na Stefcie, która siedziała naprzeciwko. Chociaż ze wszystkich sił starała się uważnie

słuchać i nadażać za wymianą zdań, oczy same jej się zamykały. Ziewnęła szeroko.

– Przepraszam, ale jestem zmęczona. Położę się spać. Dobranoc. Mamo, tato. – Z tymi słowami wyszła z gabinetu i cicho zamknęła za sobą drzwi. Na odchodnym usłyszała jeszcze, jak rodzice życzyli jej dobrej, spokojnej nocy.

Powoli skierowała się w stronę sypialni, którą nie tak dawno dzieliła z Eleonorą. Cieszyła się z powrotu, ale gdzieś w głębi serca wciąż przygniatał ją smutek. Kiedy stanęła przed drzwiami rodzinnego domu, przypomniała sobie dzień, w którym po raz pierwszy spotkała Mikołaja. Wszystko, co z nim przeżyła, wróciło ze zdwojoną siłą. Ze zdwojoną siłą wróciła też świadomość, że już nigdy go nie zobaczy. Nigdy nie miała okazji spędzić z nim Bożego Narodzenia. Nie było wspólnej Wigilii. Wspólnej pasterki.

I nigdy już nie będzie, pomyślała, kładąc się do łóżka.

\*\*\*

– Nie zamierza się pan chyba pożegnać, Julianie? – Jan Schramm zwrócił się do Michałowskiego, który zatrzymał się tuż przy drzwiach kamienicy Pod Irysami. Niebawem miała się rozpocząć pasterka, w której zgodnie z tradycją uczestniczyła rodzina bankiera. – Ucieszyła nas pańska wizyta na kolacji i radzi byłibyśmy, gdyby poszedł pan z nami na mszę, chyba że uczestnictwo w niej jest niezgodne z pana sumieniem?

– Oczywiście, że nie. Nie pamiętam wigilii, która nie zakończyłaby się rodzinną wyprawą do kościoła. Niemniej jednak nie chciałbym nadwyreżać państwa cierpliwości i gościnności. – Julian zerknął w stronę oddalających się wolnym krokiem Tekli, Stefanii i Rozalii, zatopionych w rozmowie.

Długo się wahał i w końcu na dzień przed Wigilią postanowił, że zasiądzie do wieczerzy tradycyjnie, z rodzicami. Był zdecydowany, ale kiedy rankiem następnego dnia przypomniał sobie, że tego roku przy stole wigilijnym zgromadzą się dawno niewidziani, a przez to prawie całkiem obcy krewni, zmienił zdanie – co nie oznaczało, że przestał się wahać. Ba, był tak niezdecydowany, że kiedy w końcu wyszedł z domu, ulice Krakowa były zupełnie wyludnione, ponieważ większość jego mieszkańców albo już spożywała kolację, albo się do niej szykowała.

Szedł szybko, przygotowując w myślach słowa powitania i przeprosin za niespodziewane najście. Jego wzrok przyciągały mijane jasne okna, na których tle rysowały się sylwetki udekorowanych drzewek. Widząc je, od razu przypomniał sobie wykrzywioną grymasem niezadowolenia twarz matki, kiedy wiele lat temu przyniósł do domu ozdoby choinkowe kupione na straganie stojącym od strony ulicy Szewskiej podczas tradycyjnego świątecznego jarmarku. „Julianie” – Józefa Michałowska spojrzała na syna z niedowierzaniem, że mógł się wykazać brakiem dobrego smaku. „Skąd ci przyszło do głowy, żeby kupować tę niemiecką tandetę? Straganiarze każdego roku zalewają nas tą miernotą, wmawiając nam, że te rzeczy mają duszę i są efektem prac utalentowanych rękodzielników, kiedy w rzeczywistości są zwykłą tandetą”.

Patrząc na dzisiejsze drzewka, które udało mu się dostrzec w drodze do kamienicy Schrammów, zastanawiał się, czy matka jak zwykle zawiesiła na choince ozdoby robione własnoręcznie, czy w końcu dla wygody pozwoliła wykorzystać te kupione na jarmarku.

– Kiedy pan zadzwonił do drzwi, proszę wybaczyć, w pierwszej chwili myśleliśmy, że to Eleonora.

Słowa Jana sprawiły, że Julian odgonił wspomnienia i skupił się na swoim rozmówcy.

– Nie chciałbym, żeby przez to, co przed chwilą powiedziałem, myślał pan, że nie ucieszyła nas pańska wizyta. Zresztą chyba nie ma wątpliwości, jaką radość nam pan sprawił.

– Pisku Stefci długo nie zapomnę. – Julian uśmiechnął się szeroko.

Kiedy Franciszek, służący Schrammów, wprowadził go do salonu, gdzie przy stole siedzieli już Tekla, Jan, Stefania i Rozalia, najpierw zapadła cisza, która sprawiła, że zapragnął chyłkiem się wycofać. Konsternacja nie trwała jednak długo, ponieważ Stefcia nagle zerwała się z krzesła i z piskiem, nie bacząc na konwenanse czy dobre wychowanie, rzuciła się w jego stronę i przytuliła go mocno, niczym

długo niewidzianego brata.

– Dlaczego nie powiedziałaś, że Julian przyjdzie? – zwróciła się do Rozalii. – Gdybyśmy wiedzieli, że zechcesz zasiąść z nami do stołu, poczekalibyśmy z kolacją.

– Proszę wybaczyć to najście. Rozalia nie miała pojęcia, że przyjdę, ale kiedy prawie siłą wyciągnąłem z niej informacje, dokąd wybiera się w wigilijny wieczór, zacząłem się zastanawiać, czy do niej nie dołączyć. Wahałem się tak długo, że prawie przegapiłem kolację.

– O jakim najściu pan mówi, Julianie? – Tekla podniosła się z krzesła i podeszła do niego, wyciągając dłoń na przywitanie. – Proszę z nami usiąść. Pierwszy raz trafił do nas zbłąkany wędrowiec.

Jego niespodziewane przybycie wprowadziło nieco zamieszania, ale po kilku zaledwie chwilach ponownie siedzieli przy stole, przygotowując się do odmówienia modlitwy i złożenia życzeń.

– Jeszcze raz chciałem podziękować za chwile, jakie z państwem spędziłem dziś wieczorem. I dziękuję za zaproszenie na mszę. Będzie mi miło uczestniczyć w niej razem z wami. – Julian skinął bankierowi głową dla podkreślenia swoich słów. Niespiesznie ruszyli w ślad za paniami.

Z wieży Mariackiej popłynęła melodia kolędy *Wśród nocnej ciszy*, którą odgrywało dwóch trębaczy, zapraszając na pasterkę zmierzających w stronę kościoła mieszkańców miasta.

– Mam nadzieję, że jeszcze się zobaczymy – powiedziała Stefania, żegnając Juliana i Rozalię po zakończonej mszy. – Nie jutro oczywiście, bo w końcu kiedyś trzeba odpocząć, ale kto wie, może na św. Szczepana?

– Zamierzasz spacerować po mieście? – Rozalia z ciekawością spojrzała na Stefanię, która była tego dnia w wyjątkowo dobrym nastroju.

– Skądże znowu. Czasy, kiedy czekałam, aż zostanę obsypana owsem i confetti, już dawno minęły. Zresztą magistrat wydał zakaz, nazywając zabawę marnotrawstwem. Kiedyś wyśmiałabym taką argumentację, dziś muszę się z nimi zgodzić. A poza tym chyba jeszcze nie czas na takie swawole? – Oczy Stefanii zaszklily się dziwnie.

– Ucieszyłabym się, gdybyś mnie odwiedziła. Państwo również będą mile widziani – powiedziała Rozalia, wyciągając ręce na pożegnanie.

Stefania ujęła obie jej dłonie. Przytuliła siostrę Juliana, potem bez słowa pożegnała się z młodym Michałowskim. Chwilę później z rodzeństwem pożegnali się także Jan i Tekla.

– Cieszę się, że zdecydowałaś się przyjść – powiedziała Rozalia, kierując się w stronę Grodzkiej.

– Ja też. – Julian ruszył za nią, raz jeszcze rzucając okiem na kamienicę Schrammów. Spędził wspaniałe chwile, ale jego szczęście nie było pełne.

### Rozdział 3

Jan zamknął gazetę. Nie odłożył jej jednak na stolik, tylko wciąż trzymając w ręce, gładził ją niczym miauczącego kota wylegującego się na kolanach znużonego pana. Na jego ustach zagościł dawno niewidziany uśmiech, a oczy błyszczały z podekscytowania.

– Od dawna nie widziałam cię tak zadowolonego – skwitowała siedząca naprzeciwko męża Tekla.

– Bo i są powody. Są powody, moja droga. Takiego ruchu dawno w naszym banku nie było. Zapomniałem, co to kolejka do kasy. Myślałem, że nic dobrego nas już nie czeka. A tymczasem moi kasjerzy uwijają się jak za dawnych dobrych czasów.

– Nie wiem, co w tym dziwnego. Wojna wyrządziła tyle złego. Zubożyła ludzi. Wielu pragnie żyć na poziomie, do jakiego przywykło, więc nie myśląc logicznie, odwiedzają banki i inne podejrzone nory, w których udziela się lichwiarskich pożyczek, żerując na sentymencie tych biedaków.

– I tu jesteś w błędzie. – Jan zaczął wertować gazetę, szukając interesującego fragmentu. – Zobacz. – Postukał palcem w miejscu, w którym zamieszczono odezwę rozpoczynającą się od słów Napoleona. – „Napoleon mówił, że aby pokonać wroga, potrzeba trzech rzeczy: pieniędzy, pieniędzy i pieniędzy” – przeczytał na głos, chociaż Tekla nasadziła na nos okulary i skłoniła się w stronę artykułu. – Ludzie nas odwiedzający nie przychodzą pożyczać, a kupować. Rzadko która odezwa kierowana do społeczeństwa odnosiła tak pozytywny skutek, ale ta promująca pożyczkę państwową przechodzi najśmielsze oczekiwania. Myślałem, że tylko my, krakowianie, jesteśmy tak nieostrożnie hojni, ale ostatnio spotkałem starego znajomego. Wrócił niedawno z Warszawy, wcześniej przebywał w Poznaniu. Zresztą w ostatnich tygodniach z racji służbowych powinności dużo podróżuje po Polsce i wszędzie jest tak samo. Polacy postanowili pognębić wroga. Pożyczą państwu ostatni grosz, aby wreszcie raz na zawsze pozbyć się okupantów i stać się krajem prawdziwie niepodległym.

– Piękny gest, ale jak znam życie, niewiele znaczący. Jeżeli wróg będzie chciał nas pognębić, zrobi to z łatwością, jakiej sobie nawet nie wyobrażamy, i nawet ostatnia zdarta z pleców koszula go nie powstrzyma. Więc jeżeli pozwolisz, nie będę podzielać twojego entuzjazmu, zwłaszcza kiedy ceny w sklepach rosną z dnia na dzień. Wierz mi, wiem, co mówię. Ci, co dziś przyszli do banku z taką ochotą oddać swoje ciężko zaoszczędzone pieniądze, zjawią się znowu, ale już nie dać, a wziąć, nawet na wysoki procent. Nie jestem bankowcem, ale wiem jedno: że z pustego i Salomon nie należy. Pożyczać jest łatwo, trudniej oddać. I niech Bóg ma nas w opiece, abyśmy i my nie musieli stanąć w kolejce do jakiego krakowskiego żyda po pożyczkę.

W salonie zapadła głucha cisza, w której wybrzmiewały ostatnie słowa Tekli. Jan nie zamierzał z nią polemizować. Sam zdawał sobie z tego wszystkiego sprawę. Nie wiedział tylko, czy bał się na głos powiedzieć to, co żona nazwała z taką łatwością, czy naiwnie wierzył, że ciężkie czasy odeszły w niepamięć.

– Zanim poruszyłeś sprawę pożyczki, chciałam ci powiedzieć, że zamierzam odwiedzić kuzynkę Agnieszkę z Wieliczki. – Tekla podniosła się z fotela i z góry bacznie obserwowała reakcję Jana. – Nie byłam tam lata całe, a sytuacja w mieście strasznie mnie męczy. Zresztą zapewne niedługo znowu zaczniesz każdą wolną chwilę poświęcać cukrowni hrabiego. Stefci też nie ma całymi dniami. Nie mam ochoty siedzieć sama w czterech ścianach, a wyjście na miasto przestało mnie cieszyć już dawno temu.

– Nie zamierzam zabraniać ci wizyty u kuzynki, ale nie wydaje mi się, żebyśmy z cukrownią mieli ruszyć w najbliższym czasie, chociaż byłoby to rozsądne, skoro do Krakowa ściągają się całymi wagonami cukier, chociażby z Poznania. Jednak po ostatniej rozmowie z Michałowskim dochodzę do wniosku, że wojna i wydarzenia w rodzinie hrabiego mocno ostudziły jego zapędy jako przedsiębiorcy, a i Frau Goldbaum nie wykazuje chęci wznowienia budowy. Coś mi się zdaje, że gdzie indziej upatruje interesu. Tak więc zapewne będę bywał w domu znacznie częściej, niż mogłoby się wydawać. – Jan zerknął na Teklę. – Widzę jednak, że podjęłaś już decyzję.

– Wczoraj wysłałam do Agnieszki telegram. Na dniach spodziewam się odpowiedzi. Gdyby

zechciała mnie ugościć, wyjadę za dwa, może trzy tygodnie.

Jan uniósł brwi, dziwiąc się temu pośpiechowi.

– Tak szybko? Na początku marca? Nie poczekasz, aż zrobi się cieplej?

– Zima w Wieliczce jest bardzo malownicza. O ile mnie pamięć nie myli, bo ostatnio wizytowałam dom kuzynki, będąc dzieckiem, jest tam piękniej niż w Krakowie. Chciałabym móc nacieszyć oczy tym widokiem, o ile nie masz nic przeciwko.

– Absolutnie nie mam. – Jan wzruszył ramionami, dając Tekli do zrozumienia, że zgadza się z jej planami.

## Rozdział 4

Na dworze było jeszcze szaro, kiedy w sobotę piętnastego lutego Julian wszedł do prawie pustego kościoła św. Jana Chrzyciela, w którym za niecałą godzinę miała się odbyć msza w intencji zmarłego Edmunda Szalita.

Julian przeżegnał się powoli, spokojnie, dokładnie, zamykając przy tym oczy. Od dawna nie był w kościele. Ani tu, ani w żadnym innym. Od dawna nie oddawał się modlitwie, co nie znaczyło, że przestał wierzyć. Po prostu doszedł do wniosku, że modlitwa nie ma sensu. Nigdy jeszcze jego prośby, modły i błagania nie zostały wysłuchane, a on od dziecka nie lubił tracić czasu na coś, co okazywało się nieskuteczne i nie przynosiło spodziewanych rezultatów. Kiedy jednak przypadkowo dowiedział się, że żona Edmunda w dniu urodzin męża wykupiła mszę za spokój jego duszy, postanowił wziąć w niej udział, oddając swoją obecnością hołd człowiekowi, którego miał przyjemność nazywać swoim przyjacielem.

Odetchnął głęboko, napawając się spokojem tego miejsca. Tylko w kościołach tak starych jak ten czuł tę nabożność wypełniającą mury. Każdy centymetr tego miejsca wydawał się emanować boskim natchnieniem, dającym ukojenie nawet tak niespokojnym i zmęczonym duszom jak jego.

Usiadł w jednej z ostatnich ławek, pragnąc schować się przed oczami tych kilku wiernych, którzy z jakichś powodów przyszedli tu równie wcześnie. Wykorzystując swoje miejsce, dyskretnie otaksował modlących się, szukając znajomych twarzy. Kiedy już myślał, że nie znajdzie nikogo, kogo mógłby znać, jego wzrok napotkał smutne spojrzenie młodej kobiety ubranej w żałobną czerń. Prawie niewidoczne skinienie głowy przywołało Juliana do ławki, w której siedziała wdowa po Szalicie. Wstał zatem i wolnym krokiem podszedł do Walentyny. Zanim spoczął obok niej, uściśnął jej delikatną dłoń, zapewniając bez słów o zrozumieniu i współczuciu dla bólu, z jakim musiała mierzyć się każdego dnia.

– Wiesz, że chcieliśmy wziąć ślub w tym kościele, ale mojej matce nie podobało się, że dookoła trwały prace wykopaliskowe. Próbowła mnie przekonać, że skoro tak bardzo zależy mi na tym miejscu, powinnam poczekać, aż skończą, ale oni dopiero zaczęli. Podświadomie wiedziałam, że potrwa to dłużej niż kilka miesięcy. W końcu uległam utyskiwaniom matki i zrezygnowałam – mówiła Walentyna, kiedy wraz z Julianem zatrzymali się przed wejściem do świątyni tuż po skończonej mszy.

– Pamiętam doskonale te wykopaliska. Zaczęli w 1906, byłem jeszcze w Krakowie przez kilka miesięcy. Potem wyjechałem do Paryża, na studia.

– Może byliśmy tu wtedy wszyscy troje, nawet nie zdając sobie sprawy, że życie jeszcze zetknie nasze drogi? Może już wtedy los zaznaczył, że ty i Edmund nie tylko będziecie razem pracować, ale i zaprzyjaźnicie się ze sobą? – Walentyna zerknęła w stronę wciąż otwartych drzwi kościoła. Na chwilę pomiędzy nią a Julianem zapadła cisza. – Wierzysz w przeznaczenie? – zapytała.

– Nie wiem – odparł Julian. Nie zastanawiał się nad tym.

– Ja wierzę, bo zaledwie dwa dni temu zastanawiałam się, jak mam się z tobą skontaktować. A tu proszę, spotykam cię w miejscu, które jest ostatnim, w jakim przypuszczałabym cię spotkać. Przyjdź jutro do nas. Do domu, na ulicy Szlak 21. Pamiętasz gdzie, prawda?

Julian potwierdził skinieniem głowy.

– Chciałabym z tobą porozmawiać. – Bez dalszych wyjaśnień odeszła, zostawiając Michałowskiego z wieloma pytaniami.

\*\*\*

Było wczesne popołudnie, kiedy Julian stanął przed drzwiami kamienicy na ulicy Szlak 21. Nie był tu od dawna. Od bardzo dawna, pomyślał, spoglądając w okna na piętrze, na którym kiedyś mieściła się kancelaria. W jednej chwili wróciły setki wspomnień. Jednak najlepiej zapamiętał i wspominał pierwszy dzień, kiedy pojawił się na rozmowie z Edmundem, która to zamiast odbyć się w jego gabinecie, przebiegała mniej oficjalnie w drodze do domu profesora Bobrzyńskiego. Już wtedy Julian

upewnił się, że Edmund zostanie nie tylko jego pracodawcą, z czasem może współnikiem (co niestety nigdy się nie zdarzyło), ale także przyjacielem. Brakowało mu wspólnej pracy, przeszukiwania stosu dokumentów, przygotowywania akt procesowych i rozmów, jakie prowadzili, nie odrywając się od roboty. Zapamiętał Edmunda jako człowieka zazwyczaj poważnego, który rozpromieniał się, opowiadając o żonie i córce Stanisławie, będącej wówczas małym szkrabem. Dziewczynka skradła i serce Juliana.

Zanim wszedł na klatkę schodową, wziął głęboki, pocrzepiający oddech. Pchnął ciężkie wejściowe drzwi i ruszył w górę kamiennymi schodami, które nie tłumili jego ciężkich kroków.

– Wejdz. – Walentyna Szalit powitała go w progu. Odsunęła się od drzwi, wpuszczając gościa do środka. – Stasia bawi się w salonie, ale nie będzie nam przeszkadzać. To bardzo ciche dziecko.

Chwilę później Julian powiesił okrycie i ruszył za wdową po Edmundzie. Prowadziła go długim i wysokim korytarzem, po którego prawej stronie znajdował się szereg zamkniętych lub przymkniętych drzwi, prowadzących zapewne do kuchni, spiżarni, garderoby, służbówek i łazienki. Na końcu reprezentacyjnego hallu znajdował się obszerny salon, skąpany w promieniach lutowego słońca, które wpadało do środka przez okna: jedno wysokie oraz drugie półokrągłe, wprawione w półkolisty wykusz w rogu pokoju. To tam, na kocu rozłożonym na drewnianej podłodze, bawiła się Stanisława Szalit.

– Dzień dobry – powitała Juliana, wstając z kolan i dygając lekko, jakby kłaniała się królowej.

– Dzień dobry – odpowiedział Julian, uśmiechając się do jasnowłosej dziewczynki, która przyglądała mu się znajomymi oczami. Oczami Edmunda.

– Czy mam iść do swojego pokoju, proszę mamy? – zapytała cichutko, zwracając się do Walentyny.

– Nie, kochanie. Możesz bawić się tutaj.

Dziewczynka przykucnęła ponownie na kocu, całą swoją uwagę kierując ku rozłożonym na nim lalkom.

– Proszę, usiądź. – Walentyna wskazała na wygodny fotel stojący pod ścianą na wprost okiennego wykusza, gdzie ustawiono żardinierę z wyeksponowanymi kwiatami doniczkowymi. – Pozwolisz, że zostawię cię na chwilę. – Po tych słowach ruszyła w stronę kuchni.

Julian rozejrzał się po pokoju. Eleganckie meble, niektóre pamiętające zapewne czasy dziadków, rozstawiono pod ścianami, zostawiając środek pusty. Stojący na ozdobnym stoliku polifon sugerował, że kiedyś Szalitowie wydawali wystawne bale.

Wzrok Michałowskiego przyciągnęły ciężkie rozsuwane drzwi, za którymi zapewne krył się gabinet pana domu. Gość zastanawiał się, czy Walentyna zostawiła w nim wszystko bez zmian, czy może pokój zyskał nowe przeznaczenie. Kolejne, mniejsze drzwi prowadziły do jadalni, którą widział z zajmowanego miejsca, a że pokoje ułożone były w systemie amfiladowym, tuż za jadalnią zauważył kolejną izbę. Był to mały pokoik, sądząc po wystroju, należący do Stanisławy. Julian musiałby się wychylić – czego nie chciał robić, aby nie zostać posądzonym o nadmierną ciekawość – żeby zobaczyć, czy tuż za pokojem dziewczynki znajdowała się małżeńska sypialnia. Jeżeli mieszkanie Szalitów miało standardowy rozkład, tak właśnie musiało być.

Powrót Walentyny przerwał Julianowi wzrokowe zwiedzanie domostwa.

– Herbata będzie za chwilę. Zapewne jesteś ciekaw powodów, dla których cię zaprosiłam. Wyjeżdżam do siostry, Antoniny. Jak wiesz, ona też jest wdową. Pewnie gdybyś wcześniej zaczął współpracować z Edmundem, ten bez zastanowienia zaangażowałby cię w proces Stanisława. Uważał, że jesteś bardzo utalentowany. Stworzony do bycia prawnikiem. Gdyby żył, nie pozwoliłby ci odejść od prawa. Zrobiłby wszystko, żebyś znowu zaczął pracować. Dziwisz się, skąd wiem, że nie praktykujesz? Wbrew pozorom Kraków to małe miasto, a jeżeli jesteś synem Michałowskiego, musisz być przygotowany na to, że ludzie interesują się bardziej twoim niż swoim życiem. Jak znam Edmunda, nalegałby tak długo, aż w końcu byś uległ i znowu stanął z nim ramię w ramię na wokandzie.

– Chyba jestem na dobrej drodze, aby tak się właśnie stało. Dojrzałem do tej decyzji. Wracam do pracy i zamierzam nie tylko ponownie otworzyć kancelarię, ale i zakończyć studia doktoratem.

– A więc to jednak przeznaczenie – skwitowała Walentyna, nadal niczego nie wyjaśniając.



Na chwilę przerwali rozmowę. Do salonu wszedł młody chłopak niosący tacę z dzbankiem parującej herbaty i dwoma wykwintnymi porcelanowymi filiżankami. Na niewielkich talerzykach podano także kruche ciasteczka z odrobiną konfitury.

– Jakimś cudem przetrwały najgorsze czasy. Uratowałam je na takie chwile jak dziś. – Walentyna uśmiechnęła się do Juliana, widząc jego uniesioną w zdziwieniu brew. Upiła łyk herbaty. – Jak już wspomniałam, wyjeżdżam. Najpewniej na długo, może na stałe. Jeszcze nie zdecydowałam, ale wiem na pewno, że nie wrócę do Krakowa przez najbliższe dwa, trzy lata. Nie mam jednak zamiaru sprzedawać mieszkania, a jeżeli będzie stało puste, pójdzie na zatracenie. Z domem jest jak z człowiekiem. Musi żyć, żeby jakoś wyglądać. Mieszkanie bez domowników umiera, nawet jak ktoś zagląda do niego od czasu do czasu. Zamierzam je wynająć, tak samo jak to, w którym swego czasu Edmund miał kancelarię. To niesamowicie wygodne. Usprawnia pracę i życie. Mieszkać i pracować w jednym budynku. Niewyobrażalny luksus, nie sądzisz?

Pytanie było retoryczne, dlatego Julian nie odpowiedział. Zrozumiał zamiary Walentyny.

– Jeszcze nie dałam ogłoszenia. Tamtego dnia, w kościele, już wiedziałam, że w jakiś sposób muszę się z tobą skontaktować. Bóg mi cię zesłał. Nie przedłużając, zapytam wprost. Czy zechcesz wynająć ode mnie mieszkanie i kancelarię?

– A zatem masz rację. Przeznaczenie istnieje – podsumował Julian, ciesząc się, że właśnie podjął bardzo ważną decyzję, i smucąc jednocześnie na myśl, że czeka go przeprowadzka.

## Rozdział 5

Marzec miał się z wolna ku końcowi. Po ostrej, śnieżnej zimie przysła piękna wiosna, dzięki której świat rozkwitał z dnia na dzień. Śpiew ptaków kołło serce Eleonory, kiedy tak szła niespiesznie w stronę Rynku, trzymając Stefcie pod ramię. Korzystając z pięknej pogody, zaraz po śniadaniu postanowiły udać się na spacer, żeby nacieszyć się rozkwitającą przyrodą i poczuć na twarzach delikatne muśnięcia promieni słonecznych. Pochodziły po Plantach, potem chwilę poobserwowały ciemne wody rzeki, obeszły wzgórze zamkowe i teraz, klucząc malowniczymi krakowskimi uliczkami, powoli wracały do domu.

– Czyżbym aż tak się zmieniła? Postarzała? Schudła? Zbrzydła? Upewniasz się, że ja to ja? Jaki jest powód ciągłego zerkania? – Eleonora spojrzała na Stefcie.

– Nie postarzałaś się, nie zbrzydłaś. Po prostu wciąż nie mogę uwierzyć, że wróciłaś tak szybko. Wzięłam ojca na spytki, kiedy mama na krótko wyszła na miasto, ponieważ chciałam zaspokoić ciekawość i dowiedzieć się, jak im się żyło tak bez córek. Zdziwiłabym się, gdyby nie tęsknili, ale ponoć matka cały czas marudziła, utyskiwała, biadoliła. Zachowywała się, jakbyśmy umarły, a nie wyjechały. I faktycznie, kiedy wróciłam, miałam wrażenie, że przez ten krótki czas zmarniała. Cieszyła się niezmiernie, ale ta radość trwała krótko. Potem znowu zaczęła narzekać, że brakuje jej Ciebie. Chciała nawet wyjechać do kuzynki Agnieszki, do Wieliczki. Twierdziła, że źle się czuje w mieście, a poza tym od lat jej nie odwiedzała, więc najwyższy czas nadrobić towarzyskie zaległości. Dziwiłam się temu wszystkiemu, chociaż może nie powinnam, bo rodzice już od jakiegoś czasu zachowują się inaczej. Też powinnaś to zauważyć. Mam nadzieję, że zauważyłaś? – Stefcia zerknęła na Eleonorę, która skinęła głową. – Sądzę, że podobnie jak ja nie pytałaś o przyczynę tej nagłej zmiany. Pewnie i tak nie zamierzaliby się tłumaczyć, zwodziliby nas odpowiedzią, że to nie nasza sprawa. Może i nie nasza, zresztą, co tu dużo kryć, mam zbyt wiele swoich zmartwień, żeby jeszcze dokładać sobie zmartwień innych, nawet jeżeli są to troski rodziców. Kiedy więc wróciłaś tak bez zapowiedzi, pomyślałam, że może słała za tobą listy, bo mimo tak ochoczych przygotowań do wyjazdu jednak wolałaby zostać w domu i porzucić te dziwne manifestacje, które niczemu nie służą, tylko denerwują ojca i zaburzają harmonię w domu. Pomyślałam, że wymusiła na tobie ten powrót.

– Wróciłam z własnej inicjatywy. Nie mogłam tam zostać. Okazało się, że Towarzystwo Pomocy Rannym Polakom miało już całą obsadę. Dawid chciał nawet wstawić się za mną u samego hrabiego Potockiego, ale powstrzymałam go przed tym. Już kiedy siedziałam w pociągu, miałam wątpliwości, czy dobrze robię. Zwłaszcza po rozmowie z Julianem. Pisałam ci o niej w liście, pamiętasz?

Stefcia skwapliwie skinęła głową.

– Jednak kiedy stawiałam się w Paryżu, poczułam, że Dawid odebrał mój przyjazd jako coś więcej niż tylko chęć niesienia pomocy rannym. Nie zamierzałam go zwodzić. Nie jego... – Słowa Eleonory zawisły w powietrzu.

– Nie mówisz mi wszystkiego, prawda?

Stefania zatrzymała się na wysokości Muzeum Starożytności na Sławkowskiej. Za jej plecami górował dwukondygnacyjny budynek, nad którego wejściem głównym zawisł słusznych rozmiarów balkon. Muzeum od zawsze cieszyło się dużym zainteresowaniem. Z racji wojennych perturbacji nieco zmalało, ale od kiedy kilka miesięcy temu zainstalowano nową wystawę prezentującą egipskie sarkofagi, pochodzące z wykopalisk prowadzonych przez polskiego egiptologa, krakowianina, Tadeusza Smoleńskiego, muzealne mury zaczęło odwiedzać coraz więcej mieszkańców Krakowa. Będąc w Wiedniu, Stefania czystym przypadkiem dowiedziała się, że część krakowskiej kolekcji, którą właśnie wtedy instalowano w muzeum, pochodzi z wykopalisk z Nubii i Kairu, wspólnie prowadzonych przez krakowską i wiedeńską Akademię Nauk.

Była tu raz jeden, wiele lat temu, z rodzicami i Eleonorą, która pasjami uwielbiała takie miejsca. Stefania zerknęła szybko na białą fasadę budynku i pomyślała, że ówczesna wizyta w jego wnętrzach była dla niej prawdziwą katorgą. Na nic zdały się fascynujące opowieści przewodnika, którego wynajął

ojciec do ich prywatnej dyspozycji, ze swadą opowiadającego o odkrytej pod koniec XIX wieku Jaskini Maszyckiej, w której tysiące lat wcześniej rozegrała się tragedia. Kiedy Eleonora nastawiała uszu, słuchając wywodów o tym, jak krok po kroku odnajdywano kolejne szkielety kobiet, mężczyzn, a nawet dzieci, Stefania nerwowo kręciła się dookoła, nie mogąc doczekać się wyjścia. Nie zainteresowały jej nawet pełne napięcia opowieści o tym, że na kościach, głównie czaszkach, znajdowały się nacięcia, a także odciski zębów, co mogło świadczyć, że ludzie ci padli ofiarą kanibali.

Stojąc teraz w cieniu muzealnego balkonu, Stefania zastanawiała się, czy tamtą ekspozycję, która tak zafascynowała jej siostrę, można wciąż oglądać i czy przewodnik opowiada o tragedii sprzed wieków z taką samą ekscytacją. Niemniej jednak nie było to miejsce ani czas, żeby się o tym przekonać. Zresztą Eleonora nawet nie zwróciła uwagi, że stoją tuż przed głównym wejściem do muzeum. Patrzyła uważnie na siostrę, zastanawiając się nad właściwą odpowiedzią.

– Nie, ale nie pytaj. Nie draż. Nie jestem jeszcze gotowa na zwierzenia. Żeby jednak zaspokoić twoją niezdrową ciekawość, powiem, że wydarzyło się między Dawidem a mną coś, co na zawsze zmieniło nasze relacje. Po tym, co się stało, nie mogło być już między nami czysto platonicznej przyjaźni. Albo związek, albo rozstanie.

– Czyli, jak mawiał Oscar Wilde... Och, nie rób takich oczu – zachnęła się Stefcia. – Czasami zdarzy mi się przeczytać coś wartościowego. Nie tylko ty siedzisz z nosem w książkach. Więc, jak mawiał pan Wilde, „między mężczyzną a kobietą przyjaźń nie jest możliwa. Namiętność, wrogość, uwielbienie, miłość – tak, lecz nie przyjaźń”. Nie musisz... – Stefcia przerwała w pół zdania, ponieważ jakiś roześmiany młody mężczyzna, który akurat opuścił progi muzeum, wpadł na nią przez nieuwagę.

– I'm very sorry. I didn't notice you. – Zaczął się tłumaczyć, przytrzymując Stefanię za ramiona, jakby bał się, że panna zaraz się przewróci, chociaż nie było takiej możliwości.

– Chociaż nie zrozumiałam dokładnie, o czym pan mówił, z uwagi na zaistniałe zdarzenie przypuszczam, że mnie pan przeproszał. Przyjmuję przeprosiny. – Z tymi słowami Stefania wyswobodziła się z jego niezbyt mocnego uścisku.

Tuż za jego plecami pokazała się młoda kobieta ze szczupłą dziewczynką trzymającą ją pod ramię. Zza ich pleców wszystkiemu przyglądał się wyjątkowo przystojny mężczyzna, którego egzotyczna uroda zwracała uwagę przechodniów. Stefcia odwróciła się w stronę Eleonory. Starsza siostra z uwagą przyglądała się młodej kobiecie, która zmierzała w kierunku Stefanii ze słowami przeprosin na ustach.

– Bardzo panią przepraszam. Sven nie ma w zwyczaju wpadać na przechodzące ulicą kobiety, ale dziś jest taki...

– Lena? – Głos Eleonory sprawił, że wszystkie głowy zwróciły się w jej stronę, a młoda kobieta przerwała w pół słowa. – Lena von Goch, nieprawdaż?

– Eleonora?! – wykrzyknęła tamta. – Cóż za spotkanie! – Mówiąc to, podeszła do starszej córki Schramma i objęła ją mocno. Chwilę później odsunęła ją na wyciągnięcie ramion i przyjrzała się jej uważnie. – Nic się nie zmieniłaś. Tak się cieszę. Co za niespodziewane, cudowne spotkanie. Sven, Tristan, let me introduce you my friend Eleonora. We met in France.

Dwaj młodzi mężczyźni podeszli do Eleonory.

– Sven von Arnin – przedstawił się blondyn, który chwilę wcześniej wpadł na Stefanię.

– Eleonora Schramm und meine Schwester Stefania. – Eleonora wołała posłużyć się niemieckim, chociaż i w tym języku nie czuła się zbyt swobodnie. Niemniej jednak dziękowała lekcjom, jakie kiedyś pobierała na stacji. Uśmiechnęła się przepraszająco.

– Kein problem, Frau Schramm. Ich komme aus Reich. – Uśmiech Svena rozluźnił nieco skępowaną dziewczynę.

– Tristan Borchardt.

Eleonora uściśnęła dłoń drugiego z mężczyzn.

– A to moja młodsza siostra Nora. – Lena wypchnęła dziewczynkę przed siebie, żeby i ona mogła się przywitać.

– Nora von Goch – odezwała się cichym, dość piskliwym głosem, łypiąc w stronę Stefanii, którą

jeszcze przed chwilą obejmował Sven.

– Szkoda, że spotkałyśmy się tak późno. – Jakies trzy godziny później, po długim, wolnym i bardzo przyjemnym spacerze po zazielenionych Plantach Lena żegnała się z Eleonorą. – Niestety jutro wracamy do Nieczujowa. Ojciec Tristana musi się udać do Berlina, a i wujek Michael wydzwaniania już do babci Róży, żeby przyspieszyć wyjazd Svena. Ale mam szczerą nadzieję, że teraz, kiedy przypadek zetknął nas ze sobą, znajdziemy czas, żeby spotkać się na dłużej. Zapraszam ciebie i twoją rodzinę do nas.

– Bardzo dziękuję za zaproszenie. W moim, Stefanii i moich rodziców imieniu. Może kiedyś skorzystamy, choć z różnych względów raczej później. Niemniej jednak nic nie stoi na przeszkodzie pisać do siebie.

– Obiecuję, że jeszcze będziesz miała dość moich listów. – Mówiąc to, Lena uściśnęła Eleonorę. Kwadrans później siostry Schramm patrzyły za oddalającą się czwórka.

– Usiądziemy? – zapytała Stefania, wskazując na sztyl Teatralnej. – Napiłabym się kawy i porozmawiała.

– Chodźmy. Aromatyczna kawa to zawsze doskonały pomysł. – Eleonora pchnęła drzwi kawiarni, w której od końca stycznia przesiadywało więcej gości niż do tej pory.

Stefania przypomniła sobie tamten zimowy wieczór. Siedziały z matką w salonie. Schrammowa jak zwykle pochylała się nad stolikiem, na którym rozłożyła tarota, układając go w krzyż celtycki. Stefania udawała, że czyta, choć tak po prawdzie myślała o ostatnich miesiącach. O tym, jak intensywne było jej życie. Jak wiele dobrego i złego jednocześnie się w nim wydarzyło. Wspominała pobyt w Wiedniu, który miał przynieść jej ukojenie, a zamiast tego tylko spotęgował żal i tęsknotę. Z premedytacją nie dopuszczała do siebie myśli o Mikołaju, co wcale nie było łatwe. Właśnie zamierzała wstać i udać się do siebie, kiedy do salonu wszedł ojciec z szerokim uśmiechem na twarzy.

– Nie uwierzycie, czego dziś byłem świadkiem. Po zebraniu naszego Komitetu do Zwalczenia Lichwy poszliśmy z szanownym mecenasem Kędziorą na kawę, żeby omówić kilka kwestii, które wydawały nam się zaledwie muśnięte podczas spotkania. Jedną z nich była sprawa braci Zieleniewskich. Nie przypuszczałem, że będą bojkotować nasze działania. Prędzej spodziewałbym się takich kroków po sobie, skoro jestem bankierem i na procentach zarabiam, ale nie po przedsiębiorcach pokroju Zieleniewskich. Ale nic to. – Odetchnął głęboko i wreszcie przysiadł na kanapie.

Tekla udawała zainteresowanie, ale Stefania zauważyła, że matka częściej wpatruje się w karty, niż patrzy na niezrażonego jej zachowaniem ojca.

– Siedzimy zatem przy stoliczku. Czekamy na kawę, a Kędziora także na coś mocniejszego... – Przy tych słowach Tekla groźnie spojrzała na Jana. – Ja zamówiłem tylko czarną jak smoła kawę. – Schramm poczuł się w obowiązku zapewnić żonę, że nie skusił się na procenty. – Siedzący przy pianinie muzyk, notabene Niemiec...

– Nie wiem, po co jeszcze się ich tu trzyma – przerwała ojcu Stefania, krzywiąc się gniewnie na jego słowa.

– Ja też nie wiem, ale z drugiej strony niektórzy mieszkają tu od dekad. To jakoś nie po ludzku, ba, nie po chrześcijańsku, wyrzucać kogoś z własnego domu. Ale pozwólcie dokończyć – powiedział, widząc, że Stefcia zamierza polemizować.

Nie miał bynajmniej ochoty o tak późnej porze wdawać się w polityczne dysputy; znał nastawienie córki do Niemców i Austriaków. Potrafił ją zrozumieć, ale na tego typu dywagacje musiał mieć nastrój. Zaczął ponownie swoją opowieść.

– Nagle pianista wstał, przerywając w pół taktu całkiem przyjemną partyturę, i zniknął w pomieszczeniach dla pracowników. Nie było go czas jakiś, powiedziałbym nawet, dłuższy. Co poniekąd goście lokalu, ci bardziej zabawowi – bo to i pora karnawałowa, więc ludzie chcą się oderwać od smutnej rzeczywistości – zaczęli żartować, że pewnie poszedł tam, gdzie król piechotą i bez korony chodzi. Mężczyzna zajmujący stolik obok nas już chciał zawołać pianistę, gdy ten pojawił się na sali przebrany w błazeński kostium. Miał świńską maskę z długim ryjem i białą-czerwoną koszulę. Podeszedł do pianina i zaczął bębnić w klawisze, wyśpiewując przy tym, po niemiecku, jakieś farmazony.

Część gości natychmiast opuściła lokal. Inni poczekali na przybycie policji, żeby nacieszyć oczy widokiem żartownisia wyrzucanego z Teatralnej. Właściciel, pan Wetstein, wyglądał, jakby miał się rozplakać. Przepraszał wszystkich bez końca. Niektórzy przyjęli przeprosiny, ale szybko okazało się, że to on sam stał za ową prowokacją.

Widać nie zaszkodziła ona interesom Wetsteina, pomyślała Stefania, przyglądając się teraz siostrze, która skupiła całą uwagę na menu z deserami.

– Może zamówimy po torcie Sachera? Albo po kawałku serniczka wiedeńskiego? – zapytała Eleonora, podnosząc oczy znad karty.

– Zamów dla siebie. Ja nie mam ochoty. – Stefania przerwała na chwilę. – A więc to o niej opowiadałaś swego czasu. To była Lena von Goch? – Chociaż ostatecznie słowa Stefania wypowiedziała w intonacji pytającej, Eleonora nie odpowiedziała. W końcu nie musiała.

– Smutne, że nie udało jej się spotkać z Roanem, zanim wyjechała w konwoju małych Curie – mówiła Eleonora jakiś czas po tym.

Zdażyła w przyjemnej, niekłopotliwej ciszy zjeść bardzo smaczny, delikatny serniczek. Sięgnęła po filiżankę wciąż ciepłej kawy. Wolała czarną, tak jak ojciec, w przeciwieństwie do Stefanii, która piła raczej mleko z kawą.

– Powiedziała, że jeszcze wsiadając do samochodu, wciąż miała silne przekonanie, że robi dobrze. Czuła coś do tego żołnierza, ale nie przypuszczała, że uczucie to nie jest słabe, ulotne i chwilowe, wywołane trudami wojny i ciężką sytuacją, która sprawiła, że łatwiej było się zakochać. Szybko zrozumiała, że popełniła błąd, goniąc za przygodą, ale i tak było już za późno na powrót. I teraz czeka na zrządzenie losu. Na cud, można by powiedzieć. Że chłopak zacznie jej szukać i ją znajdzie. Marzenia... – Eleonora westchnęła. – Życie bywa niesprawiedliwe, nieprawdaż?

– Wiesz, dziś podjęłam ważną decyzję. Spotkanie ze Svenem i Tristanem czegoś mnie nauczyło. – Stefania nie odpowiedziała, a Eleonora nie zamierzała drażnić tematu; poddała się temu, który podsunęła siostra.

– A czegoż to?

– Że należy uczyć się języków. Gdyby nie ta mała trzpiotka, wpatrzona zresztą w von Arnina jak w obrazek, nie byłabym w stanie porozmawiać z panami. A szczególnie dobrze rozmawiało mi się z Tristanem. Zasypałam go gradem pytań o Egipt, a on z przyjemnością odpowiadał. I zapewniam: potrafi mówić tak, że czuję, jak rośnie we mnie nowa pasja. Kiedy byłam w Wiedniu, miałam raz jeden przyjemność obejrzeć wystawę skarbów pochodzących z egipskich wykopalisk. Szczególnie spodobała mi się biżuteria. – Stefania sięgnęła po swoją małą białą, ale niestety filiżanka była od dawna pusta. Z grymasem niezadowolenia dziewczyna postawiła ją na spodeczku. – Tristan opowiedział mi o odkryciu, jakiego dokonał jego ojciec. Piękno rzeźby egipskiej królowej potwierdził Sven, który miał przyjemność ją podziwiać. I ja chciałabym ją zobaczyć. Ponoć ma być eksponowana w muzeum w Berlinie. Kiedy udostępnią ją zwiedzającym, nic mnie nie powstrzyma przed podróżą, a do tego czasu zamierzam brać lekcje niemieckiego i angielskiego.

– Może i ja powinnam. Trudno nazwać znajomością języka moje próby porozumienia się po niemiecku. Co za wstyd! – Eleonora zaśmiała się na wspomnienie rumieńców, jakimi oblała się przy powitaniu z nowymi znajomymi.

Rozmawiały jeszcze chwilę. W końcu wyszły z kawiarni i wolno ruszyły do domu. Były zmęczone, ale zadowolone.

## Rozdział 6

– Sprawa Adama Troszewskiego! – Głośne wezwanie protokolanta sądowego odbiło się echem od ścian gmachu sądu okręgowego. – Sąd będzie rozpatrywał sprawę o sygnaturze N.K. 282/19.

Julian zerknął na mężczyznę, który trafił do niego zaraz po ponownym otwarciu kancelarii na ulicy Szlak 21. Na przygotowania nie było zbyt wiele czasu, ale hrabia Michałowski był pewny, że dzisiejszy wyrok będzie na korzyść jego klienta.

– Proszę wstać, sąd idzie!

Po tych słowach boczne drzwi otworzyły się na oścież i do sali, prawie zresztą pustej, ponieważ tylko sprawy natury karnej lub politycznej wzbudzały zainteresowanie publiczności, upatrującej w nich igrzysk, najpierw wszedł przewodniczący, a za nim pojawili się trzej ławnicy oraz referent. Naprzeciwko Juliana i Troszewskiego, za stolikiem równie niewielkim jak ten Michałowskiego, stał teraz prokurator Karol Morawski. Z krzywym uśmiechem na ustach skinął Michałowskiemu głową. Obaj panowie mieli już kiedyś przyjemność stanąć naprzeciw siebie.

Ciekawe, czy i tym razem Temida stanie po mojej stronie, pomyślał Julian, zajmując swoje miejsce.

– Sąd w osobach przewodniczącego Stanisława Srzednickiego oraz ławników Ignacego Balińskiego, Rafała Leżańskiego oraz Wiesława Orskiego, pełniącego funkcję referenta, zapoznał się ze sprawą Adama Troszewskiego, oskarżonego z art. 1 dekretu o walce z lichwą wojenną. Celem rozprawy było rozstrzygnięcie sporu o właściwość między sądem cywilnym a wojskowym, który to sąd wojskowy reprezentował prokurator Karol Morawski. Proszę zatem oskarżonego o powstanie. Sąd odczyta wyrok wraz z uzasadnieniem.

Troszewski zerknął na Juliana, który uspokajająco, prawie nieznaczenie, skinął mu głową, dodając tym otuchy.

– Dnia trzynastego stycznia 1919 roku Sąd Powiatowy w Bochni przesłał do Sądu Okręgowego w Krakowie wniosek o zarządzenie rozprawy głównej przeciwko mieszkańcowi gminy Bochnia, Adamowi Troszewskiemu, oskarżonemu z art. 1 dekretu z dnia piątego grudnia 1918 roku w przedmiocie lichwy wojennej. Przypominamy, że w międzyczasie Troszewski został powołany do wojska i wcielony do artylerii konnej w Krakowie. Po ustaleniu okoliczności sąd powiatowy przekazał sprawę właściwemu sądowi wojskowemu. Prokurator wojskowy zarządził przeciwko oskarżonemu śledztwo sądowe, w wyniku którego ustalono, że Troszewski w chwili popełnienia przestępstwa był osobą cywilną. W myśl paragrafu 139 U.W.P.K. sąd zdecydował odstąpić akta Sądowi Powiatowemu w Bochni, który mocą decyzji z dnia siódmego stycznia 1919 postanowił przedstawić sprawę sądowi okręgowemu celem rozstrzygnięcia wynikłego sporu co do właściwości.

Przewodniczący zawiesił głos, rozejrzał się po sali, żeby upewnić się, że wszyscy zwracają na niego szczególną uwagę, po czym zaczął mówić dalej.

– Oskarżony Adam Troszewski jako żołnierz zarejestrowany w Krakowie podpada pod przepisy procedury wojskowej karnej, jednakowoż w myśl paragrafu 12 żołnierz za czyny popełnione przed wstąpieniem do wojska odpowiada przed sądem cywilnym, a Adam Troszewski oskarżony jest o czyny wynikłe przed wcieleniem do wojska, wobec tego sprawa Troszewskiego ulega sądowi jurysdykcji cywilnej.

Po słowach przewodniczącego Adam Troszewski odetchnął z wyraźną ulgą i oderwawszy na chwilę wzrok od sędziego, bezgłośnie podziękował Julianowi za obronę. Tymczasem głos Stanisława Srzednickiego nadal rozbrzmiewał w sali.

– Sąd Okręgowy w Krakowie na mocy ustawy b art. 3 dekretu z dnia ósmego lutego 1919 roku w przedmiocie ustroju Sądu Najwyższego decyzję Sądu Powiatowego w Bochni z dnia siódmego stycznia 1919 roku uchyla i sprawę temuż Sądowi Powiatowemu przekazuje.

Jakieś pół godziny później Julian Michałowski, który tego ciepłego majowego dnia postanowił stawić się w sądzie, korzystając z komunikacji miejskiej, wysłuchawszy raz jeszcze szczerych

podziękowań swego klienta, żwawym krokiem zmierzał w stronę Ogrodu Botanicznego Uniwersytetu Jagiellońskiego. Zastanawiał się, czy powinien ruszyć prosto Kopernika, przeciąć Rynek, potem Stary Kleparz i dalej iść na ulicę Szlak, czy może od razu skręcić w Kolejową i obejść Rynek. Zerknął na zegarek. Wszystko zależało od tego, ile zostało mu jeszcze czasu do spotkania z Rozalią – umówili się na dziś około piętnastej. Dochodziła trzynasta, mógł więc pozwolić sobie na nadłożenie drogi i ominięcie jak zwykle ruchliwego Starego Miasta. Skręcił zatem w Kolejową i zwolnił nieco kroku.

\*\*\*

Rozalia zerknęła na zegarek. Czas biegł tak szybko. Wydawało jej się, że hejnał dopiero przed chwilą skończył rozbrzmiewać nad głowami mieszkańców i coraz liczniej odwiedzających miasto turystów, których poznawała po spokojnym, spacerowym kroku, zadartej głowie, a czasami i okrzykach zachwytu, a tymczasem wskazówki jej kieszonkowego zegarka zbliżyły się już do trzynastej. Miała jeszcze dwie godziny do spotkania z Julianem. Aż tyle czasu albo tylko tyle czasu, pomyślała i zerknęła w stronę Sukiennic.

Wprawdzie nie miała zamiaru niczego kupować, ale mieć na wyciągnięcie ręki Fabrykę Bielizny Beyera, którą upodobała sobie już jakiś czas temu, i nie zajrzeć chociażby po to, aby nacieszyć oko – nie mogła sobie darować. A może, przeszło jej przez myśl, właśnie tam znajdę katalogi, których szukam.

Wyroby składu Beyera i spółki rozłożone były na stanowiskach 12, 13 i 14. Jak zawsze najwięcej pań kłębiło się przy bieliźnie damskiej, chociaż niewiele mniejszy tłumek otaczał stoisko z bielizną dla dzieci. Rozalia, która także chętnie rzuciłaby okiem na sprowadzane ponoć z Paryża halki i koszule nocne, stanęła jednak przy wystawie wybornych koronkowych parasoli. Chociaż panie nie kupowały ich już tak chętnie jak jeszcze przed wojną, parasole nadal cieszyły się powodzeniem, a te od Beyera miały szczególny urok.

– Życzy sobie pani zobaczyć którąś z nich? – Młoda dziewczyna podeszła do Rozalii, widząc jej zainteresowanie parasolkami. – Maj mamy wyjątkowo słoneczny i ciepły. Mam nadzieję, że kolejne letnie miesiące też takie będą. Parasol, zwłaszcza tak piękny, z tak misterną koronką, nie tylko będzie przydatny, ale będzie także stanowić wspaniałą ozdobę. Proszę tylko zerknąć. – Z tymi słowami podała Rozalii jeden z nich, w kolorze écru, z ciemną drewnianą rączką. – Czyż nie jest piękny? I jak świetnie leży w dłoni.

Na stoisku Beyera Rozalia spędziła znacznie więcej czasu, niż zamierzała. Kiedy opuszczała Sukiennice, miała nie tylko nowy parasol chroniący przed słońcem, ale także dwie jedwabne halki wykończone ręcznie dzierganą koronką i jedną bawełnianą nocną koszulę z koronkową wstawką w okolicach biustu. Niestety żurnali z modą damską nie dostała.

Była już na Batorego, kiedy z bramy kamienicy pod 20 wyszła młoda kobieta. Jej sylwetka wydała się znajoma, ale nie od razu Rozalia rozpoznała w dziewczynie Eleonorę. Po chwili, widząc jej profil, zdecydowała się zawołać:

– Eleonora?! Eleonora! – powtórzyła głośniejsz, ponieważ ruch uliczny rozmywał jej głos. Dopiero za drugim razem starsza córka Schramma przystanęła i odwróciła się w stronę, z której dochodziło nawoływanie.

– Rozalia? Cóż za spotkanie! – Eleonora uściśnęła siostrę Juliana, kiedy ta stanęła koło niej. Córka Michałowskich oddała uścisk.

– Co ty tutaj robisz?

– Od rana spaceruję po mieście. Zachodzę to tu, to tam. Za godzinę mam spotkanie z Julianem.

Eleonora skinęła lekko głową na dźwięk jego imienia. W jej oczach Rozalia dostrzegła coś na kształt tęsknoty.

– Jakiś czas temu wrócił do zawodu. Znowu praktykuje. Wynajął mieszkanie i kancelarię po Edmundzie. Mieszka na ulicy Szlak 21. A ciebie co sprowadza w te strony? – Rozalia zerknęła na fasadę kamienicy za plecami Eleonory, szukając wskazówki. Nie spodziewała się, że Eleonora zacznie wypytywać ją o Juliana. Ona zaś nie zamierzała pytać o Dawida.

– Pracuję, ale to długa historia – odparła Schrammówna. – Skończyłam nieco wcześniej, zazwyczaj siedzę do późnego popołudnia. Dziś jednak Stefania chciała się ze mną spotkać. Koniecznie. Idę właśnie na Basztową, do składu Paully. Musisz wiedzieć, że Stefcia od niedawna chodzi na kursy oraz korepetycje z rysunku i malarstwa. – Nagle zamilkła ze smutną, zawiedzioną miną. – Jaka szkoda, że spieszysz się na spotkanie z Julianem. Tak dawno się nie widziałyśmy. Chętnie porozmawiałabym dłużej. A i Stefania z pewnością ucieszyłaby się z tego niespodziewanego spotkania.

– Zajdźmy na Garbarską, do urzędu pocztowego. – Rozalia wyglądała na zdecydowaną. – Poślę do Juliana ekspresa z informacją, że spóźnię się czas jakiś. Wiem, że nigdzie się już dziś po południu nie wybiera, więc nie zrobię mu żadnego kłopotu, a okazji do rozmowy z tobą i Stefanią nie przepuszczę.

Jakiś czas później, po radosnym powitaniu Rozalii ze Stefanią, którą panny spotkały na schodach składu Paully, gdzie Stefania nabywała artykuły malarskie, dziewczęta usiadły przy stoliku w kawiarni Teatralnej na Szpitalnej.

– Ostatnio często tu zachodzę. Na Szpitalną, nie do kawiarni – wyjaśniła Eleonora. – Niedawno odkryłam tutejsze antykwariaty. Najwięcej perełek znalazłam u Himmelblauów, ale i Seidenowie mają ogromny wybór.

W międzyczasie podszedł kelner, żeby przyjąć zamówienie na trzy kawy, jedną z dużą ilością mleka.

– Wstyd się przyznać, ale dopiero na kursie dowiedziałam się, że w kamienicy Lamellich znajduje się polichromia z XV wieku. Ponoć przepiękna, o tematyce sakralnej. Niestety nie mogę potwierdzić tej opinii, ponieważ wciąż nie nadrobiłam zaległości i nie zajrzałam tam, żeby się o tym przekonać. Może dziś, kiedy będziemy z Norcią wracać do domu, wejdziemy wreszcie do środka. – Stefania uśmiechnęła się szeroko.

Od czasu, kiedy zaczęła malować, czuła się radośniejsza, szczęśliwsza.

– Miło widzieć cię znowu tak radosną – zauważyła Rozalia.

– Kiedy maluję, nie mam czasu na myślenie o smutkach. Już podczas pobytu w Wiedniu Frau Goldbaum zasugerowała, że powinnam zacząć malować. Powiedziała, że mam talent. Nie brałam tego wówczas na poważnie, ale najwyraźniej podświadomie wzięłam jej sugestie do serca, ponieważ w każdej wolnej chwili wypełniałam notatnik szkicami. Kiedy więc w „Ikacu” zobaczyłam ogłoszenie o kursach wyższych Baranieckiego, postanowiłam dołączyć, chociaż nie obyło się bez przeszkód. Kurs trwał już bowiem od jakiegoś czasu, ale byłam nieugięta. Prowadzący, pan Rostafiński, widząc moją determinację, zgodził się nagiąć swoje zasady i przyjąć mnie do grupy, o ile opłacę także te miesiące, w które nie uczęszczałam na zajęcia. I tak stałam się częścią Baraneum.

– Pieniądz czyni cuda – podsumowała Eleonora.

– Ale to nie wszystko. Poprosiłam dziś Eleonorę o to spotkanie, ponieważ chciałam podzielić się z nią pewną informacją, a z pewnych względów wolałam tego nie robić w domu. – Stefania zerknęła na siostrę, szukając w jej oczach zrozumienia.

Tekla Schramm, chociaż zmieniła się znacząco, wciąż jeszcze nie miała dobrego zdania o studiujących pannach.

– Chciałabym na jesieni zacząć studia. Jeżeli wytrwam w postanowieniu, a mam nadzieję, że tak się stanie, już w październiku będę studentką Akademii Sztuk Pięknych. – Stefania uprzedziła pytania. – Wszystkiego zdążyłam się wywiedzieć. Dokumenty powinnam złożyć jak najwcześniej, ponieważ wolnych miejsc dla kobiet jest tylko kilkanaście. Mam nadzieję, że jeżeli zostanę przyjęta, przydzielą mnie do pracowni profesora Mehoffera.

– Gratuluję. – Rozalia wyciągnęła dłoń w stronę Stefanii, a ta uściśnęła ją pewnie. – Ja też chciałabym się z wami czymś podzielić. Jakiś czas temu myszkowałam na strychu u nas w domu. Znalazłam tam maszynę do pisania. Wiem, że to czyste wariactwo, ale postanowiłam zacząć pisać.

Eleonora uniosła brew.

– Pisać?

– Tak, pisać. Na razie tylko dla siebie. Pamiętnik, chociaż głowę mam pełną pomysłów. Chciałabym napisać powieść. Może nie będę Orzeszkową czy Konopnicką. Ba, na pewno nie będę, ale



chciałabym spróbować. Najwyżej spalę wszystko w kominku, co zapewne się wydarzy. Tak czy inaczej, jakiś pożytek z tego będzie. – Po tych słowach dziewczęta roześmiały się głośno, sprawiając, że kilka głów odwróciło się w ich stronę.

– A więc wszystkie robimy albo będziemy robiły rzeczy, które z różnych powodów wymagają pewnej odwagi i determinacji. – Eleonora uśmiechnęła się tajemniczo. – Spotkałaś mnie na Batorego, Rozalio, ponieważ od jakiegoś czasu pracuję u doktora Kurkiewicza, który...

– Nie tak głośno – syknęła Stefania, przerywając siostrze.

– Nie bądź niemądra – ofuknęła ją Eleonora. – Nie zamierzam chować głowy w piasek. Może i doktor Kurkiewicz wzbudza niezdrowe emocje, a raczej jego badania je wzbudzają, ale ja pracuję uczciwie, przepisując jego notatki. Na razie.

– Czy mówimy o tym Kurkiewiczu? – zapytała Rozalia. Eleonora skinęła głową.

– Tak, mówimy o doktorze Kurkiewiczu. Proszę, nie wypytujcie mnie o jego sposoby leczenia i praktykę. Tylko raz jeden byłam w gabinecie, gdzie w poczekalni widziałam kilka czekających pań. Pomagam doktorowi przepisywać jego odręczne zapiski. Doktor Kurkiewicz pracuje nad wspomnieniami.

– Nie pojmuję, jak do niego trafiłaś! Przecież musiałaś słyszeć niejedno. Mówi się o nim, że jest zawodowym podglądaczem. A to i tak najłagodniejsze z krążących określeń.

– A ja słyszałam... – Stefania włączyła się do rozmowy – oczywiście nie osobiście i tylko przez przypadek, jak ciotka Leokadia mówiła swego czasu mamie, że Kurkiewicz zachęca kilkunastoletnie dziewczęta, żeby przychodziły do niego i swobodnie opowiadały o swoich marzeniach. Mają się przy tym nie krępować. Pokazała mamie nawet zaproszenie, jakie Kurkiewicz wystosował do kobiet, nazywając je w swojej odezwie śledczyniami życia płciowego. – Stefania ściszyła głos do szeptu. – Zachęcał kobiety, aby pokusiły się o poznanie duszy płciowej u mężczyzny. Ciotka nadmieniła jeszcze, że doktora strasznie interesują najróżniejsze grzechy płciowe, ich częstość, a także podstępność w ich popełnianiu. Matka była zbulwersowana. – Zwracając się do Eleonory, zapytała konspiracyjnie: – Czy tylko mi się zdaje, że matka nie wie, gdzie pracujesz? Bo zapewne dostałaby palpitanie albo hysterii. Albo i jednego, i drugiego.

– A ty oczywiście nie podsłuchiwałaś, tylko całą rozmowę usłyszałaś mimochodem, kiedy przez kwadrans zdejmowałaś płaszcz, nieprawdaż? – Eleonora spytała kąśliwie, ale Stefcia mrugnęła do niej zawiadaczająco, zmuszając ją do uśmiechu.

– Jak to się w ogóle stało, że trafiłaś akurat do niego? – dociekała Rozalia.

– To czysty przypadek. Byłam na św. Filipa. Chciałam tam wrócić do pracy, ale o dziwo mają pełną obsadę. Kiedy już wychodziłam, spotkałam koleżankę ze szkoły panny Epstein. Zaczęłyśmy rozmawiać i tak od słowa do słowa dowiedziałam się, że doktor Kurkiewicz poszukuje asystentki, która pomogłaby mu w spisaniu wspomnień. Wahałam się, ponieważ tak jak wy słyszałam o nim różne, najczęściej niepoehlebne plotki. W końcu jednak stwierdziłam, że będąc pielęgniarką na froncie, naoglądałam się i nasłuchałam gorszych rzeczy niż tych związanych z ludzką płciowością. Nie czas na fałszywy wstyd. I hipokryzję, prawda? – Wypowiadając ostatnie słowa, Eleonora zmierzyła wzrokiem Rozalię i Stefanię. Ta ostatnia, o dziwo, lekko się zarumieniła.

– Proponuję, abyśmy wzniosły toast za zmiany w naszym życiu. – Stefania skinęła na kelnera, zamawiając u niego trzy małe wódki.

– Za odwagę. – Eleonora wzniosła kieliszek.

– Za odwagę – zawtórowały jej Rozalia i Stefania.

## Rozdział 7

Jan zamknął oczy. Palce zacisnął na różańcu, który wuj włożył mu do kieszeni płaszcza, kiedy wśród setek innych ludzi żegnali się na krakowskich Oleandrach. Nie przejmował się, że ktoś mógłby go zobaczyć pogrążonego w modlitwie. Był pewny, że inni żołnierze, siedzący w niewielkiej odległości od niego, wsłuchujący się w każdy najdrobniejszy szmer, także proszą o wstawiennictwo za swoje życie i zdrowie. Rankiem mieli przypuścić szturm na niemieckie oddziały. Marzył, aby wreszcie nastał świt. Chłód, jaki panował w nocy, chociaż był dopiero koniec sierpnia, przejmował go do szpiku kości. Mógł, tak jak jego towarzysze, sięść w grupie, oprzeć się o kogoś, skraść w ten sposób nieco ciepła, ale od dziecka wołał być sam. Nie przepadał za ludźmi i nie szukał ich towarzystwa. W zasadzie nie miał przyjaciół poza Mikołajem Grabowskim, synem aptekarza, którego poznał zaraz po tym, jak po śmierci rodziców zamieszkał u wuja w Krakowie, na Podgórzu. Żałował, że Mikołaja nie było przy nim, ale najwidoczniej los chciał, aby zostali rozdzieleni. Zastanawiał się, dokąd rzucono młodego Grabowskiego.

– Czekać w gotowości – ktoś szepnął mu do ucha, przechodząc koło niego prawie bezszelestnie.

Zamknął oczy. Zawsze modlił się z zamkniętymi oczami. Dał się ponieść emocjom. Nie wiedział, czy prosił o łaskę kilka, czy kilkanaście chwil, ale kiedy uniósł powieki, świat wokół niego spowijała falująca na wietrze mgła. Zerknął w prawo. Zobaczył niewyraźny zarys towarzyszy, którzy stali wyprostowani z bronią gotową do ataku. Poszedł za ich przykładem. Spojrzał na wprost. W stronę ich pozycji maszerowały pewnie tysiące Niemców. W ciszy, jaka panowała na ich stanowiskach, słyszał szcęk niemieckiej broni oraz skrzypienie skórzanych butów.

Nie przeżyjemy tego, pomyślał. Bez twojej pomocy, Panie, nie przeżyjemy do wschodu słońca.

Mgła zaczęła gęstnieć. Jan poruszył się niespokojnie. Nagle tuż przed nim wyrosła dziwna linia kształtów. Z początku niewyraźna, rozmyta, zniekształcona przez mgłę. Wyteżył wzrok. Nie mylił się: przy okopie stały otoczone błyszczącą, falującą poświatą postaci przypominające ludzi. Zerknął na swojego towarzysza. On też musiał to widzieć. Spojrzał na prawo i lewo. Wydawało się, że ci dziwni ludzie sięgają do kołczanów po pierzaste strzały. Zaczęli naciągać łuki. Z oddali dobiegał szum pochodu niemieckich żołnierzy, którzy z bojowym okrzykiem ruszyli do ataku. W chwili, kiedy niemieckie gardła rozdarły się w krzyku zachęcającym do wspięcia się na wyżyny męstwa, niebo zrobiło się czarne od wypuszczonych z łuków strzał.

Jan zadarł głowę, śledząc ich lot. Krzyki zaskoczenia, a potem bólu przywróciły go do rzeczywistości. Pragnął zerwać się do biegu, żeby z zaskoczenia zaatakować wroga. Szarpał się, rzucał, ale jakaś dziwna siła trzymała go w miejscu. Z jego gardła wydostał się niemy, bezsilny krzyk.

W topniejącej mgłę zobaczył padających pod naporem strzał Niemców. Wreszcie poczuł, że trzymająca go siła zniknęła. Mógł ruszyć rękami i nogami. Zaprażył się przed siebie, żeby zadać nieprzyjacielowi ostateczny cios, ale jego ramiona znowu stały się ciężkie.

– Janku. Janku! – Usłyszał wołający go z oddali głos.

– Jan! – Głośne wołanie pojawiło się tuż przy uchu.

Ktoś szarpał go za ramię. Wreszcie Jan otworzył oczy, spojrział w zaniepokojoną twarz wuja.

– Nareszcie. Od dobrych pięciu minut próbuję cię obudzić.

– Znowu miałem ten sen. – Jan dotknął czoła. Jak zwykle było zroszone potem.

Dionizy Matula nie potrafił ukryć powątpiewania, jakie malowało się na jego twarzy i w mądrych, przyjaznych bratankowi oczach. Nie miał powodów, aby nie wierzyć chłopakowi, ale był człowiekiem twardo stąpającym po ziemi i opowieść, którą Jan uraczył go, kiedy kilka miesięcy temu mężczyzna po raz pierwszy wybudził go z koszmaru, wydawała mu się zbyt magiczna, aby być prawdziwą.

Jan podniósł się z łóżka.

– Wiem, co widziałem.

Chociaż od jego powrotu minęło już kilka miesięcy, nadal dochodził do siebie. Przyjechał pod

koniec marca pociągiem, który wraz z nim przywiózł z ziemi włoskiej jeszcze ponad dwie setki takich jak on, żołnierzy wziętych do niewoli. Wśród chorych, rannych i kalek niewielu było tylko zabiedzonych, zagłodzonych, wychudzonych.

Trafił do obozu na kilkanaście miesięcy przed zakończeniem wojny. Niedługo po tym nakazano ewakuację jeńców. Przepędzono ich setki kilometrów. Szli ponad dwa tygodnie. Najgorsze były dzikie i wyludnione albańskie tereny oraz zimne i odstrasające góry, ale nie było mowy o postojach. Musieli dotrzeć do Włoch. W końcu po długim, wyniszczającym marszu, którego wielu jego towarzyszy nie przeżyło, zostali przewiezieni na maleńką wysepkę nieopodal Sardynii, której nazwy nie pamiętał. Trafił do szpitala, ale pobyt tam nie przyniósł ukojenia. Brakowało wszystkiego. Jedzenia, lekarstw, bielizny, opieki medycznej. Kiedy poczuł się lepiej, wraz z innymi organizował wyprawy do pobliskich wsi. Kradli i rabowali. Byli głodni, a przez to niebezpieczni. Podczas jednej z takich wypraw został poważnie ranny. Do dziś zastanawiał się, dlaczego przeżył, chociaż nie miał prawa wyjść z tego cało. A jednak po wielu miesiącach, podczas których leżał w malignie, a ksiądz kilka razy zaglądał do niego z ostatnim namaszczeniem, rany się zagoiły. To wtedy zaczął nawiedzać go sen o aniołach z pola bitwy. Widział ich wyraźniej niż wtedy, w ten zimny sierpniowy poranek pod Mons.

– Wiem, co widziałem – powtórzył, ubierając się wolno.

Wszystko robił jeszcze powoli. Szybkie ruchy męczyły go i osłabiały. Wciąż był chudy. Zbyt szczupły jak na swój wzrost. Wuj troszczył się o niego najlepiej, jak mógł, a ponieważ był zamożnym aptekarzem, na stole w okazałej willi pojawiały się frykasy, na które niewielu mogło sobie pozwolić i do których niewielu miało dostęp.

– Jadę do miasta w interesach. Czekam na medykamenty, które zamówiłem z Warszawy – odezwał się Matula. – Dzień zapowiada się pięknie. Może miałbyś ochotę wybrać się ze mną?

Jan zerknął przez okno swojej sypialni, które wychodziło na wspaniały ogród znajdujący się na tyłach willi przy Parkowej \*\*\*. Wuj miał rację. Czerwiec tego roku był zachwycający. Ciepły, ale nie nazbyt upalny. Lekki wietrzyk dodatkowo przynosił ukojenie, a padające od czasu do czasu deszcze były miłą niespodzianką podczas spacerów, jakim oddawali się mieszkańcy miasta, wciąż upajający się słonecznym ciepłem po długotrwałej i mroźnej zimie, tym bardziej uciążliwej z powodu braku opału.

\*\*\*

– Będę na wuja czekał w kościele. – Jan ruchem głowy wskazał na bazylikę Mariacką, w której nie był już od wielu lat.

Prawdę powiedziawszy, od kilku lat nie był w ogóle na Rynku. Miał ochotę zajrzeć do Sukiennic. Pamiętał, że jego matka bardzo lubiła tam przychodzić. Spacerowała powoli pośród kramów, zachwalając wystawione wyroby. Czasami przychodziła tylko po to, żeby obejrzeć, czym akurat handlowano. Niczego nie kupowała, jedynie oglądała, komentowała, rozmawiała, ale bywały dni, w które przychodziła na poważne zakupy. Uszczęśliwiały ją one jak każdą kobietę, z czego jego ojciec zawsze się naigrawał.

– Bardzo łatwo was uszczęśliwić. Wystarczy nieco pieniędzy i mnóstwo czasu, a zapominacie o całym świecie.

– Zapomniałybyśmy o całym świecie, gdybyście dali nam mnóstwo pieniędzy i jeszcze więcej czasu – odgryzała się jego matka.

Ale ani ojca, ani matki już z nim nie było. Byli tylko on i wuj Dionizy, który przyglądał mu się z troską.

– Niech wuj idzie i się nie martwi. Dam sobie radę. Byłem na wojnie, to i Sukiennice mi niestraszne.

– Nie wiesz, o czym mówisz, synu. – Matula zaśmiał się i klepiąc Jana delikatnie po ramieniu, ruszył w swoją stronę.

Przez jakiś czas Jan chodził bez celu, nie zatrzymując się przy żadnym ze stoisk. Stał dopiero, gdy zauważył kram Józefa Schnorrera, przy którym jego matka zawsze się zatrzymywała, choćby tylko

po to, aby zamienić z właścicielem albo jego żoną kilka słów. Jak zwykle przy stołach żydowskiego kupca kłębił się tłumek ludzi. Kobiety zaglądały sobie przez ramiona, sięgały po kolorowe chusty i szale, przykładały je do szyi, sprawdzały miękkość tkanin, zachwycały się kolorami i wzorami. Było gwarno i tłoczno. Wśród przekomarzających się Jan zauważył dwóch żołnierzy, którym towarzyszyło kilka wystrojonych kobiet. Jeden z nich trzymał w dłoni dużą kolorową chustę. Jan szedł wolno, przyglądając się tej uroczej scenie. Młodzieniec musiał zapytać towarzyszkę, czy chusta jej się podoba, ponieważ ta uśmiechnęła się szeroko i radośnie skinęła głową. Żołnierz zagadnął kupca, który podszedł do nich, skończywszy wcześniejszą transakcję.

Z powodu tłumu zebranego wokół kramu Schnorrera Jan zrezygnował z podejścia. W końcu i tak nie zamierzał niczego kupować. Chciał tylko zerknąć na wystawione towary i sprawdzić, czy jest tam coś, co mogłoby spodobać się jego matce.

Podniesione głosy zatrzymały go przy wyjściu. Mimowolnie uniósł głowę, żeby sprawdzić, czy legendarny nóż, którego historię opowiedział mu ojciec, wciąż tam wisi. Wróciło żywe wspomnienie ojcowskiego głosu.

„Spójrz” – mówił. „Widzisz ten nóż?” Chłopiec skinął głową i z lekko otwartymi z zachwytu ustami zerknął na pochylonego nad nim ojca. Czekał na swego brata, Dionizego, Adam Matula oprowadzał syna po Sukiennicach. „Jak głosi legenda – opowiadał dalej – za czasów Bolesława Wstydliwego do stojącego już gmachu kościoła Mariackiego postanowiono dobudować dwie wieże. Prace zlecono dwóm zdolnym braciom, architektom. Starszy miał wznieść wieżę południową, a młodszy północną”. Matula przerwał na chwilę. Wziął syna za rękę i ruszył w stronę kościoła. Stał tak, aby Jan widział obie wieże. „Na początku obaj szli ramię w ramię, ale z czasem wieża starszego zaczęła piąć się wyżej i wyżej. W młodszym z braci zaczęło kiełkować zatruwające umysł ziarno zazdrości. W końcu złość wzięła górę i młodszy z budowniczych tym właśnie nożem, który dziś wisi w Sukiennicach, zabił swego brata, zatapiając ostrze w jego sercu. Wspomnienie jego oczu w chwili śmierci, oczu wyrażających zawód, miłość, ale i wybaczenie, gryzło młodego architekta każdego dnia. W końcu skoczył z wyższej wieży i zginął na miejscu”.

Mały Jan zerknął za siebie. „Czy on wisi tam ku przestrodze?” – spytał. Silny wiatr, który zerwał się w tamtej chwili, poruszył złowieszczo dyndającym nożem. Chłopiec otrząsnął się niczym pies wybiegający z wody, symbolicznie zrzucając z ramion uczucie śmiertelnego zimna. Ojciec skinął głową na potwierdzenie.

Nawet dziś, po tylu latach, widok noża wzbudzał w Janie dziwny niepokój, choć tym razem uczucie nie zdążyło się pojawić, ponieważ do uszu Matuli doszły wzmagające się odgłosy kłótni. Spojrzawszy w stronę kramów, zorientował się, że przy stołach Schnorrera doszło do regularnej szarpaniny. Żołnierz, który jeszcze przed chwilą z uśmiechem na ustach zamierzał kupić towarzyszkę chustę, pomiatał kupcem, wyzywając go od żydowskich złodziei i kłamców.

– Ludzie! Ludzie! Pomocy! – Żona Schnorrera na próżno zwracała się do kupujących, którzy ze stoickim spokojem przyglądali się przepychance. – Proszę, błagam, panowie, zostawcie mojego męża!

Starła się strzepnąć ręce żołnierza, który z całej siły potrząsał właścicielem kramu. Młody mężczyzna pchnął ją z taką siłą, że upadając, przewrócił jeden ze stołów. Starając się podnieść, błagała o litość.

– Na Boga! Nie bijcie go! – Płaczliwy krzyk kobiety przebijał się przez coraz głośniejsze okrzyki zagrzewające do sprzeczeki.

– Bijcie Żyda! – krzyknął ktoś z tłumu.

– Wszystko ich wina! – dorzucił ktoś inny.

Jan szedł wolniej, niż zamierzał. Chciał pomóc Schnorrerowi, ale wciąż był zbyt osłabiony. W tym czasie wyminęło go kilku podrostków. Najwyraźniej zwęszyli okazję do wszczęcia bezkarnej burdy. Z krzywym uśmiechem na ustach ruszyli na żydowskie kramy, zrzucali towary i deptali je z radością, ku ogólnemu zadowoleniu zebranych. Jan westchnął głęboko. Nie był w stanie nic zdziałać. Nie był tchórzem, ale wolał się wycofać. Jedyne, na co mógł liczyć, to sponiewieranie

i obrzucenie obelgami. Tu potrzebna była pomoc służb porządkowych, które zamierzał powiadomić. Wyszedł na zewnątrz, ale musiał się zatrzymać, ponieważ jasno świecące słońce oślepiło go i świat stał się na kilka sekund czarną plamą.

Przyłożył dłoń do zamkniętych oczu. Powoli podnosił powieki. Przyzwyczajają się do słonecznej żółci, która zalewała krakowski Rynek. Wreszcie mógł otworzyć oczy. Jego wzrok napotkał spojrzenie młodej dziewczyny taszczącej pod pachą ogromną teczkę, która w porównaniu z filigranową figurą nieznanym wyglądała prawie groteskowo.

Trwali tak przez jakiś czas. Wpatrzni w siebie. Nie poruszając się. Wreszcie dziewczyna wzruszyła ramionami, jakby zbywając to dziwne zajście obojętnością, i odeszła w stronę Starowiślniej. Jan śledził wzrokiem jej sylwetkę, dopóki nie zniknęła wśród przechodniów.

Ruszył przed siebie, szukając wzrokiem strażników. W końcu, spełniwszy swój obowiązek powiadomienia służb o zamieszkach, na czas oczekiwania na wuja zaszył się w bazylice Mariackiej. Lubił tu przesiadywać. Zawsze wydawało mu się, że kościelne mury przesiąknięte są swoistą duchowością, której próżno szukać gdzie indziej. Nie potrzebował tego, aby się pomodlić – akurat rozmowy z Bogiem najlepiej wychodziły mu na łonie natury – po prostu atmosfera sacrum przynosiła mu ukojenie. Czas płynął tu inaczej. Wolniej. Wskazówki zegara niespiesznie płynęły po cyferblacie. Jan nie liczył minut, kwadransów, a może i godzin. Siedział w jednej z ostatnich ławek z zamkniętymi oczami i wsłuchiwał się w odgłosy wypełniające wnętrze świątyni. Przyciszone, nieśmiałe rozmowy, powolne kroki, niespieszne przewracanie stron w skarbczykach, brzęk upuszczanych na tacę pieniędzy, jednostajny szmer modlitwy.

Przez jakiś czas pozwolił myślom dryfować. Pragnął oczyścić umysł, zwłaszcza po dzisiejszym śnie, który wciąż powracał, choć już nie tak często. Potem przypomniał sobie zdarzenie na Rynku. Pomyślał o dziewczynie z olbrzymią teczką. Zastanawiał się, co tam przechowywała. Gdzie się spieszyła? Poczul się dziwnie, kiedy ich spojrzenia się spotkały. Nie, to nie był niepokój czy zawstydzenie. Nie potrafił nazwać tego uczucia. Uśmiechnął się do własnych myśli.

– Podzielisz się ze starym wujem, cóż cię tak rozweseliło? – Dionizy Matula już jakiś czas temu przysiadł się do bratanka, nie przerywając jednak jego kontemplacji, przyglądał się mu z zaciekawieniem, które sięgnęło zenitu, kiedy Jan zaczął się uśmiechać.

– Jestem tu aż tak długo czy wuj załatwił wszystko tak szybko? – Jan odpowiedział pytaniem na pytanie, sprawnie wymigując się od odpowiedzi. Stary Matula nie drażył.

– Jesteś tu tak długo. – Mówiąc to, zerknął na zegarek. Dochodziła osiemnasta trzydzieści. – Czas do domu. Maryla pewnie czeka już z obiadem, albo raczej kolacją.

Akurat szli ku dorożkom, kiedy w kierunku odwachu policja prowadziła dwóch podejrzanie wyglądających typów. Jeden z nich nosił wojskowy mundur, na którym – podobnie jak na spodniach – pyszniły się plamy zakrzepłej krwi. Krwawe ślady miał też na twarzy oraz dłoniach.

– Ludzie! – krzyknął jakiś człowiek z tłumu, który zaczął się szybko zbierać wokół prowadzonych.

– Ludzie! – Głos tego samego mężczyzny, donośny i wyraźny, przebił się po raz kolejny przez panujący gwar, dolatując aż do wsiadającego do dorożki Jana. – Jak możecie na to spokojnie patrzeć?! Na krew niewinnego! Na krew hallerczyka!

Inni przestali rozmawiać. Zaczęli pokazywać palcem rannego.

– To sprawka Żydów! – krzyknął ktoś inny. – Mordują naszych żołnierzy!

– To Żydzi! Żydzi mają jego krew na rękach! – Podchwycił jeszcze ktoś.

W powietrzu unosiły się podekscytowane głosy. Nagle na Rynku zakłębiło się od wrogo nastawionego tłumu. Jan zerkał przez ramię. Dionizy Matula tylko kiwał głową. Już kiedyś doszło do podobnych incydentów. Przeczucia go nie myliły. Zamieszki, których iskra zapłonęła przed południem w Sukiennicach, trwały przez kolejnych kilka dni i rozlały się po całym mieście.

– Nie uwierzysz – powiedział Matula, kiedy dwa dni później wrócił do domu z miasta. – Wśród podżegaczy i krzykaczy są też członkowie Błękitnej Armii. Plądrują sklepy na Kazimierzu. Ponoć wdzierają się nawet do mieszkań i biją domowników. Słyszałem, że władze miasta mają jutro wysłać

na ulice szwadron kawalerii oraz kompanię piechoty, żeby nie dopuścić do eskalacji rozruchów.

Jan słuchał z uwagą. Uśmiechnął się, kiedy zdał sobie sprawę, że pierwszym, co przyszło mu na myśl, nie było bezpieczeństwo i spokój krakowiaków, ale dziewczyna z teczką.

## Rozdział 8

Julian zerknął na zegarek, a potem zajrzał do podręcznego kalendarza, w którym zapisywał spotkania i terminy rozpraw oraz wszelkiej maści wizyty, w tym najbliższą u doktora Abła Rosnera. W tym momencie do jego kancelarii wkroczyła Rozalia.

– Czyżbym przeoczył jakieś spotkanie?

Wstał, żeby przywitać się z siostrą. Przy okazji przyjrzał się jej dokładnie, bowiem gdy ostatnio się widzieli, jej długie, opadające na plecy włosy zebrane były w kok, do którego zdążył zresztą przywyknąć. Teraz jasne pasma Rozalii, ułożone w delikatne, misterne fale, sięgały zaledwie połowy smukłej szyi.

Przez myśl przemknęło mu pytanie, kiedy jego siostra zmieniła się z łagodnej, zamkniętej w sobie dziewczyny w pewną siebie kobietę.

– Nie, nie przegapiłeś. Nie przyszłam składać ci towarzyskie wizyty, tylko zasięgnąć porady. W końcu jesteś prawnikiem.

– Usiądź. – Wskazał Rozalii krzesło stojące przy dużym biurku, a sam zajął swoje, po drugiej stronie. – Postaram się pomóc.

– Skoro już wiesz, jak wygląda moje małżeństwo, nie mam powodu nakreślać całej sytuacji, więc przejdę od razu do sedna. Chciałabym rozwodu.

– Rozwodu? – Julian nie krył zdziwienia. – Rozwodu?

– Rozwodu. Nie widzę potrzeby powtarzania w kółko tego słowa. Nie powinno cię to dziwić. Sam sugerowałeś, że obecna sytuacja nie jest komfortowa i nie wychodzi nikomu na dobre. O czym zresztą miałam się okazję niedawno przekonać. Stąd też moja wizyta u ciebie, ale jeżeli jest to dla ciebie z różnych względów krępujące, pójdę do kogoś innego.

– Przepraszam, zaskoczyłaś mnie. Nie ma potrzeby angażować osób trzecich w rodzinne sprawy. – Julian poprawił się na krześle. – Zacznijmy od początku...

Przerwał na chwilę. Rozalia wydawała się oazą spokoju. W przeciwieństwie do niego. Siostra zaskakiwała go ostatnio na każdym kroku.

– Co miałaś na myśli, mówiąc, że przekonałaś się o tym ostatnio?

– Ktoś podrzucił mi anonimowy list, w którym donosił uprzejmie, że widział mojego męża w Wiedniu, niekryjącego się bynajmniej z uczuciami do pewnej kobiety towarzyszącej mu podczas premiery spektaklu w Theater an der Wien. Podobno siedzieli w prywatnej łoży i sądząc, że zapewnia im ona prywatność, nie szczędzili sobie czułych gestów. Kilka dni później dostałam kolejny list, skreślony tą samą ręką, w którym znowu informowano mnie, że małżonek mój w dalszym ciągu prowadzi się oficjalnie z ową kobietą. Dano mi do zrozumienia, że nie jest ona jednorazową przygodą, a więc Tojew nie korzysta z usług kobiety lekkich obyczajów – co można by mu wybaczyć z racji długiego pobytu poza domem – ale nawiązał trwałe romans. Autor anonimu zaznaczył, że współczuje mi niezmiernie, ale jednocześnie pozwolił sobie dodać, że winę za zachowanie męża ponoszę ja i że wstyd spada nie na niego, ale na mnie i moją matkę, która najwyraźniej źle mnie wychowała.

– Myślałaś, żeby napisać o tym do Tojewa?

– Nie bądź śmieszny. Po co miałabym do niego pisać, skoro sami, Mikołaj i ja, zdecydowaliśmy, że takie rozwiązanie jest dla nas obojga satysfakcjonujące. Nie zamierzam ściągać go do Krakowa i odgrywać roli przykładowego stadła tylko dlatego, że ktoś miał czelność wchodzić z buciorami w moje życie. Nie zamierzam marnować go sobie na hipokryzję. Skoro i tak żyjemy oddzielnie, a każde z nas ma swoje sprawy, równie dobrze możemy przestać oficjalnie udawać. Mikołaj zapewne zgodzi się ze mną.

– Rozumiem twoją decyzję, chociaż nie zgadzam się z nią... Pozwól mi dokończyć. Mówię ci to jako brat, natomiast jako adwokat pozostaję obiektywny i nie zamierzam krytykować czy potępiać twojej decyzji, ale też nie będę jej przytakiwać. Niestety muszę cię zmartwić: system prawa austriackiego, które wciąż obowiązuje, nie przewiduje rozwodów w twoim i Tojewa przypadku. Nie wiem, czy zdajesz sobie

sprawę, że prawo dotyczące spraw małżeńskich oparte jest na kwestiach związków wyznaniowych, tak więc wyznawców rzymskokatolickich, grekokatolickich, prawosławnych, ewangelicznych i mojżeszowych obowiązują inne przepisy, i dla katolików nie przewiduje się rozwodów cywilnych. O ile mi wiadomo, zawarłście standardowy związek małżeński, w kościele, przyrzekając przed Bogiem wierność i uczciwość małżeńską. Nie byliście objęci wyjątkami, które zezwalały na zawarcie związku w formie świeckiej. Możliwa jest separacja, która niestety nie prowadzi do rozwodu, niezależnie od tego, jak długo trwa, oraz stwierdzenie nieważności.

– Już jestem w separacji – prychnęła Rozalia. – Po co się jej poddawać, skoro nic z niej nie wynika? – zapytała bardziej siebie niż Juliana, który mimo to pospieszył z odpowiedzią.

– Otóż ustawodawca wychodzi z założenia, że wynika. – Julian wstał i podszedł do okna.

Robił tak zawsze, kiedy rozmawiał z klientem. Kiedy spoglądał na korony drzew wznoszące się tuż za oknem jego kancelarii, czuł się spokojniejszy. Odwrócił się do Rozalii.

– Prawodawca uważa, że w czasie, kiedy małżonkowie pozostają w separacji, może dojść do przewyciężenia kryzysu.

– A unieważnienie?

Rozalia także wstała. Podeszła do brata. Przez chwilę stali w ciszy, ramię w ramię, spoglądając na spokojną o tej porze ulicę.

– Musielibyśmy zwrócić się do konsystorza, czyli sądu diecezjalnego pierwszej instancji, który rozpatrzy zasadność wniosku.

– Więc zwróćmy się – podchwyciła Rozalia.

– Uzyskanie unieważnienia jest prawie tak samo trudne jak uzyskanie rozwodu. Unieważnienie otrzymuje się pod pozorem nieważności małżeństwa od samego początku, czyli od chwili jego zawarcia. W efekcie orzeczenia małżeństwa jakoby w ogóle nie było. Mogą o tym zadecydować określone przeszkody: ty lub Tojew musielibyście być bigamistami albo Tojew musiałby być duchownym, który zawarł związek małżeński bez dyspensy. Wasze małżeństwo musiałoby być zawarte pod przymusem którejś ze stron; nie, nalegania matki nie wchodzi w grę. Można także domagać się unieważnienia, jeżeli któraś ze stron ukrywała poważną chorobę psychiczną, jeden z małżonków nie może mieć dzieci lub małżeństwo nie zostało skonsumowane, ale małżonka musiałaby zachować wianek.

Julian znacząco spojrział na Rozalię, która uśmiechnęła się pod nosem, dając mu tym samym odpowiedź na niewypowiedziane pytanie.

– Zatem nie spełniasz żadnego z warunków – podsumował. – Chyba że...

– Tak, mam pieniądze. – Rozalia weszła Julianowi w słowo, wracając na swoje miejsce. – Słyszałam, że wszystko można załatwić za odpowiednią kwotę. Łudziłam się jednak nadzieją, że można to zrobić legalnie, nie obchodząc prawa i nie wzbogacając oszustów.

– O sprawach takich jak twoja nie mówi się głośno, ale zazwyczaj są one tajemnicą poliszyneła. Słyszałem o pannie, której lekarz wystawił świadectwo potwierdzające niemożność skonsumowania związku. Niedługo po otrzymaniu unieważnienia panna wyszła ponownie za mąż, a kilka miesięcy później na świat przyszedł śliczny bobas. Mówi się, że aby takie unieważnienie otrzymać, akta procesowe należy przełożyć banknotami. Tojew należy do ludzi majątnych. Jeżeli wasze pragnienia są takie same i obydwójecie wyrażacie zgodę na unieważnienie, powinien wziąć taką drogę pod uwagę.

– Można zatem otrzymać rozwód, nawet za przyzwoleniem Kościoła, trzeba tylko wiedzieć, gdzie i jak grubo posmarować. Jednym słowem hipokryzja w rozkwicie.

– Kościołowi świeczkę, a diabłu ogarek – podsumował Julian.

– Nie pozostaje mi nic innego jak poprosić Eleonorę, żeby użyła swoich znajomości wśród lekarzy i umówiła mnie na wizytę.

– Eleonorę? – Julian patrzył na Rozalię zaskoczony. – Jest we Francji, z doktorem Blochem, nieprawdaż?

– Twój brak wiedzy w pewnych sprawach mnie zadziwia. Gdybyś zaglądał do mnie częściej, gdybyś był bardziej otwarty i chciał rozmawiać na jej temat, powiedziałałabym ci, że Eleonora wróciła do Krakowa jakoś na początku roku. Wiedząc jednak, że bronieś się z całych sił przed rozmową o niej,



nie pisnęłam ani słowa, że pracuje niedaleko, na Batorego, gdzie spędza całe dni. W rzeczy samej dziwi mnie, że jeszcze jej nie spotkałeś... – Rozalia zawiesiła głos. – W końcu życiem rządzą przypadki, nieprawdaż? – I z tymi słowami opuściła kancelarię.

## Rozdział 9

Wrześniowe dni wciąż były słoneczne i ciepłe, chociaż lato miało się powoli ku końcowi, a poranki i wieczory robiły się już coraz chłodniejsze. Dzięki pięknej pogodzie Stefania mogła usiąść na niezbyt wygodnej ławce ustawionej pod drzewem na ulicy Parkowej. Miała stąd doskonały widok na willę, którą zgodnie z jej wiedzą zajmował znany krakowski aptekarz, ostatni z rajców miejskich, Dionizy Matula. Nazwisko to słyszała już wcześniej przy różnych okazjach. Zdawało jej się, że wspomniał o nim kiedyś także ojciec Mikołaja. Na pewno osoba Matuli była przedmiotem rozmów ojca z matką: Jan Schramm wychwalał Matulę za postawę godną naśladowania, kiedy ten ostatni sprzeciwił się postępowaniu niektórych przedsiębiorców chcących ukrócić działalność Komitetu do Zwalczania Lichwy.

– Matula to bardzo bogaty człowiek – mówił swego czasu Jan Schramm, starając się przyciągnąć uwagę Tekli, która jeśli nie zagłębiała się w stawianiu tarota, zajmowała się planowaniem wyjazdu do kuzynki Agnieszki do Wieliczki, który to wyjazd nastąpił wreszcie tuż po świętach Wielkiej Nocy. – Wyobraź sobie, że budowę willi, w której mieszka obecnie, zlecił Kryłowskiemu.

– Komu? – Tekla podniosła wzrok znad kart.

– Józefowi Kryłowskiemu, architektowi, który... – Jan przerwał, spoglądając na swoją małżonkę; ta zdążyła już wrócić do kart. Machnął ręką i sięgnął po gazetę.

Stefania pewnie zapomniałaby o tamtej krótkiej wymianie zdań pomiędzy rodzicami, gdyby nie zrządzenie losu, dzięki któremu za każdym razem, kiedy podążała na lekcje, mijała willę Matuli. Była nią oczarowana. Miała wrażenie, że nie patrzy na zwykły budynek mieszkalny, lecz na miniaturowy zamek wyjęty z baśni braci Grimm, a wszystko to z powodu strzelistej wieży i posadowienia budynku na skale wapiennej, które upodobiały willę do średniowiecznej twierdzy.

Siedząc na ławce ze szkicownikiem na kolanach, Stefania przyglądała się domostwu od strony południowej. Wybrała akurat ten fragment do nakreślenia w ramach ćwiczeń, ponieważ ta część miała bardziej warowny charakter, pasujący do koncepcji młodej artystki.

„Dom Matuli to prawdziwa architektoniczna perełka, zdradzająca zainteresowanie właściciela nie tylko architekturą, ale i historią” – mówiła panna Bronisława, u której Stefania od jakiegoś czasu pobierała lekcje rysunku, malarstwa i języka niemieckiego.

Naukę tę mogła zacząć dzięki znajomościom wuja Władysława, który kiedy tylko dowiedział się o planach siostrzenicy, od razu zgłosił chęć pomocy w znalezieniu odpowiedniego korepetytora.

– Pamiętaj, Stefciu, zwracać się do Bronisławy per „panno”, chociaż panną nie jest od czasu, kiedy poślubiła Tadeusza. Jest z nim jednak od lat w separacji i z racji tego wymaga, aby zwracać się do niej „panno”.

I tak Stefania zaczęła uczęszczać na lekcje do panny Bronisławy, która okazała się nie tylko świetną malarką, chętną dzielić się swoją wiedzą i talentem, ale także skarbnicą wiedzy oraz cierpliwą nauczycielką języka niemieckiego.

– Na następne spotkanie przygotuj szkic budynku. Rysunek szczegółowy, odzwierciedlający rzeczywisty wygląd gmachu. – Tymi wskazówkami Bronisława Janowska-Rychter pożegnała Stefanię, która teraz w cieniu drzew z podziwem przyglądała się willi Matuli.

Próbowała wyobrazić sobie jej wnętrze. Z opowieści Janowskiej dowiedziała się, że piwnice budynku bardziej przypominają lochy, a to za sprawą łukowatych sklepień i surowej skały wychodzącej ze ścian. W ogrodzie, na tyłach, znajduje się studnia mająca ponoć trzydzieści metrów głębokości.

Ręka Stefanii zawisła nad czystą kartką. Po chwili wahania, a może głębszego zastanowienia nad koncepcją rysunku, czystość bieli przełamała szarością ołówka. Całkowicie skupiła się na szkicowaniu. Wzrok podnosiła tylko od czasu do czasu, aby upewnić się, że formujący się na kartce wizerunek oddaje rzeczywistość.

Jan był akurat w wieży i zanim zaczął schodzić krętymi schodami, przytrzymując się pięknie zdobionej balustrady, zerknął przez okrągłe okno. Już miał się odwrócić, kiedy jego uwagę przyciągnęła

postać siedząca po drugiej stronie ulicy. Nie musiał wyteżać wzroku, żeby mieć pewność, że patrzy na dziewczynę, którą kilka tygodni temu widział na Rynku.

Stefania starała się właśnie dzięki odpowiedniemu cieniowaniu oddać głębię masywnych dębowych drzwi zewnętrznych, kiedy na niepełny jeszcze szkic padł cień. Była tak skupiona, że potrzebowała chwili, aby zdać sobie sprawę, że to nie konary drzew zasłaniają słońce, ale ludzka sylwetka.

Uniosła wzrok znad szkicu, odwracając się w stronę intruza, który stojąc pod słońce, wyglądał jak wielka ciemna plama pozbawiona twarzy. Niemniej jednak od razu go rozpoznała: to był mężczyzna, którego widziała obok Sukiennic. Z powodu siwych włosów falujących wokół jego twarzy trudno go było zapomnieć. Żałowała wówczas, że nie mogła przyjrzeć mu się z bliska, ale nawet z dość znacznej odległości mogła stwierdzić bezsprzecznie, że był mężczyzną przystojnym.

Zerwała się z ławki, upuszczając szkicownik.

– Nie chciałem pani przestraszyć – powiedział, schylając się po rozrzucone wokół stóp Stefanii kartki. Miał przyjemny, głęboki, lekko zachrypnięty głos. – Zobaczyłem panią z okna pokoju – mówiąc to, wskazał na okrągłe okno w wieży – i postanowiłem się przywitać, zwłaszcza że zapamiętałem panią ze spotkania na Rynku.

Spojrzał na Stefanię, szukając w jej twarzy potwierdzenia, że i ona go zapamiętała. Najwyraźniej je znalazł, ponieważ uśmiechnął się szeroko.

– Nie przestraszył mnie pan, tylko zasłonił mi światło. – Wyciągnęła rękę, żeby odebrać szkice. – To ja powinnam przeprosić – odezwała się po tym, jak schowała kartki do teczki, znacznie mniejszej od tej, którą zapamiętał. – Nie chciałam zakłócać miru domowego, chociaż siedziałam cicho i raczej nie odczuli państwo mojej obecności. Jeżeli jednak pan lub inni mieszkańcy willi nie wyrażają zgody na jej rysowanie, proszę powiedzieć.

– Nie mam nic przeciwko, a i wuj z pewnością nie będzie widział w tym nic złego. Ten dom aż prosi się, żeby go uwiecznić. Jest dziełem sztuki. – Mówiąc to, nie patrzył jednak na budynek, lecz na Stefanię.

– Stefania Schramm. – Podała mu rękę, nie komentując jego słów.

Jan zawahał się na chwilę. Jej nazwisko było dziwnie znajome, jednak w tamtym momencie nie mógł sobie przypomnieć, gdzie już je słyszał.

– Jan Matula. – Odwzajemnił pewny i mocny uścisk jej dłoni. – Ma pani pewny uścisk. Rzadko spotykany u kobiet.

Kiedy to mówił, zauważył, że na jej usta zabłąkał się niewyraźny, zawadiacki uśmiech.

– Czy mogę zapytać, co panią tak bawi?

– Przyjaciel rodziny, którego poznałam, będąc jeszcze egzaltowaną panienką, miałby na ten temat inne zdanie, zwłaszcza że przywitałam się z nim jak panna mdlejąca pod byle pozorem. Dziś już nie udaję, że mdleję na widok przystojnych mężczyzn, i nie obawiam się przyznać, że również pana zapamiętałam. Trudno o pana zapomnieć. Nieczęsto spotyka się młodego człowieka z siwymi włosami. Kiedy pana zobaczyłam tam, pod Sukiennicami, w promieniach słońca, wyglądał pan nienaturalnie, nieziemsko. Nie boję się powiedzieć, że anielsko. Chciałam pana naszkicować.

– Więc może... – Chciał zaproponować, żeby zaczęli już teraz. Miał nadzieję poznać ją bliżej.

– Przepraszam, ale spóźnię się na spotkanie. – Ominęła go i ruszyła przed siebie. Zatrzymała się jednak po kilku krokach. – Proszę częściej wyglądać przez okno, Janie.

Młody Matula roześmiał się na głos. Od dawna nie śmiał się tak po prostu. Szczerze. I kiedy tak patrzył, jak Stefania się oddala, przypomniał sobie, skąd znał jej nazwisko.

Stefania Schramm. Stefania Schramm była ukochaną jego zmarłego przyjaciela. Widział ją raz jeden, kiedy przyszła pożegnać Mikołaja na krakowskie Oleandry. Ona nie mogła go rozpoznać, chociaż stał wówczas u boku Mikołaja, ponieważ wtedy jego włosy wciąż jeszcze były czarne. Tak niezwykle, jak ujęła to panna Schramm, stały się dopiero po tym, co widział w Mons i o czym śnił – na szczęście coraz rzadziej.

## Rozdział 10

Eleonora, Stefania, Tekla i Jan stali wśród tłumu, który zgromadził się wokół wzgórza wawelskiego. W katedrze biskup Adam S. Sapieha odprawiał mszę świętą. Okazja była przednia, postanowiono bowiem uroczyście połączyć wojska, które jeszcze nie tak dawno służyły zaborcom, w jedną armię – Wojsko Polskie. Z okazji październikowych uroczystości do Krakowa ściągnęły nie tylko tłumy rodaków chcących zobaczyć ten symboliczny akt połączenia, ale z Warszawy we własnej osobie przyjechali Józef Piłsudski oraz generał Paul Henrys, szef francuskiej misji wojskowej w Polsce. Na dworcu krakowskim prezydent miasta Jan Fedorowicz powitał także uroczyście generałów Józefa Hallera i Józefa Dowbora--Muśnickiego.

– Mam wrażenie, jakbym przeżywała déjà vu – szepnęła Tekla, nachylając się w stronę Jana.

– Od razu stają mi przed oczami obrazy z obchodów pięćsetlecia bitwy pod Grunwaldem i pożegnania żołnierzy na Oleandrach, nieprawdaż? – Eleonora zerknęła na ojca, który pokiwał głową.

Stefcia stała tuż obok, ale nie miała zamiaru włączać się do rozmowy, chociaż i ona poczuła się, jakby cofnęła się w czasie, i prawdę powiedziawszy, bardzo by tego chciała. Gdyby tylko mogła znowu znaleźć się na krakowskich Oleandrach, za nic w świecie nie pozwoliłaby wyjechać Mikołajowi.

– Ruszajmy.

Jan dotknął ramienia żony, prosząc tym gestem, aby zaczęła torować sobie drogę w stronę domu, i przerywając tym samym niewesołe wspomnienia młodszej córki, która ukradkiem otarła oczy wypełnione łzami wzruszenia.

– Słyszałem, jak ktoś mówił, że jeszcze tylko złożenie kwiatów pod sarkofagiem Kościuszki i wszyscy przeniosą się na Rynek. Resztę możemy zatem spokojnie obejrzeć z okien, unikając ścisku.

Dotarcie do kamienicy Pod Irysami, jak zaczęto nazywać ich budynek, odkąd na jednej ze ścian pojawił się piękny fresk przedstawiający ulubione kwiaty Tekli Schramm, zabrało im znacznie więcej czasu niż podczas zwykłego spaceru. Musieli przedzierać się przez tłumy zebrane na trasie przemarszu oficjeli.

Wygodne miejsca w oknach zajęli akurat w chwili, kiedy rozpoczęła się msza polowa. Mieli doskonały widok, ponieważ ołtarz zbudowano w bramie Sukiennic od strony ulicy Szewskiej.

– Mamy miejscówki niczym w teatralnej łoży – zażartowała Eleonora, delikatnie trącając łokciem stojącą tuż obok niej poważną Stefanię, która zerknęła na siostrę, potwierdzając jej spostrzeżenie nieznacznym skinieniem głowy.

Stefania obserwowała tłum. Wśród delegatów zauważyła Naczelnika Państwa, przy którym po jednej stronie siedzieli generałowie, po drugiej zaś miejsce zajął prymas Edmund Dalbor. Zauważyła także biskupa Sapiechę oraz innych purpuratów, których widziała po raz pierwszy. Galowy ubiór rektora Uniwersytetu przyciągał wzrok. Nie mogło także zabraknąć prezydenta miasta wraz z władzami.

Wreszcie msza dobiegła końca. Przewodniczący jej kapelan wojskowy udzielił wszystkim błogosławieństwa i zrobił miejsce Józefowi Piłsudskiemu, który pragnął skorzystać z okazji i powiedzieć kilka słów do zebranych mieszkańców i żołnierzy.

– Kiedy na was spoglądam, na was, wojowników, jestem dumny, że między innymi pod moją wodzą walczyliście i udało się nam wspólnymi siłami odzyskać niepodległość. To tu, na tym Rynku, inny z wielkich, generał Tadeusz Kościuszko, składał przysięgę, w której zawierał się Bogu i całemu narodowi polskiemu. Dziś rad byłby niezmiernie, że wielopokoleniowe trudy oraz śmierć tych, którzy wcześniej dzielnie walczyli, tracąc życie z nadzieją na odzyskanie wolności i wyrwanie się spod jarzma zaborcy, wreszcie się opłaciły. Polska znowu jest wolna. Polska znowu jest na mapie świata. Polska zawdzięcza wam wolność. – Po ostatnich słowach marszałka w niebo wleciała wrzawa ludzkich głosów wiwatujących na jego cześć.

W tej ogłuszającej kakofonii dźwięków rozpoczęła się część, na którą wszyscy czekali. Defilada. Przy głośnych wiwatach zebranych, wśród burzy oklasków, gwizdów i wykrzykiwanych podziękowań, jako pierwsi ruszyli żołnierze Błękitnej Armii Hallera. Za nimi równym marszowym krokiem podążali

Wielkopole. Kiedy przysła kolej na oddziały garnizonu krakowskiego, wiwat jeszcze się wzmógł, chociaż wydawało się to niemożliwe.

Stefania wychyliła się nieco z okna. Obserwowała maszerujących.

– Czyżbyś kogoś szukała? – zainteresowała się Eleonora. Stefania jednak nie odpowiedziała.

W tamtej chwili nawet nie usłyszała pytania siostry, ponieważ jej wzrok jakimś cudem spośród setek głów wyłowił znajomą postać. Od wielu innych odróżniały męczyznę siwe włosy schowane pod szaroniebieską rogatywką, na której pysznił się metalowy orzeł, oraz smukła sylwetka. Spojrzenie Stefani podążało za maszerującym Janem. W końcu straciła go z oczu. Uśmiechnęła się do siebie na wspomnienie ich ostatniego spotkania. Miała wrażenie, że gdzieś po drodze, stając się poważną, pogrążoną w smutku kobietą, zapomniała o pewnych emocjach. Ten przyjemny niepokój, niecierpliwość, szybsze bicie serca. Nie chciała tego, ponieważ czuła się winna wobec Mikołaja, ale zdrowy rozsądek podpowiadał jej, że życie toczy się dalej i nawet wielogodzinne modlitwy oraz błagania o cud nie przywrócą ukochanemu życia.

– Ale ja żyję – szepnęła. – Żyję? – Spojrzała pytająco na zdziwioną Eleonorę. – Żyję! – powtórzyła głośniejszym, radośniejszym głosem, i nic nie tłumacząc, przytuliła się do oniemiałej z wrażenia siostry.

Tymczasem na Rynku pojawili się powstańcy górnośląscy, delegacje wojskowe ze Spiszu, Orawy, Śląska Cieszyńskiego. Pochód zamykali wojenni inwalidzi. Eleonora, podobnie jak wcześniej Stefania, wychyliła się nieco z okna, żeby lepiej widzieć, ale chociaż wyteżęła wzrok, starając się przyjrzeć każdej twarzy, nie znalazła wśród nich Juliana.

\*\*\*

– Powinieneś tam być – mówił na dzień przed obchodami hrabia Michałowski, który dopiero po raz drugi odwiedził syna w jego kancelarii, odkąd Julian wrócił do zawodu.

Był w mieście na spotkaniu z Frau Goldbaum i Janem Schrammem. Wspólnie ustalili, że na czas nieokreślony zawieszają budowę cukierni. Najwyraźniej i Frau Goldbaum, i Schramm mieli inne plany, ponieważ nie oponowali, kiedy poinformował ich, że z uwagi na pogarszające się zdrowie rezygnuje na razie z przedsięwzięcia. Kiedy okazało się, że negocjacje zajęły niecałe dwa kwadransy, postanowił odwiedzić syna i zapytać o przygotowania do zbliżającej się parady. Oburzył się, słysząc, że Julian nie zamierza brać w niej udziału. Postanowił przemówić mu do rozsądku, tłumacząc swoje zapatrywania.

– To także twoje święto. Swoją obecnością dałbyś świadectwo odwagi. To wy, wojenni inwalidzi, jesteście prawdziwymi...

– Kalekami. – Julian nie pozwolił ojcu dokończyć. – Może ojciec ma rację. W końcu walcząc za wolność ojczyzny, straciłem zdrowie. Dzięki Bogu tylko tyle. Mogłem stracić życie, jak tysiące innych. Niemniej jednak nie zamierzam paradować i chwalić się swoją ułomnością, do której wciąż z wielkim trudem się przyzwyczajam.

Na tym Michałowscy skończyli rozmowę, ponieważ na twarzy Juliana malował się upór, a starszy z Michałowskich zdążył się już nie raz przekonać, że kiedy syn podejmie decyzję, którą uważa za słuszną, nie ma siły, aby zmienić zdanie.

Julian tymczasem mimo późniejszych wątpliwości, czy aby nie posłuchać ojca, nie zasilił szeregu inwalidów, stał jednak wśród tłumów, pragnąc chociaż w ten sposób uczestniczyć w święcie polskiej armii. W odróżnieniu od innych w tamtej chwili, kiedy oddział rannych rozpoczął marsz, nie patrzył na paradujących żołnierzy, lecz z uniesioną głową spoglądał w okna, w których z oddali widział dwie znajome sylwetki.

\*\*\*

Eleonora usiadła na łóżku w pokoju, który wciąż dzieliła ze Stefanią, i chociaż czuła zmęczenie ekscytującym dniem, miała wrażenie, że nie ma co liczyć na spokojny i szybki sen.

– Niesamowite, że byliśmy na otwarciu Teatru Bagatela. Kiedy ojciec przyniósł zaproszenie

od Frau Goldbaum z pytaniem, czy nie zechciałybyśmy jej towarzyszyć, nie mogłam w to uwierzyć. Dobrze, że matka nie wróciła jeszcze z Wieliczki, bo chociaż już od dawna jesteśmy pełnoletnie, jak nic zabroniłaby nam pójść na *Kobietę bez skazy*. Słyszałam, że kiedy krakowskie matrony dowiedziały się, jaką sztukę dyrektor Dąbrowski zamierza wystawić, udały się do samego Sapiehy, żeby kategorycznie zabronił takich bezceństw. – Stefania cały czas mówiła, pozbywając się przy tym wieczorowej sukni. – Żałuj, że nie dałaś się namówić na pójście razem ze mną, żeby zobaczyć poświęcenie gmachu. Zebrała się spora grupa ludzi. Oczywiście nie zabrakło i owych matron, które cały czas skandowały, że Bagatela będzie ujmą dla miasta i sprowadzi cnotliwe panny na złą drogę. – Stefania zaczęła ściągać pończochy. – Nie mówiłam ci wcześniej, bo i nie było okazji, ale podczas poświęcenia spotkałam Rozalię. Przyjechała na rowerze, żeby zobaczyć wydarzenie. W obliczu takiej kumulacji konserwatywnych krakowskich dam – śmiech Stefanii rozniósł się po pokoju – to była nie lada odwaga. Wyobraź sobie, że kiedy Rozalia usłyszała, co wystawiają, parsknęła śmiechem tak głośno, że kilka zaciekawionych głów odwróciło się w naszą stronę. Kiedy zapytałam, co ją tak rozśmieszyło, odpowiedziała nieskrępowanie, nawet się nie rumieniąc, że to sztuka o niej. No, prawie o niej, poprawiła się po chwili i dodała, że ona romansowała tylko z jednym mężczyzną i zamiast szarpać się z unieważnieniem małżeństwa przed sądem, skorzysta z możliwości Tojewa. Żałuję, że nie miałyśmy okazji porozmawiać dłużej, ale chociaż zapraszałam Rozalię na kawę, odmówiła. Musiała wracać do domu. Wydawała się dziwnie podekscytowana. Taka radosna. Zadowolona z życia. Nie omieszkałam ją o to zapytać. Odpowiedziała tylko, że zaczęła wcielać marzenia w życie. Pojmujesz coś z tego? – Stefania dopiero teraz zerknęła na siostrę. – Czy ty mnie w ogóle słuchasz?

– Ponieważ przyszedłś nieco później i nie było cię na uroczystej kolacji, która zresztą była przepyszna, a stoły uginały się od specjałów, oraz na zwiedzaniu budynku, nie wiesz, że spotkałam Juliana. – Eleonora wygięła usta w dziwnym grymasie. – Czułabym się okropnie nieswojo, gdyby nie towarzystwo Frau Goldbaum.

– Julian był w teatrze? Dlaczego mi nie powiedziałaś? Mogłaś pokazać, które zajął miejsce. Był z rodzicami? – Stefania przysiadła przy siostrze.

– Był w teatrze, ale nie widziałam go potem, podczas spektaklu. Chciałam się rozejrzeć po miejscach zajmowanych na parterze oraz zlustrować pozostałe loże, ale wstydziłam się wychylać z naszej, żeby nie być posądzoną o źle pojętą ciekawość. – Przerwała na chwilę. Stefania czekała z niecierpliwością, aż Nora znowu zacznie mówić. – Nie, nie był z rodzicami, przynajmniej nigdzie ich nie zauważyłam. Michałowską, jak wiesz, trudno przeoczyć. Towarzyszyła mu za to ładna, młoda rudowłosa kobieta uczepiona jego ramienia. Wpadliśmy na siebie i widziałam, że Julian poczuł się zmieszany, zresztą podobnie jak ja. Kiedy przedstawiał mnie swojej towarzysze, mówiąc o mnie jako o dobrej przyjaciółce, Helena Ochocka, bo tak się nazywała, spojrzała na mnie tryumfalnie i jakby dla podkreślenia posiadania mocniej przycisnęła się do Juliana.

– Nieprawdopodobne. – Stefania była wyraźnie poruszona. – Czyżby spotykał się z ową panną Ochocką? Rozalia nic nie mówiła. A może dlatego pożegnała się tak szybko – nie chciała zdradzać tajemnicy brata?

– Tak cieszyłam się na to wydarzenie. Tyle się słyszało o perturbacjach związanych z powstaniem teatru. Chciałam się odprężyć, zabawić, a jedno spotkanie popsło mi całą radość. Bynajmniej to nie osoba Juliana sprawiła, że chciałam czym prędzej znaleźć się w domu. Uświadomiłam sobie, że wciąż mi na nim zależy. – Eleonora zaczerpnęła powietrza i spojrzała siostrze prosto w oczy. – Nie podejrzewałam, że drzemią we mnie takie pokłady złości. Nie znam panny Ochockiej, może to świetna dziewczyna? Może w innych okolicznościach mogłybyśmy się zaprzyjaźnić, ale nienawidzę jej i sama myśl o tym, że jestem zdolna zniechęcić obcą, Bogu ducha winną dziewczynę tylko dlatego, że towarzyszyła Julianowi, przeraża mnie, ponieważ uświadamia mi, jak głębokie są moje uczucia do niego i jak głupia byłam, odsyłając pierścienek.

– Więc zmańdrzej, Eleonoro. Uświadom sobie, że trzeba żyć. Ja zrobiłam to podczas parady. Nic nie zwróci mi Mikołaja. Zawsze będę o nim myśleć. Zawsze będę go kochać. Miłością pierwszą i jedyną. Nie można drugi raz zakochać się tak samo, ale poznałam kogoś i poczułam, że rządzą mną emocje,

które starałam się trzymać na wodzy. Nie walcz. Nie unosi się dumą. Powiedziałaś, że coś wydarzyło się między tobą a Dawidem. Najwyraźniej doktor Bloch nie miał zająć miejsca Juliana. Nie pozwól, żeby uprzedzenia stanęły ci na drodze do szczęścia.

– Dziękuję. – Eleonora przytuliła się do Stefanii. – Nie uważasz, że Iza Kozłowska w roli kobiety bez skazy była niesamowita? – Dopiero teraz się uśmiechnęła, bardziej zrelaksowana. Musiała z kimś porozmawiać. – Gdyby nie to, że prawie cały czas myślałam o Julianie, czerpałabym z jej oglądania prawdziwą przyjemność. Myślę sobie, że kiedy pierwsza fala chętnych do zobaczenia spektaklu przewinie się przez Bagatelę i bilety będą wreszcie dostępne, wybiorę się na spektakl raz jeszcze. Będę się wtedy cieszyć grą aktorską i nic nie będzie mnie rozpraszało.

\*\*\*

W tym samym czasie, kiedy Eleonora i Stefania rozmawiały o wydarzeniach z Bagateli, Julian chodził po salonie w Zakrzówku niczym lew w klatce. Było już późno, ale znał swoją matkę i wiedział, że nie położyła się jeszcze spać. Chciał z nią zamienić kilka słów.

– Czy to nie mogło poczekać? – Hrabina Michałowska wkroczyła do salonu wciąż jeszcze ubrana w dzienny strój. Najwyraźniej nie miała jeszcze zamiaru się kłaść. – Ojciec już śpi. Twoje nocne najście może go obudzić, a wiesz, że ostatnio niedomaga i potrzebuje spokoju.

– Nie zajmę mamie dużo czasu i postaram się wyłuszczyć swoje pretensje, tak, nie przesłyszała się mama, pretensje, w miarę spokojnie. – Julian stanął obok kominka, w którym wciąż jeszcze paliły się niepozorne szczapy drewna. – Kiedy ojciec poprosił, żebym na czas pobytu Ochockich w Krakowie poświęcił Helenie nieco czasu, miał na myśli zabranie jej na obiad, względnie kawę i krótki spacer. Zresztą w trakcie rozmowy tylko na to się zgodziłem. Była kawa, był spacer.

– Czyżbyś miał pretensje o dzisiejszy wieczór?

– Żeby mama wiedziała. Nie zamierzałem iść do teatru, ale mama jak zwykle nie przejmuje się planami innych, ich życiem i pragnieniami. Mama zawsze stawia na swoim, nawet jeżeli może to nieść za sobą opłakane skutki.

– Nie dramatyzuj. Julianie, zachowujesz się jak egzaltowana panienka.

– Za chwilę mama przestanie się naigrawać, kiedy powiem, że gdy odprowadzałem dziś Helenę do domu i mówiłem jej zgodnie z prawdą, że poświęcałem jej czas tylko ze względu na przyjaźń naszych rodziców, zaczęła histeryzować i płakać. Wyznała mi, że od dawna darzy mnie uczuciem. Już od dziecka, kiedy to plątała mi się pod nogami, nie odstępując mnie na krok, podczas naszych wizyt u Ochockich i ich rewizyt u nas, kochała się we mnie. Wyznała mi, że kiedy stary Ochocki zapowiedział, że zamierzam zabrać ją na kolację, spacer, a potem na uroczyste otwarcie nowo powstałego teatru, myślała, że mam wobec niej jakieś poważne plany, i oczekiwała nie pożegnania, zresztą niezbyt miłego, ponieważ coś się wydarzyło w teatrze, ale pierścionka zaręczynowego.

– Nie przypuszczałam, że wychowałam chama. – Józefa Michałowska westchnęła głęboko.

– Nie wychowała mama chama, lecz mężczyznę, który wie, czego pragnie. A na pewno nie pragnie Heleny Ochockiej.

– Czy ty wciąż myślisz o córce Schramma?

– Mama wybaczy, ale to nie mamy sprawa, o kim myślę. A teraz mama pozwoli, że się pożegnają. A, jeszcze jedno, żeby nie było nieporozumień na przyszłość. Niech ani mama, ani ojciec nie planują mi życia. Niech mama przestanie mnie swatać, ponieważ to ja wybiorę sobie żonę i nikt inny nie zrobi tego za mnie. Dobrej nocy, mamó. – Z tymi słowami Julian opuścił dworek w Zakrzówku z nadzieją, że nie zajrzy tu przez dłuższy czas.

## Rozdział 11

Stefania szła powoli, chociaż szybki marsz z pewnością zapewniłby jej zziębniętemu ciału więcej ciepła. Wyszła z domu zaraz po śniadaniu, mimo że nie tylko matka, ale nawet ojciec i Eleonora próbowali ją zatrzymać.

– Jest zimno. W nocy spadł śnieg. Czy nie wystarczy, że wczoraj całą rodziną odwiedziliśmy groby dziadków? – Tekla spoglądała na Stefanię, dając przy tym znaki Janowi, że powinien powiedzieć coś, co zatrzymałoby córkę w domu.

– Stefcu, posłuchaj matki, a jeśli już koniecznie musisz się wybrać na Cmentarz Podgórski, to jedź przynajmniej tramwajem.

– Najwyraźniej nie dasz się namówić na pozostanie w domowym zaciszu, prawda? – Pytanie było retoryczne, dlatego nie czekając na odpowiedź, Eleonora ciągnęła dalej: – Może zatem pozwolisz, że pójdę z tobą? Z pewnością nie będzie cieplej, ale na pewno różniej. – Stała tuż obok siostry, układającej akurat na ramionach kołnierz ze srebrnego lisa.

– Pójdę sama. – Ton odpowiedzi nie dopuszczał sprzeciwu.

Stefania zerknęła do lustra, przed którym miał w zwyczaju paradować ojciec, przymierzając krawaty i zmieniając kapelusze. Poprawiła ciepły beżowy beret, pod którym skryła długie włosy, chociaż gros dziewcząt ścinało je do ramion albo nawet krócej, tak jak zrobiła to Rozalia. Schrammówny pozostały jednak wiernie długim warkoczom. Na ramiona otulone wełnianym płaszczem z domieszką kaszmiru, kupionym w Wiedniu w chwili słabości, narzuciła kołnierz z lisa, który dodatkowo ogrzewał uszy. Torebkę na długim złotym łańcuszku przewiesiła przez ramię. Do środka schowała chlebki zaduszone, które, jak dobrze pamiętała z dzieciństwa, matka na dzień przed dniem Wszystkich Świętych piekła w piecu, dekorując każdą sztukę krzyżem. Chlebków było zawsze tyle, ile zmarłych w rodzinie. Potem chlebki zaczęto kupować, a wreszcie w ogóle zrezygnowano z tej lubianej przez Stefanię tradycji.

„A dlaczego musimy upiec je dziś, proszę mamy?” – pytała dawniej z iście dziecięcą ciekawością. „Ponieważ jutro ktoś z naszych bliskich może nas odwiedzić. Dusze zmarłych szczególnie upodobały sobie ciepłe wnętrza pieców i gdybyśmy rozpalili ogień, duszyczka, chcąc ująć z życiem, mogłaby wywołać pożar” – odpowiadała matka. „Nie boisz się, że będzie spał tu ktoś, kto już nie żyje?” – spytała Stefcia ponownie, robiąc przy tym tak zmartwioną minę, że słuchająca wszystkiego starsza i bardziej dojrzała Eleonora zaczęła się śmiać. „Nie martwię się. Kiedy duszyczki najedzą się chlebkami, które zostawimy dla nich na wykrochmalonym białym obrusie, zasną smacznie, nie budząc nas przy tym”.

Dlatego też, kiedy przedwczoraj była w piekarni i pod jedną z bram Sukiennic zauważyła starowinkę sprzedającą zaduszone pieczywo, nie zastanawiając się, kupiła kilka sztuk. Jedną szczególnie pięknie udekorowaną wybrała dla Mikołaja.

Skręcała właśnie na most Krakusa – który krakowianie i tak wciąż nazywali III mostem – łączący Starowiślną ze Słowackiego na drugim brzegu Wisły, kiedy minął ją mknący na Pogórze tramwaj. Nie żałowała, że wybrała spacer, chociaż zimno przeniknęło ją do kości. Wreszcie dotarła do mostu. Zatrzymała się na chwilę. Nigdy nie lubiła przez niego przechodzić. Nie wiedziała, czy to lęk przed wodą wijącą się pod jej stopami, czy przed otaczającą ją przestrzenią; a może po prostu bała się, że most runie do rzeki, tak jak stało się to w 1911. Dobrze pamiętała tamto zdarzenie: katastrofę budowlaną kosztującą życie kilkunastu osób. Most, na który patrzyła teraz, oddano dwa lata po tamtym tragicznym wydarzeniu. Wybudowała go firma Zieleniewskiego. Zaciągnęła na ten cel ogromną pożyczkę, której część pochodziła z banku jej ojca.

Stefania wzięła wreszcie głębszy wdech i dodając sobie otuchy, ruszyła dalej w stronę Cmentarza Podgórskiego, na którym znajdowały się mogiły żołnierzy biorących udział w wojnie. Nie było tam grobu Mikołaja, ale chciała pomodlić się przy pomniku, którego podstawę otaczała cierniowa korona i cztery żołnierskie czapki, a potem rozdać bezdomnym kupione chlebki, prosząc ich o modlitwę za dusze zmarłych.



Przez most przeszła szybkim marszem i chociaż rzekę już dawno zostawiła za sobą, nie zwolniła tempa. Minęła aptekę Pod Orłem, o której opowiadał jej Mikołaj, ponieważ prowadził ją bliski przyjaciel jego ojca, potem przeszła obok kościoła św. Benedykta i w końcu jej oczom ukazała się brama prowadząca na cmentarz. Przechodziło przez nią kilka zamyślonych osób.

Zatrzymała się przed pomnikiem, przy którym stało czterech modlących się. Nie zwrócili na nią uwagi. Ona także oddała się modlitwie. Stała tam już na tyle długo, że czuła, jak skostniały jej palce u stóp, a jednak pomimo dyskomfortu i przeraźliwego, przenikającego przez gruby płaszcz wiatru nie potrafiła przeżegnać się i odejść.

– Nie byłem tu od wielu lat, ale wcześniej, jeszcze przed wojną, każdego roku przychodziłem na grób mojej ciotki, który stał się też symboliczną mogiłą moich rodziców.

Od razu poznała ten głęboki, lekko zachrypnięty głos. Jan Matula zatrzymał się tuż obok. Na tyle blisko, że czuła bijące od niego ciepło.

– Nie spodziewałam się spotkać tu nikogo znajomego – odpowiedziała szeptem, żeby nie zakłócać spokoju modlących się.

Zerknęła raz jeszcze na pomnik, a potem przeżegnała się i z cichutkim „amen” na ustach zwróciła się w stronę ścieżki prowadzącej do bramy głównej.

Przez dłuższy czas szli w milczeniu. Poza murami cmentarza Stefania zauważyła dwóch bezdomnych proszących o pomoc. Dała im chlebki oraz kilka drobnych. Jan też sięgnął do portfela.

– Najwyraźniej przyprowadziła mnie tu dziś opatrzność, ponieważ nigdy dotąd nie przychodziłem tu dzień po dniu. – Po krótkiej chwili dodał już weselszym tonem: – Spoglądam przez okno każdego dnia o różnych porach, ale od wielu dni, ba, tygodni nie widziałem panny Stefanii idącej na zajęcia.

– Po prostu Stefania. Dajmy spokój niewygodnym staroświeckim konwenansom. Nie chodzę już na zajęcia. Nie ma sensu marnotrawić ojcowskich pieniędzy i czasu panny Bronisławy, skoro może ona podzielić się swoim talentem z kimś, kto na to zasługuje.

– Nie wydaje mi się, żeby był ktoś, kto bardziej zasługuje na jej czas. Może nie jestem wybitnym znawcą sztuki, ale to, co udało mi się podejrzeć podczas naszego spotkania we wrześniu, wydawało mi się bardzo dobre.

– Najwyraźniej nie znasz się na sztuce, ponieważ nie przyjęto mnie na studia w Akademii, na które aplikowałam. Miałam głęboką nadzieję, że znajdę się wśród tych kilku wybranek, ale widać były zdolniejsze ode mnie. Niepotrzebnie się łudziłam.

– Nie wyglądasz na kogoś, kto łatwo się poddaje. Czy jedna nieudana próba tak łatwo cię zniechęci do tego, co, jak widziałem, sprawia ci prawdziwą radość?

– Podczas przyjęcia udało mi się porozmawiać z profesorem Mehofferem. Powiedział, że mam talent, ale wciąż myślę, że chciał być po prostu miły i nie zasmucać mnie jeszcze bardziej. Niemniej jednak dodał też, że powinnam próbować. Ćwiczyć, ćwiczyć i jeszcze raz ćwiczyć. Może okaże się, że któraś z panien zrezygnuje albo wyjdzie za mąż i wtedy zajmę jej miejsce.

– Nie rozumiem, dlaczego zrezygnowałaś, skoro sam Mehoffer zachęca cię do dalszej pracy?

– Może dlatego, że już dawno przestałam wierzyć w Świętego Mikołaja? – Stefania odpowiedziała pytaniem na pytanie.

Nawet nie zauważyła, kiedy zatrzymali się przy willi, w której pobierała lekcje rysunku. Jan zerknął w stronę ogrodu, gdzie rosły imponujące kasztanowce.

– Chciałaś namalować mój portret, pamiętasz? – Mówiąc to, intensywnie przyglądał się jej ciemnymi, prawie czarnymi oczami.

Miała wrażenie, że ją hipnotyzuje. Odwróciła wzrok. Czuła, że zarumieniły się jej policzki. Gdyby nie była tak skrępowana, pewnie roześmiałaby się na głos, ponieważ nie rumieniła się nawet jako nastolatka.

– Chciałam – odparła.

Czekał, nie ponaglał, nie pytał, czy nadal tego chce, bo przecież użyła czasu przeszłego. W końcu Stefania odezwała się ponownie:

- Nadal chcę.
- W takim razie nic nie stoi na przeszkodzie, żeby wcielić ten plan w życie.
- Nic. Zastanowię się, kiedy i gdzie.

Ruszyła przed siebie. Kilka kroków dalej odwróciła się, myśląc, że Jan idzie za nią, ale on wciąż stał w tym samym miejscu. Uniosła rękę i pomachała nią na pożegnanie.

- Niebawem – dodała na odchodnym.

## Rozdział 12

– Nie czuję nóg. – Eleonora zerknęła na Stefanię. Obydwie, podobnie jak wlokąca się za nimi noga za nogą Joasia, taszczyły wiklinowe kosze produktów, które udało im się zdobyć podczas całodniowego chodzenia od straganu do straganu.

Święta Bożego Narodzenia zbliżały się wielkimi krokami. Ojciec wziął na siebie zakup węgla, który nadal był towarem na wagę złota. Jego ceny były horrendalne, dlatego nawet w zamożnym domu Schrammów od dawna reglamentowano jego zużycie.

– Nie ma mowy, żeby w domu podczas świąt był ziąb niczym w psiej budzie – biadoliła Tekla, wymownie spoglądając na męża. – Już od pierwszych przymrozków marzniemy we własnym mieszkaniu. Czuję się jak w kostnicy. Przez to przenikające zimno nie mam ochoty nawet na przygotowania, które zawsze dostarczały mi tyle radości. Gdzie te czasy, że od października zajęta byłam robieniem listy gości i sprawunków na przyjęcia świąteczne i nowo-roczne?

Jan obiecał solennie, że w święta dom będzie ciepły i przytulny, zaś dziewczęta wzięły na swoje barki zrobienie zakupów, co, jak się okazało, nie było wcale łatwe. Tekla wymówiła się migreną, której nigdy do tej pory nie miewała.

– Matka dostanie hysterii, kiedy dowie się, że nie udało nam się kupić karpia. Wiesz, że nie wyobraża sobie kolacji bez niego albo linów. – Stefania wyglądała na wyraźnie zmartwioną.

– Sama widziałas. Obeszliśmy wszystkie place targowe i nigdzie nie było ryb. Nawet spekulantów, którzy byliby gotowi sprzedać je po zawyżonej cenie.

W rzeczy samej. Wyszły z domu zaraz po śniadaniu, zaopatrzone w bardzo długą listę zakupów sporządzoną przez Teklę.

– Mam nadzieję, że przyniesiecie wszystko, co zapisałam. Pragnę w tym roku wreszcie poczuć ducha dawnych świąt. Dość już mam oszczędzania i udawania. Dość już mam słuchania o problemach z zaopatrzeniem, opałem i wojną. Od tego wszystkiego pęka mi głowa. – I trzymając się za skronie, schowała się w małżeńskiej sypialni.

Eleonora zerknęła na listę i od razu wiedziała, że musiałby się zdarzyć cud, aby pobożne życzenia matki się spełniły.

Zaczęły od targu na Rynku Głównym, gdzie udało im się kupić większość bakalii z listy Tekli. Potem przeszły na plac Szczepański, gdzie Stefania na dłuższą chwilę zatrzymała się przy Pałacu Sztuki, gmachu Towarzystwa Przyjaciół Sztuk Pięknych.

– Spójrzcie. – Stefania zwróciła się do Eleonory i Joasi, które stanęły po obu jej stronach. – Ten budynek jest bardzo podobny do pawilonu wystawowego Secesji, który widziałam w Wiedniu. Panna Bronisława, do której zgłosiłam się ponownie, żeby nadal pobierać lekcje malarstwa – dodała na wypadek, gdyby Joasia nie wiedziała, kim jest panna Bronisława – wspomniała, że jest członkiem Towarzystwa, i opowiedziała mi o nim co nieco. Jego projektant wzorował się właśnie na wiedeńskim odpowiedniku, zaś dach budynku jest częściowo przeszklony, co daje zaskakujące efekty świetlne, zwłaszcza latem.

– Wspaniały – westchnęła Joasia i nie czekając na panny Schramm, ruszyła dalej w stronę rozstawionych jeden obok drugiego kramów.

Na targowisku na placu Szczepańskim spędziły większość dnia. Kupiły prawie wszystko z listy matki plus rzeczy, które zamierzały zapakować, włączając się do akcji „Paczka dla żołnierza”.

– Mamy prawie wszystko – odezwała się Joasia, zaglądając po kolei do koszyków.

– Prawie – dodała Stefania. – Musimy zajrzeć jeszcze na Kleparz. Może tam będą mieli ryby.

Kiedy w drodze powrotnej z Rynku Kleparskiego przechodziły przez Bramę Floriańską, zrobiło się już szaro, chociaż zegarki wskazywały niecały kwadrans po piętnastej.

– Pospieszmy się – odezwała się Eleonora. – Jestem wyziębiona, zmęczona, głodna, a ręce mdleją mi od tych ciężarów. Dobrze, że chociaż udało nam się kupić miód i mak, ale mama i tak będzie niepokieszona, że nie ma karpia.

– Do Wigilii zostało jeszcze kilka dni. Może ojciec coś zaradzi? – Stefania zerknęła niepewnie na starszą siostrę, szukając u niej potwierdzenia, ale Eleonora nie odpowiedziała.

– Ja to się cieszę, że mięso jest. Na nasze koło łowieckie zawsze można liczyć. – Do rozmowy wtrąciła się Joasia. Szła powoli tuż za Stefcją i Eleonorą, które także dziękowały za coroczne przedświąteczne polowania na św. Huberta.

Sunęły coraz wolniej i przystawały co jakiś czas, żeby odstawić koszyki i ulżyć zmęczonym dłoniom, tak że zanim dotarły do domu, zrobiło się ciemno. Z powodu deficytu ropy na mieście paliło się coraz mniej latarni, więc Kraków spowijały łąskie egipskie ciemności, łagodzone tylko blaskiem zapalonych świeczek na udekorowanych drzewkach, którymi zgodnie z tradycją sklepikarze ozdabiali witryny.

\*\*\*

– Za dwa dni kolacja wigilijna, a my wciąż nie mamy ryb. Już dawno przestałam marzyć o karpniu albo linie, ale na Boga, Janie, mógłbyś użyć swoich znajomości, żeby kupić przynajmniej pstrągi. – Tekla stanęła w drzwiach gabinetu Schramma, czekając, aż ten zabierze się do działania.

Dzwonek do drzwi uwolnił go od konieczności tłumaczenia, że podczas szukania dostawcy węgla podpytywał także o możliwość zakupu ryb. I o ile jego starania w kwestii opału zostały zwieńczone sukcesem, o tyle ryb nie udało mu się dostać, chociaż oferował zawrotną sumę. Dźwięk powtórzył się. Ktoś przytrzymał dzwonek dłużej, jakby chciał dać do zrozumienia, że nie podda się tak łatwo.

– Czy Franciszek jest głuchy, czy leniwy? – zapytała Tekla, stając w korytarzu akurat w momencie, kiedy służący otwierał drzwi.

– Przesyłka do państwa Schramm. Czy zechce pan podpisać? – zapytał młody człowiek, wskazując skinieniem głowy na znacznych gabarytów paczkę stojącą u jego stóp. Tekla w trzech krokach znalazła się przy Franciszku.

– Od kogo, jeśli można wiedzieć? Dziś nie należy bezmyślnie podpisywać niczego. Mało to oszustów?

– Od Juliana, hrabiego Michałowskiego – odpowiedział zdeglustowany zachowaniem Tekli ekspres. – Jest krótki list. A czy pannę Eleonorę zastałem?

– Córki nie ma, ale nic nie stoi na przeszkodzie, żebym odebrała w jej imieniu.

– Przykro mi, ale mam jasne instrukcje. Przesyłkę mam oddać tylko do rąk własnych. Zatem pozwolę sobie pofatygować się pod wieczór. Proszę uprzejmie uprzedzić pannę Eleonorę, że ponowię próbę doręczenia przesyłki. – I nie czekając na dalsze dywagacje ze strony Tekli, zbiegł po schodach, zostawiając paczkę pod drzwiami.

Chcąc nie chcąc, Franciszek musiał wtaszczyć ją do środka.

– Zanieś ją do kuchni – instruowała Tekla, zachodząc w głowę, co też było takiego w przesyłce dla Eleonory, że ekspres nie mógł jej zostawić. I chociaż darzyła Juliana niewypowiedzianą sympatią, gest ten nieco przygasił to uczucie. Nie na długo jednak. Kiedy paczka została otwarta, Tekla rozplęwała się nad wspaniałomyślnością młodego hrabiego.

– Czyż to nie cudowne, że pamiętała, a przecież był u nas na kolacji tylko raz jeden? – mówiła do Jana, który stał w kuchni i z osłupieniem przyglądał się wypatroszonym karpom. Rybami już zajmowała się Joasia.

– Jakiż to człowiek? Niesamowity. – Tekla rozplęwała się w pochwałach. – Eleonoro! – zawołała, słysząc otwierane drzwi. – Jesteś nareszcie. Nie uwierzysz, co się wydarzyło. – Nie czekając, aż córka zdejmie ośnieżone okrycie, zaciągnęła ją do kuchni. – Stefania też była zaskoczona i pełna podziwu dla gestu Juliana. Zobacz. Jakie są tłusciutkie. Jakie zdrowe – zachwycała się, podnosząc po kolei karpiove dzwonka.

– Faktycznie. To miły gest – skwitowała Eleonora, wracając do przedpokoju. Zdejmowała akurat kapelusz, kiedy dzwonek do drzwi rozległ się ponownie.

– Och, to pewnie ekspres! – ekscytowała się Tekla, nie mogąc się doczekać, żeby zobaczyć, co też zawiera przesyłka Eleonory. Przez ostatnie dwie godziny, odkąd kurier zajrzał do nich po raz pierwszy, nie mogła znaleźć sobie miejsca. Ciekawość zawsze była jej największą wadą. – Otwórz. Nie każ człowiekowi czekać!

– Panna Eleonora? – zapytał młody doręczyciel, który wcześniej dostarczył paczkę z karpami. Córka Schramma skinęła głową. – Paczka dla panny. Proszę tu podpisać. Dziękuję. Przyjemnego wieczoru życzę. – I już go nie było.

– Otwórz! – komenderowała Tekla.

– Teklo. – Jan podszedł do żony. – Pozwól jej otworzyć na osobności. To w końcu przesyłka dla niej. Nie bez kozery miała zostać dostarczona do rąk własnych.

– Ale... – Tekla wyglądała na zawiedzioną, kiedy Eleonora, nie komentując ani jej słów, ani sugestii ojca, wzięła paczkę i zamknęła się w gabinecie Schramma.

Przez chwilę przyglądała się niewielkiemu pudełku. W końcu je otworzyła. Nie była zaskoczona zawartością. W środku leżało małe puzderko, które dobrze знаła. Uchyliła wieczko. Pierścionek zaręczynowy.

Pod pudełeczkiem znalazła krótki list:

Droga Eleonoro!

Kupując ten pierścionek, myślałem o Tobie. Nie należy on do żadnej innej kobiety, dlatego go odsyłam. Ufam, że go zatrzymasz. Jeżeli nawet nie zgodnie z jego przeznaczeniem, jako pierścionek zaręczynowy, to przynajmniej jako pamiątkę, którą może kiedyś zechcesz założyć.

Twój Julian

– To by było na tyle, jeśli chodzi o wigilijne prezenty i spokój duszy – szepnęła do siebie, z czułością wyjmując pierścionek z puzderka.

## Rozdział 13

Julian sięgnął po dokumenty. Przygotował je dla niego z należytą starannością Rudolf Rosenblatt, który zaraz po Nowym Roku rozpoczął pracę w kancelarii na ulicy Szlak 21 w charakterze pomocnika adwokackiego. Zatrudnienie Rosenblatta miało charakter spontaniczny. Julian już na początku grudnia rozważał taką możliwość z uwagi na nagromadzenie spraw, ale chciał podejść do tego metodycznie, wystawiając w „Ikacu” ogłoszenie, a potem przeprowadzając pod koniec pierwszego kwartału rozmowy z kandydatami. Jednak w połowie ubiegłego miesiąca, kiedy odwiedził Wydział Prawa na Uniwersytecie, dowiedział się całkiem przypadkowo, że jeden ze studentów ostatniego roku, notabene całkiem uzdolniony i z sercem do prawa, poszukuje pracy lub możliwości odbycia praktyki. Po krótkim namyśle Julian postanowił zrobić odstępstwo od planów i zatrudnić potrzebnego.

Do zadań Rosenblatta należało przygotowywanie pozwów, pism procesowych, umów, a także porad prawnych oraz wyjaśnień w zakresie interpretacji i stosowania prawa. Z czasem Rudolf miał także zacząć kontaktować się z sądami, organami ścigania, gdyby zaszła taka potrzeba, oraz innymi instytucjami publicznymi.

– Byłbym zapomniał, panie hrabio. – Rosenblatt wszedł do gabinetu Juliana z dwoma teczkami zawierającymi akta prowadzonej sprawy. – Tu umieściłem informacje na temat Ordo Templi Orientis, które udało mi się zebrać, natomiast tutaj informacje dotyczące znanych praktykujących w Krakowie i okolicach okultystów.

– Dziękuję.

Rudolf odwrócił się i już był przy drzwiach, kiedy zatrzymał go głos Juliana.

– I proszę, po raz kolejny zresztą, abyś w kancelarii, kiedy nie ma klientów, zwracał się do mnie po imieniu. To hrabiowanie robi się męczące.

Rosenblatt skinął głową, zamykając drzwi. Ciche skrzypnięcie, które temu towarzyszyło, sprawiło, że Julian przypomniał sobie, dlaczego zajął się akurat tą sprawą.

Przyszedł do kancelarii w poniedziałek trzeciego stycznia, chociaż nie miał na ten dzień zaplanowanych żadnych spotkań. Pomocnika Rudolfa Rosenblatta, z którym rozmówił się na krótko przed świętami, umówił na poniedziałek za tydzień. Wmawiał sobie, że zszedł do kancelarii, żeby przejrzeć dokumenty, sprawdzić, które sprawy można uznać za praktycznie zamknięte, które wymagają jeszcze doszlifowania, a które są dopiero w toku. Tak po prawdzie przyszedł, ponieważ miał nadzieję, że po otrzymaniu jego krótkiego listu z paczuszką Eleonora pojawi się u niego na rozmowę. Kiedy więc drzwi do kancelarii uchyliły się nieśmiało, jego serce zadrżało. Tekla Schramm weszła niepewnie.

– Dzień dobry i wszystkiego dobrego w nowym roku – odezwała się, nie czekając na zaproszenie z jego strony. – Czy aby nie przeszkadzam?

Pokręcił głową, ponieważ zabrakło mu słów.

Przyszły mu na myśl tysiące powodów mających wytłumaczyć pojawienie się matki Eleonory. Zlustrował ją wzrokiem. Jak zwykle była ubrana na czarno, a więc po ubiorze nie mógł stwierdzić, czy stało się coś tragicznego, a i grymas na jej twarzy, będący bardziej wstydliwą konsternacją niż smutkiem, nie dał mu oczekiwanej odpowiedzi.

– Ależ nie, nie przeszkadza pani. Proszę spocząć. Czy coś się stało? Chodzi o Eleonorę? – Nie mógł się powstrzymać. Musiał zapytać.

– Nie, nie przychodzę z jej powodu ani w jej imieniu, chociaż nie omieszkam nadmienić, że pańska świąteczna przesyłka – notabene córka nie zdradziła, co było w pudełeczku, a ja nie pytałam, nie chcąc być wścibską – bardzo ją ucieszyła. Norcia jest, jak by to rzec, bardziej radosna, podniesiona na duchu. Ale nie to sprowadza mnie do pana, Julianie. Jestem tu z powodu pewnej niedającej mi spokoju sprawy. To w zasadzie prośba.

– Słucham zatem – odpowiedział, nie zdając sobie sprawy, że w jego głosie dało się usłyszeć nutę rozczarowania.

Przyjrzał się Tekli, która także wyglądała na rozczarowaną. Zrozumiał, że nadmieniając o przesyłce, chciała wywiedzieć się o jej zawartość. Nie zamierzał dzielić się z nią tą informacją, skoro nie zrobiła tego Eleonora.

Po krótkim wahaniu Tekla zapoznała Juliana z powodem swojej wizyty. Okazało się, że w Wieliczce wzięła udział w zorganizowanym przez bliskiego znajomego jej kuzynki Agnieszki seansie spirytystycznym. To na nim poznała Adama Rogera hrabiego Raczyńskiego, który będąc we Włoszech, wstąpił do zakonu różokrzyżowców, a po powrocie do kraju urządził w swoim folwarku pod Wieliczką laboratorium alchemiczne. Po kilku nieudanych próbach na jakiś czas zaniechał prowadzonych w nim badań i wyjechał za granicę, gdzie spotkał Aleistera Crowleya. Zafascynowany osobowością i umiejętnościami Crowleya wstąpił do Ordo Templi Orientis. Do domu wrócił niedawno, po kilku latach praktykowania w zakonie, w którym doszedł do stopnia mistrza i maga.

– Spotkałam go kilkakrotnie. Miałam okazję z nim rozmawiać. To fascynujący, natchniony człowiek – emocjonowała się Tekla. – Przed świętami dostałam list od Agnieszki, w którym pisała, że hrabia Raczyński ma kłopoty.

Julian nadstawił uszu. Zgodnie z informacjami Raczyński został poszlakowo oskarżony o morderstwo. Odmawiał wynajęcia adwokata, twierdząc, że jako człowiek niewinny i fałszywie oskarżony nie potrzebuje obrońcy, ponieważ prawda obroni się sama.

– Jak rozumiem, Raczyński został oskarżony przez żonę zmarłego?

– W rzeczy samej. Kobieta ta twierdzi, że Raczyński już od jakiegoś czasu dybał na majątek jej męża. Podobno mężczyzna przepisał swoje dobra właśnie na Raczyńskiego.

– I jak mniemam, kobieta swoje oskarżenia opiera na zamyśle, że nie mogąc się doczekać zgonu darczyńcy z przyczyn naturalnych, hrabia postanowił wykorzystać swoje nadnaturalne umiejętności, żeby ów zgon przyspieszyć?

Tekla skinęła głową.

– Czego pani ode mnie oczekuje, pani Schramm?

– Zapłacę – powiedziała pospiesznie, jakby od tego miała zależeć jego decyzja. Julian pozwolił jej dalej mówić. – Postanowiłam wynająć hrabiemu adwokata, który wyciągnie go z aresztu i oczyści z zarzutów, a ponieważ wiem, że pan, Julianie, jest doskonałym prawnikiem, bez zastanowienia przyszedłam do pańskiej kancelarii.

I tak, nie chcąc odmówić matce Eleonory, Julian przyjął sprawę Raczyńskiego. Z początku uznał ją za nudną i niewartą jego uwagi, ale im bardziej zanurzał się w życiorysie hrabiego i życiorysach osób, z którymi Raczyński przez lata był związany, tym bardziej zaczynał się tą sprawą fascynować.

– Rudolfie. – Julian wszedł do pokoju, który pełnił zarówno funkcję gabinetu Rosenblatta, jak i recepcji. – Czy udało ci się umówić spotkanie z Ludwikiem Karnowskim, referentem z Urzędu Śledczego? – Musiał porozmawiać z tym człowiekiem, jeśli chciał zapoznać się z dowodami zabezpieczonymi na miejscu.

– Czekam na potwierdzenie terminu spotkania. Przypuszczam, że odpowiedź z wyznaczoną datą nadejdzie lada dzień. Udało mi się ustalić, że... – Słowa Rosenblatta zawisły w powietrzu.

Drzwi kancelarii otworzyły się powoli. Julian głęboko odetchnął, widząc stojącą na progu Eleonorę. Odruchowo zerknął na zegar. Było już późno. Zdecydowanie za późno na samotne chodzenie po słabo oświetlonym, a przez to w wielu miejscach całkowicie ciemnym mieście. W ostatniej chwili powstrzymał się przed wytknięciem tego Eleonorze. Nie mógł przecież zacząć długo wyczekiwanego spotkania od strofowania.

– Zapraszam – powiedział, wskazując swój gabinet i robiąc w drzwiach przejście dla Eleonory. – Rudolfie, jest późno. Dokończymy jutro. Wychodząc, zamknij drzwi kancelarii na klucz. Dziś już nie przyjmujemy. – I nie czekając na reakcję asystenta, zniknął w gabinecie, do którego przed chwilą weszła córka Schramma. Stała teraz przy oknie, wpatrując się w ciemność.

– Czekałem – powiedział po prostu.

– Wiem – odparła.

Przez chwilę stali w ciszy, ramię w ramię. W końcu Eleonora odwróciła się od okna i spojrzała

na Juliana.

– Dziękuję. Dziękuję, że odesłałeś pierścionek.

Julian zerknął na jej dłonie. Dziewczyna podążyła za jego wzrokiem.

– Nie, nie noszę go. Jeszcze nie. To pierścionek zaręczynowy i jeżeli go założę, to tylko w takim charakterze, ale nie jestem jeszcze gotowa. Wydarzyło się zbyt wiele, żebym mogła nad pewnymi rzeczami przejść do porządku dziennego.

Zamilkła na chwilę. Julian czekał. Czuł, że Eleonora chce powiedzieć coś ważnego. Nie mylił się.

– Nawet nie wiesz, ile dla mnie znaczy, że mi go zwróciłeś. – Opuściła wzrok, jakby bała się na niego spojrzeć, ale po chwili znów patrzyła prosto na niego. – Tęskniłam za tobą. Nadal tęsknię. – Przynęła się bliżej. Położyła obie dłonie na jego piersi. – Powoli wrócimy do tego, co było, prawda?

Nie odpowiedział, tylko przyciągnął ją do siebie i mocno przytulił. Objęła go ciasno. Julian poczuł spokój, za którym tęsknił od tak dawna.

– To jak powrót do domu po długiej podróży.

\*\*\*

Jan zmierzał do gabinetu wuja, który rano, przy śniadaniu, poprosił go o rozmowę. Był już prawie na parterze, kiedy – po raz kolejny zresztą, bo przecież mieszkał w willi od wielu lat – naszała go myśl, po co wuj kazał wybudować tak duży dom, skoro ostatecznie nie założył rodziny. Już sam parter budynku z powodzeniem mógł zostać podzielony na dwa wygodne mieszkania, oba z przestronnymi kuchniami, w pełni wyposażonymi w najnowsze udogodnienia, łazienkami i osobnymi toaletami, dużymi salonami, sypialniami z własnymi garderobami i nieco mniejszymi gabinetami. Przechodząc przez wewnętrzną klatkę, zerknął w stronę wysokich na prawie dwa i pół metra, szerokich szklanych drzwi, za którymi kryło się jedno z mieszkań. Nieużywane, sporadycznie tylko otwierane i wietrzone. A przecież była jeszcze cała góra, gdzie znajdował się jego pokój oraz łazienka, i niezagospodarowany strych. Szedł powoli, rozglądając się po wnętrzu. W końcu zatrzymał się przed drzwiami gabinetu Dionizego Matuli. Zapukał i po krótkiej chwili wszedł do środka.

Dionizy odłożył trzymany w dłoniach egzemplarz „Ilustrowanego Kuriera Codziennego”.

– Jesteś. To dobrze, bardzo dobrze – odezwał się Matula. – Usiądź, Janku.

– Znowu czyta wujek stare wiadomości? – zapytał Jan, wskazując na leżącą na biurku gazetę.

– A, nie tym razem. Dzisiejsza, świeżutka.

Jan nachylił się, żeby sprawdzić datę. Wuj nigdy nie kupował własnego egzemplarza. Zawsze czytał te, które klienci czasami zostawiali w jego aptece, ale tym razem faktycznie data 12 lutego 1920 roku nie pozostawiała wątpliwości, że Dionizy Matula pokusił się o wydanie osiemdziesięciu halerzy na nowe wydanie „Ikaca”.

– Nie będziemy jednak na razie rozmawiać o gazetach. Dostałem... – Matula przerwał i zerknął na Jana. – Masz mokre włosy. Pada? – Nie czekając na odpowiedź, zerknął w stronę okna, z którego rozciągał się widok na tajemniczy ogród pełen zakamarków i starych, ogromnych drzew, teraz pozbawionych liści, za to przykrytych świeżą warstwą śniegu.

– Nie mogłem się oprzeć pokusie i wzięłem kąpiel. Ten natrysk, który został tak zmyślnie zintegrowany z piecykiem, to doskonale rozwiązanie. Chyba się wujek nie gniewa?

Matula machnął ręką. Wprawdzie Kraków wciąż borykał się z brakiem opału, ale kiedy miało się odpowiednie zasoby finansowe, nie odczuwało się tego zbyt dotkliwie. Do tej pory mogli sobie pozwolić na ogrzewanie domu i korzystanie z udogodnień.

– A więc – zaczął ponownie Dionizy – dostałem kilka dni temu list z warszawskiej kancelarii adwokackiej. Zanim przejdę do meritum, chciałbym zapytać, czy pamiętasz swoich dziadków od strony matki?

Jan zaprzeczył.

– Tak też myślałem. A czy Justyna, to znaczy twoja matka, albo ojciec coś ci opowiadali?



– Nie przypominam sobie. – Jan spojrział na wuja, który przeniósł na krótką chwilę swoją uwagę z listu na stojące na biurku fiolki i buteleczki, niepozostawiające wątpliwości co do jego profesji.

Na ścianie ponad głową Matuli zawieszony był sztandar Towarzystwa Sokół, którego członkiem Dionizy Matula był od wielu lat. Jan zerknął nieco w prawo, aby na kilka chwil zawiesić wzrok na szabli paradnej, kiedyś uzupełniającej strój galowy rajcy miejskiego. Podziwiając elementy wystroju gabinetu, starał się przypomnieć sobie, co o dziadkach usłyszał od matki.

– Może kiedyś mama coś wspominała, ale musiałem być za mały, żeby zapamiętać. Wiem tylko, że kiedy pytałem ją o dziadków, zawsze tak prowadziła rozmowę, żeby ostatecznie ominąć temat i zainteresować mnie czym innym. Po pewnym czasie, kiedy zrozumiałem, że niczego się nie dowiem, przestałem pytać.

– Rozumiem, rozumiem – powiedział Matula. – Musisz zatem wiedzieć, że twoja matka przyszła na świat w bardzo zacnej i bardzo zamożnej rodzinie. Urodziła się i dorastała w szlacheckim dworku pod Warszawą. To były nie tylko stare pieniądze, ale i stara arystokracja, która niestety nie cieszyła się sympatią w towarzystwie. Ba, powiedziałbym nawet, że byli skazani na pewien ostracyzm, a wszystko z powodu twojej babki, która wyszła za mąż za Moskala. Nie wiem, ile w tym prawdy, ale ponoć chodziło o pomnożenie majątku. W każdym razie, niezależnie od pobudek, rzecz to nieprawdopodobna i wielce naganna. Twoi dziadkowie robili wszystko, żeby Justyna mogła wejść do towarzystwa. Nie było łatwo, ale w końcu się udało. Twoja matka była zaręczona z kimś bardzo ważnym i zamożnym. Niestety plany legły w gruzach, kiedy poznała Adama. Musisz wiedzieć, że twój ojciec w młodości przez pewien czas przebywał w Warszawie. Studiował tam. Powiedział mi, że to była miłość od pierwszego wejrzenia. Poznali się na jakimś wykładzie dla panien. Początki ich znajomości były owiane tajemnicą. Oni nie opowiadali, a ja nie pytałem. Zresztą znając Adama... – Matula uśmiechnął się znacząco. – Mój brat zawsze miał romantyczną duszę.

Dionizy westchnął. Jan słuchał uważnie. Po raz pierwszy miał okazję dowiedzieć się czegoś o przeszłości rodziców.

– Kiedy przyjechali do Krakowa bez ślubu, wiedziałem, że to się źle skończy. Justyna uciekła z domu. Obawiałem się pościgu. Drżałem na myśl, że Adam zostanie oskarżony o porwanie, ale najwyraźniej twoi dziadkowie pragnęli tylko jednego: wyciszenia skandalu. Wyrzekli się córki, dlatego nigdy nie miałeś możliwości ich poznać.

– Ale coś się zmieniło, prawda? Bo mniemam, że zaszły jakieś zmiany, skoro poruszamy ten temat? – Jan pochylił się w stronę biurka, błędząc wzrokiem za listem, który Matula trzymał w dłoni.

– Poinformowano mnie, że twoja babka na krótko przed śmiercią zmieniła testament. Pierwotnie wszystko, co było w jej posiadaniu, miało zostać przekazane instytucjom działającym na rzecz bezdomnych i najbiedniejszych oraz na walkę z analfabetyzmem. Ostatecznie jednak Helena Surwiłło dworek w Karpiskach wraz z ziemią, lasem oraz folwarkiem zapisała wnukowi. Tobie, Janku. Tobie zapisała także biżuterię zdeponowaną w banku w Szwajcarii, w należącej do rodziny skrytce. Instrukcje zostaną przekazane tylko osobiście, podczas spotkania w kancelarii braci Adamowskich w Warszawie. Do ciebie należeć będzie także całe wyposażenie dworku wraz z dziełami sztuki i bogatą biblioteką. Na rzecz wspomnianych instytucji Helena Surwiłło zapisała całą żywą gotówkę oraz trzy najcenniejsze obrazy.

– Czy to znaczy, że mam się przeprowadzić do Warszawy? – Jan wstał. Był zdezorientowany. – Nie zamierzam opuszczać Krakowa. – To wszystko, co przychodziło mu do głowy.

Pewnie powinien się cieszyć. Czuć wdzięczność do babki, która przekazała mu majątek, nawet jeżeli nigdy nie miała możliwości poznać wnuka. Ale wszystko, co czuł w tamtym momencie, to złość, że jeden list zburzył cały jego spokój. Czy był niewdzięcznikiem?

– To dla ciebie z pewnością duże zaskoczenie. Dla mnie również. Niemniej jednak musisz zdecydować, czy przyjąć, czy odrzucić spadek. Z takim majątkiem wiążą się obowiązki i odpowiedzialność, ale odrzucenie go, moim zdaniem, byłoby nierozważną. Nie musisz opuszczać Krakowa. Jest mnóstwo sposobów, aby zarządzać majątkiem, nie wyprowadzając się z domu. – Ostatnie słowa Matula mocno zaakcentował.

Jan zatrzymał się pośrodku gabinetu. Może był wściekły, ale nie głupi. Nie mógł sobie pozwolić na odrzucenie majątku. Kiedyś będzie mógł go przekazać swoim dzieciom, które pewnie nie wybaczyłyby mu pochopnej rezygnacji.

– Przyjmuję majątek, ale na razie są ważniejsze rzeczy niż pieniądze.

– Co masz na myśli? – Matula badawczo zerknął na bratanka.

– To – powiedział Jan, podając wujowi gazetę otwartą na stronie prawie w całości poświęconej konfliktowi z Rosją. – Dziennikarze zastanawiają się: wojna czy pokój. Trwa zawieszenie broni. Negocjacje. Ale obaj wiemy, albo czujemy, że nasz rząd nie zgodzi się na propozycje dyktowane przez czerwonych. Wojna zacznie się na nowo. W miejscu, w którym się zatrzymała. Zastanawiam się...

– Nie myślisz chyba zaciągać się do wojska?

– Właśnie nad tym się zastanawiam. Jeżeli zajdzie taka potrzeba.

– Posłuchaj. – Matula wyszedł zza biurka i położył dłonie na ramionach Jana. Spojrzał mu prosto w oczy. – Dość już przeżyłeś. Tak naprawdę jeszcze na dobre nie doszedłeś do siebie. Proszę cię, żebyś dobrze się nad tym zastanowił. Jesteś moją jedyną rodziną. – I nie czekając na odpowiedź bratanka, wyszedł z gabinetu, cicho zamykając drzwi.

Jan westchnął. Nie takiej rozmowy się spodziewał, kiedy wuj poprosił go o spotkanie. Sądził, że będą mówić o jego planach związanych z nauką oraz możliwością zaciągnięcia się do armii. Kiedy wybuchła wielka wojna, miał osiemnaście lat. Chciał studiować. Myślał o historii. Latem 1914 zaczęło się piekło, którego częścią stał się na długie cztery lata. Kiedy rok temu wrócił do domu, nie myślał o przyszłości. Liczyła się tylko terażniejszość, ale w końcu zaczął się zastanawiać, co chciałby robić w życiu. Studiowanie historii było romantyczne i wciąż bardzo kuszące, ale nie był już tym samym człowiekiem i wiedział, że pragnienie to już na zawsze pozostanie tylko wspomnieniem. Musiał myśleć racjonalnie i długofalowo. Inaczej bez mrugnięcia okiem odrzuciłby spadek.

\*\*\*

Jan Schramm rozejrzał się po swoim gabinecie. Wciąż jeszcze nie mógł oswoić się z myślą, że umowa dotycząca wykupu jego banku przez Bank Komercyjny, którą podpisał w ubiegłym roku, stała się faktem z końcem stycznia. Część pieniędzy ze sprzedaży włożył w nowe przedsięwzięcie, a on sam z właściciela i prezesa awansował na wiceprezesa zasiadającego w Radzie Nadzorczej, do której należeli także inżynier Karol Rolle, pełniący funkcję prezesa, Tadeusz Epstein, z którym Jan znał się od lat i z którym współpracował między innymi przy rozbudowie walcowni w Borku Fałęckim, oraz czterech innych członków.

Początkowo zakładano, że w Banku zostaną ulokowane tylko rodzime aktywa, ale kiedy Jan z wiarygodnego źródła dowiedział się o możliwości przejęcia za akcje polskie oddziałów wiedeńskiego Merkurbanku, Rada Nadzorcza nie wahała się ani chwili. W efekcie przedsięwzięcie było dopinane na ostatni guzik, a oddziały Merkurbanku w Krakowie i Lwowie miały niebawem przejść pod całkowitą kontrolę Banku Komercyjnego.

– Gratuluję znakomitego wyczucia – powiedział Karol Rolle, podsuwając Janowi humidor z cygarami. Po cygaro sięgnął także Tadeusz Epstein, biorący udział w spotkaniu.

– To doskonałe posunięcie. W końcu w skład koncernu Merkurbanku wchodzi fabryki Zieleniewskich. O ile mi wiadomo, swego czasu otwierali w twoim banku, Janie, linię kredytową, nieprawdaż?

Schramm skinął głową.

– Nie zapomnij, Karolu, o cukrowni Chybie, hucie szkła w Szczakowej i hucie żelaza w Krakowie – dodał Tadeusz, zapalając cygaro.

A teraz, pod koniec lutego, kiedy zima wciąż skuwała Kraków mrozem, Jan z okien gabinetu na pierwszym piętrze kamienicy Pinocińskiej pod numerem 15 spoglądał na kościół św. Wojciecha oraz na zatłoczoną ulicę Grodzką, która otwierała się niczym delta Nilu na Rynek. Zerknął na wskazówki stojącego w rogu zegara. Ciężkie wahadło bujało się rytmicznie z prawa na lewo i z powrotem.

Dochodziła trzynasta. Akurat podszedł do ciężkiego, zabytkowego biurka, które kazał przetransportować ze swojego starego gabinetu, kiedy jego asystent zapukał do drzwi.

– Proszę. – Głos Jana poniósł się przez pokój.

– Panie prezesie, pani Goldbaum.

– Jak miło panią widzieć, Frau Goldbaum. – Jan wyszedł gościowi naprzeciw, by pełniąc nową funkcję, powitać go oficjalnie w nowej siedzibie.

Wdowa podała Janowi rękę na powitanie. Chwilę później siedziała już w wygodnym fotelu i słodziła przyniesioną kawę, podaną w eleganckich porcelanowych filiżankach.

– Czyżby porcelana z Wiednia? – zapytała, przyglądając się zastawie.

– Ależ skąd – zachnął się Jan. – Nasza, z Ćmielowa. Zastanawiamy się nawet, jako bank, nad zakupem fabryki. Kto wie, co przyniosą prowadzone rozmowy? – Schramm sięgnął po swoją filiżankę, przesuwając przy okazji w stronę Idy talerzyk, na którym ułożono fikuśne pralinki. – Proszę się częstować. To od Wierzynka. Ja najbardziej lubię te. – Mówiąc to, wskazał na cukierki w kształcie bezułek. – Ale słyszałem, że i te okrągłe nie mają sobie równych. To ciemna czekolada skrywająca nadzieje alkoholowe na bazie śliwowicy Wierzynka.

– Jeszcze nie przeszliśmy do interesów, a już mam ochotę powiedzieć, że interesy z panem, Janie, to sama słodycz. – Ida uśmiechnęła się filuternie, częstując się pralinką w kształcie krwistoczerwonych ust. – Proszę skosztować. Kolor sugeruje owoce, a w środku, zamiast truskawek albo malin, prażone orzechy.

Przez pewien czas, potrzebny na wypicie podanej kawy, siedzieli w milczeniu, delektując się ciemnym, mocnym i aromatycznym trunkiem. Gorzki smak przełamywali słodkością pralinek.

– Więc co panią do mnie sprowadza, Ido? – zapytał w końcu Schramm.

– Już jakiś czas temu zdecydowałam się na stałe osiaść w Krakowie i z tego też względu kilka moich ostatnich wizyt w Wiedniu miało charakter czysto biznesowy. Zamknięcie wszystkich spraw, jakimi zajmował się mój mąż, nie było łatwym przedsięwzięciem, nawet jeśli korzystałam z usług najlepszej wiedeńskiej kancelarii prawniczej. Niemniej udało się wszystko załatwić. Nie byłabym jednak sobą, gdybym osiadła na laurach, chociaż takie moje prawo, żeby żyć i korzystać z tego, co wypracował mój świętej pamięci mąż. Mimo to nie wyobrażam sobie, żeby jego praca poszła w zapomnienie. Będąc więc ostatnio w Wiedniu, zaszłam do Cemblinera i Nemetschka z Godina, którzy znani są w świecie ze swoich wyrobów jubilerskich. Szukałam u nich czeladników, którzy za niedługo rozglądać się będą za pracą w zawodzie. Zamyśliłam sobie bowiem, że stworzę tu, w Krakowie, sklep jubilerski, a może nie poprzestanę na jednym tylko, może z czasem powstanie cała ich sieć, która dorównywałaby tym wiedeńskim.

Jan pokiwał ze smutkiem głową.

– Swego czasu Kraków szczycił się wyrobami najwyższej próby, wychodzącymi spod zręcznych palców Władysława Glixelliego oraz jego pracowników. Właśnie on wykonał berło, które rada miasta wręczyła Janowi Matejce. Niestety, kiedy Glixelli zmarł, jego następcy nie potrafili unieść ciężaru jego sławy i sztuki.

– Upatrzyłam już sobie lokal, tu, w okolicach Starego Miasta. Przejdzie remont. Nie godzę się na półśrodki. Otwarcie sklepu ma być wielkim wydarzeniem, o którym będą pisać gazety i o którym mówić się będzie na salonach. Trochę czasu zajmą prace, potem przygotowanie odpowiedniej kolekcji.

– A zatem otwarcie nie nastąpi w tym roku?

– Ależ nie. Jeżeli zdążę na przyszłe lato, będę mogła odtrąbić sukces. – Ida się zaśmiała. – Jednak nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło. Byłam w Urzędzie Probierczym. Miałam nadzieję, że obowiązują standardy austriackie, to znaczy wyroby złote czworakiej próby ustalone na 8, 12, 18 i 20 karatów i srebro dwojakiej, czyli 13 i 12. Urzędnik powiedział mi jednak, że Główny Urząd Probierczy z siedzibą w Warszawie pracuje nad polskimi standardami, nie może bowiem być tak, że niepodległe państwo posiłkuje się wyznacznikami stosowanymi przez zaborców, jak dodał na odchodnym. – Ida mówiła nieco głośniejszym głosem. Najwyraźniej wizyta w urzędzie mocno ją zbulwersowała.

– Cieszę się bardzo z planów, ale pozwolę sobie zapytać, jaką rolę dla naszego banku pani widzi,

Frau Goldbaum? – zapytał Jan, zastanawiając się nad celem tej wizyty.

– Bynajmniej nie chodzi o kredyt, jak mógłby pan pomyśleć, Janie. Pragnę wynająć skrytkę bankową. Pojemną, bardzo pojemną skrytkę. Przed tym jednak chciałabym zobaczyć, w jakich warunkach przechowywane będą złoto i szlachetne kamienie, jakie pragnę tu zdeponować.

– Zapewniam, że skarbiec ma najnowsze zabezpieczenia. Inni klienci...

– Nie interesuje mnie opinia innych klientów. – Ida weszła Janowi w słowo. – Wartość tego złota i kamieni będzie ogromna. To mój majątek i nie zamierzam polegać na zdaniu innych klientów. Tylko moja opinia się liczy. Chciałabym zobaczyć skarbiec. Dopiero potem będę gotowa podpisać długoterminową, owocną dla waszego banku umowę. Proszę to zaaranżować.

Po tych słowach Frau Goldbaum wstała, podając Janowi dłoń na pożegnanie. Uścisk miała pewny i silny. Niemal męski. Jan wiedział już, że prowadzenie z nią interesów nie pozostawia złudzeń. Może i była kobietą, ale kiedy przychodziło negocjować, stawała się twardym graczem. Tak jak teraz.

Za Idą stały wielkie pieniądze i ogromne możliwości ich pomnożenia. Schramm podjął decyzję. Zrobi wszystko, aby pozyskać jej aktywa dla Banku Komercyjnego.

## Rozdział 14

– Gdzie Eleonora? – Tekla Schramm stała w oknie kamienicy Pod Irysami. Zerknęła pytająco na Stefanię, która dołączyła do matki przed chwilą. – Myślałam, że razem z nami zechce wziąć udział w wiecu.

– Jest w pracy.

Stefania nie rozwijała tematu. Kwaśna mina matki i tak mówiła wszystko. Kiedy Tekla Schramm dowiedziała się, dla kogo pracuje jej starsza córka, w domu wybuchła awantura, zakończona polubownie tylko dzięki interwencji ojca. Od tamtego dnia Schrammowa omijała temat pracy Eleonory, udając, że córka w dalszym ciągu dyżuruje w szpitalu na św. Filipa.

– Swoją drogą, może zamiast wystawać w oknie, ubierzemy się i dołączymy do pozostałych? – Stefania skinęła głową w stronę nieprzebranych tłumów, jakie zebrały się na krakowskim Rynku 1 marca 1920 roku. – Wtedy będziemy mogły powiedzieć, że brałyśmy udział w wiecu, a tak jesteśmy tylko widzami.

– Jak chcesz, to idź. Ja wolę zostać w domu. – Tekla odwróciła się ku oknu, dając córce do zrozumienia, że temat uważa za zamknięty.

Stefania westchnęła. Przez krótką chwilę dotrzymywała matce towarzystwa. W końcu jednak podjęła decyzję, że woli wziąć czynny udział w tak doniosłym wydarzeniu, niż tylko przyglądać mu się z daleka. Szybko nałożyła płaszcz, na głowę naciągnęła berecik, a do rąk – na wszelki wypadek – wzięła rękawiczki. Grubym szalem, który otrzymała od panny Bronisławy, owinęła szyję.

– Wychodzę – krzyknęła z przedpokoju i nie czekając na odpowiedź matki, wyszła z domu i zbiegła po schodach.

Tym razem jej wzrok ani na chwilę nie zatrzymał się na cudownym fresku przedstawiającym irysy, swego czasu namalowanym przez jedną z uczestniczek kursów Baraneum.

Przed kamienicą, tak jak wszędzie, kłębiły się setki ludzi, którzy zapragnęli wziąć czynny udział w wiecu dla poparcia jedności ziem polskich. Już wczoraj do Krakowa zjechały pierwsze pociągi wypełnione po brzegi mieszkańcami południowych regionów Śląska. Dziś z samego rana nadjechały kolejne. Z Cieszyna, Bogumina, Chybia, Zabłocia, Skoczowa, Rychwałdu, Istebnej i wielu innych miejscowości. Do mieszkańców Krakowa zebranych na Rynku Głównym dołączyła ponad dziesięć tysięcy delegacja ze Śląska.

Stefania rozejrzała się na prawo i lewo, szukając miejsca, z którego miałyby najlepszy widok. Niestety wszędzie widziała tylko morze głów. Za żadne skarby nie wróć do domu, pomyślała, oczami wyobraźni widząc tryumfującą minę matki.

– Przepraszam, przepraszam. – Powoli przesuwała się do przodu. Jeżeli zaszła taka potrzeba, przepychała się, używając łokci.

Z niewinną miną, kiwając przepraszająco głową, parła przed siebie, niezniechęcona krzywymi grymasami na twarzach tych, których zostawiała z tyłu. W końcu jej oczom ukazało się podwyższenie, z którego na zebrane masy spoglądał prezes Akademii Umiejętności.

– Zebraliśmy się tutaj, aby Ślązaków przekonać – mówił mocnym głosem sędziwy doktor Morawski – że za nimi stanie cały naród w jednym szeregu, z gorącym uczuciem, a w razie potrzeby nawet męstwem.

Morawski zrobił krótką przerwę, a zebrany tłum od razu ją wykorzystał. W powietrze uniosły się okrzyki poparcia, gwizdy na wiwat i zapewnienia o słuszności wypowiedzianych słów.

– Sąsiedzi nasi łapczywi na skarby nasze pod ziemią chcą się załatwić z nami w sposób brutalny, pruski. Nasze główne skarby na Śląsku to żywi ludzie...

Na te słowa wrzawa zerwała się niesamowita. Do wiwatujących dołączyła Stefania. Już wcześniej czuła wzbierające w niej wzruszenie, które teraz wraz z przyływem emocji wybuchło, spływając po policzkach strumieniem łez.

– Kto by pomyślał, że tak szczupła kobieta potrafi się przepychać z takim nieprzejednaniem? –

Jan nachylił się w stronę stojącej przed nim Stefanii.

– Jan? – Schrammówna odwróciła się gwałtownie, słysząc znajomy głos szepczący wprost do jej ucha. – Jak mnie znalazłeś w tym tłumie?

– Pomyślałem, że zechcesz zobaczyć to na własne oczy. Tak jak ja. Przyszedłem tu z samego rana, kiedy ludzie dopiero się zbierali, a ponieważ większość poszła najpierw na dworzec, chcąc zobaczyć pociągi przywożące delegatów ze Śląska, mogłem wybrać miejsce. Stałem więc nieopodal wejścia do waszej kamienicy. Zerkałem w jego kierunku co chwila i tak cię wypatrzyłem. Wołałem, ale w tej wrzawie nie słyszałaś. Nie zauważyłaś też, kiedy machałem do ciebie. Trochę czasu zabrało mi przedarcie się tutaj. Nie powiem, żeby to była łatwa rzecz. – Jan uśmiechnął się szeroko. – Ale opłacało się. – Mówiąc to, wyciągnął dłoń i delikatnie dotknął policzka Stefanii, po którym jeszcze przed chwilą płynęły łzy.

– To z emocji. Tyle radości i zapewnień, że jesteśmy razem. A ja łatwo się wzruszam – tłumaczyła Stefania, wstydząc się nieco, że przyłapał ją na tej chwili słabości.

– Sam czuję gulę wzruszenia w gardle. Nie da się pozostać obojętnym na to, co się tu dziś dzieje.

Jeszcze przez jakiś czas stali w wiwatującym tłumie, który pożegnał doktora Morawskiego burzą oklasków i taką samą burzą przywitał następnego mówcę.

– Kochany polski ludku, jestem Borowiak z Orawy. Szanowna inteligencyjo i społeczeństwo całe pospólstwo proszę...

– Przejdźmy się. – Jan znów pochylił się nad Stefanią, odrywając ją od wysłuchania dalszych słów Borowiaka. Podał jej ramię; chciał jak najszybciej wyprowadzić ją z tłumy.

– Dobrze – odpowiedziała, ale zamiast wziąć go pod rękę, zamknęła swoją małą dłoń w jego, dając się prowadzić przez niechętnie rozstępujący się przed nimi tłum.

Niebo, które jeszcze pół godziny wcześniej zasłane było ciemnymi, ciężkimi chmurami zwiastującymi opady śniegu, teraz zaczęło się rozporządzać. Wiatr przegnał brzemienne w biały puch obłoki. Ich oczom ukazało się czyste błękitne niebo. Szli powoli, w milczeniu, każde pogrążone we własnych myślach.

– Niedawno rozmawiałem z wujem na temat przyszłości. – Pierwszy odezwał się Jan. – Zanim zaczęła się wojna, chciałem studiować. Zamierzałem zostać nauczycielem, tak jak mój ojciec, ale potem świat pogrążył się w chaosie, a ja razem z nim. Kiedy powiedziałem wujowi, że muszę zacząć pracować, nawet nie chciał o tym słyszeć. Powiedział, że jestem młody. Niebawem skończę dwadzieścia cztery lata. Sytuacja życiowa daje mi szansę na wykształcenie. Przemyślałem jego słowa. Wuj ma rację. Byłbym głupcem, gdybym nie wykorzystał tej okazji.

– Mój ojciec wierzy w wykształcenie, dlatego nigdy nie zabraniał nam, mnie i Eleonorze, uczyć się. Nigdy, nawet kiedy matka biadoliła, że zostaniemy starymi pannami, bo żaden mężczyzna nie będzie chciał żony mądrzejszej od niego, nie tłamsił w nas, a szczególnie w Eleonorze, marzeń o zdobyciu wykształcenia i chęci zgłębiania wiedzy. Zresztą miałyśmy orędownika także w wuju Władysławie, bracie matki, który jest profesorem na naszym uniwersytecie. Ojciec często powtarzał, że chociaż zabezpieczył nas materialnie, życie lubi płatać figle. Dziś jesteśmy bogaci, jutro możemy stać się nędzarzami, a wykształcenia i wiedzy nikt nigdy nam nie zabierze i one mogą nas w ciężkich czasach uratować.

– Ja...

Jan miał ochotę podzielić się ze Stefanią informacjami o spadku, ale sprawa wciąż była otwarta i żadne prawne decyzje jeszcze nie zapadły. Mogło się okazać, że jednak nie otrzyma majątku, dlatego mimo obojętności opowiedzenia o wszystkim dziewczynie powstrzymał się od tego.

– Ja też tak uważam – powiedział w końcu, widząc, że Stefania bacznie go obserwuje. – Mam zamiar złożyć papiery na Wydział Filozoficzny, na którym w tym roku zorganizowano oddział farmaceutyczny. Studia trwają tylko trzy lata. Pewnie będą to trzy ciężkie lata, bo czego można się spodziewać po nauce technologii chemicznej, chemii fizycznej i farmacji stosowanej?

Stefania roześmiała się na te słowa.

– Studia zaczynają się na jesieni, nieprawdaż?

Jan skinął głową.

– A zatem lepiej, żebym namalowała twój portret już teraz, bo kiedy zaczniesz studiować, po pierwsze czas będzie dla ciebie na wagę złota, a po drugie zmęczenie sprawi, że zbrzydniesz, panie Janie. Czy jesteś gotowy pozować? – Stefania zatrzymała się na wysokości domu Matejki. Jan zerknął ponad jej ramieniem na widoczną w oddali Bramę Floriańską skąpaną w promieniach marcowego słońca.

– Czekałem tak długo, że już straciłem nadzieję, że kiedyś spełnisz swoją obietnicę. Kiedy i gdzie tylko zechcesz.

Stefania zarumieniła się delikatnie. Nie potrafiła flirtować bez zażenowania, chociaż bardzo tego chciała.

– Powiadomię pana w stosownej chwili – odparła zaczepnie, a potem wskazała na kamienicę za plecami młodego Matuli. – Wejdziemy? Mieszkam w Krakowie całe życie i nigdy nie byłam w domu mistrza.

Jan z chęcią przystał na propozycję, chociaż już wcześniej bywał w domu Matejki. Pierwszy raz przyszedł tu z matką. Przyjechali na kilka dni do wuja Dionizego, który z powodu choroby poprosił ojca Jana o pomoc w doglądaniu apteki. Chwile, które spędził wówczas z matką, na zawsze pozostały w jego pamięci. Potem był w muzeum jeszcze dwa razy. Za drugim dał się tu zaprowadzić ojcu, któremu nie powiedział, że zwiedzał już te mury. Ostatni raz zawitał w domowe pielesze mistrza Matejki z wujem, który chcąc odwrócić jego uwagę od smutku i tęsknoty za zmarłymi rodzicami, oprowadzał go po Krakowie i opowiadał o mieście ciekawe historie.

Właśnie gdy Stefania zatrzymała się przy gablocie, w której eksponowano korespondencję Matejki, między innymi z Henrykiem Sienkiewiczem, Jan przypomniał sobie pewną opowiedzianą mu przez wuja anegdotę.

Wziął Stefanię pod ramię i pociągnął ją w stronę obrazu przedstawiającego wnętrze grobu Kazimierza Wielkiego.

– To takie piękne – westchnęła Stefania. – A jednocześnie poruszające. Patrząc na tę czaszkę z królewską koroną, czuję dreszcze na całym ciele. Oczami wyobraźni widzę żywego człowieka. Majestatycznego, władczego, którego, jak mówią przekazy i legendy, kochali poddani. Nawet jego nie oszczędził czas. Przytłaczająca jest świadomość, że kiedyś wszyscy będziemy tak wyglądać. Z koroną czy bez. – Stefania westchnęła raz jeszcze, głęboko, przejmująco.

– Opowiem ci pewną anegdotę. Radosną, żeby pozbyć się tej melancholijnej atmosfery. Jak wiesz, Matejko malował dla Polski. Dla podkreślenia jej wielkości. Dla pokazania historii. Naszych zwycięskich bitew, które sprawiały, że wrogowie padali na kolana przed naszymi władcami. Nie poważał malowania krajobrazów, martwej natury czy portretów, o ile nie przedstawiały ludzi zasłużonych dla naszego kraju albo członków jego rodziny. Pewnego razu na zajęciach zauważył, że jeden ze studentów odważył się sprofanować wyznawane przez niego świętości i namalował krajobraz. Piękną aleję, obsadzoną z obu stron bujnymi drzewami w pełnym rozkwicie. Podeszedł szybko do studenta ze srogą miną i zwrócił się do niego niewróżącym nic dobrego tonem. Zapytał, czy to coś, co zostało namalowane, miało jakikolwiek związek z historią. – Przerwał. Stefania patrzyła na niego z niecierpliwością, czekając na dalszy ciąg.

– No, nie strój sobie żartów. – Pociągnęła Jana za rękę. – I co odpowiedział student?

– Że i owszem, ścieżka, na którą patrzył mistrz, była bardzo ważna. Przemierzał ją bowiem, po wyjściu z ukrycia, Łokietek, wracając do Krakowa.

– I co Matejko na to?

– Tego nie wiem, ale mam nadzieję, że student zachował indeks i swoje miejsce. Zasłużył na to szybką i zgrabną ripostą.

Spacerowali jeszcze przez jakiś czas po domostwie malarza. Przejrzeli kolekcję autografów sławnych ludzi, fotografie autorstwa Matejki, szkice, zbiór militariów i dawnych ubiorów. Na dłużej zatrzymali się przy gablocie z kopiami regaliów Kazimierza Wielkiego według szkiców Matejki, który miał zaszczyt być obecny podczas otwierania grobu króla.

Kiedy opuścili muzeum, po ulicach spacerowali ludzie, którzy wcześniej przysłuchiwali się wystąpieniom delegatów wiecu. Jan podał Stefanii ramię.

– Zrobiło się chłodno. Odprowadzę cię do domu – zaoferował. Przytaknęła.

– Przygotuj się zatem. Niebawem zostaniesz moim modelem – zagaiła po pewnym czasie. Zbliżali się już do kamienicy Pod Irysami.

– A więc teraz spotkanie nasze będzie zainicjowane, a nie przypadkowe? Czy to zmienia charakter naszej znajomości? – W oczach Jana pojawił się nieznany błysk.

– Wszystko zależy od tego, jakim okażesz się modelem.

– Kiedy i gdzie?

Jan podszedł bliżej. Pomyślał, że Stefania odsunie się o krok, ale ona nawet nie drgnęła. Uniosła tylko głowę, żeby spojrzeć mu w oczy.

– Dopracuję szczegóły i powiadomię przez ekspresa. – Odwróciła się i już chciała wejść do sieni, ale pod wpływem spontanicznej decyzji zatrzymała się w pół kroku.

Podeszła z powrotem do Jana. Stała na palcach i przysunęła swoje wargi do jego ust. Pocałunek był krótki i delikatny, ale sprawił Janowi prawdziwą przyjemność.

– To za cudowny dzień, który wcale się na taki nie zapowiadał – szepnęła i już jej nie było.

\*\*\*

– Nie pamiętam, żeby w dzień powszedni pozamykano sklepy i zakłady usługowe. Pamiętam za to, jak ojciec burzył się, kiedy niedawno w Boże Narodzenie fryzjerzy zamknęli się na klientów, chcąc świętować z rodzinami – mówiła Eleonora podczas spaceru w towarzystwie Juliana.

Był piątek, dziewiętnasty marca, i po raz pierwszy jak kraj długi i szeroki radośnie obchodzono imieniny Naczelnika.

– Moja matka starała się namówić ojca na wyjazd do Częstochowy. – Julian podał Eleonorze ramię i przyciągnął ją nieco do siebie. – Jednak ojciec nie czuje się ostatnio zbyt dobrze, więc zdecydowanie odmówił. W końcu Rozalia zmiłowała się nad matką, słysząc jej utyskiwania, co zresztą bardzo nas zdziwiło, bo nie pamiętam, żeby hrabina Michałowska należała do osób przesadnie religijnych. Co więcej, zdawało mi się, że matka zawsze unikała zbyt częstego chodzenia do kościoła, nie darząc kleru zbyt dużą sympatią. Jej negatywne emocje brały się ponoć z dzieciństwa. Nie wiem jednak nic więcej, a pytać nie zamierzałem i nie zamierzam. Moje stosunki z matką nie są w ostatnich czasach dobre. Można powiedzieć, że są oziębłe.

Julian przerwał na chwilę. Wciąż miał matce za złe, że pozwoliła sobie wtrącać się do jego życia. Na to wspomnienie na jego twarzy pojawił się grymas niezadowolenia. Eleonora czekała na dalsze wyjaśnienia, ale zamiast tego młody hrabia podjął wątek Rozalii.

– Tak więc moja siostra, chociaż też nigdy nie była zbyt blisko z matką, o czym doskonale wiesz, zgodziła się towarzyszyć jej w podróży na Jasną Górę. Mam wrażenie, że czuje się nieco samotna, chociaż za nic w świecie nie przyznałaby się do tego. Z drugiej strony, kiedy podnoszę temat Tojewa, ucina wszelkie dyskusje.

Dłuższy czas milczał, zapatrzony przed siebie. Eleonora uszanowała panującą między nimi niekrepującą ciszę.

– Mieli wziąć dziś udział w mszy, która... – Podejmując wątek wyjazdu, Julian zerknął na zegarek. Dochodziła dziesiąta trzydzieści. – ...która pewnie ma się już ku końcowi i która miała zostać odprawiona u szczytu kaplicy. Do Krakowa zamierzają wrócić jutro wieczorem. Dziś pragnę jeszcze zobaczyć po zmroku przemarsz wojsk w świetle ogni bengalskich. Dziwię się, że nasze miasto nie przygotowało żadnych atrakcji. Gdyby nie piękna pogoda, wszyscy ci ludzie zostaliby w domach. – Planty, na które zabrał Eleonorę zaraz po śniadaniu, były oblegane przez złaknionych promieni słonecznych krakowiaków.

– Nie miałam pojęcia, że Rozalia wyjechała – powiedziała Eleonora, patrząc na profil Juliana.

Wydawało jej się, że Michałowski jest niczym wino. Z wiekiem stawał się przystojniejszy



i bardziej męski. Miał w sobie coś nieuchwytnego, co zachwycało i sprawiało, że chciało się wciąż na niego patrzeć. W końcu odwróciła wzrok.

– Dawno się nie widziałyśmy, czego szczerze żałuję, ale praca u doktora Kurkiewicza zabiera mi prawie cały wolny czas. Doktor chorował dość długo i teraz, kiedy czuje się znacznie lepiej, zarzuca mnie wspomnieniami, które muszą być gotowe zawsze następnego dnia, aby mógł je raz jeszcze przeczytać i w razie potrzeby skorygować. Mówi, że musimy się spieszyć, bo nie zostało mu już dużo czasu. Powiedziałam, żeby nie żartował, ale on jest święcie przekonany, że jego dni są policzone. Mimo tego nie zwalnia tempa i oprócz spisywania wspomnień każdego dnia przyjmuje liczne grono pacjentek.

Julian skrzywił się na wzmiankę o Kurkiewiczu. Słyszał o nim co nieco i nie były to mowy pochwalne. Większość ludzi, z którymi rozmawiał na jego temat, a było ich trochę, ponieważ chciał się dowiedzieć o doktorze jak najwięcej, uważała go za perwerta i znachora, zaślanającego się prowadzeniem rzekomych badań, by słuchać pikantnych historyjek opowiadanych przez młode, niewinne i naiwne dziewczęta. Tylko nieliczni sądzili, że to, co dziś postrzegane jest jako zboczenie i dziwactwo, kiedyś będzie stanowiło podstawę do dalszych badań naukowych nad ludzką, a w szczególności kobiecą seksualnością.

– Chciałem już o tym z tobą porozmawiać wcześniej, ale nigdy nie było okazji. Pewnie dziś też nie jest na to najlepszy czas, ale...

– Nie podoba ci się, że pracuję dla Kurkiewicza. – Eleonora weszła Julianowi w słowo. – Wiem o tym od dnia, w którym wspomniałam, że tak jest. Nie potrafiłeś zamaskować negatywnych emocji, kiedy padło nazwisko doktora. – Przystanęła, zabierając swoją dłoń, która do tej pory spoczywała na przedramieniu hrabiego. – Przyjmuję to do wiadomości. Masz prawo do swojego zdania, ale to nie oznacza, że wezmę je pod rozwagę. Pracowałam dla Kurkiewicza, pracuję i zamierzam nadal pracować, czy tobie lub mojej matce się to podoba, czy nie. Nie jestem jego pacjentką. Ba, nawet nie zaglądam do gabinetu, w którym przyjmuje. Nie wiem, o czym rozmawia z tymi kobietami, tak jak ty tego nie wiesz. Więc proszę cię, nie rozsiewaj plotek i fałszywych pogłosek, bo takie zachowanie nie przystoi nikomu, a już w szczególności hrabiemu. Łatwo kogoś pomówić. Ludzie uwielbiają pikantne historyjki. Trudno potem wymazać z ich pamięci słowa, które okazały się kłamstwem. Dotąd doktor nie zrobił niczego, co w moich oczach stawiałoby go w złym świetle. I proszę cię, Julianie, nie podejmujmy już więcej tego tematu. Jeżeli zrezygnuję z pracy u Kurkiewicza, będzie to tylko moja decyzja. Suwerenna, podjęta bez nacisków.

Po tych słowach, nie czekając na odpowiedź Michałowskiego, Eleonora ruszyła wolno przed siebie, kierując się w stronę Siennej. Julian podążył za nią. Przez dłuższy czas szli w milczeniu. Eleonora zatrzymała się na skrzyżowaniu Siennej ze Stolarską.

– Czy wiesz, że kiedyś na zbiegu tych ulic była Szkoła Archiprezbiterialna Najświętszej Panny Marii? – zapytał Julian, przerywając ciszę. Schrammówna spojrzała na niego zaskoczona. Uśmiechnął się z wyższością i mrugnął do niej zawadiacko.

– Wiedza nie jest czymś, co masz na wyłączność. A zatem nie wiedziałas?

Eleonora przytaknęła.

– Powszechnie mówiono o niej: szkoła Panny Marii. Gotycki gmach został ufundowany przez Odrowąża w XIII wieku. Z czasem obwiedziono go solidnym murem, który znacząco zmniejszył prześwit Siennej. I to właśnie ten mur doprowadził do ruiny cały budynek. Sto lat temu zdecydowano o wyburzeniu muru i szkoły, żeby zrobić miejsce dla przejazdu wozów konnych przez Mały Rynek aż do Nowej Bramy. I tak po szkole Panny Marii dziś zostało tylko wspomnienie.

– Żałuję, że nie możemy zobaczyć miasta takiego, jakim było kiedyś. Dwieście, trzysta, a nawet tysiąc lat temu. Jakież to musiałyby być ekscytujące, chodzić ulicami tamtego Krakowa!

– Marzenie jak najbardziej romantyczne, ale tylko wtedy, kiedy pozostaje w sferze marzeń. Szczerze wątpię, żeby spodobał ci się średniowieczny Kraków. Chociaż chcemy wierzyć, że nasze miasto było i jest wyjątkowe, zapewne tak jak i gdzie indziej ulicami płynęły ścieki, śmierdziało i było bardzo niebezpiecznie.

Eleonora się zaśmiała.

- Te gorzkie słowa zniszczyły moją dziecięcą naiwność.
- A zatem, żeby osłodzić nieco tą gorzką pigułkę, zapraszam na spacer szlakiem słodkości.

I nie czekając na odpowiedź Eleonory, wziął ją za rękę i pociągnął w kierunku kamienicy Kencowskiej. Nie bez trudu, ale w końcu udało im się usiąść przy jednym ze stolików w cukierni U Maurizia. Na początek zamówili po pączku z różą i po filiżance gęstej słodkiej czekolady.

– Uwielbiam tutejsze pączki. Mogłabym się nimi zajadać codziennie. Tylko próżność mnie przed tym powstrzymuje.

Przechodzący obok ich stolika mężczyzna z ciekawością zerknął na Eleonorę. Julian posłał mu znaczące spojrzenie.

– W takim razie nie ma nic lepszego na poprawę trawienia jak malutki sznapsik. Co wybierasz? Morelówkę, dereniówkę, a może żubrówkę? Chociaż nie, poczekaj. – Julian powstrzymał Eleonorę przed wypowiedzeniem życzenia. – Polecam słynną pomarańczówkę.

Zamówili po kieliszeczku pomarańczówki i wzniesli toast za zdrowie oraz pomyślność.

Pokusili się jeszcze o odwiedzenie cukierni Lwowskiej, gdzie Eleonora zamówiła ciastko nazwane na cześć Paderewskiego, zaś Julian poprosił o carmen. Ani się spostrzegli, kiedy wybiła szesnasta.

Julian odprowadził Eleonorę. Gdy dotarli do kamienicy Pod Irysami, zatrzymali się przed freskiem pełnym kwitnących kwiatów.

– Dziękuję za cudowny dzień – powiedziała Eleonora, zbliżając się do Juliana. Położyła mu dłoń na piersi i nieco wspięła się na palce. Pocałowała go delikatnie, powoli. Najwyraźniej musiała go zaskoczyć, ponieważ w pierwszej chwili Julian nie oddał pocałunku, co sprawiło Eleonorę w konsternację. Już chciała się odsunąć, kiedy przyciągnął ją do siebie, zamykając w ciasnym uścisku. Delikatny pocałunek stawał się coraz bardziej namiętny, natarczywy. Usta Juliana nacierały na wargi Eleonory, zmuszając ją, aby lekko je rozchyliła. Hrabia czuł narastające podniecenie. Pragnął Eleonory. Poza tym od dawna nie był z kobietą. Nie żeby żył w celibacie. Starał się jednak ograniczać do minimum swoje kontakty cielesne.

Czekał na Eleonorę, która teraz zaczęła wyswobadzać się z jego objęć. Spojrzała na niego poważnie. Usta miała zaróżowione. Tak samo jak policzki. W jej oczach czaiła się iskra pożądania, która tylko jeszcze bardziej rozпалиła Juliana.

– Chciałbym... – zaczął mówić szeptem. – Pragnę... – Nie wiedział, jak powiedzieć, co czuł i czego chciał.

– W tym pragnieniu nie jesteś sam – odparła Eleonora, całując go na pożegnanie.

\*\*\*

Był ostatni dzień marca, kiedy Julian rozsiadł się w wygodnym fotelu w bibliotece w domu Tojewa. Nie widział się z siostrą od jakiegoś czasu i chociaż nie planował składać Rozalii dziś wizyty, chęć przeprowadzenia z kimś szczerzej rozmowy sprawiła, że zakończył pracę wcześniej, czym sprawił Rosenblatta w osłupienie, ponieważ przez ostatnie kilka dni siedzieli w kancelarii do późnych godzin wieczornych.

– Cóż za niespodzianka! – wykrzyknęła Rozalia na jego widok. – Zastanawiałam się, czy zamierzasz tegoroczne wielkanocne śniadanie zjeść zgodnie z tradycją z rodzicami i czy w takim razie spotkamy się w Zakrzówku. Ale skoro jesteś tu dziś, mniemam, że się wyłamiesz? – Przyglądała mu się pytająco.

– Chciałem z kimś porozmawiać – odpowiedział ze skruszoną miną.

Rozalia zaprowadziła go do biblioteki. Lubił to miejsce. Chociaż nie darzył Tojewa sympatią, podziwiał go za znakomity księgozbiór. Żałował, że nigdy nie poświęcił bibliotece więcej czasu, był bowiem pewny, że znalazłby wśród ustawionych równo książek białe kruki.

– Jak twoja podróż do Częstochowy? – zapytał, nie wyjaśniając na razie powodu swojej niezapowiedzianej wizyty.

– Zaskakująco dobrze – odparła Rozalia. – Chociaż nie obyło się bez scysji.

Przypomniała sobie wymianę zdań z matką zaraz po tym, jak usadowiły się w przedziale, który – o co zadbał ojciec – miały tylko dla siebie. Pociąg wciąż stał na peronie i czekał na ostatnich pasażerów, kiedy hrabina Michałowska nachyliła się w stronę córki.

– Cieszę się, że mamy chwilę dla siebie – mówiła spokojnie jak zawsze, ale błysk w oczach kazał Rozalii zwiększyć czujność. – Od dawna chciałam porozmawiać z tobą o twoim...

– Bardzo mamę proszę, żeby posłuchała mnie uważnie. – Rozalia także pochyliła się w stronę Michałowskiej. Przestraszona, skulona i wycofana dziewczyna, jaką była kiedyś, już dawno przestała istnieć, ale hrabina nie chciała przyjąć tego do wiadomości, dlatego otwarta manifestacja niezależności córki wprowadziła ją w konsternację i wywołała na białych policzkach rumieniec zdenerwowania.

– Proszę, żeby mama już nigdy nie poruszała tematu mojego małżeństwa. Jak mama pewnie pamięta, to dzięki jej zabiegom Tojew jest moim mężem. Może gdyby mama tak nie nalegała na ten mariaż, którego powodem były pieniądze i ówczesna władza Mikołaja, zobaczyłaby mama, że małżeństwo to nie będzie typowe, szczęśliwe i owocne. Pomimo początkowych nieporozumień, do jakich dochodziło pomiędzy mną a Tojewem, doszliśmy w końcu do konsensusu. Dlatego powtórzę to, co mówiłam Julianowi, który również chciał pouczać mnie w kwestii mojego małżeństwa: to jest moje i Tojewa życie i nikt nie będzie nam dyktował, jak mamy je przeżyć. Proszę zatem, żeby była to ostatnia rozmowa na temat małżeństwa i ogólnie mojego życia. Raz jeszcze pragnę zaakcentować: mojego, mamó. Mojego życia. – Po tych słowach Rozalia oparła się wygodnie i czekała, aż pociąg ruszy.

– Nie mogę w to uwierzyć – mówił teraz Julian, patrząc z podziwem na siostrę. – Moja mała, wiecznie załęczniona Rozalia postawiła się naszej władczej, nieznoszącej sprzeciwu matce. Jak hrabina to zniosła?

– Zszokowałam ją tak bardzo, że przez cały nasz pobyt w Częstochowie nie odezwała się ani słowem, za co byłam wdzięczna niebiosom. Dzięki temu przyjemnemu milczeniu mogłam skupić się na mszy, kontemplacji i zwiedzaniu klasztoru, który zrobił na mnie ogromne wrażenie. Od razu pomyślałam o moim ukochanym Andrzeju Kmicicu, którego odwaga ocaliła te święte mury.

Kiedy Rozalia skończyła mówić, w bibliotece na kilka chwil zapadło milczenie. W końcu Julian wybuchł gromkim śmiechem, który ucichł tak nagle, jak nagle się zaczął. Po chwili twarz młodego hrabiego zrobiła się poważna.

– Chciałem porozmawiać – powiedział tak cicho, że Rozalia musiała się nachylić, żeby go usłyszeć.

Milczał. Ona także.

– Jak wiesz, znowu spotykam się z Eleonorą. Staram się naprawić to, co swoim zachowaniem popsulem. I wydawało mi się, że jestem na najlepszej drodze, żeby tak się stało, aż do ostatniej niedzieli. Odwiedził mnie ojciec, czym zaskoczył mnie niezmiernie. Sama wiesz, jak rzadko ostatnimi czasy opuszcza Zakrzówek. Okazało się, że jakiś czas temu nabył bilety na zawody zapaśnicze i pierwszy mecz bokserski w Krakowie. Nie mam pojęcia, dlaczego ojcu wydawało się, że namówi matkę na towarzyszenie mu. Oczywiście odmówiła. Przyszedł zatem do mnie zapytać, czy nie miałbym ochoty pójść razem z nim. Nie odmówiłem. Wciąż staramy się z ojcem nadrobić stracony czas, a że nie podejmujemy w rozmowach tematów związanych z polityką, idzie nam to całkiem zgrabnie.

Sięgnął po filiżankę kawy, którą podała mu siostra. Napój był już prawie zimny. Julian skrzywił się nieco. Rozalia czekała na dalszy ciąg opowieści. Czuła, że nie jest to chęć zdania relacji z wyprawy z ojcem. Za tym wstępem musiało kryć się coś więcej.

– Poszliśmy na Zwierzyniecką, do ujeżdżalni wojskowej, gdzie zawody zorganizowano. Bawiliśmy się z ojcem tak dobrze, że pomimo jego sprzeciwów, korzystając z faktu, że wieczór był ciepły i przyjemny, odprowadziłem go aż do domu. Miło nam się rozmawiało. Niestety ten spacer okazał się błędem, z którego konsekwencjami teraz się zmagam. A w zasadzie z wyrzutami sumienia, które są konsekwencją tego spaceru.

W bibliotece zapadła cisza przerywana tylko miarowym tykaniem zegara, uspokajającym Rozalię, kiedy zasiadała tu, żeby pisać powieść. Dyskretnie zerknęła na blat biurka, na którym leżały

sterty zapisanych kartek. Miała nadzieję, że Julian ich nie zauważy. Głos brata wyrwał ją z zamyślenia.

– Gdy wracałem do domu, coś podkusiło mnie, żeby z Dietla skrócić w Boże Ciało, a stamtąd na Wawrzyńca... – Julian przerwał w pół słowa. Zerwał się z fotela i ruszył do wyjścia. Zaskoczona Rozalia pobiegła za nim.

– Wybacz, nie powinienem przychodzić z tym do ciebie. Co ja sobie myślałem?

– Że jesteś tylko młodym mężczyzną? Julianie, nie jestem już naiwnym podlotkiem. Wiem, że mężczyźni odwiedzają przybytek Chana Keila.

Julian miał ochotę zapytać, skąd jego siostra wie o mieszczącym się tam burdelu, ale w końcu pomyślał, że to nieistotne. Miała rację. Była dorosłą, zamężną kobietą. Kobieta, która miała odwagę zakochać się nie w swoim mężu, oddać się namiętności, uwikłać w romans, a na koniec zażądać rozwodu. Spojrzał na nią i wydawało mu się, że widzi ją po raz pierwszy. Gdzie jest moja Rozalia, chciał zapytać. Gdzie podziła się siostra, którą chronił i w której obronie stawał, nawet jeżeli tego nie pragnęła? Kim jest ta kobieta, która nie wstydzi się przyznać, że wie, gdzie w Krakowie znajdują się domy publiczne, i że zdaje sobie sprawę, że jej brat niekiedy z nich korzysta? Czuł się upokorzony i dziwnie bezbronny.

– Potrzebowałem tego. – Mówiąc to, czuł, że jego policzki lekko się zaczerwieniły. Do głowy by mu nie przyszło, że będzie opowiadał o tak intymnych rzeczach swojej siostrze, ale nie miał nikogo, komu mógł się zwierzyć, a pragnął to zrobić, żeby chociaż w niewielkim stopniu pozbyć się wyrzutów sumienia. – Wiem, że nic mnie nie usprawiedliwia. Że szukam teraz rozgrzeszenia. Ale co robić, kiedy najzwyczajniej na świecie czuję, że zdradziłem Eleonorę.

– Posłuchaj, Julianie. – Rozalia podeszła do niego i położyła dłoń na jego rozgrzanym policzku. – Tego, co się stało, już nie można cofnąć. Masz dwa wyjścia: albo powiedz o tym Eleonorze, albo zapomnieć i starać się nie powtórzyć błędu. Udawać, że wizyta tam była tylko snem.

Julian pokiwał głową.

– I dam ci jeszcze jedną radę. My, kobiety, nie jesteśmy aż tak delikatne i niewinne, jak wam się wydaje. Eleonora nie jest już młodą panienką, ale dorosłą i, zapewniam cię, świadomą kobietą. Zamiast chadzać do burdelu, zaprosz ją do siebie. Czasami warto się prawdziwie zadziwić.

Po tych słowach Rozalia uśmiechnęła się szeroko i chcąc dodać mu otuchy, poklepała Juliana po ramieniu. Miała nadzieję, że brat posłucha jej rady.

## Rozdział 15

Julian wziął do ręki kartkę z odręczną notatką. Tojew wręczył mu ją zaraz po krótkim i bardzo oficjalnym powitaniu, chociaż zaledwie kilka dni temu całą rodziną zasiadali do wielkanocnego śniadania zorganizowanego przez matkę w dworku w Zakrzówku. Julian raz jeszcze zerknął na Rozalię, a potem przeniósł wzrok na Tojewa, który zaskoczył go po raz drugi. Poprzednio niezapowiedziany pojawił się na dzień przed Wielkanocą, a dziś potwierdził chęć rozwodu, o której jakiś czas temu wspomniała jego siostra.

Michałowski skupił wzrok na notatce. Przeczytał ją pobieżnie raz i drugi.

– Czy konsultowałeś treść tego pisma z żoną? – zapytał Tojewa.

– Nie było czasu. Napisałem to dziś rano, zanim wyruszyliśmy na spotkanie z tobą. Przypomniałem sobie, że ktoś kiedyś opisywał mi tego typu sprawę. Pomyślałem, że skoro wówczas się udało, nie zaszkodzi posłużyć się wypróbowanym sposobem.

– Pozwolisz, że przeczytam na głos treść twojego pisma. Rozalia musi ją znać. Nie tylko po to, aby zdecydować, czy się z nią zgadza, ale by w razie czego wiedziała, jak zeznawać, kiedy zostanie wezwana na przesłuchanie. To dość rzadka praktyka, ale warto być przygotowanym na taką ewentualność.

Julian zrobił krótką przerwę, pozwalając wypowiedzieć się stronom, jednak ani Rozalia, ani Tojew nie mieli nic do dodania. Zaczął więc czytać.

– „Do Sądu Arcybiskupiego w Krakowie. Skarga powódki Rozalii Tojew de domo Michałowska w sprawie przeciwko Mikołajowi Tojewowi o rozwiązanie małżeństwa przez otrzymanie rozwodu. Ślub zawarty w obrządku rzymskokatolickim w kościele parafialnym pod wezwaniem św. Józefa. Niedługo po ślubie mąż, Mikołaj Tojew, z racji pełnionej funkcji politycznej zmuszony był wyjechać do Wiednia, gdzie przebywał długimi miesiącami, nie próbując kontaktować się ze mną czy to listownie, czy telefonicznie, czy poprzez częstsze powroty do domu. Kilka miesięcy po pierwszym wyjeździe Mikołaja Tojewa otrzymałam anonimowy list donoszący o dopuszczaniu się przez męża zdrady. Piszący informował, że mąż mój, Mikołaj Tojew, bez wstydu obnosi się po Wiedniu w towarzystwie młodej kobiety, nie szczędząc jej czułości. Nie dając wiary pomówieniom, zapytałam męża podczas jednej z jego nader rzadkich wizyt o stan faktyczny. Niestety nie otrzymałam zadowolającej odpowiedzi. Mikołaj Tojew kluczył w zeznaniach, co pozwoliło mi domniemywać, że informacje zawarte w anonimowym liście nie są nikczemną potwarzą, ale szczerą prawdą. Kolejny donos otrzymałam dopiero po dłuższym czasie, na początku 1919 roku, kiedy już od kilkunastu miesięcy pozbawiona byłam informacji o moim mężu. Był to list skreślony tą samą ręką. «Troskliwy przyjaciel», jak podpisywał się autor, ponownie donosił, że mąż mój już nie tylko obnosi się z ową zdradziecką znajomością, ale jawnie żyje w bigamii, a kobietę, z którą bywa widywany na salonach w Wiedniu, przedstawia jako swoją małżonkę. Trudno było o konfrontację tychże informacji, ponieważ Mikołaj Tojew prawie całkowicie zaprzestał wizytować nasz wspólny dom. Przekazane informacje załamały mnie nie tylko duchowo, nerwowo, ale także moralnie, ponieważ od najmłodszych lat rodzice moi wpajali mi zasady opierające się na prawdomówności, uczciwości i wierności – tak wyznawanym wartościom, jak i małżonkowi. Jedynym pokrzepieniem w tej sytuacji był fakt, że mąż mój, Mikołaj Tojew, z racji czy to obowiązku, czy wyrzutów sumienia, nie zaprzestał przysyłać na adres domowy stosownych kwot pieniężnych, dzięki którym mogłam prowadzić swobodne życie, do jakiego przywykłam i jakie obiecywał mi małżonek w chwili składania przysięgi małżeńskiej. Pragnę zaznaczyć, że małżeństwo nasze od samego początku było mariażem podjętym raczej z obowiązku, dobrze przemyślanej kalkulacji, która miała na celu zwiększenie majątków rodzinnych, niż miłości i przyjaźni. Nigdy z małżonkiem nie darzyliśmy się uczuciami, trudno mówić o wzajemnym oddaniu i miłości, skoro nie zdążyła się pomiędzy nami zawiązać nawet przyjaźń. Małżeństwo nasze nie zostało skonsumowane, a z uwagi na zaistniałą sytuację nie może być mowy o naprawie relacji pomiędzy mną, Rozalią Tojew de domo Michałowską, a Mikołajem Tojewem. W charakterze świadków proszę wezwać...”

Julian skończył czytać. W gabinecie zapadła cisza. Jako pierwsza odezwała się Rozalia.

– Nie wiem, co powiedzieć. Nie zostałam uprzedzona i treść tego wniosku jest dla mnie szokiem. Nie wiem, czy dziękować za twoją ofiarność, Mikołaju, że pragniesz całe odium nieudanego związku wziąć na siebie, czy zaprotestować i szukać innego, mniej godzącego w twoje dobre imię sposobu.

– Jeżeli pozwolisz na jakąś sugestię... – Julian zwrócił się do Rozalii. – Nie spodziewałem się, ale wniosek do sądu jest bardzo dobrze skonstruowany. Zasadniczo przedstawione tu argumenty dają podstawę do ogłoszenia rozwodu. Oczywiście moglibyście rozważać inne rozwiązania. Jak już wspominałem Rozalii podczas naszej wcześniejszej rozmowy, można przejść na inną wiarę. Znam ludzi, nie osobiście, ale ze słyszenia, którzy w desperacji decydowali się nawet na mahometanizm. Zapisanie się do ewangelików czy prawosławnych jest nagminne. Kościół zdaje sobie z tego sprawę. Wie doskonale, że ludzie ci, wychowani w wierze katolickiej, w dalszym ciągu praktykować będą katolickie obrzędy, a ich rzekoma zmiana była podyktowana tylko chęcią wyzwolenia się z uwierającego związku.

– To zakłamanie i fałsz. Dziwię się, że Kościół woli takie manipulowanie faktami niż pozwolenie na świecki rozwód, podobnie jak inne wiary. – Rozalia nie kryła oburzenia. Tojew wciąż milczał, wsłuchując się w słowa Juliana.

– Jak słusznie zostało we wniosku zaznaczone, należy wezwać świadków, którzy na pewno zostaną poproszeni o złożenie świadectwa. W waszym przypadku z tym raczej nie będzie problemu, przynajmniej jeżeli chodzi o kwestię twoich wyjazdów i pobyków w Wiedniu. – Tu Julian po raz pierwszy skierował swoje słowa bezpośrednio do Tojewa. Do tej pory albo mówił do siostry, albo zwracał się do jej małżonka bezosobowo. Nie wiedzieć czemu czuł się dziwnie w jego obecności. Jego uczucia do Tojewa były ambiwalentne. Ani nie darzył go sympatią, ani nie czuł niechęci, przynajmniej nie w takim stopniu jak kiedyś, a przeczytawszy dzisiejszy wniosek, spojrzął na Tojewa inaczej. Był mu wdzięczny za chęć wzięcia winy tylko za siebie i uchronienie Rozalii przed plotkami, obmową, a może i nawet tymczasowym towarzyskim ostracyzmem.

– Jednak... – Julian podjął swój wywód – ...inaczej rzecz będzie się mieć z zaświadczeniem twoich damsko-męskich poczyznań w Wiedniu.

– To zależy. – Tojew zerknął na Rozalię, która delikatnie skinęła głową, jakby dając zgodę na całkowite wyznanie prawdy. – To zależy, ile czasu da nam sąd na przedstawienie rzeczonych świadków. Gdyby termin zgłoszenia się był stosowny, mogę z Wiednia sprowadzić najbardziej wiarygodnego świadka. Kobietę, z którą mieszkam tam od lat.

Julian głęboko odetchnął. Chociaż wiedział, że Rozalia nie miała nic przeciwko pożyciu męża, jawna deklaracja z ust Tojewa bardzo go ubodła. Spojrzął na siostrę, która przyjęła to z isticie stoickim spokojem, a widząc jego zdenerwowanie, uśmiechnęła się szeroko.

– Przestań się gniewać – powiedziała, gładząc go po spoczywającej na biurku dłoni. – Jak wiesz, od dawna przestaliśmy z Mikołajem przed sobą udawać. Nie ma potrzeby unieszczęśliwiać kogoś tylko z czystej złości, skoro dając wolność jemu, można dać ją i sobie.

– Nie będę wnikał, w jaki sposób doszłicie do porozumienia – odparł Julian sztywno. – Jako wasz adwokat mam za zadanie jak najszybciej i jak najłagodniej przeprowadzić was przez proces uzyskania rozwodu. Jako brat Rozalii mógłbym dodać coś od siebie, ale omawialiśmy już tę kwestię i zgadzam się z nią, że sam musiałbym najpierw być czysty niczym górski kryształ, żeby prawić jej kazania. Wracając do sprawy rozwodu i świadków. Na twoim miejscu, Mikołaju, przez kilka następnych tygodni pozostałbym w Krakowie. Zamiast ściągania do nas swojego wiedeńskiego świadka zalecam znalezienie jakiegoś tu, na miejscu. Wielu ludzi korzysta z fałszywych świadków i ich zeznań. W waszym przypadku nie można jednak mówić o fałszywych zeznaniach. Pokusiłbym się o stwierdzenie, że posłużysz się świadkiem *per procura*. To będzie jednak kosztować.

– Koszty nie grają roli – podsumował Tojew.

– Muszę zadać jeszcze jedno pytanie i będzie ono natury nader osobistej...

– Małżeństwo nie zostało skonsumowane – odparła Rozalia, wchodząc bratu w słowo. – Jeżeli jednak potrzebne jest zaświadczenie potwierdzające moją cnotę, zmuszona będę skorzystać z pomocy lekarzy, którzy dawali takie świadectwa nawet matkom dwojga dzieci. – Bez skrępowania odpowiedziała

na niezadane przez Juliana pytanie. Na policzkach młodego hrabiego pojawił się lekki rumieniec.

– Czy jest coś jeszcze, co należałoby omówić? – zapytała po chwili rzeczowym tonem, wpatrując się to w brata, to w męża. Obaj panowie nie odezwali się jednak słowem.

– Skoro nic nie mówicie, zakładam, że wszystko ustalone. Obawiałam się, że natrafimy na większe kłopoty. Słyszałam, że niektórzy, nie mogąc uzyskać upragnionej wolności, posuwają się do rzeczy ostatecznych.

– Co masz na myśli? – zapytał Julian. Tojew także spojrział pytająco na Rozalię.

– Nie dalej jak kilka dni temu przeczytałam w „Ikacu” o sprawie pewnego gorzelnego. Otóż gorzelny ten wdał się w romans z żoną ogrodnika, który będąc natury spokojnej i spolegliwej, dał się żonie i jej kochankowi przekonać do opuszczenia domu, przeprowadzki i podjęcia pracy leśniczego, którą to posadę załatwił mu gorzelny. Nie było jednak mowy o rozwodzie. – Rozalia zrobiła krótką przerwę dla uzyskania lepszego efektu. – On, kochanek i żona spędzali ponoć ostatniego sylwestra razem. I po nocy tej ślad po ogrodniku zaginął. Nikt w pracy i w wiosce nie dopytywał o niego – wszyscy zakładali, że poszedł z żoną i jej absztyfikantem na ugodę i wyjechał w siną dal. Nie dalej jak kilka tygodni później żona ogrodnika rozstała się z gorzelnym, zostawiając go dla kolejnego kochanka, a gorzelny, topiąc smutki w kieliszku, wygadał się koledze od flaszeczki, że w ową sylwestrową noc jego kochanka zastrzeliła męża, on zaś zaciągnął jego zwłoki do piwnicy i tam spalił w piecu. Kolega, zamiast zatrzymać informacje dla siebie, od razu po wytrzeźwieniu pobiegł na policję i tak niewierna żona oraz jej kochanek znaleźli się w więzieniu. A wydawało się, że wszystko ujdzie im na sucho, bo, jak sami funkcjonariusze przyznali, „nie ma ciała, nie ma zbrodni”. Morał z tego taki, moi panowie, że jeżeli już popełni się zbrodnię prawie doskonałą, należy omijać wódkę, która rozwiązuje języki. Już starożytni znali zasadę *in vino veritas*.

Po tych słowach, nie czekając na reakcję ze strony Juliana i Tojewa, wstała, podeszła do drzwi gabinetu, pożegnała się ze ślęczącym nad stertami dokumentów Rosenblattem i wyszła, zostawiając mężczyzn w osłupieniu.

\*\*\*

Rozpromieniona Stefania wkroczyła do salonu. Przy stole siedzieli już rodzice. Eleonora właśnie podnosiła się niespiesznie, dziękując za śniadanie.

– Do zobaczenia wieczorem. – Pożegnała się z rodzicami, po czym zgrabnie wyminęła stojącą w drzwiach Stefanię i ruszyła do przedpokoju, gdzie czekał już na nią Franciszek, trzymający jej wypchaną papierami torbę.

– Dzień dobry wszystkim – przywitała się Stefania.

Matka skinęła lekko głową, nie zwracając zbytniej uwagi na córkę. Stefania usiadła po drugiej stronie stołu, uważnie się jej przyglądając. Tekla zapatrzyła się w dal. Błądziła niewidzącym wzrokiem po pokoju. Bezwiednie przesuwiała w palcach niewielkie perły naszyjnika, który dostała niedawno w prezencie od ojca. Siedziała zamyślona, wycofana, cicha. Od jakiegoś czasu wydawała się zasmucona. Coś musiało ją trapić, ponieważ od kilku dni nie interesowała się już nawet kartami, które leżały na małym stoliczku. Niedokończony układ krzyża celtyckiego przyciągał wzrok Stefanii.

– Mamo – zwróciła się do Tekli, nalewając sobie wciąż gorącej herbaty. – Mamo! – powtórzyła głośniej.

Tekla odwróciła głowę w stronę córki. W jej oczach nie było zaciekawienia.

– Czy coś mamę trapi?

Na te słowa w stronę żony odwrócił się również Jan, składając świeże wydanie „Ikaca” na kolanach.

– Nie, skądże znowu – odparła Schrammowa, podnosząc się z zajmowanego krzesła.

Najwyraźniej nie zamierzała odpowiadać na kolejne pytania, które cisnęły się na usta Stefanii.

– Wybaczcie, boli mnie nieco głowa. Pogoda ostatnio zwariowała. Jeszcze przedwczoraj padał deszcz, a dziś gorąc nie pozwala ani na chwilę odetchnąć. Położę się.

Wyszła, zostawiając w salonie córkę i męża.

– Znowu jajka? – zapytała Stefania po chwili. Prawdę mówiąc, umierała z głodu. Wczoraj nie miała okazji zjeść kolacji, ponieważ wróciła do domu zbyt późno, i położyła się spać, marząc o sycącym, ciepłym śniadaniu. – Myślałam, że zjemy dziś kiełbaski.

– Kiełbaski?! Ha! – wykrzyknął Jan niespodziewanie. Jego reakcja była tak nagła, że Stefania aż podskoczyła na krzesle.

– Dziecko, na jakim ty świecie żyjesz? Spójrz. – Rozłożył przed córką czytaną przed chwilą gazetę. – Dziennikarze donoszą, że za brak wędlin i tłuszczów, który doskwiera nam od tygodni, o czym zapewne wiesz, bo jajka stale goszczą na naszym stole, co się do tej pory raczej nie zdarzało, możemy podziękować spółce rzeźników, którzy założyli kartel pod nazwą Artamos, mający na celu zniszczenie pozostałych masarzy i dostawców tłuszczów. Dlatego też sklepy Knobla, Różyckiego, Grabowskiego i jeszcze kilku innych, największych i najbardziej w mieście znanych, są otwarte tylko na dwie, trzy godziny w ciągu dnia, chociaż nie wiem, po co ten cały cyrk, skoro półki i tak świecą pustkami. Więc ciesz się, dziecko, że przynajmniej masz jajka. Świat stanął ostatnio na głowie. Ciesz się, że nie doskwiera nam głód, i nie marudź. Podziękuj za to, co masz, i módl się, żeby producenci jaj nie zbiesili się tak jak masarze, bo pozostanie nam herbata i suchy chleb. Pamiętaj! – Jan Schramm podniósł się z krzesła. – Suchy chleb i gorzka herbata.

Po tych słowach zniknął w korytarzu.

Stefania rozejrzała się po pustym salonie. Nigdy jeszcze nie widziała ojca w tak podłym humorze. Zawsze starał się patrzeć na życie optymistycznie. Czy i jemu udzielił się dziwny nastrój matki? A może zdał sobie sprawę, że sprzedanie banku było jednak błędną decyzją? Nie chciała się nad tym zastanawiać w tej chwili, chociaż zaistniała sytuacja nie dawała jej spokoju podczas śniadania. Przez moment nawet Stefania chciała się udać do gabinetu ojca i zamienić z nim kilka słów – i pewnie tak by zrobiła, gdyby nie miała planów na dziś. Za nic w świecie nie zrezygnowałaby z ustalonej dużo wcześniej wizyty u panny Bronisławy. Zerknęła na zegarek. Powinna się spieszyć. Jeżeli zamarudzi tak jak ostatnio, Jan znowu będzie na nią czekał, a panna Bronisława ofuknie ją za nieprzystające dobrze wychowanej pannie zachowanie.

Konsekwentnie od jakiegoś czasu spotykali się na Parkowej. Jan okazał się doskonałym modelem i dzięki jego cierpliwości namalowanie portretu miało się z wolna ku końcowi.

W pierwszej chwili Stefania miała zamiar przespacerować się powoli, delektując się piękną majową pogodą. Niestety zamiar ten musiała porzucić na rzecz przejażdżki tramwajem, ponieważ najpierw pozwoliła sobie na zbyt długie wylegiwanie się w łóżku, potem nie potrafiła się zdecydować, co na siebie włożyć, i w końcu zamiast od razu zabrać się za spożywanie śniadania, najpierw musiała wysłuchać dziwnej przemowy ojca, a potem przez dobrych kilka minut, zanim ocknęła się z osłupienia, zastanawiała się nad niebywałym zachowaniem rodziców.

Całe szczęście dotarła na przystanek prawie w tym samym czasie co tramwaj. Zerknęła raz jeszcze na informacyjny kartonik zawieszony nad przednią szybą pojazdu, pragnąc upewnić się, że na pewno wsiadła do numeru 37, który od jakiegoś czasu jeździł do zajezdni na Podgórzu.

W pojedynczym wagonie, do którego można było wsiąść z obu stron, siedziało raptem kilka osób. Nie zdziwiła się temu, ponieważ grzechem było chować się w pojazdach, kiedy świat oferował tak cudowną pogodę. Nie przepadała za jazdą tramwajami, ponieważ drewniane pudło wagonu zawsze wydawało się jej dziwnie kruche i chyboczące, a do tego wstrząsy, jakie odczuwała podczas jazdy, przyprawiały ją o delikatne mdłości. Dziś jednak nie miała wyjścia. Albo tramwaj, albo taksówka, którą traktowała jako wyższą konieczność, chociaż mogła sobie na nią swobodnie pozwolić, korzystając z sowitego kieszonkowego, w które zaopatrywał ją ojciec w każdy poniedziałek. Już jakiś czas temu zdała sobie sprawę, że w pewnych życiowych kwestiach diametralnie zmieniła swoje zapatrywania. Dawna rozrzutna Stefcia zniknęła jak kamfora, a jej miejsce zajęła oszczędna Stefania, która każdy pieniądz obracała dwa razy. Nie można jej jednak było nazwać dusigroszem. Potrafiła wydać dużą sumę lekką ręką, jeżeli tylko uznała taki zakup za celowy i konieczny lub kiedy chciała sprawić bliskiej osobie przyjemność.



Bilet do klasy drugiej kupiła u motorniczego. W pierwszym odruchu chciała poprosić o ten do klasy pierwszej, w której ławki wyściełane były skórzanymi obiciami, ale po krótkiej chwili zastanowienia zdecydowała się na tańszą wersję.

W końcu to tylko kilka przystanków, pomyślała, siadając na twardej drewnianej ławce. Tramwaj ruszył i Stefania skupiła się na mijanych obrazach. Co jakiś czas zerknęła z niecierpliwością na zegarek, prosząc w duchu, aby motorniczy nieco przyspieszył. W końcu na horyzoncie zamajaczył kościół św. Józefa na podgórskim Rynku. Zamierzała wysiąść właśnie tu. Stąd miała tylko kilka kroków na Parkową. Zgrabnie wyskoczyła z tramwaju i ruszyła w stronę willi Julii, jak nazywała budynek panna Bronisława. Gdyby Stefania miała więcej czasu, nie odmówiłaby sobie spaceru alejkami parku Bednarskiego, który uwielbiała, szczególnie jesienią, kiedy drzewa mieniły się różnymi odcieniami brązu, czerwieni i żółci. Lubiła tu przychodzić także dla atmosfery, jaka panowała w parku powstałym w miejscu dawnego kamieniołomu – „Szkoły Twardowskiego”.

„Nazwa kamieniołomu wiąże się z legendą, która głosi, że przed wiekami mistrz Twardowski miał w tym miejscu pracownię alchemiczną. Jako dziecko miałem okazję wejść do jaskini, na której ścianach działalność mistrza zostawiła trwałe ślady” – opowiadał Jan Schramm małej Stefanii, która podczas spaceru wciąż zarzucała go nowymi pytaniami, wpatrując się w niego jak w obrazek.

Na wspomnienie tamtej przechadzki Stefania westchnęła cichutko. Dałaby wiele, żeby znowu być tym małym, beztróskim berbeciem, który wiercił ojcu dziurę w brzuchu, bo chciał zobaczyć wspomnianą jaskinię. Niestety od wielu lat nie było to możliwe. Grota została zniszczona w czasie prac związanych z przebudową kościoła pod wezwaniem św. Józefa.

– Czyżbym się spóźniła? – zapytała Stefania, kiedy przed furtką prowadzącą do uporządkowanego ogrodu pełnego soczystej, wiosennej zieleni zobaczyła Jana. Mimowolnie zerknęła na elegancki złoty cyferblat.

– Skądże znowu. To ja jestem wcześniej. Nie czekam na ciebie w salonie, ponieważ – mam szczerą nadzieję, że nie pogniewasz się na mnie – postanowiłem wprowadzić kilka zmian do naszego dzisiejszego planu.

Stefania zatrzymała się tuż przed Janem. Poczuli się dziwnie skrępowani. Nie wiedzieć czemu przez myśl przeszło jej, że powinna go pocałować na powitanie. Zerknęła na niego raz jeszcze. Przyglądał się jej intensywnie, jakby czytał w jej myślach.

– Zmiany? – zapytała, chcąc ukryć zakłopotanie. Zerknęła przez ramię Jana, ponieważ jej wzrok przyciągnął stojący tam samochód. – Czyżby panna Bronisława miała gości? – Skinieniem głowy wskazała na elegancki, wyglancowany żółty kabriolet.

– Nic mi o tym nie wiadomo. – Jan obrócił się w stronę pojazdu, podążając za wzrokiem Stefci. – A, to... – Na chwilę zawiesił głos. – To są właśnie zamiany, o których wspomniałem.

– Chcesz w nim pozować? – Stefania nie kryła zdumienia. – To niemożliwe. Portret jest już prawie gotowy. Musiałabym zacząć od...

– Spokojnie. – Jan położył jej palec na ustach, pragnąc ją uciszyć i przerwać lejący się z jej warg potok słów.

W odpowiedzi na jego dotyk przełknęła ślinę. Ten gest był tak intymny, że poczuła się, jakby ją pocałował. Wreszcie się odsunął.

– Dajmy dziś spokój portretowi. Pogoda jest zbyt piękna, żeby siedzieć w domu. Pomyślałem, że zabiorę cię na przejażdżkę. Czy dasz się porwać tym oto powozem?

Stefania spoglądała to na Jana, to na samochód, to w kierunku willi, jakby liczyła, że w jej drzwiach stanie panna Bronisława, podpowiadając, co dziewczyna ma zrobić. Milczenie zaczęło się przedłużać.

– Tak, dam się porwać na przejażdżkę – odparła w końcu.

Jan wypuścił wstrzymywane powietrze.

– Czy to auto twojego wuja? – zapytała chwilę później, sadwiąc się na wygodnym siedzisku.

– Nie, wypożyczyłem je z wypożyczalni samochodów na Mickiewicza.

Jan spojrzał na Stefanię, która wzruszyła ramionami na znak, że nic nie wie o tym miejscu.

– Zabiorę cię tam kiedyś. Musisz zobaczyć, jakie mają tam wspaniałe egzemplarze. – Jan ruszył przed siebie. – A wracając do twojego pytania: wuj oferował się chętnie, ale odmówiłem. On zawsze jest w ruchu. Często niespodziewanie wyjeżdża poza Kraków. Nie mogłem pozwolić, żeby z powodu mojego kaprysu miał problem z dotarciem na miejsce.

Stefania zamknęła oczy i na chwilę wystawiła twarz do słońca, ciesząc się ciepłem promieni przesuwających się po jej twarzy, kiedy mknęli ulicami Pogórza.

– Dokąd mnie porywasz?

– Do Tyńca. Mam nadzieję, że mój wybór cię nie rozczarował?

– Oczywiście, że nie – odparła, spoglądając na profil Jana, który pewnie prowadził samochód. – Nie pamiętam, kiedy byłam tam ostatni raz. To było lata temu. Musiałam być jeszcze dzieckiem. Chętnie odświeżę wspomnienia.

\*\*\*

Do Tyńca wjechali drogą, która ciągnęła się w stronę Oświęcimia i traktu skawińskiego. Stefania z zachwytem przyglądała się stojącym wzdłuż drogi domom.

– Kiedy zwierzyłem się wujowi Dionizemu, że zamierzam porwać cię na przejażdżkę, zasugerował Tyniec. Powiedział, że wprawdzie nie był tu od lat, czego szczerze żałuje, ale zapamiętał wieś jako bardzo malownicze, choć ubogie miejsce. – Jan zerknął na Stefanię, podziwiając mijany krajobraz. – Spójrz, to chyba gospoda? Może napijemy się czegoś ciepłego? Kawy, herbaty? Zjemy coś ku pokrzepieniu ciała, a potem pospacerujemy?

– Brzmi wspaniale. – Stefcia uśmiechnęła się promiennie.

Chwilę później siedzieli w jednej z wielu podobnych do siebie chat pomalowanych w kolorowe pasy. Kilka innych stołów było zajętych.

– Nie tylko my postanowiliśmy wykorzystać tak piękny dzień – szepnął Jan, wskazując delikatnym, prawie niewidocznym skinieniem na siedzących w głębi chaty turystów.

Czekając na zamówioną herbatę oraz chrupiący chleb posmarowany świeżo wytopionym smalcem i ogórki kiszane, Jan i Stefania rozglądali się dookoła, podziwiając prosty wystrój chałupy, która zapewne jeszcze kilka lat wcześniej pełniła funkcję mieszkalną.

– Podobno wszystkie chaty tynieckie zbudowane są tak samo – szepnął Jan. – Pośrodku biegnie sień, po obu jej stronach znajdują się izby takie jak ta, dalej jest komora i stajnia, którą tu przerobiono najwyraźniej na kuchnię. Usunięto też drzwi.

Stefania wierciła się na drewnianej ławie, którą przykryto grubym ciemnym pledem. Akurat wychylała się ze swojego miejsca, żeby zerknąć do izby znajdującej się po drugiej stronie sieni, kiedy do ich stołu podeszła młoda, pulchna dziewczyna niosąca zamówione napoje i jedzenie.

– Smacznego – życzyła im na odchodnym.

Jan wciągnął w nozdrza unoszący się zapach świeżego chleba. Stefania poszła za jego przykładem. Apetyczne aromaty sprawiły, że zaburczało jej w brzuchu.

– Nie czekajmy dłużej. Jedzmy. Na sam widok ślinka mi cieknie.

Jan wziął wielki talerz w dłoń i podsunął go w stronę Stefci, zachęcając, aby poczęstowała się pierwsza.

Kwadrans później na talerzu nie pozostało nic oprócz kilku okruszków.

– Nadal głodna? – zapytał Jan, gotowy zamówić kolejną porcję.

– Ja? Ależ skąd. Już dawno się tak nie najadłam. Ba, już dawno nie jadłam niczego tak smacznego i z takim apetytem. Jeśli jednak chciałbyś jeszcze coś przekąsić, to proszę, zamów. Nie krępuj się.

– Nie, na razie wystarczy. Obawiam się, że gdybym zjadł jeszcze ze dwie kromki, zmógłby mnie sen, a przecież przed nami spacer.

Jan dźwignął się z ławy. Podszedł do kontuaru, za którym stał starszy mężczyzna, zapewne ojciec obsługującej ich dziewczyny. Regulując rachunek, podziękował za smaczne i sycące jedzenie.

– Dokąd zatem? Nad rzekę, w stronę przeprawy promowej, czy na wzgórze, do opactwa? –

zapytał, stając przed drzwiami gospody, którą dopiero co opuścili.

– Do opactwa. – Po tych słowach Stefania dziarsko ruszyła przed siebie.

Szli wolno. Majowe promienie słońca ogrzewały ich głowy i plecy. Mijali kolejne kolorowe chaty. Przy kilku z nich na małych stołach mieszkańcy wyłożyli produkty, które chcieli sprzedać: świeże jajka, miody z własnej pasieki, kwiaty z przydomowego ogrodu, a nawet zapomniane już magierki tynieckie.

– Kiedy byliśmy dziećmi, matka czasami zakładała taką Eleonorze – powiedziała Stefania, podnosząc małą okrągłą czapeczkę z białej wełny z niebieskimi i czerwonymi wstawkami. – Jak wyglądam?

– Pięknie. Ładnemu we wszystkim ładnie. – Jan przysunął się nieco bliżej i przekrzywił czapeczkę w zabawny sposób. – Poprosimy – zwrócił się do wyczekującej nieopodal kobiety.

– Dziękuję. – Stefania dygnęła lekko, a potem pocałowała go w policzek i mrugnęła zawadiacko.

Wspinali się wolno ulicą Benedyktyńską. Towarzyszyła im cisza, zakłócana tylko trelem rozbudzonych słoneczną pogodą ptaków i szumem płynącej po prawej stronie Wisły. Gdzieś w oddali majaczyły sylwetki starych tratw, galer i kryp, kiedyś służących miejscowym flisakom do spławiania drewna.

– Opowiadając mi o Tyńcu, wuj wspominał, że jeszcze jakieś dwie dekady temu rzeka aż roiła się od uwijających się flisaków, ale rozbudowa kolei z wolna pozbawiała ich zajęcia, co niestety poskutkowało jeszcze większym ubóstwem mieszkańców. Teraz tylko nieliczni trzymają się jeszcze flisactwa. Najczęściej przewożą turystów z jednego brzegu na drugi, wspominając stare, dobre czasy przed nastaniem kolei. – Jan podążył wzrokiem za płynącą krypą.

– Świat zmienia się bezustannie. Zastanawiam się tylko, czy wszystkie zmiany wychodzą mu na dobre. – Mówiąc to, Stefania zatrzymała się na drodze otwierającej się na pusty klasztorny dziedziniec. – Patrząc na te zniszczone mury obronne, nie mogę uwierzyć, że kiedyś z racji zamożności opactwa opata nazywano opatem stu wsi.

– Mój ojciec odwiedził to miejsce tylko raz, będąc jeszcze młodzieńcem. Dowiedziałem się o tym przypadkiem, kiedy składaliśmy wujowi wizytę. Mama chciała zwiedzić opactwo, ale ojciec odmówił. Powiedział, że nie chce po raz drugi patrzeć na zgliszcza, jakie zostawił po sobie pożar z początku XIX wieku. Najbardziej żałował zbiorów bibliotecznych. Był zagorzałym bibliofilem. Czytał wszystko i wszędzie. Wciąż pochłaniał kolejne tomy. Nie pamiętam ojca bez książki. Zawsze miał jakąś pod ręką.

– A ty? – zapytała Stefania, przysiadając na niewielkim murku nieopodal klasztornego dziedzińca.

– Miłość do książek odziedziczyłem po ojcu. Całe szczęście, że to pragnienie wiecznego czytania jest u nas rodzinne i zbiory w prywatnej bibliotece wuja wystarczą mi na długo. Zresztą po tym, jak zamieszkałem z wujem Dionizym, większą część naszej domowej biblioteki przenieśliśmy do jego willi na Podgórzu. Tylko niektóre książki wuj przekazał w darze miejscowej szkole.

Powoli ruszyli w stronę dziedzińca, na którym znajdowała się zabytkowa studnia. Podeszli do niej i zerknęli ostrożnie do środka.

– Dzień dobry! – zawołała Stefania. Wyczekiwała echa, które odpowiedziało na jej powitanie. – Wierzysz, że wrzucenie do studni pieniążka może spełnić wypowiedziane życzenie?

– Nie zaszkodzi spróbować, prawda? – Jan sięgnął do kieszeni i wyjął dwie monety. Jedną z nich podał Stefanii, drugą zachował dla siebie. – Na trzy? – Zerknął na nią pytająco. Stefania kiwnęła głową.

– Raz, dwa...

– Zaczekaj! – wykrzyknęła Stefcia, przytrzymując jego dłoń. – Życzenie musisz zostawić dla siebie, nie wolno wypowiadać go na głos, ponieważ się nie spełni.

– Raz, dwa... – Jan zaczął ponownie odliczać. – Trzy!

Echo wciąż jeszcze powtarzało jego słowa, kiedy dwie błyszczące w słońcu monety zaczęły spadać w głąb ciemnej studni. Cichy plusk potwierdził, że danina została przyjęta.

– Za jakiś czas przekonamy się, czy nasze życzenia się spełniły.

Spacerowali jeszcze przez jakiś czas wśród pozostałości po murach obronnych.

– Spójrz – powiedziała Stefania, wskazując na powiewające na wietrze plakaty, które ktoś nieudolnie przykleił na murach. – To odezwy.

Jan zatrzymał się przy Stefanii. Nie pierwszy raz czytał te ogłoszenia. Plakaty z hasłem „Do broni! Ojczyzna wzywa!” rozwieszono w całym Krakowie. Jeden z nich, „W imię ładu i porządku prowadzimy wojnę ze Wschodem. Wstępujcie w szeregi!”, trzymał starannie złożony w biurku w swoim pokoju. Znalazł go tuż przed domem jako kawał niepokojąco szeleszczącego, pędzącego po chodniku pod wpływem wiatru papieru.

– Podobno ochotnicy napływają tysiącami. Przyjmują mężczyzn od siedemnastego do czterdziestego drugiego roku życia. – Jan mówił cicho, jakby do siebie.

Stefania ruszyła dalej. Nie chciała znowu patrzeć na apele wzywające na wojnę. Wciąż jeszcze nie zapomniała o poprzedniej. Po kilku krokach jej oczom ukazał się dawny przyklasztorny ogród. Kiedyś zapewne wypiełgnowany i wzbudzający zachwyt, dziś był tylko cieniem dawnego ogrodu. Na zarosniętych rabatach wciąż kwitły kwiaty; wystawiały łebki ponad chwasty, walcząc o każdy promyk słońca i każdą kroplę deszczu. Ogród wyglądał dziko i tajemniczo.

– Chodźmy tam. – Jan wskazał małą ławeczkę, niezarośniętą i w dość dobrym stanie. Złapał Stefanię za rękę i poprowadził ją do celu. – Widać nie jesteśmy tu pierwsi.

Usiedli blisko siebie, ramię w ramię, wystawiając twarze do słońca. Stefania zamknęła oczy i oparła głowę na ramieniu Jana. Poruszył się delikatnie. Zapewne zerknął w jej stronę. Chwilę później poczuła, że przyłożył policzek do jej włosów. Siedzieli w milczeniu. Nie było w nim jednak spokoju. Stefania czuła bijące od Jana zdenerwowanie i niepewność. Serce biło mu szybciej i chociaż miała nadzieję, że to jej obecność jest powodem tego przyspieszonego pulsu, wiedziała, że Jan skrywa jakąś tajemnicę.

– Muszę z tobą porozmawiać. – Jego słowa tylko potwierdziły jej przypuszczenia.

Odsunęła się tak, żeby móc na niego swobodnie spojrzeć. Miał poważną minę, a w jego oczach czaiła się niepewność i coś na kształt obawy.

– Chciałem pozostać na te apele obojętny. Kiedy pierwszy raz zobaczyłem hasła wzywające do broni, odwróciłem od nich wzrok.

Nie patrzył już na Stefanię, która miała ochotę zerwać się z ławki. Wiedziała, co za chwilę usłyszy. Chciała krzyknąć, żeby przestał mówić, ale zamiast tego siedziała w milczeniu, jak skamieniała, słuchając płynącego potoku słów.

– Ale one bombardowały mnie z każdej strony. Jeden z nich pędzony wiatrem po naszej ulicy zatrzymał się pod moimi nogami, jakby był skierowany tylko do mnie. Zewsząd słyszałem o ochotnikach, którzy nie pytając o nic, rzucają wszystko i zgłaszają się do obrony kraju. Jako pierwsi odpowiedzieli studenci Akademii Górniczej. Za ich przykładem poszły inne uczelnie, nawet uczniowie starszych klas gimnazjów. Nie mogłem postąpić inaczej. Musiałem się zgłosić.

– Dlaczego? – zapytała. – Dlaczego?! – powiedziała głośniejszym głosem i szarpnęła Jana za ramię, zmuszając go, żeby wreszcie miał odwagę i spojrział jej w oczy. – Byłeś już na wojnie. Byłeś w niewoli. Prawie umarłeś. Oddałeś już krajowi swoją posługę. Nikt nie będzie miał do ciebie pretensji, jeżeli zostaniesz w domu. Tu też będą potrzebni mężczyźni.

– Nie powiedziałem jeszcze wujowi. Wiem, że będzie chciał mnie przekonać podobnymi argumentami, ale jak będę się czuł, wiedząc, że młodziki, którym pod nosem dopiero ściele się niewinny puszek, chwyciły za broń, kiedy ja grzeję się w domowych pieleszach?

– Możesz przysłużyć się sprawie inaczej. Ruszyła zbiórka broni. Nie bacząc na głód, ludzie oddają ostatnie pieniądze i precjoza. Możesz oddać coś cennego. Możesz służyć na miejscu. Tylko nie mów, że tak trzeba. Nie chcę tego słyszeć po raz drugi. Już kiedyś ktoś mnie tak przekonywał...

– Mikołaj. – Jan wszedł Stefci w słowo.

Spojrzała na niego zaskoczona. Już otwierała usta, chcąc zadać oczywiste pytanie, ale Jan nie pozwolił jej dojść do głosu.

– Mikołaj Grabowski był moim przyjacielem. Zaczekaj, daj mi wytłumaczyć. Kiedy nasze spojrzenia skrzyżowały się tamtego dnia na Rynku, miałem wrażenie, że twoja twarz jest znajoma, że już

gdzieś cię widziałem. Nie potrafiłem jednak skojarzyć, gdzie i w jakich okolicznościach. Dopiero kiedy się przedstawiłaś podczas kolejnego spotkania, przypomniałem sobie wszystko. Opowieści Mikołaja, kiedy mówił o tobie godzinami. I dzień na Oleandrach. Przyszłaś go pożegnać. Czekałem nieopodal.

Stefania słuchała uważnie. Wróciły wspomnienia. Zatłoczone Oleandry. Padające dookoła czułe słowa. Prośby i zapewnienia. Ona i Mikołaj. Strach, jaki nią wówczas zawładnął, i tłąca się gdzieś na dnie serca nadzieja, że Mikołaj dotrzyma obietnicy i wróci.

– Nie mogłaś mnie skojarzyć. – Głos Jana wyrwał ją z zamyślenia. – Wtedy jeszcze miałem czarne włosy. – Dotknął swoich siwych pasm, które tak bardzo wyróżniały go na tle innych młodych mężczyzn.

– Chciałabym wrócić do domu. – Stefania podniosła się z ławeczki i nie czekając na Jana, ruszyła w stronę ulicy prowadzącej do gospody, pod którą zostawili wypożyczony samochód.

Droga powrotna minęła im w milczeniu. Kiedy Jan zatrzymał się przed kamienicą Pod Irysami, Stefania, nie czekając, aż otworzy jej drzwi, wybiegła z pojazdu.

– Zaczekaj, Stefcu.

Jan dogonił ją dopiero w sieni. Nie chciała na niego spojrzeć, zagniewana, że historia faktycznie lubi się powtarzać.

– Spójrz na mnie – poprosił.

Odwróciła wzrok, hardo unosząc podbródek.

– Spójrz na mnie – powtórzył ostrzej.

W końcu zerknęła na niego.

– Wróć. Obiecuję, że wróć.

– Nie obiecuj tego, co nie zależy od ciebie i czego nie możesz dotrzymać. – Wyrwała się z jego uścisku. Była już na schodach, kiedy odwróciła się w stronę młodego Matuli. – Myślę, że dalsze spotkania nie mają sensu. Portret jest już prawie na ukończeniu. Poradzę sobie bez pozowania. Kiedy zostanie skończony, prześlę go na adres twojego wuja.

Nie czekając na słowa pożegnania, biegiem popędziła na górę. Zatrzymała się dopiero pod drzwiami mieszkania. Oparła czoło o ciepłe drewno. Musiała uspokoić oddech i łomoczące serce. Zmieniam swoje życzenie, pomyślała, wracając do chwili, w której rzucali pieniądze do studni. Proszę, żeby Jan wrócił. Żeby dotrzymał obietnicy i wrócił.

– Wróć – szepnęła i dopiero po chwili zastukała do drzwi.

## Rozdział 16

Błyszczący w czerwcowym słońcu czarny karawan zakładu pogrzebowego Concordia Jana Wolnego sunął wolno ulicą Wapienną. Tuż za nim podążał niewielki kondukt żałobny z księdzem i dwoma ministrantami na czele. Kilka kroków za duchownym szła pogrążona w żalu matka Mikołaja Tojewa, którego zwłoki parę dni temu sprowadził z Wiednia zakład Wolnego. Rozalia sunęła tuż za zrozpaczoną teściową, która już w kościele dała jej jasno do zrozumienia, że obecność synowej jest dla niej uciążliwą koniecznością. „Pewnie jesteś zadowolona” – powiedziała, podszedłszy do siedzącej w pierwszej ławce młodej wdowy.

Msza miała się rozpocząć lada moment. Ksiądz czekał przed drzwiami kościoła, witając żałobników, którzy niezbyt gromadnie pojawili się na uroczystości.

„Nie musisz już czekać na decyzję w sprawie rozwodu. Jakież to wygodne, móc udawać udręczoną, pogrążoną w żałobie żonę. Nosić głowę wysoko. Będąc rozwódką, mogłabyś spotkać się z ostracyzmem. Mało osób jest w stanie zaakceptować takie fanaberie ze strony kobiety. I nie mam tu na myśli mężczyzn, bo im tak po prawdzie wszystko jest obojętne. Jak nie ta, to inna. Zresztą nawet mój Mikołaj był gotów zgodzić się na ten kaprys”. – Zamilkła na chwilę, ponieważ emocje sprawiły, że zaczęła niebezpiecznie podnosić głos.

Odchrząknęła. Gniewnie, z nienawiścią łypnęła na synową, której nigdy nie lubiła i nigdy nie starała się poznać.

„Niech ci się nie wydaje, że dom, w którym zamieszkaliście po ślubie, przypadnie ci w udziale. Należał do świętej pamięci ojca Mikołaja. Pozwoliłam, abyście się tam wprowadzili, ponieważ Mikołaj na to nalegał. Teraz nie masz już obrońcy. Dom wróci do mnie. Do właściciela, przy którym zawsze było jego miejsce”.

Rozalia nie zamierzała podejmować dyskusji z tą kobietą. Ani teraz, podczas pogrzebu, ani później. Mikołaj nie chciał podpisać intercyzy, chociaż sama na to nalegała. Wszystko, co wniósł do małżeństwa w dniu ślubu, było ich wspólną własnością. Spojrzała obojętnie na rozgniewaną kobietę. Mogła ujawnić prawdę. Mogła patrzeć z satysfakcją na jej rozczarowanie i niemoc, ale postanowiła milczeć.

„I niech ci nie przyjdzie do głowy stawać zaraz za księdzem. To miejsce jest zarezerwowane dla osób, które kochały zmarłego, a ty na pewno do nich nie należysz” – usłyszała jeszcze. Niestety z tym argumentem nie zamierzała polemizować.

Nie była nawet pewna, czy lubiła swojego męża. Na pewno nie darzyła go sympatią na samym początku małżeństwa. Potem jej stosunek do Tojewa stał się ambiwalentny. Trudno bowiem obdarzyć kogoś uczuciem, czy to negatywnym, czy pozytywnym, nie znając go wcale, a ona Mikołaja nie знаła. Może powinna się bardziej postarać? Może gdyby nalegała, żeby częściej bywał w domu, nie związałby się tak mocno z kochanką i nie zginąłby z tego powodu. O jego śmierci dowiedziała się telegraficznie. Wiadomość była krótka i lakoniczna. Rozalia wstydziła się sama przed sobą, że kiedy ją przeczytała, nie poczuła absolutnie niczego. Żadnego żalu, żadnych łez pod powiekami. Nie poczuła też ulgi ani radości. Tylko zobojętnienie. Kilka dni po telegramie ktoś życzliwy, zapewne nadawca wcześniejszych anonimowych listów, podrzucił pod drzwi jej domu codzienną gazetę z Wiednia. Otwarta była na artykule dotyczącym morderstwa dokonanego w biały dzień w centrum miasta. „Morderstwo w afekcie”, krzyczał nagłówek, i chociaż nie miała zamiaru czytać artykułu, nie udało jej się poskromić ciekawości. Z austriackiej gazety dowiedziała się, że Mikołaj został zaszytyłowany przez rozwścieczonego mężczyznę, który za swoje niepowodzenia w związku małżeńskim winił nie niewierną połowicę, ale jej kochanka.

Spazmatyczny szloch matki Tojewa wyrwał Rozalię z zadumy. Kondukt żałobny przechodził akurat przez kutą bramę obok budynku zarządu z niewielką kaplicą, który oddano do użytku trochę ponad dziesięć lat temu.

Szli główną aleją. Po obu jej stronach znajdowały się nie tylko rodzinne grobowce, których

surowe piękno nadwątlił ząb czasu, ale także skromne kwatery bohaterów walk o niepodległość. Wzrok Rozalii spoczął na jednym z mijanych grobów. Piękna klęcząca kamienna dziewczyna, alegoria Żałoby, składała różany wieniec pod złamaną kolumną, symbolizującą kruchość ludzkiego życia. Jakież to prawdziwe i jakież smutne, pomyślała Rozalia, czując, jak pod powiekami zaczynają zbierać się łzy.

Kilka kroków dalej żałobnicy, wśród których szły także Eleonora i Stefania, minęli grobowiec rodzinny Matulów. Stefcia uśmiechnęła się prawie niewidocznie, wspominając spotkanie z Janem Matulą, który odwiedzał groby swoich bliskich. Przyszła tu wtedy, pomimo listopadowego zimna, zapalić znicz za poległego Mikołaja Grabowskiego. Przystanęła na chwilę, pozwalając oddalić się żałobnikom.

– Tu spoczywa Adam Matula wraz z małżonką Justyną – przeczytała szeptem, po czym zmówiła po cichu krótką modlitwę.

Zanim ruszyła za konduktem, raz jeszcze zerknęła na grobowiec. Przyspieszyła kroku i po chwili dołączyła do czekającej na nią Eleonory. W milczeniu dogoniły resztę żałobników.

Szli jeszcze kawałek. W końcu, przy granicy cmentarza, którą nazywano Aleją pod Kopcem, karawan wiozący trumnę z doczesnymi szczątkami Tojewa skręcił w prawo. Ksiądz najpierw minął grób Stanisława Pałczyńskiego, maszynisty kolejowego, aby zaraz za marmurową płytą Antoniego Mazanowskiego, historyka literatury, który wstawił się na Podgórzu jako założyciel pierwszej w Galicji czytelnicy dla uczniów, zatrzymać się przy świeżo wykopanym dole, ostatnim miejscu spoczynku Mikołaja Tojewa. Na ten widok matka zmarłego wybuchnęła głośnym, niepohamowanym, prawie spazmatycznym płaczem.

Ministranci, z których jeden trzymał krzyż, stanęli u wezglowia, duchowny zaś po przeciwnej stronie. Oczekali chwilę, tak aby wszyscy zajęli wygodne miejsca.

– Miłosierny Boże, Ty dajesz odpoczynek duszom wiernych, prosimy Cię, pobłogosław ten grób i uwolnij od wszystkich grzechów duszę Mikołaja, którego ciało tutaj składamy, aby mógł razem ze świętymi bez końca radować się w Tobie. – Słowa kapłana wybrzmiały w ciszy przerywanej jedynie płaczem matki Tojewa. – Przez Chrystusa, Pana naszego...

– Amen – odparli żałobnicy.

Rozalia opuściła głowę. Czowała na sobie ciekawskie spojrzenia. Wiedziała, że zaraz po ceremonii zaczną się plotki. Przyjaciółki matki Tojewa, wiernie trwające teraz u jej boku, podtrzymujące ją, tak aby dodać jej sił i ukoić ją w żalu, co rusz łypały na Rozalię złośliwie, osądzając ją z góry. Brak łez u wdowy nie pozostał niezauważony. Rozalia opuściła głowę jeszcze niżej. Na ramieniu poczuła czyjąś dłoń. Zerknęła za siebie. Jej wzrok napotkał zatroskane spojrzenie Juliana i smutne oczy Eleonory. Skinęła im głową, chcąc zapewnić brata i przyjaciółkę, że czuje się dobrze, a to, że opuszcza głowę, nie świadczy o jej słabości, ale o konieczności ukrycia niechęci czającej się w jej spojrzeniu za każdym razem, kiedy kieruje wzrok na teściową i towarzyszące jej kobiety.

– Boże, ty natchnąłeś sprawiedliwego Józefa z Arymatei, aby złożył ciało Zbawiciela w nowym grobie. Pokornie prosimy Cię, abyś w Twojej dobroci pobłogosławił grób, który przygotowaliśmy dla naszego zmarłego brata. My składamy jego ciało w grobie, Ty przyjmij jego duszę do nieba. Przez Chrystusa, Pana naszego...

– Amen.

Rozalia zamknęła oczy i wsłuchiwała się w łagodny trel ptaków, cieszących się słoneczną pogodą. Donośny głos duchownego wyrwał ją z zamyślenia.

– Boże, Ty dajesz ludziom życie i zmartwychwstanie. Wysłuchaj prośby, które my, grzeszni, z bólem znosimy za Twojego sługę Mikołaja. Wyzwól go z więzów śmierci i daj mu udział w radościach raju z Twoimi świętymi. Przez Chrystusa, Pana naszego...

– Amen.

Rozalia przyglądała się, jak pracownicy pogrzebowi powoli opuszczają trumnę do grobu. Ksiądz skropił miejsce ostatniego spoczynku Tojewa wodą święconą. Kilka minut później żałobnicy ustawili się w długim ogonku, aby złożyć kondolencje matce i wdowie. Rozalia uściśnęła dłonie rodziców, brata oraz siostr Schramm, wysłuchując ich szczerych wyrazów współczucia, a potem, nie czekając na pozostałych

gości pogrzebu, których zresztą widziała po raz pierwszy, przeżegnała się i ruszyła do wyjścia. Nie przejmowała się tym, że właśnie wywołała mały skandal, o którym chętnie będą plotkować na krakowskich salonach.

\*\*\*

Stefanię obudził dziwny strach. Czowała wszechogarniający lęk, który paraliżował ręce, nogi i głos. Przypuszczała, że gdyby spróbowała zawołać Eleonorę i poprosić ją o pomoc, zaciśnięte struny głosowe odmówiłyby posłuszeństwa. Leżała więc nieruchomo z zamkniętymi oczami, czekając, aż uczucie, które wyrwało ją z głębokiego snu, minie. Wsłuchiwała się w szaleńczo bijące serce – jego trzepot w klatce piersiowej przywiódł jej na myśl kolibra unoszącego się nad rozwartym kwiatowym kielichem. W końcu szum wzburzonej strachem krwi zaczął ustępować, tak jak i serce zaczęło się z wolna uspokajać. Z rąk zniknęła gęsia skórka, gardło rozluźniło się na tyle, że Stefania była w stanie przełknąć ślinę. Do sparaliżowanej świadomości młodszej córki Schramma zaczęły przedostawać się odgłosy miasta, które wciąż jeszcze nie spało. Panującą w pokoju ciszę przerywał tylko jej płytki oddech. Dopiero po dłuższym czasie Stefania zdała sobie sprawę, że nie słyszy spokojnego, miarowego oddechu śpiącej na drugim łóżku Eleonory. Uniosła się nieco i starając się przeniknąć ciemność panującą w pokoju, zerknęła w stronę, gdzie powinna leżeć starsza siostra. W końcu oczy przyzwyczaiły się do czerni rysującej zamazane kontury przedmiotów. Łóżko Eleonory faktycznie było puste.

Stefania opadła na miękką poduszkę. Położyła się wcześniej niż siostra, która do domu wróciła dość późno, żeby nie powiedzieć: zdecydowanie za późno, o co jeszcze kilkanaście miesięcy temu matka zaczęłaby się awanturować, nie bacząc na fakt, że Eleonora już jakiś czas temu skończyła dwudziesty siódmy rok życia, jednak była przekonana, że siostra położyła się do łóżka. Przez jakiś czas leżała bez ruchu, zastanawiając się, co zrobić. Nie zasnęłaby za nic w świecie: nieobecność Eleonory nie dawała jej spokoju. W końcu, wzdychając głośno, wysunęła stopy spod nagrzanego, dającej schronienie kołdry. Otworzyła drzwi sypialni i nasłuchiwała przez chwilę domowych odgłosów. W mieszkaniu Schrammów panowała wręcz idealna cisza, którą przerywało tylko miarowe tykanie zegarów rozwieszonych w różnych częściach domu. Stefania wróciła do sypialni. Sięgnęła na nocny stoliczek, gdzie pod ręką trzymała lichtarzyk. Zapaliła świeczkę i wolno ruszyła na poszukiwania zaginionej. Zatrzymała się pod pokojem matki. Najwyraźniej Tekla jeszcze nie sapała, ponieważ pod drzwiami snuła się wata smuga światła. Stefania zerknęła w stronę ojcowskiego gabinetu, a potem w kierunku rodzicielskiej sypialni. W obu pomieszczeniach panowała ciemność. Albo ojca nie było i dlatego matka wciąż przesiadywała w swoim buduarze, jak zwykła mawiać o swojej izdebce, albo Schramm spał, a rodzicielka, podobnie jak Eleonora, wymknęła się z łóża.

Stefcia przeszła jeszcze kilka kroków. Prawie niewidoczny strumień bladego światła przedostający się przez szparę pomiędzy drzwiami a podłogą powiódł ją niczym zaczarowany flet w stronę salonu. Otworzyła drzwi powoli, zachowując się najciszej, jak potrafiła. Eleonora siedziała na jednym z wygodnych foteli. Na małym stolczku między nimi migotało światło świecy, którego cień tańczył na ścianie. Tuż obok stała do połowy opróżniona flaszeczka absyntu. W zgrabnych palcach Schrammówny kiwała się łyżeczka do rozpuszczania cukru oraz opróżniony kieliszek.

– Świątujesz czy topisz smutki? – zapytała Stefania, zamykając drzwi salonu i podchodząc do drugiego fotela.

– Ani jedno, ani drugie. Piję dla przyjemności. – Szczera odpowiedź siostry spowodowała, że Stefania uniosła brew w zdziwieniu, nie pokusiła się jednak o komentarz.

– Napijesz się? – zapytała po chwili Eleonora.

– Nie, dziękuję. Wolałabym zapalić papierosa.

Tym razem to Eleonora spojrzała zaskoczona na młodszą siostrę.

– Nie tylko ty masz jakieś nałogi. – Stefcia zamilkła na chwilę. – Palę czasami – dodała, żeby uspokoić Eleonorę. – Powiedziałabym, że raczej rzadko, więc nieco przesadziłam z tym nałogiem. Pytanie, czy ty pijesz tak rzadko, jak ja palę, czy wspomagasz się zieloną wróżką na tyle często, że słowo



nałóg nie jest nadużyciem?

Stefania czekała na odpowiedź, wpatrując się w Norę intensywnie.

– Teraz już rzadko, ale był czas, kiedy absynt nie tylko dodawał mi odwagi, ale sprawiał, że czułam się wolna i swobodna. Lubiłam tamtą siebie. Bez zahamowań, gotową na więcej, wolną od fałszywej skromności, choć wiedziałam, że tak naprawdę to jednak nie byłam prawdziwa ja.

– Czy jest coś, co sprawia, że potrzebujesz być brawurowo odważna? – zapytała Stefania, biorąc do ręki flaszkę z absyntem. Powąchała zawartość i skrzywiła się nieco.

– Byłam dziś w szpitalu na Kopernika.

– Czyżbyś usłyszała plotki i na własne oczy chciała zobaczyć urodzonego tam diabła? Tylko nie mów, że o niczym nie słyszałaś?

Stefania nie kryła zdziwienia, kiedy Eleonora pokiwała twierdząco głową.

– Przecież o sprawie od kilku dni huczy prawie cały Kraków. O ile się nie mylę, pisali o tym w gazetach. Dziecko urodziła ponoć dziesięcioletnia żydowska dziewczynka. Maluszek miał mieć rogi, kopyta i ogon. Nie wierzę, że nie spotkałaś ludzi tłoczących się pod kliniką!

– Teraz, kiedy o tym mówisz, przypominam sobie, że na widok zbiorowiska zaczęłam się zastanawiać, w jakim celu oni wszyscy przyszli pod szpital. Byłam jednak tak zaaferowana chęcią załatwienia swojej sprawy, że w ogóle nie przywiązywałam wagi do ich obecności. Nie powiesz mi chyba, że to wszystko, co gazety napisały o diabełku? – Eleonora nie miała wcale ochoty plotkować, ale dzięki temu mogła odwlec nieuchronne pytanie Stefci, co robiła w szpitalu na Kopernika.

– Pierwszego dnia po tym, jak gruchnęła wiadomość o niecodziennych narodzinach, pielęgniarki na Kopernika mieli ponoć ręce pełne roboty. Ludzie jak opętani szturmowali wejście, chcąc przekonać się na własne oczy, że takie dziwo przyszło na świat.

– Myślałam, że ludzie mają własne kłopoty, ale okazuje się, że pomiędzy zamartwianiem się a szukaniem rozwiązania problemów zawsze znajdzie się czas, żeby nacieszyć oczy nieszczęściem innych.

Stefania nie mogła nie zgodzić się z gorzkimi słowami wypowiedzianymi przez siostrę.

– Okazuje się, że kiedy idzie o plotki i niezdrową ciekawość, pochodzenie społeczne nie ma znaczenia. Pod szpitalem zebrało się tak samo dużo robotników jak inteligencji, co zdaniem dziennikarza widać było gołym okiem. Niektóre kobiety zarzekały się, że na własne oczy widziały, jak diabeł brykał, a jedna z nich przysięgała na własne zdrowie, że kiedy chciała zajrzeć do łóżeczka, ubódł ją małym różkiem. Czegoż to ludzie nie wymyślą?

Eleonora nie odpowiedziała. Stefania ciągnęła dalej:

– Było tak źle, że rodzina dziewczynki dała łapówkę, żeby zapewnić jej i nowo narodzonemu chłopcu choć odrobinę bezpieczeństwa. Wczoraj, kiedy przyszłam do domu, Franciszek powiedział mi w wielkiej konspiracji, że tego diabła chciano ochrzcić w kościele św. Mikołaja, ale błyskawica przecięła niebo nad kościelną wieżą, co spowodowało, że cały gmach zatrzęsł się w posadach. Ksiądz z tego wszystkiego tak się przestraszył, że w chwili, kiedy chciał ochrzcić dziecko, kropidło wypadło mu z ręki, co odczytał jako znak od Boga, że nie powinien diabła chrzcić, i odesłał nieszczęsnych lekarzy, którzy w tej sprawie się do niego zgłosili, bez udzielenia sakramentu.

– Nasz Franciszek powtarza plotki? – Eleonora nie posiadała się ze zdumienia. Jak długo żyła, nie słyszała, żeby lokaj ojca powtarzał jakieś zasłyszane na mieście nowiny. Franciszek ogólnie uchodził za milczka. Odzywał się sporadycznie, zasadniczo tylko wtedy, kiedy był o coś pytany. Jeżeli już wdawał się w jakąś dyskusję, to tylko z ojcem.

– Niesamowite, prawda? Ale posłuchaj dalej. To też z relacji Franciszka. Lekarze byli tak zmartwieni faktem, że duchowny odmówił chrztu, że w desperacji, chcąc się pozbyć Szatana ze szpitala, próbowali go otruć. Co rusz podawali mu najróżniejsze trucizny, ale dziecko wciąż ożywało, a im mocniejszą truciznę mu dawali, tym więcej nabierało siły. W końcu zaprzestali tego procederu, bo mały zezłościł się tak bardzo, że zaczął kopytami krzesać iskry.

Eleonora nie wytrzymała i parsknęła śmiechem. Zreflektowała się jednak od razu, że jej niepoohamowana radość może sprowadzić do salonu ciekawską matkę, która przecież też jeszcze nie

spała.

– Zastanawiałaś się, dlaczego matka jeszcze nie śpi? – zapytała Stefanię, zmieniając temat.

– Nie tylko nad tym się zastanawiam. Nie uważasz, że ostatnio dziwnie się zachowuje? Zawsze była ekscentryczna, ale teraz wzbudza mój niepokój. Nie wygląda na chorą, przynajmniej na ciełe... – Stefania zawiesiła głos, pozostawiając myśl niedokończoną.

– Julian zdradził mi, że matka była u niego i zleciła mu obronę niejakiego hrabiego Raczyńskiego, którego poznała podczas pobytu u ciotki Agnieszki. Człowiek ten został oskarżony o morderstwo, które zaplanował, żeby przejąć majątek zamordowanego. Sęk w tym, że ofiara podobno zmarła z przyczyn naturalnych. Jednak żona zmarłego utrzymuje, że Raczyński ma moc, którą może wykorzystać na odległość, i potrafi spowodować zgon każdego, na kogo zagnie parol.

– I matka z taką sprawą wybrała się do Juliana?

– Była u niego znowu raptem kilka dni temu, ponieważ ogłoszono wyrok w sprawie Raczyńskiego skazano, gdyż znalazł się świadek, który pod przysięgą zeznał, że widział oskarżonego w obecności zmarłego na kilka chwil przed jego śmiercią. Sąd uznał, że Raczyński może i nie użył siły fizycznej, ale zrobił coś, co spowodowało taką panikę u mężczyzny, że stanęło mu serce. Proces był poszlakowy i jak Julian zapewniał matkę, na dwoje babka wróżyła. Raczyńskiego skazano na dziesięć lat ciężkich robót oraz pozbawiono tytułu szlacheckiego. Jeszcze podczas odczytywania wyroku były hrabia wykrzykiwał, że to on jest ofiarą, a ten, kto ukartował całą sprawę, był doskonałym strategiem.

– I jak zareagowała mama?

– Była zasmucona, ale na odchodnym, kiedy żegnała się z Julianem, powiedziała, że dziedzictwo hrabiego przetrwa w jego uczniach, do których i ona za niedługo będzie należeć.

– Co? – Stefania nie siliła się na ładne mówienie, a Eleonora nie starała się jej poprawić. Zresztą już dawno zarzuciła ten zwyczaj. Stefcia nie była już małą dziewczynką, którą należało strofować.

– Nie wiem nic ponad to. Julian chciał ją wypytać, co miała na myśli, ale uśmiechnęła się ponoć tajemniczo i się pożegnała.

– Nie wiem, co o tym sądzić. Matka zawsze była ekscentryczna. Często robiła rzeczy, których jedynym celem było zwrócenie na siebie uwagi, tak jak jej słynne seanse spirytystyczne. Swoją drogą nie dziwi cię, że nagle zarzuciła zwyczaj bywania na nich?

– Jeżeli zachowanie mamy w najbliższym czasie nie ulegnie zmianie, będziemy musiały porozmawiać z ojcem i prosić go, aby zamienił z nią kilka słów.

– Koniecznie. – Stefania poparła pomysł siostry. Na kilka minut w salonie zapadła cisza.

Eleonora akurat dźwigała się z fotela, kiedy Stefcia zerknęła na nią pytająco.

– Myślałaś, że zapomniałam, ale nie zamierzam puścić ci tego płazem. Jakież to ważne sprawy załatwiałaś na Kopernika, że aż przeoczyłaś cały cyrk w szpitalu i przed nim?

Eleonora opadła z rezygnacją na fotel. Mogła się tego spodziewać. Stefcia zawsze była dociekliwa. Przez lata nic się w tym względzie nie zmieniło.

– Zgłosiłam się na wezwanie wystosowane przez Ochotniczą Ligę Kobiet. Za kilka dni wyjeżdżam do Warszawy. Zostałam przydzielona pod dowództwo Janiny Prus-Niewiadomskiej, o której słyszałam już w czasie wojny. I wtedy, i teraz panna Janina walczy na pierwszej linii. – Eleonora mówiła jednym tchem. Czuli, że za chwilę będzie musiała stawić czoła siostrze, która na razie, zaskoczona nowinami, milczała.

– Słyszałam, że jest jeszcze gorzej niż wtedy – powiedziała Stefania. – Czytałam w „Ikacu” relację lekarza, który pracuje w prowizorycznym szpitalu na Powiślu. I nie miał na myśli ran, bo do tych zdążył się już przyzwyczaić przez lata, ale choroby zakaźne.

– Wiem, Stefciu, wiem. Panoszy się tyfus i czerwonka.

– Nawet ja mam świadomość, że czerwonka może spowodować śmierć. Front, głód i brak wody pitnej dla pielęgniarek, które nie trafiają na pierwszą linię walk, to gorsze niż wystrzelone kule. – Stefcia była wyraźnie wzburzona.

Eleonora milczała. Nie miała do powiedzenia nic, co mogłoby złagodzić zdenerwowanie siostry.

– Nie przekonam cię do zmiany zdania. – To nie było pytanie, ale mimo to Eleonora potwierdziła

skinieniem głowy. – Jesteś jak Jan. On też nie zamierza zmienić zdania.

– Jan? Czy to on sprawił, że znowu zaczęłaś żyć?

– Tak, on, ale najgorsze jest to, że informując mnie o wstąpieniu do wojska, na szyję włożył mi niewidzialny sznur. Na razie zwisa luźno. Czuję tylko, jak delikatnie ociera się o skórę, przez co nie daje o sobie zapomnieć, chociaż bardzo bym tego chciała. Boję się jednak, że kiedy Jan nie dotrzyma obietnicy, ta wyimaginowana pętla znowu się zaciśnie, z tym że teraz będzie jeszcze gorzej, bo ile razy można przeżywać ten sam ból? – Przy ostatnich słowach głos Stefci załamał się lekko. Odchrząknęła, chcąc odpędzić wzruszenie. – Przepraszam, nie będę obarczać cię swoimi obawami. Powiedz lepiej, jak układa się między tobą a Julianem.

– Iskrzy – odparła Eleonora, szanując decyzję siostry o zmianie tematu, chociaż miała dużą ochotę na dalszą rozmowę o tajemniczym Janie, którego obecność w życiu Stefania skutecznie ukrywała, przynajmniej przed rodzicami. – Ten absynt to na odwagę. W końcu nie pojedę do Warszawy, nie zaznając pełni szczęścia. – Mówiąc to, Eleonora znacząco uniosła brew. – Doktor Kurkiewicz byłby ze mnie dumny – dodała po chwili, sięgając po alkohol. – Za odwagę – wzniosła toast i przechyliła kieliszek z niewielką zawartością mieniącą się na dnie.

\*\*\*

Julian zerknął na zegarek. Chociaż dochodziła dziewiętnasta, słońce było jeszcze stosunkowo wysoko, a upał, który doskwierał mieszkańcom miasta przez cały dzień, zelżał tylko odrobinę. Do odjazdu tramwaju został niecały kwadrans. Gdyby Michałowski nie był tak wyczerpany całym dniem, zakończonym wizytą u starej szeptuchy Anieli, pewnie wykorzystałby piękną pogodę i przeszedłby spacerkiem te kilka kilometrów z ulicy Anczyca na Salwatorze, przy której w kamienicy potocznie nazywanej Pod Meduzą mieszkała znachorka. Ale nie dziś. Był tu już po raz trzeci i za każdym razem czuł się dziwnie zestresowany. Adres Anieli, której nazwiska nie udało mu się poznać, dostał o dziwo od swojego lekarza, doktora Jakuba Rosnera, znanego kardiologa i wybitnego dydaktyka, który zasięgał u Juliana swego czasu porady prawnej, a któremu Julian podczas szczerej prywatnej rozmowy wyznał, jak bardzo doskwierają mu blizny po oparzeniach.

„Pewnie nie powinienem tego robić, bo to stoi w sprzeczności z naszą, lekarzy, walką ze znachorami i wiejskimi felczerami, którzy najczęściej bardziej szkodzą, niż pomagają, ale Aniele z Salwatora znam nie od dziś i mogę ją polecić z czystym sumieniem”. Słowa Jakuba przypominały się Julianowi za każdym razem, kiedy wchodził do ciemnego mieszkania na parterze kamienicy, zmuszony cierpliwie odczekać w kolejce chcących zasięgnąć porady szeptuchy.

Kiedy przyszedł tu po raz pierwszy, zdziwił go długi ogonek ludzi. Przyglądał się im dyskretnie, ale uważnie. Byli tu nie tylko biedacy, niemogący pozwolić sobie na wizytę prywatną u lekarza, ale i tacy jak on: zamożni, wykształceni, ze środowisk określanych mianem arystokratycznych. Ci ostatni unikali spojrzeń, dystansowali się od biedniejszych, ściśniętych w plotkujące i wymieniające się sprostaczeniami grupki.

Dzwonek nadjeżdżającego tramwaju sprawił, że wspomnienia na chwilę uleciały. Julian wsiadł do składu i kupił bilet drugiej klasy. Nigdy nie miał zapędów, aby wywyższać się ponad innych, izolować i, jak chciała jego matka, podkreślać arystokratyczne pochodzenie. Zajął wolne miejsce i odwrócił wzrok w stronę okna. Tramwaj stał jeszcze przez kilka minut na pętli salwatorskiej, po czym ruszył wypełniony tylko w połowie w stronę Kleparza. Michałowski miał już przyjemność raz jeden jechać tą trasą, więc wiedział, że na kolejnych przystankach skład zapełni się całkowicie, a większość pasażerów, tak jak i on, wysiadzie dopiero przy kleparskim targowisku. Czekala go kilkuminutowa jazda. Zamknął oczy. Starał się odprężyć, co zawsze przychodziło mu z trudem po wizycie u Anieli.

– Młody, przystojny, pełen życia. Bez oka, ale nikt nie jest doskonały – odezwała się znachorka, kiedy pierwszy raz przekroczył jej próg. – Co sprowadza go do mnie?

– Jestem Julian Mich...

– Nikomu niepotrzebne te dyrdymały. Skoro przychodzi, to musi mieć powód i ten powód

mi powie, a nie, jak go rodzice nazwali – przerwała mu w pół słowa.

Głos Aniela miała mocny, niepasujący do jej zgarbionej filigranowej sylwetki. Siedziała na małym zydłu, wpatrując się w Juliana wyczekująco.

– Oparzenia – powiedział cicho, prawie szeptem.

Dziwne, ale ta mała pomarszczona starowinka, może tylko wyglądająca na tak wiekową, oniesmiała go i powodowała, że czuł się nieswojo. Może to przez oczy. Ich kolor był niezwykle. Tak jasny, że prawie przezroczysty. Odcinały się od pomarszczonej skóry, którą naznaczył nie tylko czas, ale także promienie słoneczne. Przywodziły na myśl drapieżne oczy wilka.

– Pokaże – zakomenderowała i ruszyła w stronę Juliana.

Zanim się spostrzegł, złapała go za rękę i pociągnęła do kąta izby, w którym stał drugi zydł. Na ścianach wisiały niezliczone ikony i obrazy przedstawiające świętych.

– Rozbierze się i pokaże – powiedziała raz jeszcze i odwróciła się, żeby przyciągnąć swój stołek do miejsca, na którym usadowiła Juliana.

Młody hrabia patrzył na nią wyczekująco. Kazała mu się rozebrać. Zastanawiał się, czy nie wstać i nie wyjść.

– Wstydzi się? – zapytała, uśmiechając się krzywo. – Wstyd zostawił za progiem. Rozbiera się.

Komenderowała niczym przełożony w wojsku. Julian zdjął płaszcz. Powoli sięgnął do guzików białej koszuli. W końcu ściągnął także podkoszulek. Starowinka podeszła bliżej. Nachyliła się nad nim, żeby przyjrzeć się bliznom. Przez moment w izbie panowała niemal idealna cisza. Po chwili jednak z ust znachorki zaczęły wydobywać się niezrozumiałe dźwięki, które powtarzała raz za razem, zmieniając nieco intonację.

– *Santor, santor, rotas, ewron, liron, deus, meus.* – Litanię tę wypowiedziała kilka razy, po czym nagle umilkła. Julian chciał wstać, ale Aniela położyła mu dłoń na pokrytym bliznami prawym boku i dmuchała w nie ze zmienną siłą. Po każdym dmuchnięciu wykonywała nad Michałowskim znak krzyża. W końcu dmuchanie ustało. Szeptucha po raz ostatni zrobiła nad Julianem znak krzyża, potem przeżegnała się sama i kiedy Julian pomyślał, że skończyła odprawiać magiczne rytuały, splunęła trzy razy przez lewe ramię.

– Przeżegna się – zwróciła się do osłupiałego Juliana nieznoszącym sprzeciwu głosem. – Jak się przeżegna, ale porządnie i z namaszczeniem, to może się ubrać.

Nie patrząc na Juliana, podeszła do pamiętającej lepsze czasy wielkiej drewnianej szafy.

– Trzyma tu. Zrobi sobie wieczorem co drugi dzień odwar ze szczawiu. Jak się nieco wystudzi, tak żeby nie był za zimny ani za ciepły, to przemywać będzie rany. Następny razem dam mu maści ze szczawiu, żeby blizny smarował. A tu ma jeszcze woreczek z nagietkiem. Niech też zrobi napar. I tak jak szczawiem, przemywa rany. W te dni, kiedy nie będzie używać szczawiu. Blizny nie będą takie czerwone. Jak swędzi, to świąd zniknie. I ból będzie mniejszy, bo się rany bardziej sprężyste zrobią.

Tamtego dnia wyszedł nastawiony sceptycznie. Wszystko wydawało mu się zbyt teatralne. W pierwszej chwili chciał nawet wyrzucić woreczki, które dała mu znachorka, ale jakiś głos, zapewne rozsądku, podpowiedział mu, że skoro i tak za to zapłacił, warto spróbować.

Pierwsze efekty poczuł już po paru dniach. Zwątpienie w zdolności szeptuchy Anieli zaczęło ustępować miejsca podziwowi dla jej wiedzy. Blizny faktycznie stały się mniej zaczerwienione. Towarzyszące Julianowi często swędzenie prawie całkiem zniknęło. Od dawna nikt nie zaskoczył go tak pozytywnie. Dlatego przyszedł tu już po raz trzeci i chociaż za każdym razem czuł się tak samo nieswojo i nie na miejscu, przypuszczał, że za jakiś czas zawita tu znowu.

Tymczasem tramwaj zatrzymał się na Starowiślnej. Głośna rozmowa dwóch krakowskich przekupek, skarżących się na obecne maniery, wyrwała Juliana z zamyślenia. Zerknął na kobiety, które drapieżnie rozglądały się po składzie. Szukały wolnych miejsc. Mógł odwrócić wzrok i w dalszym ciągu podziwiać mijany krajobraz, czym zgodnie z najnowszymi trendami wcale nie wyszedłby na gburę. Ostatnimi czasy w różnych środowiskach, a nawet na łamach prasy zaczęto dyskutować nad zasadnością bycia dżentelmenem, zwłaszcza jeżeli chodzi o ustępowanie miejsc kobietom w przestrzeni publicznej. Wśród panów było wielu zwolenników zachodniego zachowania, wyrażającego w tym względzie daleko

idącą dowolność. Ba, zachodni panowie uważali, że przymus ustępowania miejsca jest niepraktyczny, a niekiedy nawet bezsensowny. Bo czy rozsądne było, aby zmęczony wielogodzinną ciężką pracą mężczyzna ustępował miejsca młodej, zdrowej, wypoczętej kobiecie, która na dodatek jechała tylko kilka przystanków i wysiadała wcześniej niż przepracowany jegomość? Takie i podobne zapytania od jakiegoś czasu krążyły w eterze. Julian optował jednak za przestrzeganiem staropolskich manier, dlatego jako dobrze wychowany dżentelmen wstał i lekkim uśmiechem wskazał na wolne siedzisko.

Widząc postawę Juliana, mężczyzna siedzący za nim wstał również. Ukontentowane kobiety spoczęły, nie zaszczycając szarmanckich kawalerów ani słowem, ani spojrzeniem, w którym można by wyczytać podziękowanie za miły gest.

\*\*\*

W czasie kiedy tramwaj Juliana dojeżdżał na Kleparz, Eleonora szła w stronę kamienicy na ulicy Szlak 21. Od dawna wybierała się do niego z odwiedzinami. Prawdę powiedziawszy, na pomysł, którego realizację zamierzała wcielić dziś w życie, wpadła dobrych kilkanaście tygodni temu. Najpierw jednak musiała się do niego starannie przygotować i, co najważniejsze, właściwie nastawić. Nabrać odwagi i pewności, że nie zostanie źle zrozumiana lub co gorsza odrzucona. Czas mijał nieubłaganie, a ona wciąż odwlekała odwiedziny u Michałowskiego. Nieco animuszu nabrała po niedawnej rozmowie z siostrą, ale ostateczną decyzję, aby złożyć hrabiemu niezapowiedzianą wizytę, podjęła dziś w godzinach przedpołudniowych. Akurat przepisywała jedną z notatek doktora Kurkiewicza, kiedy poczuła nieodpartą pokusę, aby w końcu dać się ponieść spontaniczności i zamiast wciąż czekać, wybrać się na ulicę Szlak 21 po zakończonej pracy. Żeby nie zrejterować w ostatniej chwili, w czasie krótkiej przerwy – a było to kilka minut po trzynastej – poszła na pobliską pocztę nadać ekspresem krótką notatkę dla Stefcy, aby siostra wytłumaczyła jej przedłużającą się nieobecność, gdyby ktoś o nią pytał. Miała już swoje lata, ale wciąż jeszcze czuła się w obowiązku informować w domu, gdzie wychodzi i o której wróci. Z drugiej strony zastanawiała się, czy ojciec lub matka, a szczególnie matka, zauważyliby jej nieobecność. Powinnam porozmawiać z mamą, pomyślała, kiedy płaciła za ekspresa. Szybko jednak odpędziła od siebie niepokojące myśli, koncentrując się na oddechu i przyspieszonym biciu serca, które zaczęło taniec kolibra zaraz po tym, jak podjęła decyzję.

Teraz, kiedy wspinała się po schodach, zaczęły nachodzić ją wątpliwości. Julian był postępowy i zawsze popierał idee równouprawnienia, ale czy był gotowy na to, co zamierzała zrobić? Od jakiegoś czasu zaczęli spotykać się regularnie. Uczyli się siebie na nowo i chociaż nie zauważyła w jego poglądach większych zmian, nie miała pewności co do jego reakcji. Kiedy zaczęła zastanawiać się głębiej nad swoją decyzją, doszła do wniosku, że nie jest nawet pewna samej siebie. Nie było już jednak odwrotu.

Zatrzymała się przed drzwiami kancelarii. Nie pukając, pchnęła drzwi i stanęła zdziwiona, ponieważ biuro było najwyraźniej zamknięte. Ciesz się, podpowiedział jej wewnętrzny głos, w końcu tego chciałaś.

Faktycznie modliła się, aby kancelaria była już zamknięta. Nie miała ochoty na spotkanie, nawet jeżeli tylko przelotne, z asystentem Juliana. Miała nadzieję, że jej wyprawa do domu samotnego mężczyzny nie zostanie zauważona przez zbyt duże grono osób. Była odporna na plotki, ale nawet ona wolała, aby jej nie pomawiano. Po co prowokować złe słowa i spojrzenia, skoro można starać się o daleko posuniętą dyskrecję? Im mniej osób wiedziało o jej wizycie tutaj i o ewentualnej porażce, tym lepiej dla niej.

Dla pewności Eleonora pchnęła drzwi jeszcze raz, zapukała i odczekała chwilę. Wyteżyła słuch. Rozejrzała się dookoła i po chwili przytknęła ucho do drzwi. W środku panowała idealna, niczym niezmacona cisza. Schrammówna poczekała jeszcze kilka minut, przeżegnała się, dodając sobie tym animuszu, i ruszyła po schodach prowadzących na drugie piętro, gdzie znajdowało się wynajmowane przez Juliana mieszkanie.

– Raz kozie śmierć – szepnęła, unosząc dłoń do dzwonka zamontowanego na framudze.

Głośne dryndanie rozległo się nie tylko wewnątrz mieszkania, ale także na klatce schodowej.

Eleonora zerknęła z obawą na drzwi po drugiej stronie korytarza. Miała wrażenie, że ktoś ją obserwuje. Było to oczywiście niemożliwe, a jednak wizja ciekawskich spojrzeń podążających za nią od chwili, kiedy opuściła gabinet doktora Kurkiewicza, była bardzo żywa.

Wstrzymała oddech. Była tak zestresowana, że dopiero po dłuższej chwili zreflektowała się, że i tu nikt nie odpowiada. Nie chciała naciskać dzwonka po raz drugi. Nie miała jednak zamiaru poddawać się tak łatwo. Ta wyprawa kosztowała ją zbyt dużo nerwów.

Uniosła dłoń i zapukała. Najpierw cicho, potem nieco głośniejszym głosem, na wypadek, gdyby Julian spał.

– Panna do mecenasa Michałowskiego? – Donośny męski głos tuż za jej uchem sprawił, że Schrammówna aż podskoczyła ze strachu. – Panna wybaczy, nie chciałem jej przestraszyć. Myślałem, że mnie panienska słyszała.

– Nie słyszałam – odparła zbyt szorstko. W jej głosie brzmiał wyrzut, ale nie zamierzała przeproszać. To w końcu nie ona skradała się niczym złodziej u jubilera.

– A zatem panna do mecenasa? – dopytywał starszy jegomość wspierający się na czarnej lasce ze srebrną grawerowaną rączką, niezrażony oschłością Eleonory oraz jej czujnym spojrzeniem.

– Tak, do hrabiego Michałowskiego – potwierdziła, zaczynając się wycofywać w stronę schodów. Chciała uniknąć dalszej pogawędki.

– Kancelaria jest piętro niżej, ale tam też już nikogo nie ma – ciągnął sąsiad Juliana. – Jak mi Bóg świadkiem, rzecz to niesłychana, bo mecenas zawsze siedzi tam do późna. Moja kochana małżonka zagłąda do niego czasami, by zanieść mu szarlotkę, za którą hrabia przepada.

– Byłam umówiona – zająknęła się Eleonora, czując dziwny przymus wytłumaczenia się, za co w myślach zrugwała samą siebie. Mimo to nie potrafiła powstrzymać cisnących się jej na usta słów. – Musiałam pomylić dni. Gapa ze mnie. Wciąż o czymś zapominam. Wciąż coś myślę. Łaskawy pan wybaczy, ale pożegnam się już. – I nie czekając na słowa rozmówcy, wyminęła go i ruszyła po schodach, upominając się w myślach, aby nie zacząć biec. Chciała stamtąd jak najszybciej zniknąć.

Kiedy wreszcie znalazła się na ulicy, odetchnęła z ulgą. Na wszelki wypadek zerknęła jeszcze za siebie, chcąc się upewnić, że starszy mężczyzna nie podążył za nią. Ależ była głupia, pomyślała, ganiąc się za nedorzeczny pomysł, żeby złożyć Julianowi niespodziewaną wizytę.

Zrobiła raptem kilka kroków, kiedy usłyszała wołanie.

– Eleonora!

Julian nie wierzył własnym oczom. Nie planowali się dziś zobaczyć. Był kilka domów dalej, kiedy zobaczył znajomą sylwetkę. W pierwszej chwili nie zamierzał wołać – sądził, że to tylko złudzenie – ale kiedy dłużej wpatrywał się w plecy szybko oddalającej się młodej kobiety, nabierał pewności, że to jednak Eleonora. Słyszając znajomy głos, postać odwróciła się z przerażeniem wymalowanym na twarzy.

Znalazł się przy niej w trzech krokach.

– Eleonora? Czy coś się stało?

Złapał ją za ramiona, gotów pocieszyć, ponieważ miała minę, jakby zamierzała się rozplakać.

– Czy moglibyśmy udawać, że mnie tu nie było? Że mnie nie widziałeś? – zapytała błagalnie, czym wprowadziła go w jeszcze większą konsternację.

– Nie, nie moglibyśmy – odparł, chwytając ją pod łokieć i prowadząc w stronę kamienicy.

W pierwszej chwili poczuł lekki opór, ale kiedy wzmożnił nacisk, zrezygnowana dziewczyna pozwoliła sobą pokierować.

Na piętro weszli w milczeniu. Eleonora zastanawiała się, czy rozmowny sąsiad czai się gdzieś w pobliżu. Klatka schodowa była jednak pusta i cicha. Julian otworzył drzwi mieszkania i zaprosił ją gestem do środka. Bez słowa poprowadził gościa do znajdującego się na końcu długiego korytarza salonu. Gdyby Eleonora nie była tak rozemocjonowana, z pewnością przyjrzałaby się wystrojowi pomieszczeń, w których niewiele się zmieniło, ponieważ wdowa po Edmundzie zostawiła mieszkanie w pełni wyposażone. Zabrała ze sobą jedynie rodzinne fotografie i albumy.

Julian przyglądał się Eleonorze, zastanawiając się, co musiało się stać, że przyszła do niego, nie

powiadomiwszy go o tym wcześniej. Starał się przypomnieć sobie ich ostatnie spotkanie, a właściwie pożegnanie. O ile dobrze pamiętał, nie wydarzyło się wtedy nic, co mogłoby wyjaśniać jej dzisiejszą wizytę. Jednak coś musiało się stać – a po nerwowości Eleonory wnosił, że nie mogło to być nic pozytywnego. Czyżby jednak zdecydowała, że nie powinni próbować naprawić tego, co popsulo się po jego powrocie z frontu? Czyżby chciała oddać pierścionek? Na myśl o zaręczynowej biżuterii zerknął na dłoń Eleonory. Tak jak przypuszczał, wciąż nie założyła pierścionka.

– Czy coś...

– Napiłabym się herbaty. – Nie dała skończyć Julianowi. Widząc jej minę, na razie odpuścił dopytywanie. Zanim ruszył do kuchni, zerknął na stojącą przy wykuszowym oknie dziewczynę.

– Nie, poproszę kawy. – Jej głos dogonił go w korytarzu.

Zatrzymał się i czekał na potwierdzenie słów, ale Eleonora nie powtórzyła już swojego życzenia. Nie miał pokojówki ani lokaja. Stołował się na mieście, a kawę czy herbatę potrafił zaparzyć sam. Pranie oddawał do pralni, która przynosiła je czyściutkie i równo uprasowane. Sprzątanie zaś zlecał raz na tydzień. Dzięki temu mieszkał sam i czuł się z tym doskonale – prawdziwie wolny i nieskrępowany. Nigdy jeszcze nie dziękował za tę wolność tak żarliwie jak teraz, kiedy nie musiał się obawiać ciekawskich spojrzeń służby, roznoszącej plotki szybciej niż poczta przesyłki ekspresowe.

– Nie, zaczekaj. – Julian zatrzymał się tuż przed drzwiami prowadzącymi do niewielkiej kuchni.

Eleonora podeszła do niego powoli. Wyglądała na pewniejszą siebie. Na jej twarz powrócił spokój.

– Nie przyszedł tu na kawę. Na herbatę też nie. – Zaśmiała się, ale jej oczy pozostały poważne. Skupione.

Julian chciał zapytać, po co przyszła, ale sposób, w jaki Eleonora patrzyła na niego, sprawił, że nadal milczał. Zatrzymała się tuż przed nim. Blisko, bardzo blisko. Od dawna nie stali tak blisko siebie. Był od niej znacznie wyższy, dlatego spoglądał na nią z góry, ona zaś musiała nieco unieść głowę. Miał ochotę pochylić się jeszcze bardziej. Przyglądał się jej ustom. Były takie kuszące. Mimowolnie oblizwał wargi. Oczy Eleonory rozblęły. Wydawało mu się, że widzi w nich pragnienie. Bał się myśleć o pożądaniu, chociaż miał nadzieję, że nie tylko on je czuje. A czuł je od dawna. Niechciane wspomnienie wizyty w burdelu na moment zakłóciło mu radość z bliskości. Szybko odgonił od siebie poczucie winy. Postanowił iść za radą Rozalii. Zapomnieć i nigdy nie mówić o tym Eleonorze, która teraz przysunęła się jeszcze bliżej. Rozchyliła lekko usta, jakby chciała coś powiedzieć, ale nie padło żadne słowo.

Julian uniósł dłoń i opuszkami palców dotknął jej pełnych, kuszących warg. Wysunęła czubek języka, prawie niewyczuwalnie przesuwając nim po palcu Juliana. Westchnął. Przyciągnął ją do siebie. Wspięła się na palce i mocno, natarczywie wpiła się w jego usta. Oddał pocałunek, w którym nie było nic z delikatności. Był zachłanny, agresywny, mocny, zaborczy. Eleonora nie była mu dłużna. Przez kilka minut siłowali się w tym namiętym, pełnym pożądania pocałunku. W końcu Eleonora odsunęła się nieco, ale tylko po to, aby dotknąć nabrzmiałymi ustami jego szyi. Zostawiała na niej lekko zaczerwienione ślady. Podążała wzdłuż pulsującej żyły. W końcu złapała Juliana za płatek ucha. Pochylił się jeszcze trochę.

– Nie przyszedł tu na kawę ani herbatę – szepnęła, łaskocząc go przyspieszonym, ciepłym oddechem. – Przyszedł tu ugasić całkiem inne pragnienie, które trawi mnie od dawna. Od bardzo dawna. Od dnia, w którym przyszedłeś oficjalnie ubiegać się o moje względy. Pamiętasz?

Pamiętał bardzo dobrze. To wtedy, całując ją namiętnie, pierwszy raz pomyślał, że chciałby ją zabrać do siebie, do łóżka, i pokazać, że kobietę i mężczyznę może łączyć nie tylko niewinny, chociaż czasami bardzo erotyczny pocałunek.

Nie zamierzał odpowiadać. Bał się, że głos odmówi mu posłuszeństwa. Przyciągnął ją do siebie. Blisko, mocno, tak aby poczuła, jak bardzo pragnął pokazać jej swoją namiętność. Jęknęła, Ignąc do niego jeszcze bardziej. Przy Julianie wszystko było intensywniejsze, pełniejsze, dziksze niż wówczas, kiedy była z Dawidem. Emocje, jakie wywoływał w niej doktor Bloch, były ledwie letnie. Każde muśnięcie Juliana, każdy jego oddech na jej skórze, każde jego westchnienie rozbudzało w niej uczucia,

od których paliły ją wnętrzości. Miała wrażenie, że trawiący ją od tak dawna ogień pożera ją powoli.

Jej dłonie znalazły małe guziczki jego białej koszuli. Drżącymi palcami starała się odpiąć jeden po drugim.

– Nie tu – szepnął jej do ucha, gryząc delikatnie w płatek, czym wzbudził jej śmiech, buzujący od nadmiaru emocji i nieukojonego pragnienia.

Wziął ją na ręce, czym wzniesił kolejną falę śmiechu, tym razem delikatnego, dziewczęcego. Śmiechu kobiety, którą cieszy czułość zawarta w tym niewinnym geście. Postawił ją dopiero w sypialni. Nie rozglądała się, nie zerknęła ze strachem w stronę dużego małżeńskiego łóża, które zostało tu po poprzednich mieszkańcach.

Eleonora patrzyła na Juliana. Bez słowa sięgnęła ponownie do małych guziczków. Tym razem jej nie przerywał, chociaż był moment, kiedy chciał zatrzymać jej sprawne ręce. Nie czekał, aż ściągnie mu koszulę z ramion. Zrobił to sam, podobnie jak sam ściągnął podkoszulek. Nie było czasu na zawstydzenie, a mimo to poczuł lekką obawę, że szpecące jego prawy bok blizny zniechęcą Eleonorę. Ona jednak pochyliła głowę w ich stronę. Całowała jego skórę kawałek po kawałku. Zamknął oczy, uspokoił oddech. Westchnął, ciesząc się czułością, jaką mu okazywała. Wreszcie przyciągnął ją do siebie. Jego ręce odnalazły z tyłu sukienki dwa guziczki spinające stójkę. Rozpiął je sprawnie. Eleonora uniosła ręce. Zdjął suknię szybko, ale ostrożnie. Jego wzrok prześliznął się po cieniutkim *dessous*, pod którym wyraźnie odcinał się koronkowy gorset, utrzymujący różowymi gumowymi podwiązkami jasne jedwabne pończochy. Eleonora podążyła za jego spojrzeniem. Podziękowała sobie w myślach za ostatnie zakupy, które zrobiła w Damskim Bazarze konfekcyjnym Lehrfelda przy Floriańskiej, poleconym jej przez Rozalię. Podziękowała sobie też za przezorność, którą wykazała się kilka tygodni temu, kiedy po raz pierwszy skorzystała z zabiegu elektrolizy – chociaż nie należał do najprzyjemniejszych, skutecznie usuwał niechciane, szpecące owłosienie. Kosmetyczka z uśmiechem na ustach przekonywała ją, że zabieg poradzi sobie z włoskami na długie miesiące, ponieważ użyty do niego prąd elektryczny niszczy cebulki, hamując odrastanie włosków. Jednak na wszelki wypadek przy każdej kąpieli przecierała skórę nóg pumeksem, chcąc zachować idealną ich gładkość.

Tymczasem pełne uznania spojrzenie Juliana z wolna przesunęło się po jej sylwetce. Nie była mu dłużna, a nawet posunęła się dalej: zamiast spojrzeniem, badała jego ciało, wodząc po nim opuszkami palców. Zatrzymała się na piersiach, zataczając wolno małe kółeczka wokół jego sutków. Klatka piersiowa Juliana miała piękną, naturalną rzeźbę. Gdyby nie blizny z prawej strony, byłaby idealnie gładka. Dłoń Eleonory zaczęła powoli opadać. Zatrzymała się na chwilę przy pasku. W końcu sięgnęła do sprzączki.

– Mogę? – zapytała szeptem.

Julian skinął głową. Jego dłonie też nie próżnowały. Wsunął palec pod ramiączko halki. Eleonora opuściła ręce wzdłuż ciała, pozwalając materiałowi opaść i zwinąć się wokół kostek. Julian odwrócił ją plecami do siebie. Wolno, jakby specjalnie przedłużał moment ściągnięcia gorsetu, luzował niezbyt ciasno związane tasiemki. Wreszcie Eleonora poczuła, że bielizna utrzymuje się na jej biuście tylko dzięki ramiączkom. Zsunęła je, zanim jednak pozwoliła opaść gorsetowi, odpięła haftki przytrzymujące pończochy. Gorset dołączył do leżącej na ziemi halki. Stojąc tylko w samych majtkach, Eleonora odwróciła się w stronę Juliana, który westchnął głośno na jej widok. W jego oczach zobaczyła pożądanie, które zapamiętała, kiedy żegnał ją na dworcu w dzień jej wyjazdu do Francji.

Wziął ją za rękę i poprowadził w stronę łóżka. Usiadła na brzegu, ale nie zamierzała biernie czekać. Wyciągnęła rękę i zacisnęła ją na pasku jego spodni. Szarpnęła Juliana w swoją stronę. Wzrokiem nieznośnym sprzeciwu dała mu znać, że teraz jej kolej. Jej dłonie poruszały się w zwolnionym tempie. Przedłużała tą przyjemną aż do bólu torturę. Wreszcie i Julian pozbył się ostatnich sztuk odzienia. Wzajemnie badali się wzrokiem.

Julian uklęknął przed siedzącą na skraju łóżka Eleonorą. Rozchylił jej uda, aby przysunąć się bliżej. Jego usta znajdowały się na wysokości jej warg. Sięgnął do nich i wpił się w nie mocno, łapczywie, gwałtownie. Eleonora wsunęła dłonie w jego miękkie włosy. Przyciągnęła go do siebie. Trzymała mocno, kurczowo, bojąc się, że nagle ją odepchnie, tak jak wtedy, w gabinecie w Zakrzówku,



kiedy kazał się jej wynosić. Na to wspomnienie do oczu napłynęły jej łzy. Jednak nie pozwoliła, aby choć jedna spłynęła po jej policzku. Wreszcie mogła cieszyć się prawdziwą bliskością. Serce Juliana biło tuż przy jej sercu, oba w tym samym rytmie. Dwa trzepoczące kolibry, spijające nektar z rozchylonych niczym kwiaty ust.

Eleonora pociągnęła Juliana na łóżko. Pocałunkami i niespiesznymi pieścizotami poznawali swoje wrażliwe miejsca.

– Proszę, już – wyszeptała.

Julian sięgnął do szufladki nocnego stoliczka. Eleonora powędrowała wzrokiem za jego ręką. Wyciągnął małe opakowanie prezerwatyw Primeros. Takich samych, jakie ona swego czasu zamówiła wysyłkowo w firmie Gazda, zapewniającej całkowitą anonimowość. Przesyłka dotarła do niej dwa dni temu. Awizo informowało, że może ją odebrać ze skrytki pocztowej numer 208 w urzędzie pocztowym Kraków 1.

– Pozwolisz? – zapytała Eleonora, wyciągając z jego ręki rozdarte opakowanie.

Julian skinął głową. Widok Eleonory w tak intymnym momencie wzbudził w nim jeszcze większe pożądanie. Kochali się szybko, mocno, do utraty tchu. Kochali się nie raz, a kilka razy. Nie czuli wyczerpania ani znudzenia. Sen nie nadchodził. Byli cały czas głodni siebie i po krótkich odpoczynkach starali się zaspokoić ten głód, trawiący ich od miesięcy.

– Kocham cię – szepnął Julian, przyciągając Eleonorę do siebie.

Zamknęła oczy. Każdą cząstką czuła tę miłość. Była jej pewna nawet wtedy, kiedy na jakiś czas z siebie zrezygnowali. To dlatego wróciła do domu. To dlatego tylko z Julianem w pełni przeżywała ten fizyczny aspekt namiętności.

– Ja też cię kocham – odpowiedziała, wtulając się mocniej w zaciśnięte wokół niej ramiona.

Zasnęli nad ranem. Sobota przywitała Eleonorę piękną słoneczną pogodą oraz aromatem świeżo zaparzonej kawy.

– Kawa, o którą prosiłaś. – Julian stał przed łóżkiem. Trzymał w dłoni filiżankę z parującym napojem.

– Lepiej późno niż wcale – skwitowała Eleonora, wyciągając rękę.

– Dobrze spałaś?

– Jak nigdy – odparła, delektując się kawą.

Było jednak w jej oczach coś chmurnego. Sprawiała wrażenie zasmuconej, przejętej, a może nawet zdenerwowanej. Julian miał nadzieję, że nie żałuje wczorajszego wieczoru i nocy.

– Muszę ci coś powiedzieć. – Eleonora odstawiła filiżankę i przysunęła się do spiętego Juliana.

– Mam nadzieję, że nie powiesz, że to był błąd? – syknął i wstał, nie pozwalając się dotknąć.

– Nie, nie miałam takiego zamiaru – zapewniła Eleonora. – Za kilka dni wyjeżdżam do Warszawy.

Julian przyglądał się jej uważnie. Na razie nie komentował. Czekał na to, co dalej usłyszy.

– Zapisałam się do Ochotniczej Legii Kobiet. Potrzebują pielęgniarek.

– Nie, nie wierzę! – wykrzyknął. – Chyba że... – Przerwał w pół słowa. – Nie, nie będziemy teraz o tym rozmawiać. To nie czas i miejsce. – Po tych słowach wypadł z sypialni.

Eleonora westchnęła zrezygnowana. Czuła, że Julian zareaguje w ten sposób.

Kwadrans później, już ubrana i po krótkiej toalecie, znalazła go siedzącego w gabinecie. Wpatrywał się w okno. Nie zwrócił na nią uwagi, chociaż musiał zauważyć, że stanęła po drugiej stronie biurka.

– Muszę tam pojechać – zaczęła.

– Nic nie musisz. – Odwrócił się do niej szybko, gwałtownie. Po chwili jednak znowu utkwiał wzrok w drzewach falujących za oknem. – Bądź szczerą, przynajmniej przed sobą. Nie musisz, chcesz. Chcesz tam pojechać. To, to... – Ruchem głowy wskazał sypialnię, nie nawiązując z Eleonorą kontaktu wzrokowego.

Specjalnie nie spoglądał w jej stronę. Ignorował ją w ten sposób, chociaż dziewczyna wpatrywała się w niego błagalnie.

- To było coś na kształt nagrody pocieszenia na pożegnanie? Bo nie bardzo rozumiem?
- Dlaczego wszystko musisz utrudniać?! – Podniosła głos, nie bardzo wiedząc, jak ma się wytłumaczyć. Czyżby wszystko popsuła?
- Ja wszystko utrudniam? Gdybyś nie mówiła tak poważnie, sądziłbym, że żartujesz. – Julian wciąż wpatrywał się w okno.
- Dlaczego ciągle coś staje nam na przeszkodzie? Kiedy mam wrażenie, że już jestem u celu, on nagle się oddala. Czy musimy...
- Nie musimy. – Julian przerwał Eleonorze. Podniósł się z fotela i podszedł do niej. – Nie musimy. – Objął ją i kołysał delikatnie. – Przepraszam, zaskoczyłaś mnie. Nie sądziłem, że jeszcze kiedyś będę musiał stanąć do walki ze strachem. Tylko że teraz ten strach będzie o wiele większy.
- Eleonora uniosła głowę i spojrzała na niego pytająco.
- Dużo trudniej znieść strach o kogoś, kogo się kocha, niż ten o siebie.
- Nie martw się. Nie zamierzam pchać się na pierwszą linię. Mam dołączyć do szpitalnego personelu. Najpewniej przydzielą mnie na Powiśle. Tam pielęgniarki są najbardziej potrzebne.
- Zawsze będę się martwił. Nawet kiedy nie będziesz na wojnie. – Pocałował ją w czoło. – Musisz wracać do domu? – zapytał po dłuższej chwili wspólnego, oczyszczającego z emocji milczenia.
- Muszę – odparła z zawadiackim uśmiechem. – Ale wrócę. Wrócę szybciej, niż ci się wydaje.
- \*\*\*

Stefania zerknęła do kalendarza. Westchnęła. Minął dopiero pierwszy tydzień lipca. Ponad dwa tygodnie temu Eleonora wyjechała do Warszawy i chociaż nie chciała, żeby ktokolwiek ją odprowadzał na dworzec, Stefania nie dała za wygraną. Na miejscu czekał Julian, na widok którego oczy starszej córki Schramma zaszkliły się niebezpiecznie. Na prośbę Eleonory pożegnali się szybko, bez zbędnego przedłużania.

– W końcu nie wyjeżdżam na koniec świata i nie na zawsze. – Jej drżący głos zdradzał wzruszenie. – Nie zdążycie za mną zatęsknić.

– Uważaj na siebie – powiedziała Stefania, ściskając ją mocno. Z całych sił starała się nie rozplakać. – Pójdę już.

Skinęła głową Julianowi i zostawiła ich samych. Nie zamierzała przyglądać się czułemu pożegnaniu – zwłaszcza że sama na własne życzenie, unosząc się niezrozumiałą dumą, pozbawiła się tej możliwości. Tylko przypadek sprawił, że dowiedziała się o wyjeździe Jana. Kilka dni przed pożegnaniem z Eleonorą, idąc na umówioną lekcję do panny Bronisławy, przed domem Matulów natknęła się na Dionizego, który ze smutkiem w oczach przekazał jej raz jeszcze zapewnienie bratanka.

– Dobrze, że pannę widzę. Janek wyjechał trzy dni temu. Miał nadzieję, że jeszcze przed wyjazdem pannę zobaczy, ale ponieważ tak się nie stało, prosił, żebym panie przekazał, o ile ją spotkam, że zamierza dotrzymać słowa.

Stefania wpatrywała się w Dionizego Matulę, pragnąc w tym samym czasie uciec od niego i przytulić się do jego zgarbionej sylwetki. Tylko w ten sposób mogła poczuć jakąś łączność z Janem.

– Znam swojego bratanka. O ile wiem, on nigdy nie rzuca słów na wiatr. Wró...

– Powtórzę to, co powiedziałam Janowi, żegnając się z nim swego czasu – przerwała niegrzecznie Matuli.

Znowu czuła złość i nadmierne zdenerwowanie. Uczucia te dopadały ją za każdym razem, kiedy przypominała sobie o pewnej obietnicy sprzed kilku lat, której niestety nie udało się spełnić, i o swojej urażonej dumie, która zatrzymała ją w domu, kiedy Jan wsiadał do pociągu wraz z innymi ochotnikami.

– Proszę nie rzucać słów na wiatr. Nie obiecuje się rzeczy, na które w żaden sposób nie ma się wpływu. Jak to mówią, człowiek strzela, Pan Bóg kule nosi. Pan wybaczy, ale spieszę się. – I nie czekając na dalsze słowa Matuli, prawie biegiem ruszyła w stronę willi panny Bronisławy.

Tego dnia lekcja się nie odbyła. Za to panna Bronisława pokazała swoją kolejną zaletę. Okazała się być doskonałą słuchaczką. Nie strofowała Stefanii za naganne zachowanie względem starego Matuli.

Nie prawila komunałów, kiedy dowiedziała się, że Stefania uniosła się źle pojętą dumą i zamiast pożegnać mężczyznę, na którym najwyraźniej bardzo jej zależało, wołała zostać w domu, pokazując mu, jak bardzo jego wybór zranił jej ego.

Odgłos wyśpiewującej pełną godzinę kukułki z kuchennego zegara przywrócił Stefanię do szarej rzeczywistości. Błądziła wzrokiem po ojcowskim gabinecie. Od dnia wyjazdu Eleonory przesiadywała tu długie godziny, które Jan Schramm spędzał w Banku Komercyjnym, zatopiony w nowej, fascynującej działalności.

Na kolanach Stefcia leżał niedawno przeczytany list.

Kiedy usłyszała, jak Franciszek żegna listonosza, nie czekała, aż za doręczycielem zamkną się drzwi – podbiegła do lokaja i poprosiła o przekazanie korespondencji. Gdzieś w głębi duszy żywiła nadzieję, że Jan jednak napisze. Niestety to nie list od młodego Matuli przyszedł z samego rana. Zdziwiła się, kiedy zobaczyła stemple berlińskiej poczty. Zaszła się w ciszy ojcowskiego gabinetu, nie kłopotząc się chowającą się w swoim pokoju matką, której zachowanie zadziwiło Schrammówny coraz bardziej.

Tekla Schramm zawsze pierwsza wyciągała ręce po listy. Często zdarzało się, że otwierała nawet korespondencję adresowaną do ojca, tłumacząc się potem pomyłką. Jan Schramm znał jednak swoją żonę, a że nie miał przed nią tajemnic, machał ręką na jej niezdrową ciekawość. Ciekawość, której od jakiegoś czasu już nie wykazywała. Zamiast tego długie godziny spędzała w swoim pokoju, do którego kilka dni temu Stefcia zajrzała, wykorzystując niespodziewaną nieobecność matki. Już na pierwszy rzut oka zauważyła, że na stoliku, na którym matka zawsze rozkładała karty tarota, leżała dziwna drewniana deska z nadrukowanymi literami alfabetu, liczbami i innymi znakami. Dziewczyna przyglądałaby się jej nieco dłużej, gdyby jej wzrok nie powędrował na biurko znajdujące się pod oknem. Zazwyczaj stały na nim flakoniki ulubionych perfum matki, które ojciec sprowadzał każdego roku z Francji na święta Bożego Narodzenia. Biurko było jednak wysprzątane, a w miejscu buteleczek postawiono kałamarz. Stefania ruszyła w jego stronę. Spojrzała na rozłożony na blacie notatnik i już miała zamiar wyjść, kiedy jej uwagę przykuł tekst nakreślony równym, eleganckim pismem matki. Stefania podniosła zeszyt i zaczęła cichutko czytać, nie dowierzając własnym oczom: „Sprawozdanie z seansu poświęconego obserwacji ektoplazmy podczas seansu spirytystycznego zorganizowanego w siedzibie Towarzystwa Metapsychicznego w Krakowie przy ulicy Potockiego 8. Medium, Konstanty Guzik, przed rozpoczęciem seansu został poddany baczny oględzinom, które przeprowadzono w odosobnionym pokoju w obecności doktora Knappa i pana Michałowskiego. Zgodnie z informacjami dokładnie zbadano włosy, pachy, usta, uszy oraz wszelkie inne otwory w ciele medium celem weryfikacji, czy nie są w nich ukryte przedmioty mogące fałszować wydarzenie. Po oględzinach wszyscy uczestnicy seansu założyli uprzednio przygotowane czarne stroje sięgające do kolan, zapinane z tyłu na małe guziczki. Tylko doktor Knapp zarzucił na czarny kostium palto z uwagi na chorobę. Prywatne ubranie medium pozostało w pokoju, w którym dokonano oględzin. Seans rozpoczął się o godzinie 22.45...”

Stefcia przerwała.

Raz jeszcze przeczytała zdanie informujące o godzinie rozpoczęcia spotkania. Jak to możliwe, że matka była na nim obecna, skoro o tej porze przesiadywała w domu? Przecież od kilku dobrych tygodni całymi nocami siedziała zamknięta w swoim pokoju, o czym doskonale Stefania wiedziała, ponieważ przez niewielką szparę między podłogą a drzwiami sączyło się niewyraźne światło.

– Na Boga! – wykrzyknęła, kiedy nagle zdała sobie sprawę, że matka wszystkich, łącznie z ojcem, od wielu dni – jeśli nie miesięcy – wyprowadzała w pole. Nie przesiadywała w pokoju, ale wymykała się na seanse i tajemne spotkania! Stefcia wróciła do czytania. Była zafascynowana.

„Uczestnicy seansu rozsiedli się wokół stołu, tworząc koło. Na prawo od medium zasiadał doktor Kanpp, potem admirał Kleczkowski, pan Trojanowski, pani Baranowska, doktor Frankowski, pan Szmurło, pani Schramm, pan Michałowski, wreszcie medium – Konstanty Guzik. Naprzeciwko stołu, przy aparacie fotograficznym, miejsce zajął pan Bronisławski. Ponadto w pokoju znajdował się jeszcze jeden aparat, zawieszony pośrodku koła, tuż nad podłogą. Ręce medium miało wolne. Nie było widoczne za wyjątkiem nóg i rąk, jeżeli akurat spoczywały na kolanach. Po kilku minutach medium zapadło

w trans, podawszy uprzednio ręce kontrolerom. Światło padało na jego brzuch. Ektoplazmy nadal nie było. Po upływie kwadransa niektórym uczestnikom seansu wydawało się, że w słabym świetle, w okolicach lewej ręki medium, odbija się jakaś jasność. Niecały kwadrans po 23.00 wszyscy uczestnicy seansu zobaczyli, dokładnie na wysokości brzucha medium, białą materię, która z minuty na minutę stawała się coraz większa i jaśniejsza. Ruchy ektoplazmy, zmieniającej kształt, następowały szybko i płynnie. Jedna z odnóg przypominała w ruchach ośmiornicę. Medium zachęcało zebranych do dotykania ektoplazmy, która sprawiała wrażenie cienkiej tkaniny, jakby białej chłodnej chusty. Ektoplazma nie różniła się niczym od poprzednich, obserwowanych podczas wcześniejszych seansów. Po pewnym czasie medium zaczęło zachowywać się niespokojnie i nerwowo. Często jęczało, szczególnie kiedy ektoplazma zwiększała jasność. W końcu jęki zmieniały się w krzyki i zgrzytanie zębami. Zjawisko trwało około trzydziestu minut. Po tym czasie zanikło, aby po jakichś pięciu minutach na chwilę pojawić się ponownie. Poinformowawszy kontrolerów, że czuje się dobrze, medium zasnęło, wyczerpane seansem. Seans zakończył się na dziesięć minut przed północą”.

Stefania skończyła czytać. Odłożyła zapiski matki i wpatrywała się w nie z niedowierzaniem.

Wiedziona ciekawością, raz jeszcze sięgnęła po notes Tekli. Powoli, kartka po kartce, przewracała strony. Na jednej z nich zauważyła zdumiewający symbol, który matka podpisała „Wielki Pentakl”. Obok rysunku, nakreślonego z niezwykłą dbałością o szczegóły, znalazła wykaz siedemdziesięciu dwóch duchów Goecji.

Im więcej czytała, tym bardziej była przerażona. Miała ochotę od razu porozmawiać z ojcem, ale Jana Schramma jak zwykle nie było w domu. Kiedy w końcu odważyła się go zagadnąć, ten wzruszył tylko ramionami.

„Na nic zda się rozmowa z twoją matką. Rozumiem, że zauważyłaś, jak bardzo zmieniła się ostatnimi czasy. Wycieczka do Wieliczki miała dać jej wytchnienie od obrazów wyniszczonego głodem i walkami Krakowa, najwyraźniej jednak matka znalazła tam nie tylko chwilę zapomnienia, ale także ludzi, którzy na dobre rozbudzili w niej niezdrowe zainteresowanie zjawiskami nadprzyrodzonymi. Nie wiem, czy jest jeszcze coś, co można w tym względzie zrobić. To nałóg, a ja jak nikt inny wiem, jak trudno się z niego wychodzi. Jeżeli wasza matka sama nie zechce porzucić tej fascynacji, nasze interwencje tylko pogłębią problem. Radzę zatem, Stefcu, żebyś zostawiła sprawy własnemu biegowi” – powiedział wtedy.

Od dnia rozmowy z ojcem Stefania zachodziła w głowę, czy powinna posłuchać rady rodzica, czy jednak zamienić z matką kilka słów i poprosić ją, żeby zaprzestała uczestnictwa w seansach oraz przynajmniej zmniejszyła zainteresowanie demonologią – tym bowiem była Księga Goecji, której autorstwo przypisywano Salomonowi.

Teraz jednak nie miała czasu rozpamiętywać dziwactw matki. Zerknęła raz jeszcze na leżący na jej kolanach list i chociaż wciąż czuła gorycz rozczarowania, jakaś jej cząstka cieszyła się z wiadomości przesłanej przez Tristana. Pierwszy list otrzymała od niego kilka miesięcy temu wraz z wiadomością, jaką Lena von Goch przysłała Eleonorze. W list do Norci włożony był drugi, zamknięty w kopercie zaadresowanej do Stefanii.

W tamtym krótkim liście Tristan wspomniał o ich spotkaniu w Krakowie i radości, jaką sprawiła mu Stefania, ciesząc się z jego opowieści o Egipcie. Żałował, że nie było im dane porozmawiać dłużej. Tym ostatnim wyznaniem skłonił Stefcie do napisania odpowiedzi, w której poruszyła między innymi temat swojej wizyty w Muzeum Historii Naturalnej podczas krótkiego pobytu w Wiedniu i fascynacji, z jaką obejrzała wystawy poświęcone ewolucji oraz dinozaurom. Nie spodziewała się, że Tristan odpisze i prześle list bezpośrednio do niej na adres ich kamienicy w Krakowie.

Akurat kiedy Stefania sięgała po czystą kartkę papieru, zegar w salonie wybił jedenastą. Miała sporo czasu na napisanie listu do Eleonory. Ojca nie spodziewała się przed kolacją, a może nawet później. Już kilka razy zdarzyło się, że stołował się na mieście. Schrammówna zaczęła się zastanawiać, czy przez fanaberie matki ojciec nie zaczął znowu odwiedzać palarni opium lub, nie daj Boże, nie dał się wciągnąć w szpony hazardu. Nałóg matki mógł odczytać jako swoiste przyzwolenie. Bez Eleonory Stefania czuła się dziwnie zagubiona. Chciała podzielić się z siostrą niedawnymi odkryciami na temat

spotkań mamy, ale chociaż zabierała się do napisania do niej listu, wolała na razie pominąć to milczeniem. Sięgnęła po pióro, zamysliła się na krótką chwilę, po czym jej ręka zaczęła płynnie sunąć po szeleszczącym białym papierze.

Kochana Eleonoro,

dni bez Ciebie ciągną się niemiłosiernie. Mam wrażenie, że czas stanął. Dziwne, ale Twoją poprzednią nieobecność w domu odbierałam inaczej. Nie chcę przez to powiedzieć, że wówczas jej nie zauważałam, ale brakowało mi Ciebie mniej.

Chciałam wypełnić sobie czas wizytami u panny Bronisławy, ale odkąd w tak niegrzeczny sposób, o czym zresztą Ci nie wspomniałam, potraktowałam wuja Jana, pana Dionizego Matulę, boję się, że spotkam go przez przypadek. Z powodu wstydu, jaki wciąż czuję na myśl o swoim niegodnym zachowaniu, byłam u panny Bronisławy raptem tylko kilka razy. Nie odpowiada mi przemykanie cichcem, ponieważ każdy szmer lub odgłos kroków wprawia mnie w konsternację. Wiem, co byś odpowiedziała. Tak, powinnam przeprosić, ale czy zwykle „przepraszam” jest w stanie zmyć negatywny obraz mojej osoby, jaki zapewne zapisał się w pamięci pana Matuli?

Tak, wiem, że dopóki się nie odważę, dopóty nie będę tego pewna, ale rzecz w tym, że obawa moja sięga nie tylko osoby pana Dionizego, ale też tego, co pomyślałby o mnie Jan. Mam nieodparte wrażenie, że on nigdy nie odezwałby się w ten sposób do naszego ojca lub matki, zwłaszcza że smutek i głęboka obawa o dziecko jadące na wojnę widoczna była nie tylko w podkrążonych oczach wuja Jana, pogłębionych bruzdach wokół jego ust, szarości skóry na twarzy i grymasie z trudnością uśmiechających się warg, ale także w jego zgarbionej sylwetce. Ale kiedy tak zastanawiam się nad swoim zachowaniem, karcąc się za niewyparzony język, jakaś częśćka mnie znowu zaczyna się buntować i przekonuje, że pan Matula nie miał prawa, podobnie jak Jan, składać obietnic bez pokrycia. Nie miał prawa...

Cóż, nie będę zwracać Ci głowy swoimi problemami, masz pewnie wystarczająco dużo własnych, chociaż ufam, że nie ma wśród nich żadnych związanych z bezpieczeństwem.

Boimy się o Ciebie. Wszyscy, ale Julian i ja najbardziej. Hrabia Michałowski był u nas już kilka razy. Kilka lat temu matka nie posiadałaby się z radości. Pewnie jeszcze tego samego dnia pobiegłaby pochwalić się do ciotki Leokadii, wiedząc, że dzięki jej długiemu językowi za dni kilka cały Kraków będzie plotkował o Tobie i starającym się o Ciebie kawalerze. Ale to już zamierzchłe czasy. Matka wprawdzie ciepło przywitała Juliana, wypila z nami nawet filiżankę kawy, ale miałam wrażenie, że przez całą jego wizytę była dziwnie rozkojarzona. Kiedy Julian odwiedził nas po raz kolejny, a potem jeszcze trzeci i czwarty, matka przywitała się z nim tylko i tłumacząc się migreną, zniknęła w swoim pokoju. Zostaliśmy sam na sam, ponieważ ojca też nie było.

Tak więc siedzę tu sama, czekając na Twój powrót i zachodząc w głowę, co stało się z Teklą Schramm, o której przyjęciach rozprawiło całe miasto. Było już tyle okazji, by wyprawić niezapomniany przez długie miesiące bal.

Cały czas planuję z nią porozmawiać, a potem, kiedy już stoję przed jej pokojem, coś mnie przed tym powstrzymuje. Tłumaczę sobie, że pewnie gdyby działo się coś naprawdę niepokojącego, ojciec zachowywałby się inaczej, nie byłby tak obojętny, ale on jak zawsze pochłonięty jest pracą. Chcę wierzyć, że to w swoim gabinecie w Banku Komercyjnym przesiaduje te długie godziny. A może znowu wrócił do hazardu lub palenia?

Gubię się w tych domysłach, a ponieważ jestem sama i mam zbyt wiele czasu, większość spędzam na zastanawianiu się nad rodzicami, nad życiem, nad swoją własną ułomnością.

I tęsknię... Och, Norciu, tak bardzo tęsknię za Janem. Jeszcze kilka miesięcy temu broniłam się dzielnie przed tym uczuciem. Miałam wrażenie, że zdradzam w ten sposób pamięć o Mikołaju, ale serce to nie rozum i nie potrafi słuchać głosu rozsądku.

Tamtego dnia, kiedy wybraliśmy się do Tyńca, chciałam powiedzieć Janowi, co czuję. Nic to, że jestem kobietą, że powinnam czekać. Kto, do diabła, powiedział, że nie mogę wyznać mężczyźnie, którego kocham, że tak właśnie jest? Kto ustanowił to dziwne, dzikie i niemoralne prawo, że to mężczyzna powinien zrobić pierwszy krok?

Ale Jan wyznał mi wówczas, że zaciągnął się na ochotnika do armii. Byłam wściekła. Jestem

wściekła. Chce mi się płakać i krzyczeć z tej wściekłości. Ale to już nie jest wściekłość na Jana, tylko na mnie. Nienawidzę się za to, że poniosła mnie urażona duma. Że poczułam się tak, jakby wybrał armię zamiast mnie. Przecież wiem, że tak nie było. Każdy jego gest, każde spojrzenie mówiły o uczuciu, jakim mnie darzy, a ja nawet nie poszłam się z nim pożegnać. A jeśli nie dotrzyma obietnicy? Co, jeśli nie dotrzyma obietnicy...

Chociaż jesteś ode mnie setki kilometrów, widzę Twoją minę. Postaram się tak nie myśleć. Muszę wierzyć, że Jan nie rzucał słów na wiatr.

A skoro już mowa o szalonych młodzieńcach zaciągających się do wojska – wiedz, że przerwano rok akademicki. Większość studentów podjęła decyzję, aby też się zaciągnąć. Nawet wuj Władysław, który był u nas nie dalej jak trzy dni temu, powiedział, że zazdrości im młodości, bo gdyby był nieco młodszy, też dałby się wcielić do armii ochotników.

Ojciec, który wierzy, że wygramy, nie podzielał chęci wuja, a nawet zaczął pomstować, kiedy rozmowa zesłała na ostatnie rozporządzenia. Może doszły Cię słuchy, że wojsko, przynajmniej tu, w Krakowie, zarekwirowało prawie wszystkie prywatne samochody i motocykle. Ojciec protestował, ale nikt go nie słuchał. Musiał oddać kluczyki, wysłuchując zapewnienia, że automobil wróci do niego po zakończeniu działań. Mam w tym względzie inne zdanie, a nawet złe przeczucie, ale zostawiłam je dla siebie, nie chcąc martwić ojca.

Nie uwierzysz, ale dostałam dziś na nasz adres list od Tristana.

W pierwszej chwili doznałam strasznego rozczarowania, ponieważ wbrew zdrowemu rozsądkowi czekam na wieści od Jana, ale po przeczytaniu listu poprawił mi się humor. Tristan ma ten niezwykle dar snucia opowieści. Jego ojciec otrzymał stanowisko w Muzeum Egipskim i zastanawia się, jak najpiękniej wyeksponować popiersie królowej Nefretete, którego zdjęcie Tristan dołączył do listu. Mam wrażenie, że fotografia, choć dobrej jakości, nie oddaje piękna rzeźby. Chciałabym zobaczyć ją na własne oczy. Może kiedyś będzie mi to dane. Na razie musi mi wystarczyć zdjęcie i malowniczy opis, jakiego dokonał Tristan. Zachęcona jego opowieścią o Muzeum Archeologicznym postanowiłam nadmiar czasu poświęcić na czytanie. Czytanie o starożytnym Egipcie, jest w nim bowiem coś, co mnie fascynuje, zastanawia, zmusza do szukania informacji, do odkrywania tajemnic i do marzeń.

Odpisz, nawet kilka słów, żebym miała pewność, że jesteś bez-pieczna.

Twoja kochająca Stefcia

Tego wieczoru, kiedy Stefania zasnęła zmęczona dniem poświęconym rozważaniom i spacerem do biblioteki, z której przyniosła grube tomiszczą o starożytnym Egipcie, Tekla Schramm poinformowała męża, że odchodzi.

– Chciałam cię poinformować o tym już kilka dni temu, ale jakoś zawsze się mijamy. Wyprowadzam się. Jadę do Wieliczki, nie będę jednak mieszkała u Agnieszki. Zamierzam zatrzymać się w domu Ordo Templi Orienti i kształcić swoje duchowe umiejętności. Proszę... – Tekla uniosła dłoń, aby powstrzymać Jana od zabrania głosu. – Nic nie mów. O nic nie prosz. Decyzję podjęłam i jej nie zmienię. Wrócę. Zapewne kiedyś wrócę, ale nie wymagaj ode mnie deklaracji, kiedy to dokładnie nastąpi. Po naszej wiadomej rozmowie ufam, że nie będziesz wszczynał awantur ani robił mi przeszkód.

Zerknęła badawczo na męża, który zrezygnowany, ale przygotowany na występki Tekli, skinął przyzwalająco głową.

Po tych słowach pani Schramm sięgnęła po czekającą na nią w korytarzu walizkę i nie żegnając się z nikim, zesłała szybko po kamiennych schodach. Jan zerknął przez okno gabinetu wychodzące na Rynek. Tuż przy drzwiach kamienicy czekał czarny ford T, w kabinie którego zniknęła Tekla Schramm.

## Rozdział 17

Rozalia raz jeszcze zerknęła do lustra, a potem na zegarek.

– Dobrze, że zaczęłam z samego rana, bo jak mi Bóg miły, jeszcze i teraz grozi mi spóźnienie – szeptała do siebie, obracając się raz w jedną, raz w drugą stronę, żeby ocenić efekty starań włożonych w przygotowanie się na dzisiejsze spotkanie. Chociaż nie wiązała z nim wielkich nadziei, w skrytości ducha liczyła, że rozmowy zakończą się pozytywnie.

Westchnęła. Nie była do końca zadowolona. Spojrzała badawczo w stronę łóżka, na którym leżał stos sukienek. Żałowała, że dzisiejszy dzień, podobnie jak trzy pierwsze dni sierpnia, zapowiadał się niezwykle upalnie. Nawet najstarsi mieszkańcy Krakowa nie pamiętali tak gorącego lata. Gdyby było chociaż o kilka stopni chłodniej, nie zastanawiałaby się ani chwili i zamiast sukienki założyła wygodną garsonkę.

Od jesieni ubiegłego roku upodobała sobie chodzenie w spodniach, czym wzbudzała ciągłe i niezmiennie niezadowolenie matki. Nie zamierzała jednak poddawać się jej dyktatowi. Czasy, kiedy chowała się przed hrabiną Michałowską w garderobach, prosząc ze łzami w oczach, żeby zakupy dobiegły końca, miała już dawno za sobą.

W takich chwilach zastanawiała się, czy była spolegliwa, ponieważ wolała mieć święty spokój, chociaż często zachowanie matki doprowadzało ją do łez bezsilności, czy po prostu była całkiem inną, łagodną Rozalią, a zmiany zaszły w niej, kiedy uwolniła się spod kurateli matki. Świętej pamięci Mikołaj Tojew może nie był mężem, o jakim marzyła, ale z pewnością nie był tyranem i hipokrytą. To jemu w dużej mierze zawdzięczała rozwój własnej osobowości.

Zegar z kukułką wybił pełną godzinę.

– Na Boga, nie może być – pisnęła Rozalia. Była jedenasta. – Cóż, niech będzie.

Raz jeszcze spojrzała na swoje odbicie. Żółta sukienka zgodnie z panującą modą miała kształt litery H, jednak dzięki szerokiej ozdobnej szarfie układającej się w wielką falującą kokardę zwisającą wolno na prawym biodrze nie była aż tak bezkształtna jak inne suknie, które krakowskie modnisie nosiły pasjami. Może i wdowa Tojew nie przepadała za ciasno wiązаныmi gorsetami, ale całkowite odejście od podkreślenia damskiej sylwetki nie bardzo przypadło jej do gustu. Dlatego w odróżnieniu od większości kobiet nie dążyła obsesyjnie do spłaszczenia biustu, czy to przy pomocy specjalnej bielizny, czy workowatych, bezkształtnych sukienek. Głęboki dekolt ładnie eksponował jej szyję. Ramiona miała szczupłe, wyrzeźbione. Dla podkreślenia zgrabnego karku założyła długi sznur pereł.

Włosy ścięte na boba uczesała starannie, układając z prawej strony misterne fale. Pełne usta pociągnęła szminką w odcieniu bladej czerwieni. Oczy obrysowała zgodnie z ostatnimi trendami czarną kredką, co sprawiło, że wydały się jeszcze większe.

Najchętniej przymierzyłyby jeszcze którąś z licznych sukienek wiszących równo w szafie, ale kiedy z czystej ciekawości zerknęła przez okno, okazało się, że jedna z krążących po mieście czarnych taksówek właśnie zatrzymała się nieopodal, by wysadzić klienta.

Zrządenie losu, pomyślała. Chwyciła torebkę i szybkim krokiem ruszyła do drzwi.

– Proszę na mnie nie czekać. Zjem dziś na mieście – rzuciła w stronę kuchni, gdzie krzątała się najęta zaraz po jej ślubie z Tojewem kucharka.

Rozalia zamykała akurat ogrodową furtkę, kiedy taksówka zaczęła się zbliżać. Kobieta machnęła ręką, zmuszając kierowcę do zatrzymania się.

– Pan wolny? – zapytała.

– Dokąd pani każe?

– Na Basztową 18 – poprosiła, rozsiadając się na tylnej kanapie.

Kierowca skinął głową i nie zastanawiając się nad najodpowiedniejszą trasą, ruszył w stronę Wielickiej i dalej na Starowiślną. Jechali wzdłuż Plant, a Rozalia przyglądała się mijanym krajobrazom. Pod 5 na św. Gertrudy zauważyła fasadę kina Wanda. Zerknęła przez ramię, mając nadzieję, że uda jej się dostrzec plakat informujący o aktualnym repertuarze. Miała nieodpartą ochotę wybrać się na filmowy

seans. Od tak dawna nigdzie nie wychodziła. Wciąż jeszcze powinna nosić żałobę, ale nie poddała się naciskom rozzłoszczonej teściowej – ta nie potrafiła jej wybaczyć, że synowa nie odrzuciła ostatniej woli Mikołaja, który w testamencie zapisał żonie ich wspólny dom – ani własnej matki, dla której pozory od zawsze liczyły się bardziej niż życie w zgodzie z własnym sumieniem. Nie zamierzała bawić się w hipokrytkę. Tak było uczciwiej wobec wszystkich. Wobec Mikołaja, który zapewne nie wymagałby od niej noszenia czerni, wobec postronnych ludzi, którym dawała pożywkę do plotkowania, oraz wobec niej samej.

– Jesteśmy na miejscu, panienko. – Głos taksówkarza wyrwał Rozalię z zamyślenia. Odliczyła należność, podziękowała za jazdę i nie wyjaśniając kierowcy, że nie jest już panną, tylko wdową, wysiadła tuż przy gmachu na Basztowej 18, w którym siedzibę miał „Ilustrowany Kurier Codzienny”.

Dwa tygodnie temu umówiła się tu na spotkanie z redaktorem naczelnym i zarazem właścicielem gazety Marianem Dąbrowskim. Zatrzymała się przed ciężkimi drzwiami. Odczekała chwilę, dodając sobie w myślach animuszu. Prostując plecy, pewnym krokiem podeszła do siedzącej w recepcji młodej kobiety, która otaksowała ją nieprzyjemnym, pozbawionym sympatii wzrokiem, traktując jak nieproszonego gościa. Gwar rozmów oraz stukot młotków zdezorientował Rozalię. Zerknęła w stronę, z której dobiegały głośne rozmowy prowadzone donośnymi męskimi głosami. Kilku robotników dokonujących napraw po niedawnej napaści bojówek PPS na siedzibę redakcji zrobiło sobie przerwę na drugie śniadanie. Jedząc, uważnie lustrowali otoczenie. Zauważywszy błędzący po ich sylwetkach wzrok Rozalii, uraczyli ją szerokimi uśmiechami i równie taksującymi spojrzeniami. Tuż za ich plecami zauważyła na drzwiach szyld „Polskie Stronnictwo Republikańskie”. Stworzył je właściciel „Ikaca”, od lat aspirujący do politycznej społeczności.

– Czy mogę pomóc? – Głos recepcjonistki przedarł się przez panujący rozgardiasz.

– Może panna. Jestem umówiona z panem Marianem Dąbrowskim. Rozalia Tojew. Umawiałam się dwa tygodnie temu.

Rozalia ugryzła się w język. Nie potrzebowała tłumaczyć się patrzącej na nią wilkiem kobiecie, a jednak pod naporem jej wzroku czuła się w obowiązku to zrobić.

– Przykro mi, ale pana prezesa nie ma i dziś już nie będzie. – Uśmiech na twarzy recepcjonistki świadczył, że żal z tego powodu jest ostatnim, co mogła odczuwać.

Rozalia nie dawała za wygraną.

– Proszę sprawdzić. Niemożliwe, żeby pana Dąbrowskiego nie było. Sam wyznaczył dzisiejszy dzień na nasze spotkanie.

– Proszę spocząć. – Recepcjonistka wskazała stojącą pod oknem kanapę. – Postaram się coś ustalić. – Po tych słowach przywołała młodego chłopaka, czekającego zapewne tylko na jej skinienie, szepnęła do niego, po czym ze złośliwym błyskiem w oku spojrzała na Rozalię.

Kwadrans później recepcjonistka nie zostawiła Rozalii żadnych złudzeń. Marian Dąbrowski wyszedł z biura zaraz po dziesiątej i zapowiedział, że nie zamierza już wracać. Jednocześnie poinstruował swojego asystenta, żeby ten poprosił mającą przyjść na spotkanie z nim panią Rozalię Tojew, by pofatygowała się na lotnisko w Rakowicach.

– Czy pan Dąbrowski właśnie tam się udał? – zapytała Rozalia, trzymając nerwy na wodzy.

– Oczywiście, że nie – odparła recepcjonistka, powstrzymując irytację z faktu, że Rozalia mogła w ogóle tak pomyśleć. – Może pani tam pojechać, jeżeli zależy pani na spotkaniu. Jeszcze przez trzy godziny, zapewne nie krócej, będzie tam redaktor Olszański, którego pan prezes upoważnił do rozmowy z panią.

Rozalia miała ochotę zgrzytać zębami. Przed wybuchem powstrzymywała się ostatkiem sił.

– A jeżeli nie mam zamiaru rozmawiać z redaktorem Olszańskim, kiedy mogę umówić się na spotkanie z redaktorem Dąbrowskim?

– Przez najbliższe tygodnie, a może nawet i miesiące nie będzie takiej możliwości. Jak pani zapewne wie, prezes Dąbrowski aktywnie włączył się w działalność polityczną. Obawiam się, że to wyklucza teraz jakiegokolwiek inne spotkania. – Po tych słowach recepcjonistka skinęła głową i zatopiła wzrok w leżących przed nią dokumentach.



Rozalia wyszła z budynku wściekła na siebie za naiwność i nadzieje, jakie wiązała z tym spotkaniem. Postanowiła odwiedzić Juliana, skoro była tak blisko kancelarii. Spacer na ukojenie nerwów dobrze mi zrobi, pomyślała.

– Świat jest jednak mały – usłyszała, gdy skierowała się w stronę Długiej.

Obróciła się w poszukiwaniu źródła głosu i zobaczyła stojącego przed taksówką kierowcę, z którego usług korzystała raptem pół godziny wcześniej.

– Czekał pan na mnie? – zapytała, uśmiechając się szeroko.

– Gdybym był młodszy, nieżonaty i odważniejszy, powiedziałbym, że tak, ale jestem w słusznym wieku, mieszkam ze zrzędliwą żoną i strasznie boję się kobiet, więc powiem, że przejeżdżałem tędy przez przypadek.

– To zrządzenie losu. Skoro przypadek dziś dyryguje moimi krokami, niech pan rusza na lotnisko do Rakowic – powiedziała Rozalia, sadowiąc się w tym samym co wcześniej miejscu.

\*\*\*

Eryk Zdanowski zerknął na wysłużony zegarek, który lata temu otrzymał w prezencie od zmarłego już dziadka. Była to jedyna cenna rzecz, jaką wyniósł z domu. Na wspomnienie o domu rodzinnym Eryk zacisnął pięści. Gdyby nie wczorajsze perturbacje, nie musiałyby się teraz martwić, że spóźni się na umówione spotkanie.

– Niech to szlag – zaklął, spoglądając na fasadę szpitala dziecięcego imienia św. Ludwika.

Spędził tu wczoraj prawie całą noc. Kiedy jeden z jego braci – wciąż mieszkający na Łobzowskiej w ruderze, którą miasto od lat kwalifikowało do wyburzenia, ponieważ nie tylko zagrażała życiu mieszkańców i przechodniów, ale przede wszystkim szpeciła – przybiegł do mieszkania na Krótkiej, które Eryk od niedawna wynajmował wraz z Augustynem Grimmem, od razu wiedział, że ojciec znowu upił się do nieprzytomności.

Stary Zdanowski zbyt długo zachowywał trzeźwość.

– Muszę to załatwić – mówił, ubierając się naprędce.

– Pamiętasz, że mój ojciec będzie jutro na nas czekać? – Augustyn Grimm, jedyny prawdziwy przyjaciel Eryka, którego ten traktował jak przyrodniego brata, spoglądał na niego z niepokojem.

Znał sytuację rodzinną Eryka. Nie raz towarzyszył mu w wizytach na Łobzowskiej, kiedy młodsze rodzeństwo posyłało po brata, żeby pomógł matce uporać się z awanturującym się ojcem, który niestety po latach względnej poprawności jakiś czas temu znowu wrócił do picia.

Poznali się lata temu, kiedy ojciec Augustyna dosłownie uratował Erykowi życie, wpadając do chaty Zdanowskich akurat w chwili, kiedy pijany ojciec zamierzał się na chłopaka pięściami. Grimm zabrał małego, potłuczonego Zdanowskiego do szpitala. Pokrył koszty leczenia, a potem załatwił przeniesienie Eryka i dwóch jego młodszych braci, Adama i Jacka, do domu księdza Siemaszki. Przychodził regularnie w odwiedziny. Prawie zawsze towarzyszył mu Augustyn, będący w tym samym wieku co Eryk. Nie było innej możliwości, chłopcy musieli się zaprzyjaźnić.

Po tamtym incydencie stary Grimm zagroził Zdanowskiemu, że jeśli ten nie przestanie pić, skończy w więzieniu lub w kamieniołomach, a że ojciec Eryka nigdy nie lubił się przemęczać, na jakiś czas odstawił alkohol. Przyjął pracę w C.K. Fabryce Cygar, którą potocznie nazywano cygarfabryką.

Eryk często zapędzał się w jej okolice, by śledzić ojca. Musiał się upewnić, że ten rzeczywiście podjął robotę. Zapamiętał tamtą okolicę jako spokojną, ale wypełnioną aromatem tytoniu, który zatykał mu nos i dusił.

Kiedy przychodził dzień wypłaty, matka już od rana wystawała pod bramą. Eryk wiedział o tym doskonale, bo chociaż mieszkał w domu dla ubogich chłopców, a od pewnego czasu zaczął także pomieszkiwać u Grimmów, to właśnie tego dnia szedł za nią, pilnując jej jak oka w głowie. Matka nie była jedyną osobą, która już od godzin porannych czatowała na kończących zmianę. Przychodziły tam przezorne żony, by zabrać mężom wypłaty, zanim ci mieli okazję większość przepić; w tłumie wyczekiwali także na swoich dłużników wierzyciele, a prostytutki szukały klientów. Wśród tego

barwnego towarzystwa krążyli sprzedawcy sznurowadeł, sklepikarze, sprzedawcy prezerwatyw i młode dziewczęta wypatrujące kawalerów, by zaciągnąć ich do kawiarni lub kina. Tłum czekał cierpliwie, nasłuchując syreny oznajmiającej fajrant.

Przez kilka lat ojciec Eryka pracował w fabryce. Czasami zdarzało mu się sięgnąć do flaszki, ale nie upijał się już tak jak wcześniej i nie wszczynał awantur, podczas których bił nie tylko dzieci, ale także żonę. W tym czasie na świat przyszły kolejne dzieci: syn Michał i dwie córki – Halinka i Magdalena. Niestety czas spokoju skończył się, kiedy w fabryce zaczęto redukować zatrudnienie. Może Zdanowski nie zostałby zwolniony, ale miał pecha, że przyłapano go w stanie wskazującym. Tego dnia, którego wręczono mu wypowiedzenie, ojciec Eryka wrócił do nałogu i wszczynania karczemnych awantur, a że był rok 1917 i Eryk walczył akurat na froncie, nie miał kto stawić czoła pijanemu ojcu. Czasami w obronie matki i młodszego rodzeństwa stawał Jacek, mający wówczas dopiero dwanaście lat, ale na nic zdały się jego wysiłki, zawsze kończące się dla niego sińcami.

Kiedy na początku 1919 roku Eryk wrócił z wojny, pierwsze kroki skierował do domu. Ojciec jak zwykle był pijany. Eryk poczekał, aż ten wytrzeźwieje, żeby porozmawiać z nim jak dorosły z dorosłym. Dzięki znajomościom Eugeniusza Grimma, ojca Augustyna, Zdanowski został zatrudniony przez magistrat do prac porządkowych. Wódka po raz kolejny poszła w odstawkę, ale mimo że ojciec nie pił już od dłuższego czasu, młody Zdanowski podskórnie wyczuwał zbliżające się kłopoty.

Kiedy więc wczoraj pod wieczór na progu mieszkania, które dzielił z przyjacielem, stanął najmłodszy z braci, Michał, Eryk nie zadawał zbędnych pytań, tylko popędził na Łobzowską co sił w nogach. Znalazł tam spitego do nieprzytomności starego Zdanowskiego, płaczącą matkę, której o dziwo nic się nie stało, i skatowanego piętnastoletniego Jacka, który zapewne stanął w obronie matki i młodszego rodzeństwa.

Eryk zabrał brata do szpitala św. Ludwika. Zaniósł go tam na rękach, modląc się, żeby obrażenia nie okazały się poważne. Jacek został przyjęty od razu na oddział chirurgiczny, gdzie po wstępnych oględzinach i założeniu opatrunków doktor Bryka, pełniący nocny dyżur, złożył złamaną rękę chłopca.

– Dziś w nocy zostanie u nas na oddziale. Jutro przeniesiemy go na oddział dziecięcy, na którym zapewne zostanie kilka dni na obserwacji. – Bryka poklepał Eryka po ramieniu. – Proszę się nie martwić, wyjdzie z tego szybciej, niż nam się wydaje. Jest młody i silny.

Po wybląganiu u doktora możliwości zostania przy łóżku brata Eryk wyszedł tylko na godzinę. Kiedy wrócił, jego prawe oko zaczęło puchnąć, a z dolnej wargi sączyła się strużka krwi.

– Na Boga, napadli pana? – Pielęgniarka, która prowadziła go do pokoju Jacka, przyglądała mu się z niepokojem.

– Nie, proszę się nie martwić. To nic takiego. Nikt mnie nie napadł.

– Więc co się panu stało? – Nie dawała za wygraną.

– Czasami ustne tłumaczenia nie wystarczają i trzeba użyć silniejszych argumentów.

Eryk zatrzymał się przy łóżku śpiącego spokojnie brata. Starsza kobieta kiwnęła głową ze zrozumieniem i nie drażąc drażliwego tematu, zostawiła chłopaka samego.

Jacek przespał całą noc. Obudził się tylko na chwilę, rano. Spojrzał zdziwiony na brata, wybełkotał pod nosem coś niezrozumiałego i z powrotem zapadł w spokojny sen. Eryk pocałował chłopaka, przykrył go kocem i pożegnawszy się z serdeczną pielęgniarką, opuścił szpital.

Dopiero na zewnątrz zerknął na zegarek.

– Niech to szlag – zaklął, ponieważ wiedział, że bez boskiej pomocy nie ma szansy zdążyć na spotkanie.

Musiał dostać się na Długą. Do domu nie miał po co wracać. Augustyn zapewne już dawno wyruszył. Obaj mieli stawić się punktualnie u Eugeniusza Grimma. Jedyna nadzieja w dyrektorze schroniska dla chłopców – mógł poratować Eryka, pożyczając wysłużony automobil, z którego korzystano przy okazji robienia zakupów.

Młody Zdanowski przebiegał akurat obok siedziby „Ilustrowanego Kuriera Codziennego”, kiedy zauważył stojącą taksówkę. Przystanął, żeby zaczerpnąć powietrza i rozważyć możliwości. Tego, że wysłużony automobil zostanie mu wypożyczony, był pewien. Nie był tylko pewien, czy staruszek

ruszy. Wzięcie taksówki dawało mu gwarancję, że dotrze na czas na spotkanie, ale jej wynajęcie nie było tanie i z pewnością uszczupliłoby jego i tak marne fundusze.

– A niech to – warknął pod nosem i przebiegł na drugą stronę. – Raz kozie śmierć.

Wolał pozbyć się nieco oszczędności niż narazić na zasłużoną połajankę ze strony wuja Eugeniusza, jak od dawna zwracał się do ojca swojego przyjaciela.

Taksówka wciąż stała w tym samym miejscu, więc nie kłopotząc się zbędnymi pytaniami, otworzył drzwi i rozsiadł się na miejscu dla pasażera.

– Na... – Przerwał w pół słowa, kiedy zorientował się, że tylne siedzenie jest już zajęte.

Rozalia gwałtownie odwróciła głowę w stronę intruza. Wystraszył ją tym nagłym wtargnięciem. Spojrzała na niego uważnie. Schludne ubranie, szczupła sylwetka, pociągła twarz, w której odcinało się sine oko oraz opuchnięta warga, jeszcze ze śladami zaschniętej krwi. Brązowe, krótko obcięte włosy.

– Napatrzyła się panna. Od razu powiem, że nie interesują mnie wyciągnięte z obserwacji, zapewne i tak błędne wnioski. – Eryk zdawał sobie sprawę, że uwagę tej młodej kobiety przyciągnęło jego podbite oko. Na tej podstawie zapewne musiała wyrobić sobie zdanie o nim. – Gdybyśmy się spotkali w innych okolicznościach, nie miałbym nic przeciwko bliższemu poznaniu, ale spieszę się, więc jeżeli panna nie ma nic przeciwko, byłbym zobowiązany, gdyby panna poszukała innej taksówki. – Był impertynencki, ale czas go naglił, a ostatnia rzecz, jakiej się spodziewał, to zajęta taryfa.

– Kiedy w szkole uczono uprzejmości, pan zapewne był na wagarach – odcięła się Rozalia.

Czuła, jak z każdym słowem tego mężczyzny, w dziwny sposób przypominającego jej Maksymiliana, przyspieszał jej puls. Mogłaby go wziąć za syna Maksa, ale wtedy siedzący naprzeciwko niej intruz musiałby być dużo od niej młodszy, tymczasem zapewne był młodszy, ale nie aż tak. Nie wiedzieć czemu odetchnęła z ulgą.

– A teraz pan wybaczy i wysiądzie. Ja też się spieszę. Każda minuta działa na moją niekorzyść.

– Przypuszczam, że wierzy panna, że się spieszy, ale proszę mi zaufać, zdąży panna kupić wymarzoną sukienkę. Zdaje się, że te, które panna nabywa, nie należą do najtańszych. Po taką konfekcję kolejki raczej się nie ustawiają. Jeżeli przymierzy ją panna za pół godziny zamiast za kwadrans, świat się nie zawali.

Eryk chciał ugryźć się w język. Nie powinien rozmawiać z nią w ten sposób, ale nie wiedzieć czemu ta kobieta wyzwałała w nim wszystko, co najgorsze, i nawet chcąc prosić ją o odstąpienie taksówki, ewidentnie próbował ją obrazić.

– Tak gwoli informacji, sukienki szyję na miarę. Natomiast co do pośpiechu, przypuszczam, że dziewczęta w burdelu zaczekają na pana. Tak więc świat się raczej nie zawali, jeżeli wskoczy pan do łóżka nie za kwadrans, a za pół godziny. Chyba że sytuacja pana nagli? – Po tych słowach jej wzrok powędrował po całej jego sylwetce.

Eryk otworzył szeroko oczy. Poczuł, że na policzki wystąpił mu rumieniec, i nie był to rumieniec złości, ale zawstydzenia. Pierwszy raz w życiu słowa wypowiedziane przez kobietę spowodowały, że zawstydził się jak nastoletnia panna. Westchnął. Nie przypuszczał, że będzie musiał zniżyć się do ostateczności i zacząć błagać, ale był gotów to zrobić, ponieważ wolał sto razy ukorzyć się przed nieznajomą niż zasłużyć na reprimendę Eugeniusza Grimma.

– Przepraszam – odezwał się spokojnym, prawie błagalnym tonem. – Chciałem panią prosić o odstąpienie taksówki, a zamiast wyrazić się ładnie i uprzejmie, zachowałem się jak ostatni...

– Cham? – podsunęła Rozalia.

– Impertynent – odpowiedział Eryk. Uśmiechnął się przy tym i zauważył, że kąciki jej ust też nieznacznie drgnęły. – Proszę, zależy mi na tej taryfie. Spieszę się i wbrew temu, co panna myśli, nie chodzi o schadzkę.

Rozalia westchnęła. Kiedy młody mężczyzna przeproszał ją za swoje zachowanie, przyglądała się jego oczom. Miał w nich wypisaną desperację.

– Niech będzie. Proszę jechać. – Po tych słowach, nie czekając na jego reakcję, wysiadła i trzasnęła drzwiami.

Eryk wahał się tylko chwilę. Nachylił się w stronę szofera.

– Na lotnisko. Prędko.

Kierowca siedział przez chwilę nieruchomo, jakby nie rozumiał polecenia klienta.

– Ogłuchł pan? Proszę jechać – ponaglił go Eryk.

– Proszę wybaczyć, że się wtrącam, ale ta pani też kazała się wieźć na lotnisko. Może jestem tylko...

– Też chciała jechać na lotnisko? – Eryk już otwierał drzwi. – Proszę nigdzie nie jechać – rzucił przez ramię, szukając wśród przechodniów kobiety odzianej w żółtą sukienkę.

Wreszcie mignęła mu jej sylwetka. Przebiegł na drugą stronę ulicy i nie bawiąc się w dobre maniery, złapał ją za rękę i pociągnął do taksówki.

– Oszałał pan! – Rozalia odezwała się oburzona, ale żeby nie wzbudzać zbytniego zainteresowania przechodniów, poddała się jego sugestii.

– Dlaczego od razu nie powiedziała panna, że jedzie na lotnisko? – zapytał Eryk.

– A skąd ten pomysł i co to pana w ogóle obchodzi?

– Niech panna wsiada i nie marnuje więcej mojego cennego czasu. – Nie czekając, wepchnął ją do samochodu, po czym wcisnął się obok.

– Niech się panna przesunie. Chyba że chce się panna przytulić? – Uśmiechnął się szeroko, chociaż gniewny błysk w oczach kobiety ostrzegł go przed dalszymi żartami. – Niech się panna powstrzyma. Zawsze będzie czas, żeby dać mi w twarz. A wra...

– Proszę nie nadwyrażać mojej cierpliwości. Jestem uprzejma, delikatna i pobłażliwa, ale nie jestem święta – odparowała Rozalia.

– O tym, że nie jest panna święta, przekonałem się kilka minut temu. Nawet grzesznica zastanowiłaby się dwa razy, zanim wypaliłaby o łózkowych ekscesach, a tu proszę, takie bezceństwa z ust młodej panny?

– Pani, jak już to pani. Dokąd w takim razie jedziemy? – Rozalia postanowiła uciąć temat, który zmierzał w zbyt intymnym kierunku. Z drugiej strony ta słowna bitwa zaczynała jej się coraz bardziej podobać. Już dawno nie prowadziła tak swobodnej rozmowy, nawet jeżeli były to słowne przepychanki.

– Na lotnisko. Mogliśmy zaoszczędzić sporo czasu, gdyby powiedziała pani, że jedzie na Rakowice, ponieważ ja też tam zmierzam. – Eryk znów się uśmiechnął. Miał ładny uśmiech, którego nie szpeciła nawet rozcięta warga.

Przez chwilę jechali w milczeniu. Rozalia odwróciła się w stronę okna. Mijali właśnie rogatkę miejską na Rakowickiej, naprzeciwko cmentarza, przed którego bramą rozstawiły się kramy ze świeżymi kwiatami. Chociaż nikt z rodziny nie był tu pochowany, Rozalia lubiła na niego zachodzić przynajmniej raz w roku, najczęściej kilka dni po Wszystkich Świętych. Zapalała znicz ku pamięci poległych w czasie wojny. Zatrzymywała się też na dłużej przy grobie Brata Alberta i przy grobowcu mistrza Matejki, gdzie zawsze paliło się najwięcej zniczy i świec.

Z naprzeciwka zbliżał się tramwaj, dając sygnał głośnym dzwonkiem. Dryndanie przywróciło wdowę po Tojewie do rzeczywistości. Jeszcze przez kilka minut Rozalia wpatrywała się w mijany krajobraz. W końcu odwróciła się w stronę siedzącego obok niej mężczyzny. Miała nadzieję, że podobnie jak ona przed chwilą, i on będzie wyglądać przez okno. Niestety, kiedy tylko odwróciła wzrok, ich spojrzenia się spotkały.

– Proszę się nie przejmować. To jest zupełnie naturalne, że nie może się pani oprzeć, żeby na mnie spoglądać. Nic na to nie poradzę, że natura obdarzyła mnie taką twarzą i sylwetką. Zdażyłem się przyzwyczaić.

– Ma pan na imię Narcyz?

– Mama rozważała taką opcję, ale ostatecznie to by była zbyt ostentacja. Eryk, Eryk Zdanowski. – Wyciągnął rękę w jej stronę, chociaż wiedział, że nie powinien tego robić.

Dzięki matce Augustyna poznał zasady dobrego wychowania, a szkoły, do których uczęszczał wraz z przyjacielem, nie tylko wyposażyły go w suchą wiedzę, ale także nauczyły pięknego wystawiania się i pewności siebie. Czasami jednak nadrabiał brawurą, jak w tej chwili. Było w tej kobiecie coś takiego, że nie potrafił się powstrzymać, choć zwykle nie zachowywał się w ten sposób.

– Rozalia Mi... Rozalia Tojew. – Siostra Juliana poprawiła się szybko, ujmując wyciągniętą dłoń. Uścisk miała pewny, czym wywołała na ustach Eryka delikatny uśmiech. Chłopak zauważył wahanie Rozalii.

– Czyżby świeżo upieczona szczęśliwa małżonka? Wciąż jeszcze masz w zwyczaju podawać panięskie nazwisko?

– Czy świeżo po ślubie, czy nie, to nie pańska sprawa. A o ile się nie mylę, nie przechodziliśmy na „ty”. Nie pamiętam, żebyśmy razem gęsi pasali. – Rozalia była coraz bardziej zdenerwowana.

– Paść można bydło, konie, owce. Ale gęsi? Wydawało mi się... – Eryk przerwał na chwilę. – Wcześniejsza rozmowa utwierdziła mnie w przekonaniu, że mam do czynienia z kobietą postępową, nowoczesną, ale widzę, że to tylko poza. A może to jakaś gra? Flirt? – Przynął się nieco bliżej.

– Proszę się zatrzymać. Chciałabym wysiąść. – Rozalia zwróciła się do kierowcy, ignorując Eryka.

– Proszę jechać dalej – odezwał się Zdanowski.

– Dlaczego pan się nie zatrzymuje?! – Rozalia uniosła głos. Przejaw ignorancji ze strony szofera zezłościł ją jeszcze bardziej niż śmiałość Eryka i insynuacje, które przyspieszyły bicie jej serca. – Czy prośba tego pana jest więcej warta niż moja?

Czuła zbliżający się ból głowy.

– To znaczy... – Kierowca zaczął się wiercić. Znalazł się między młotem a kowadłem.

– Proszę na nas nie zwracać uwagi, tylko patrzeć na drogę – polecił Eryk. – Proszę nie być śmieszna – zwrócił się do Rozalii. – Za chwilę dotrzemy na miejsce. – Po tych słowach, jakby dla załagodzenia sytuacji, odsunął się na swoją stronę i odwrócił do okna.

Kilka minut później zatrzymali się u celu. Rozalia sięgnęła do torebki, uprzedzając Eryka.

– Proszę wysiąść, nie zgrywać dzentelmena i zapomnieć, że jechał pan tą taksówką.

Zmierzyła go surowym spojrzeniem. Eryk miał ochotę podroczyć się z nią jeszcze kilka chwil, ale czas naglił go niemiłosiernie. Niemniej jednak nie odszedł od razu. Począł, aż Rozalia wysiądzie.

– Chyba nie kazała pani czekać na siebie temu biednemu człowiekowi? – zapytał.

– To nie pańska sprawa, ale tak, poprosiłam, żeby kierowca poczekał.

– Proszę pozwolić mu odjechać. Może pani wrócić ze mną. – Eryk miał nadzieję, że Rozalia się zgodzi. Chętnie porozmawiałby z nią dłużej.

– Jakoś nie widzę żadnego środka lokomocji, który zabrałby nas z powrotem do miasta.

– Nogi, droga pani, nogi.

– Zatem potrzebuję siodła. Nie przywykłam jeździć wierzchem – odparowała Rozalia.

– Bierze mnie pani za ogiera?

– Nie, za osła.

Ruszyła przed siebie, zostawiając za sobą śmiejącego się w głos Eryka. Chwilę później przyłapała się na tym, że sama uśmiecha się szeroko.

\*\*\*

Rozalia rozejrzała się dookoła. Była tu po raz pierwszy. Jej uwagę przyciągnęło ogromne białe koło z napisem „Kraków” namalowane pośrodku pola wzlotów. Jej zmarły mąż, który miał okazję kilka razy przylecieć do Krakowa z Wiednia, wspominał o napisie jako o dziennym znaku rozpoznawczym. Opowiadał też o zawieszanej na maszcie radiostacji lampie elektrycznej, która miała służyć jako znak nocny, jednak najpewniej wykorzystywano ją sporadycznie, ponieważ loty nocne należały do rzadkości.

Rozalia zerknęła w stronę maszty. Miała nieodpartą potrzebę przekonać się o istnieniu tej lampy. Uśmiechnęła się, widząc ją na miejscu. Osłoniła oczy dłonią, by spojrzeć na grupkę osób tłoczących się przy parkujących jeden obok drugiego samolotach. Doliczyła się dwunastu majestatycznych, wzbudzających w niej podziw i zdumienie maszyn.

Od kiedy po raz pierwszy jako mała dziewczynka miała okazję zobaczyć lecący samolot, zawsze zastanawiała się, jak coś tak ciężkiego może wzbić się w powietrze, skoro ona, wówczas lekka jak piórko,

jak zwykł mówić ojciec, podnosząc ją na rękę, nie potrafiła tego zrobić. A pamiętała doskonale, że podjęła kiedyś jedną próbę.

Na chwilę stała się znowu sześciolletnią dziewczynką wdrapującą się na dach jednego z pomieszczeń gospodarczych na terenie folwarku Michałowskich w Zakrzówku. Zerknęła na dół, na twardą czarną ziemię, otworzyła ojcowski parasol i bez zastanowienia skoczyła, ufna, że wiejący tego dnia mocny wiatr ją uniesie. Boleśnie odczuła skutki – najpierw grawitacji, a potem ojcowskiej reprimendy. Tamtego dnia hrabia Michałowski, nie bacząc na konwenanse, jej zwichniętą nogę i urażoną godność, dołożył do tej katastrofy, jak określała swój skok Rozalia, jeszcze jeden składnik. Obolałe pośladki.

Podniesione męskie głosy, których echo rozchodziło się po otwartej przestrzeni, przypomniały wdowie po Tojewie, po co się tu znalazła. Odwróciła się w stronę wagonu kolejowego mieszczącego stację cywilnego portu lotniczego. Rozglądała się za kimś, kto mógłby jej pomóc odszukać w grupie zebranych redaktora Olszańskiego.

– Przepraszam pana – zagadnęła przechodzącego nieopodal mężczyznę.

Sądząc po umazanym smarami ubiorze, musiał być mechanikiem albo pomocnikiem mechanika.

– Szukam pewnej osoby, która miała tu dziś być. Czy mógłby mi pan pomóc?

– Proszę iść do biura. O, tam. – Mechanik wskazał na wagon kolejowy, który Rozalia zauważyła już wcześniej. – Proszę pytać o kierownika. On wie wszystko o wszystkim i o wszystkich, którzy kręcą się po terenie. Nikt się przed nim nie ukryje.

Rozalia podziękowała za wskazówki i ruszyła we wskazanym kierunku. Przy starym, wysłużonym biurku, które pewnie pamiętało wielu poprzednich właścicieli, siedział szczupły siwowłosy mężczyzna.

– Dzień dobry – odezwała się.

Kierownik stacji uniósł głowę. Na nosie miał grube, okrągłe okulary.

– Polecono mi poszukać kierownika. Czy dobrze trafiłam?

Mężczyzna skinął głową, w dalszym ciągu milcząc.

– Podobno wie pan wszystko o wszystkim i o wszystkich. Szukam redaktora Olszańskiego z „Ikaca”. Gdzie mogę go znaleźć?

– Kręci się razem z innymi dziennikarzami przy maszynach. Radzę jednak poczekać poza polem wylotów, bo i tak pewnie nie poświęci pani ani odrobiny uwagi. Kiedy mowa o samolotach, Olszański nie widzi i nie słyszy niczego innego. Znajdzie go pani bez problemu. Bozia nie poskąpiła mu wzrostu. Widać go jak na dłoni. Jest jak przysłowiowa kaczka na strzelnicy. – Głośny śmiech zadowolonego ze swojego żartu kierownika gonił Rozalię, kiedy wracała na swoje poprzednie miejsce.

Stąd mogła przynajmniej obserwować redaktorów podążających za przewodnikiem, który podchodził do kolejnych maszyn, żywo gestykulując. Nie słyszała słów, ale konwersacja musiała być zażarta, ponieważ echo rozmów dolatywało aż do niej.

Wdowa po Tojewie tak bardzo skupiła się na zbitej grupce mężczyzn, od ponad kwadransa stojących w jednym miejscu, że głos, który nagle rozległ się z głośnika umieszczonego na radiostacji, sprawił, że aż podskoczyła. Wysłuchała się w podawany komunikat. Za nieco ponad pół godziny spodziewano się samolotu lecącego z Odessy. Miała nadzieję, że to wygoni dziennikarzy z pasa. Żałowała, że nie wzięła ze sobą kapelusza. Słońce stało wysoko, a otwarta przestrzeń pozbawiona drzew nie zapewniała ani odrobiny cienia. Rozalia sięgnęła do torebki po chusteczkę. Czuła strużkę potu na czole. Przetarła też nos, który pewnie zaczął się świecić. Policzki piekły ją okrutnie. Zerknęła dyskretnie w lusterko i jęknęła, ponieważ wyglądała, jakby przebiegła maraton. Nie pogniwałaby się, gdyby ktoś wylał na nią kubek zimnej wody. Potrzebowała cienia. Potrzebowała lodu.

– Niech pani idzie do tutejszego kasyna. – Kierownik wyrósł obok niej jak spod ziemi. – Można się tam napić czegoś zimnego. Albo mocniejszego. – Znów zaśmiał się ze swojego żartu. – Teraz pewnie świeci pustkami, ale droga pani, jeszcze kilka miesięcy temu, kiedy tutejsze koszary były pełne żołnierzy, było tam gwarno jak w ulu.

– Macie tu kasyno? – zdziwiła się Rozalia. Zerknęła na swojego rozmówcę.

– Mamy – odpowiedział z dumą. – Mamy i koszary z prawdziwego zdarzenia. Nic przypadkowego, tymczasowego. Kiedy trzy lata temu Austriacy nadawali lotnisku nazwę „Port lotniczy Kraków–Rakowice”, na samej nazwie się nie skończyło. Podeszli do sprawy z isticie niemiecką precyzją. O tam, na południowy zachód od pola wzlotów, wybudowali mnóstwo obiektów. Kasyno i koszary, o których już pannie mówiłem. Jest i wartownia, teraz też świecąca pustkami, ale jeszcze pod koniec ubiegłego roku pełniło się tam wartę. Są i warsztaty. Stolarnia, ślusarnia. Mechanicy mają swój ką. A tam dalej – mówiąc to, wyciągnął rękę, żeby wskazać budynki, na które chciał zwrócić uwagę Rozalii – są magazyny techniczne i z paliwem, których pilnujemy cały czas. Miej nas, Panie, w opiece, gdyby zaczęło się tam palić. A tam...

Rozalia kątem oka dostrzegła zbliżającą się grupę redaktorów. Odwróciła się w stronę kierownika, przerywając mu w pół słowa:

– Miło się z panem rozmawiało, ale widzę, że redaktor Olszański się zbliża. Bardzo panu dziękuję. – Wyciągnęła dłoń, żeby się po-żegnać.

– Cała przyjemność po mojej stronie, droga pani. Miłego dnia życzę. – Z tymi słowami odszedł, kierując się do wagonu kolejowego, w którym wcześniej zastała go Rozalia.

Mężczyźni byli już bardzo blisko. Faktycznie Olszański wybijał się na tle pozostałych. Był przynajmniej o głowę wyższy, a na dodatek chudy jak szczapa, przez co wydawał się jeszcze większy. Rozalia podeszła szybkim krokiem. Mężczyzna przystanął i otaksował ją wzrokiem. Czowała się jak robaczek.

– Redaktor Olszański? – zapytała i nie czekając, aż ten potwierdzi, ciągnęła dalej: – Rozalia Tojew. Ufam, że prezes Dąbrowski uprzedził pana o naszym dzisiejszym spotkaniu?

– Nic mi o tym nie wiadomo. A teraz, pani raczy wybaczyć, spieszę się. – Obszedł Rozalię długimi krokami, żeby zrównać się z oddalającą się grupą.

– Nie tak szybko, panie Olszański. – Rozalia zastąpiła mu drogę.

Mężczyzna nie zatrzymał się jednak. Wyminął ją zgrabnie i parł dalej do przodu. To nie zraziło Rozalii. Starła się za nim nadążyć, co nie było łatwe. Zmuszona była co chwila podbiegać, a to znacznie utrudniało jej rozmowę.

– Na Boga! – wykrzyknęła i stanęła. Dziennikarz, zaskoczony jej wybuchem, także przystanął. – Czy już w ogóle przestali panowie szanować kobiety? Gdzie wasze maniery?

Wzięła głębszy oddech. Musiała się uspokoić. Dzisiejszy dzień zaczął się kiepsko i najwyraźniej kiepsko miał się skończyć.

– Poinformowano mnie w biurze, że Dąbrowski poinstruował pana w sprawie naszego spotkania. Miałam się z nim spotkać osobiście, ale rzekomo jakaś ważna sprawa zmusiła go do opuszczenia biura. Niemniej jednak, pamiętając o umówionym terminie, zaordynował, że to pan ma odbyć ze mną rozmowę.

– Droga pani, nie potrzebujemy sekretarek ani recepcjonistki, więc jeżeli szuka pani pracy, radzę zwrócić się gdzie indziej. A teraz pani wybaczy, ale...

– Nie wybaczę i proszę już przestać prosić o wybaczenie. Może pan to zrobić, kiedy skończymy rozmowę. A gwoli ścisłości, nie szukam pracy. – Rozalia chciała ugryźć się w język. Nie miała zamiaru tak z nim rozmawiać, ale był to już drugi impertynent, jakiego spotkała w ciągu dwóch godzin. Tamten przynajmniej był miły dla oka.

– Więc o co chodzi? Proszę to z siebie wyrzucić. – Olszański też był poirytowany.

Rozalia zdała sobie sprawę, że niepotrzebnie fatygowała się na lotnisko. Całe szczęście kazała czekać taksówkarzowi. Zrezygnowała z pomysłu, z jakim tu przyjechała. Nie było sensu ujawniać go temu człowiekowi. Pewnie i tak odesłałby ją z kwitkiem, a jutro miała jeszcze spotkanie w redakcji „Nowości Ilustrowanych”. Ufała, że tam pójdzie jej lepiej i w końcu uda jej się zainteresować kogoś, kto chciałby zacząć wydawać w kawałkach jej pierwszą powieść. W końcu wielu tak zaczynało. Nawet *Lalkę* najpierw wydawano w odcinkach. Broń Boże nie zamierzała porównywać się do Prusa, ale wiara we własne siły to już połowa drogi do sukcesu.

– Proszę się nie kłopotać – powiedziała, nie chcąc przeciągać rozmowy. – I tak by z tego nic nie

wyszło. Żegnam pana.

Odwróciła się i nie czekając na jego odpowiedź, poszła prosto w stronę czekającego wozu.

\*\*\*

– Spóźniłeś się. – Augustyn Grimm czekał na przyjaciela przed jednym z hangarów. – Ale jako że jesteś w czepku urodzony, ojca też jeszcze nie ma. Jak się czuje Jacek?

– Cóż, teraz chyba dobrze. Miał złamaną rękę, ale lekarze wszystkim się zajęli i na kilka dni zatrzymali go na oddziale.

– A to podbite oko i spuchnięta warga? Biłeś się czy jak?

– Nie, forsowałem jedyny słuszny punkt widzenia – odparł Eryk.

Odwrócił się – liczył, że zobaczy taksówkę, którą przyjechał. Nie mylił się. Taryfa wciąż czekała. Zlustrował okolicę, szukając Rozalii. Zauważył ją wychodzącą z wagonu kolejowego mieszczącego stację lotnictwa. Przeszła kilkanaście kroków, po czym zatrzymała się, zwracając się w kierunku pasa wzlotów, gdzie kłębiło się kilkunastu mężczyzn.

– Kto to? – zapytał Eryk, wskazując głową rozmawiających.

– Nie wiem dokładnie, ale obilo mi się o uszy, że redaktorzy prasowi. Chcą napisać nie tylko o naszej szkole pilotów, ale i o lotnictwie cywilnym. W końcu coraz więcej samolotów lata z Rakowic. Ludzie lubią wiedzieć takie rzeczy. To podnosi rangę miasta. Nie wiesz tego? – Augustyn prychnął. – Uwaga, ojciec idzie.

Jak na zawołanie obaj młodzi mężczyźni stanęli wyprostowani, niczym podczas musztry.

Eryk czuł wdzięczność do Eugeniusza Grimma za każdym razem, kiedy go widział. Nie darowałby sobie, gdyby zawiódł jego zaufanie. Ten człowiek nie tylko zaopiekował się nim po tamtych strasznych wydarzeniach z dzieciństwa; nie tylko w pewnym momencie przyjął go do rodziny, czym sprawił, że Augustyn stał się dla Eryka przyjacielem i bratem; nie tylkołożył na jego wykształcenie, za co młody Zdanowski odwdzięczał się doskonałymi ocenami i cenzurkami na zakończenie roku szkolnego, czym wzbudzał nieszkodliwą zazdrość w Augustynie – ale także pozwolił mu uczestniczyć w szkoleniu na pilota.

Byli już z Augustynem na ostatniej prostej. Przepisy nie określały sztywnych ram czasowych szkolenia. Wszystko zależało od predyspozycji ucznia, a że obydwaj młodzieńcy od zawsze chcieli zasiąść za sterami samolotu, nauka była dla nich nie obowiązkiem, a czystą przyjemnością.

Gdyby nie hojność Grimma, Eryk nigdy nie mógłby sobie na to pozwolić. Wprawdzie opłatę za szkolenie udało mu się pokryć z pensji osobistego asystenta pułkownika Zalberga, ale to nie wpisowe przerażało Eryka najbardziej. Wszelkie koszty za zniszczenia lub konieczną naprawę maszyny ponosił uczeń, a na to nie byłoby go stać, nawet gdyby wziął jeszcze drugi etat. Dlatego tak bardzo zależało mu, aby być dziś tu, na lotnisku, gdzie mieli odbyć pierwszy próbny lot.

Szkolenie teoretyczne zaliczyli z Augustynem celująco. Budowę silnika, układ sterowania mieli w małym paluszku. Większej trudności nie sprawiła im także nauka o warunkach atmosferycznych i wiatrach.

Chłonąc teorię, marzyli o praktyce. Kiedy dowiedzieli się, że wreszcie odbędą pierwsze kołowania w towarzystwie Grimma, czuli się tak, jakby już przypięto im skrzydła.

„Nie myślcie, że pozwolę wam dziś wzbić się w powietrze” – Grimm ostudził wówczas ich podekscytowanie. „Silnik ma zdławione obroty. To nie pozwoli wam, nawet gdybyście chcieli, nabrać odpowiedniej prędkości. Samolot nie oderwie się od ziemi, więc na nic wasze starania. Nie forsujcie go zatem do granic możliwości. Pamiętajcie, że uczniowie pokrywają wszelkie szkody. A uczniowie to ja, jasne?”

Głos Grimma nie pozostawiał wątpliwości. Mieli uważać i nie nadwyręzać niepotrzebnie jego kieszeni. Chociaż informacja nieco ich przygasiła, z chwilą kiedy zasiedli za sterami, podziękowali za przezorność, jaką wykazał się układający plan szkolenia. Z wielką uwagą zaznajamiali się z reagowaniem maszyny na ruchy sterownic.



Kilka dni temu usłyszeli, że poszło im bardzo dobrze i na kolejnym spotkaniu instruktażowym będą mogli wystartować.

Czekali dziś na swój pierwszy prawdziwy lot.

– Mechanik przeregulował silnik na obroty nominalne. Nic nie będzie was zatrzymywać. Możecie oderwać się od ziemi i tego od was oczekuję. Jak wiecie, wylatujecie sami. Ja zostaję tu. – Mówiąc to, wskazał zazielenioną połąć. – To będzie wasz pierwszy i to od razu samodzielny lot.

Grimm przerwał na chwilę. Eryk i Augustyn wpatrywali się w niego uważnie. Chłonęli każde słowo.

– Musicie poderwać maszynę do lotu. Wznosicie się na wysokość około dwudziestu metrów, stabilizujecie lot, robicie okrążenie nad lotniskiem i przygotowujecie się do lądowania. Słuchajcie uważnie. Wychodzicie na prostą do pola wzlotów, obniżacie wysokość do jednego, dwóch metrów i na tej wysokości wyłączacie silnik. Czekacie spokojnie, aż samolot przyziemi lotem ślizgowym.

– Tak jest – odpowiedzieli prawie jednocześnie.

– Macie trochę czasu. Musimy poczekać, aż samolot z Odessy wyląduje. Nie oddalajcie się jednak zbyt daleko od hangarów. Chcę mieć was na oku.

Po tych słowach Grimm zostawił ich samych. Usiedli na trawie. Eryk znowu odwrócił się w stronę, gdzie wcześniej stała Rozalia, jednak już jej tam nie było. Szybko zlustrował okolicę. Taksówka wciąż stała tam, gdzie wysiedli, a więc i kobieta musiała jeszcze być na lotnisku. Powoli szukał jej wzrokiem. W końcu zauważył ją rozmawiającą z jakimś wysokim, chudym jak szczapa mężczyzną. Nawet stąd mógł dostrzec, że rozmowa ma raczej dynamiczny przebieg. Mężczyzna ruszył zwawym krokiem. Rozalia starała się nadażyć, przez co musiała podbiegać, co wywołało uśmiech na ustach Eryka. Chyba krzyknęła, a potem, zapewne nawet nie zdając sobie z tego sprawy, tupnęła nogą. Jej reakcja zaskoczyła nie tylko wysokiego jegomościa, ale i Eryka, który miał ochotę roześmiać się w głos. Po kilku minutach każde odeszło w swoją stronę. Eryk śledził sylwetkę Rozalii zmierzającej do czarnej taksówki. Miał ochotę podbiec i usiąść na miejscu pasażera, ale czekał go pierwszy prawdziwy lot.

Augustyn przerwał obserwację Eryka.

– Gdybym nie wiedział, że marzysz o lataniu tak jak ja, pomyślałbym, że masz ochotę dać nogę.

– Wydaje ci się.

– Bracie, znam cię nie od dziś. Kiedy ty nie mogłeś oderwać wzroku od tamtej kobietki, ja przyglądałem się tobie. Kim jest dziewczyna, która zdobyła zainteresowanie Eryka Zdanowskiego?

– Nie wiem – odparł zgodnie z prawdą. – Wiem tylko, że nazywa się Rozalia Tojew. Czysty przypadek i moja desperacja, żeby nie spóźnić się na szkolenie, sprawiły, że jechaliśmy razem tamtą taksówką. – Eryk wskazał wóz skinieniem głowy.

– Musiało się coś jednak wydarzyć, że nie możesz od niej oderwać wzroku. Tylko nie mów mi, że nie wiem, o czym mówię. – Augustyn nie dawał za wygraną.

– Tak po prawdzie nie wydarzyło się nic, o co mógłbyś mnie podejrzewać. Nic pikantnego, jak próbujesz insynuować. Za to odbyliśmy niesamowitą, stymulującą rozmowę, jakiej jeszcze nie miałem okazji prowadzić z żadną dziewczyną. Ale to chyba dlatego, że ona nie jest już dziewczyną.

– Starsza?

– Może, ale jeżeli już, to niewiele. Chodziło mi jednak o jej sposób myślenia. Tylko pewna siebie kobieta mogła się tak wypowiadać.

– Gotowi? – Głos Eugeniusza Grimma przerwał im konwersację.

– Bardziej nie będę – odpowiedział Eryk.

– W takim razie będziesz pierwszy – zaordynował mężczyzna.

– Powodzenia. – Augustyn uściśnął dłoń przyjacielowi.

Dzięki temu, że Eryk pierwszy podchodził do próby, młody Grimm miał trochę czasu, żeby opanować wewnętrzne drżenie i uparte, niedające mu spokoju przecucie, że nigdy nie będzie pilotem, a dzisiejsze podejście będzie pierwszym i ostatnim.

\*\*\*

Rozalia zatrzymała się przed kamienicą Margrabską przy Drodze Królewskiej, na Rynku pod numerem 47. W czasach, kiedy najlepiej czuła się we własnym towarzystwie, z dala od domowego rozgardiaszu, a w szczególności od pouczającej i robiącej jej wyrzuty matki, uwielbiała czytać na temat krakowskich budynków. Ten dwupiętrowy gmach, przypominający pałac i tak też często przez krakowiaków określany, swoją nazwę zawdzięczał margrabiemu Zygmuntowi Myszkowskiemu. Chociaż od czasu pierwszego właściciela uległ licznym przebudowom, zgodnie z przekazami jego bryła i dawny styl zachowały się do dziś. Dzięki temu Rozalia mogła podziwiać i nieodmiennie zachwycać się późnobarokową fasadą. Nie stałaby tu dziś, gdyby redaktor „Nowości Ilustrowanych” nie przesłał jej w środę, pod jej nieobecność, informacji, że pragnie się z nią spotkać nie w czwartek, ale w piątek, piątego sierpnia.

Może to i dobrze, pomyślała, kiedy wróciwszy późnym popołudniem z lotniska, znalazła czekający na nią list, przyniesiony po południu przez redakcyjnego kuriera. Wiadomość leżała zgodnie ze zwyczajem na srebrnej tacy w korytarzu, tuż przy głównym wejściu. Rozalia sięgnęła po papeterię oznaczoną firmowym logo i zaczęła czytać po cichu:

Szanowna Pani,

z góry przepraszam, że dziś dopiero wysyłam niniejszą informację, ale z przyczyn niezależnych ode mnie zmuszony jestem prosić Panią o spotkanie w piątek, tj. 5 sierpnia. Jeżeli nie będzie to dla Pani kłopotem, proszę spotkać się ze mną nie w redakcji, ale przed Hotelem Drezdeńskim, gdzie z racji powierzonych mi obowiązków będę wykonywał zadania służbowe.

Brak odpowiedzi będę traktował jako zgodę na zmianę planów, za którą raz jeszcze serdecznie przepraszam.

Z poważaniem,  
redaktor naczelny „Nowości Ilustrowanych”

Julian Bartoszewicz

Teraz wdowa po Mikołaju Tojewie zastanawiała się, dlaczego Bartoszewicz wybrał akurat to miejsce. Zrozumiałaby, gdyby spotkanie odbyło się kilka tygodni temu, ponieważ wówczas można było korzystać z mieszczącej się tu kawiarenki należącej do słynącego z małych, ale wygodnych pokoi Hotelu Drezdeńskiego. Niestety niedawno rozpoczęto kolejny remont. Zgodnie z koncepcją Teodora Hoffmana kamienica miała zostać zaadaptowana na siedzibę Banku Gospodarstwa Krajowego.

Rozalia przyjrzała się fasadzie budynku, szukając fikuśnego szyldu mieszczącego się tu na parterze sklepu Antoniego Ziemińskiego i Heleny Styczniowej. Niestety po znanym w całym mieście lokalu nie było już ani śladu. Bardzo tego żałowała, ponieważ pamiętała doskonale, że jako mała dziewczynka nie mogła oderwać się od sklepowych witryn – jednych z pierwszych profesjonalnie oświetlonych w mieście. Najpiękniej wyglądały w okresie Bożego Narodzenia.

Na myśl o przyjemnym zimowym chłdzie Rozalia westchnęła z rozrzewnieniem. Z nieba znowu lał się żar. Spojrzała na mały kieszonkowy zegarek i sapnęła ze zdenerwowania. Redaktor Bartoszewicz spóźnił się już dobrze ponad kwadrans. Zastanawiała się, czy nie udać się jednak do siedziby „Nowości Ilustrowanych” przy Kazimierza Wielkiego 95.

Już miała odejść, kiedy z wyglądającego na zamknięty budynku wyszedł wysoki starszy mężczyzna z mocno przeredzoną czupryną, która zdecydowanie wymagała interwencji fryzjera. Głęboko osadzone, małe oczy spoczęły na Rozalii. Na wąskich, zaciśniętych ustach nie pojawił się nawet cień uśmiechu.

Proszę, Boże, niech imiennik mojego brata okaże się człowiekiem bardziej ugodowym i nastawionym przyjaźnie do kobiet. Zwłaszcza tych z pisarskimi aspiracjami, pomyślała Rozalia, zmawiając szybką, może nieco chaotyczną modlitwę.

– Wdowa Tojew, jak mniemam?

Głos redaktora był jak balsam na zbolełą duszę. Rozalia wprost nie mogła uwierzyć, że za tak surowym, nieprzystępnym obliczem kryje się łagodny, kojący baryton. Skinęła głową, ściskając wyciągniętą rękę. Miała ochotę zapytać, skąd Bartoszewicz wie, że jest wdową, ale zdała sobie sprawę, że w końcu jest dziennikarzem. Z racji wykonywanego przez wiele lat zawodu musiał wiedzieć to i owo.

– Znałem pani męża, jeszcze kiedy był młodzieńcem. To nie była jakaś zażyła przyjaźń. Nawet nie koleżeństwo. Po prostu nasze drogi spotkały się dwa, może trzy razy. Poza tym jego śmierć, nawet jeżeli wydarzyła się z dala od naszego miasta, była niebywale gorącym tematem. Szeroko komentowanym nie tylko wśród dziennikarzy, ale i w zaciszu czterech ścian.

– Rozumiem. Sama chętnie skomentowałabym jego odejście z tego świata, ponieważ otrzymałam tylko suchą informację. Możliwe, że plotkarze wiedzą więcej niż ja, osoba najbardziej zainteresowana.

Rozalia ugryzła się w język. Po raz kolejny popełniała ten sam błąd. Nie zaczęła zbyt uprzejmie.

– Niemniej jednak to nie sprawa męża spowodowała, że poprosiłam o spotkanie. Swoją drogą byłam przekonana, że umówiliśmy się w redakcji... – Zawiesiła głos. Nie było to typowe pytanie, ale Bartoszewicz zrozumiał ideę.

– Ma pani rację. Bardzo przepraszam za tę nieoczekiwaną zmianę. Miałem do załatwienia pewne sprawy.

– Czyżby był pan jednym z inwestorów doglądających majątku w myśl zasady, że pańskie oko konia tuczy? – Ciekawość Rozalii zwyciężyła nad dobrymi manierami.

– Faktycznie budynek wygląda, jakby opustoszał wraz z przybyciem robotników, została w nim jednak jeszcze jedna firma, która przenosi się w nowe miejsce, ale wciąż świadczy usługi. Gdyby zmuszona była pani coś nadać, polecam Centralne Biuro Spedycji Bujańskiego. Korzystam od lat, zresztą nie tylko przy nadaniu bagażu lub paczki. Bujański oferuje też usługi finansowe w Domu Bankowym. I byłbym zapomniiał: gdyby skusiła się pani na wakacje za granicą, tu otrzyma pani najbardziej wiarygodne informacje o zagranicznych miejscach kąpielowych. Wybiera się łaskawa pani na wakacje? – zapytał.

– Nie mam w planach, ale kto wie, jeżeli upał nie zelżeje, może skorzystam z pana rekomendacji. Jednak nie po to się spotkaliśmy, prawda?

Wciąż stali przed wejściem do byłego już Hotelu Drezdeńskiego. Rozalia miała wrażenie, że za chwilę zemdleje; tymczasem po redaktorze, którego sylwetkę można było nazwać mocno zaokrągloną, nie było widać oznak znużenia upałem.

– Może znajdziemy jakieś zacienione miejsce? Trudno mi się skupić, kiedy żar leje się z nieba. – Wdowa Tojew nie miała zamiaru dalej wystawiać się na sierpniowy ukrop.

– Moja szanowna małżonka prosiła, żebym zajrzał na targ kleparski. Jeżeli nie ma pani nic przeciwko, możemy prowadzić rozmowę po drodze, korzystając z dobrodziejstwa zacienionej Floriańskiej. Co pani na to?

– Nie mam nic przeciwko.

Powoli ruszyli w stronę Floriańskiej. Cień sprawił, że temperatura była tu z pewnością o kilka stopni niższa, a i przyjemny wiaterek chłodził rozgrzaną głowę Rozalii.

– Prosiłam o to spotkanie, ponieważ mam do pana sprawę biznesową. – Zerknęła na redaktora Bartoszewicza, który uniósł nieco krzaczastą brew, sugerując zdziwienie. Nie odezwał się jednak ani słowem. – Czytając „Nowości Ilustrowane”, zauważyłam, że drukujecie państwo powieści w kawałkach. Chciałabym wydawać na łamach pana gazety. – Zamilkła, czekając z bijącym sercem na werdykt Bartoszewicza.

– Chce pani być jak Orzeszkowa? A może Konopnicka?

– Bliżej mi do Jane Austen, jeżeli pan zaznajomiony – odparła.

– Romans? Miłość trudna z początku, ale po przejściach kończy się szczęśliwie, czyż tak?

– O tym jeszcze nie zdecydowałam. Moi bohaterowie żyją własnym życiem, nieodmiennie mnie zaskakując. Może wyjdzie z tego dramat. Dosłownie i w przenośni, kto to wie?

Tą wypowiedzią wprawiła Bartoszewicza w dobry nastrój. Na jego poważnej twarzy pojawił się szeroki uśmiech.

– Pani zdaje sobie sprawę, że bez przeczytania jej książki nie mogę nic obiecać, a nawet i po tym, jak zapoznam się z tekstem, zmuszony będę zasięgnąć porady kolegium redakcyjnego?

– Jestem tego świadoma, ale ufam, że moja powieść obroni się nie tylko przed panem, ale i przed resztą zespołu.

– Jest pani pewna siebie. Cenię u ludzi pewność. Niektórzy uważają ją za wadę, dla mnie to zaleta, o ile ma swoje granice. Bo czasami można otrzeć się o śmieszność.

Po tych słowach zapadła cisza. Milcząc, doszli aż do Bramy Floriańskiej, przy której jak zawsze kłębił się tłum ludzi.

– Ile czasu potrzebuje pani, żeby oddać w moje ręce całą książkę? Nie przywykłem czytać czegoś w kawałkach. – Mówiąc to, roześmiał się na głos. Śmiech miał tubalny, dlatego kilka ciekawskich spojrzeń skierowało się w ich stronę.

– Dwa, góra trzy tygodnie – odparła Rozalia.

– Daję pani czas do końca sierpnia. Spotkamy się w środę pierwszego września. Czy takie warunki pani odpowiadają?

– Jak najbardziej, panie redaktorze.

– W takim razie mamy umowę? – Bartoszewicz wyciągnął rękę w stronę Rozalii.

– Mamy umowę – odpowiedziała, ściskając jego dużą, mocną dłoń.

Na targ na Rynku Kleparskim doszli powoli, rozmawiając o wszystkim i o niczym. Pożegnali się w przyjaznej atmosferze. Rozalia jeszcze przez chwilę stała, wpatrując się w oddalającego się Juliana Bartoszewicza. Wciąż nie mogła uwierzyć, że może już niebawem jej pierwsza powieść ukaże się drukiem. Miała ochotę podzielić się z kimś tą wiadomością. Zerknęła na zegarek. Dochodziła czternasta. Rozalia chciała udać się na Biskupią, żeby poczekać na Eleonorę, ale w porę zdała sobie sprawę, że przecież starsza córka Schramma wyjechała do Warszawy. Kobieta żałowała, że przyjaciółki nie było w Krakowie. Mogłaby podzielić się tą wiadomością z bratem, ale podskórnie czuła, że lepiej postawić go przed faktem dokonanym. Była jeszcze Stefania, ale Rozalia nie miała w zwyczaju nachodzić ludzi bez uprzedniego zapowiedzenia się.

Westchnęła rozczarowana. Na razie musiała cieszyć się swoim szczęściem sama. Podniesiona na duchu, skierowała kroki w stronę straganów z kwiatami. Uwielbiała świeże kwiaty, już od tak dawna nie kupowała ich do domu. Dziś postanowiła sobie popołgować. Właśnie regulowała rachunek, kiedy wśród tłumu mignęła jej znajoma sylwetka – a przynajmniej tak jej się wydawało. Wytężyła wzrok. Była prawie pewna, że widziała Eryka Zdanowskiego. Przez chwilę patrzyła za szybko maszerującym młodym człowiekiem, ale przekupka wydająca resztę sprawiła, że Rozalia musiała na moment odwrócić wzrok. Kiedy wreszcie ponownie zerknęła w miejsce, w którym po raz ostatni przemknęła znajoma postać, mężczyzny już nie było.

Poczuła dziwne rozczarowanie. Prawdę powiedziawszy, myślała o nim od środowego spotkania. Było w nim coś takiego... Sama nie wiedziała co. A jednak w każdej wolnej chwili kierowała myśli do młodego impertynenta. Więc kiedy teraz prawdopodobnie zobaczyła w tłumie właśnie jego, serce zabiło jej szybciej. Podekscytowanie z powodu kolejnego z nim spotkania szybko ustąpiło miejsca zawodowi. Spojrzała na trzymane w dłoniach kwiaty. Cóż, kiedyś jeszcze się zobaczymy, pomyślała i ruszyła w stronę przystanku tramwajowego.

## Rozdział 18

Stefania schowała twarz w dłoniach. Zegar wskazywał piętnastą. Dzień ciągnął się niemilosiernie.

Była w ponurym nastroju. Miała dziś umówione spotkanie z panną Bronisławą, ale wczoraj przed kolacją pokojówka malarki przybiegła odwołać wizytę.

– Panna Bronisława mówi, że ta wrześnieowa pogoda ją wykończy. Nic tylko boli ją głowa. Te migreny to prawdziwe skaranie boskie. – Młoda dziewczyna najpewniej biegła całą drogę z Podgórza aż do kamienicy Pod Irysami, ponieważ nie tylko policzki, ale całą twarz, okrągłutką niczym księżyc w pełni, a także szyję miała zaczer-wienione.

I tak Stefania od samego rana snuła się po domu. Z racji ustalonego dużo wcześniej terminu lekcji, która tak niespodziewanie została odwołana, nie miała innych planów. Jak na złość obudziła się wcześniej niż zwykle. Podziobała śniadanie, na które nie miała najmniejszej ochoty, i w końcu nie wiedząc, co ze sobą zrobić, postanowiła nadrobić prasowe zaległości.

Gabinet ojca od rana stał pusty, więc wśliznęła się do środka. Stos wydań „Ilustrowanego Kuriera Codziennego” leżał na niewielkim stoliku wciśniętym pomiędzy dwa wygodne fotele. Stefania przejrzała daty. Wybrała te opisujące przebieg bitwy warszawskiej, którą zaczęto nazywać „Cudem nad Wisłą”. Rozsiadła się za biurkiem i rozłożyła prasę. Pograżyła się w lekturze. W okolicach południa zrobiła sobie krótką przerwę i poprosiła w kuchni o sucharki i gorzką herbatę z mlekiem. Kiedy już miała wrócić do czytania kolejnego numeru, głowę do gabinetu wsunęła Joasia.

– List od panienci Eleonory – powiedziała, podchodząc do biurka.

Stefania pisnęła z radości. Może wreszcie jakieś dobre wieści. Miała szczerą nadzieję, że siostra w końcu wróci do domu. Pod nieobecność matki – chociaż i tak najczęściej miały się z Teklą w milczeniu, każda pograżona we własnych myślach – i ojca, który na razie nie napisał do żony ani słowa, o co nie mogła go winić po tym, jak go potraktowała, czuła się bardzo opuszczona.

Był to dopiero drugi list, jaki Eleonora przesłała do domu. Od Juliana Stefcia wiedziała, że i do niego siostra nie pisała zbyt często. Pierwsza wiadomość, bardzo krótka zresztą, można by powiedzieć: zdawkowa, przyszła niedługo po wyjeździe Schrammówny. I kiedy Stefcie zaczęły nadochodzić straszne myśli, za które ojciec rugał ją na każdym kroku, doczekała się listu.

Otworzyła go czym prędzej. Zapomniała o gorącej herbacie i sucharkach, które Joasia posmarowała masłem i dżemem truskaw-kowym.

Rozwinęła złożoną kartkę papieru i jęknęła rozczarowana. Przygotowała się na długie czytanie, a tymczasem list Eleonory podobny był do notatki prasowej czy telegramu. Krótki, i rzeczowy.

Stefciu,

wiem, że będziesz zawiedziona, że napisałam ledwie parę słów, ale proszę, wierz mi, nie mam czasu, żeby przysiąść i napisać list z prawdziwego zdarzenia. Chciałam jednak powiadomić Ciebie i rodziców, że u mnie wszystko dobrze. Jestem zmęczona, wycieńczona, wiecznie brakuje mi snu i czasu, żeby zjeść coś porządnego, i byłabym zapomniała: marzę o długiej gorącej kąpieli, ale jestem zdrowa. Zdrowa i cała. Mam nadzieję, że niedługo wrócę do domu. Może już za parę tygodni porozmawiamy w cztery oczy, siedząc w łózkach z ciepłą kawą. Wtedy poplotkujemy.

Kochająca

Eleonora

Stefania raz jeszcze przebiegła wzrokiem po słowach siostry, a potem odłożyła list na biurko. Przez dłuższą chwilę siedziała bez ruchu. Odchyliła głowę na oparcie ojcowskiego fotela i zamknęła oczy. Było coś, co nie dawało jej spokoju. Zamyśliła się i aż podskoczyła, kiedy zdała sobie sprawę, że przecież Eleonora nie wie, że matka odeszła z domu, przynajmniej na razie.

Chwyliła za papier listowy, który ojciec zamawiał od lat w składzie Ziembickiego na placu

Mariackim pod numerem 2. Kiedy była małą dziewczynką, zawsze chodziła tam razem z nim. Lubiła zapach sklepu Ziembickiego. Można tam było dostać nie tylko artykuły piśmiennicze, ale przede wszystkim galanterię skórzaną i wyroby dekoracyjne z drewna. To pomieszczenie aromatu skóry i drewna było jedyne w swoim rodzaju. Stefania zapamiętała je do dziś, chociaż ostatnim razem była tam tuż po zakończeniu wojny, by kupić małą, ale solidną portmonetkę.

Położyła przed sobą kremową kartkę, rozejrzała się za piórem i nie bacząc, że informacja o tymczasowym odejściu matki, jak i o innych ważnych rzeczach, które ostatnimi czasy działały się w domu, zdenerwuje siostrę, zaczęła pisać.

Może to sprawi, że szybciej wrócisz do domu, pomyślała, stawiając na czystej kartce pierwszą czarną literę.

Norciu,

mam nadzieję, że wrócisz znacznie szybciej, niż zapowiedziałaś. Wiem, że nie powinnam tego pisać, ale jeżeli to skłoni Cię do powrotu, nie zamierzam milczeć. Otóż...

Boże, sama nie wiem, od czego zacząć, żeby Cię nie przerazić, chociaż podchodami, jakie teraz wyczyniam, pewnie już Cię przeraziłam.

Otóż jakiś czas temu matka tymczasowo znowu przeniosła się do Wieliczki. Niestety nie do ciotki Agnieszki, jak pewnie od razu pomyślałaś, ale do siedziby pewnej tajemniczej organizacji, której członkiem, a może założycielem w Krakowie był hrabia, którego mama poleciła bronić Julianowi. Nie wiem, jak przebiegła rozmowa między matką a ojcem, i imaginuj sobie, że nie wiem nawet, kiedy mama wyjechała, dlatego jedyne, co mogę Ci przekazać, to słowa ojca, że może matka zbudzi się ze snu, kiedy przestanie marzyć, a poczuje koszmar pobytu w tym dziwnym domu. Po słowach papy poczułam dreszcz na całym ciele.

Znasz mnie, zawsze byłam ciekawska, a jako panienka lubiłam wiedzieć więcej, więc niczym ciotka Leokadia słuchałam plotek, nadstawiając uszu to tu, to tam. Pewnie gdybym nie obawiała się skandalu, zasięgnęłabym języka właśnie u ciotki Leokadii, ale znasz ją równie dobrze jak ja – a może nawet lepiej – i wiesz, że ona niczego nie potrafi zachować w tajemnicy. Może nie robi tego celowo, ale kiedy poprosić ją, żeby nie przekazywała czegoś dalej, ona od razu powtarza to dziesiątkom osób. Dlatego chociaż wiem, że pewnie byłaby cennym źródłem informacji, postanowiłam poszperać sama. Nie chcę, aby sprawy rodzinne stały się tajemnicą poliszynela.

Tylko się nie złość i nie rób tej swojej miny, którą robisz zawsze, kiedy zaczynam działać niestandardowo lub mówić bez owijania w bawełnę. Zaczęłam od pokoju mamy. Tak, byłam w jej „buduarze” i poszperałam trochę. Niestety na niewiele się to zdało, bo mama musiała zabrać ze sobą wszystkie zapiski. Jednak udało mi się ustalić co nieco. Otóż ten zakon, jak nazywa się siedzibę owego tajemniczego zgromadzenia, szczególnie upodobał sobie zgłębianie „Goecji”. Wyobraź sobie, że chcąc rozgryźć tę zagadkę, udałam się do twojego ulubionego antykwariatu pod 23. Obsługujący tam antykwariusz spojrzął na mnie bardzo dziwnie, kiedy wyjawiałam mu, czego szukam. Niemniej jednak bez zbędnych pytań zaszył się na ponad kwadrans na zapleczu. Kiedy już zwątpiłam w celowość wizyty i pomyślałam, że najpierw powinnam udać się do biblioteki, wynurzył się zza ciężkiej kotary, niosąc dość okazałych gabarytów tom. Raz jeszcze przyjrzał mi się badawczo, potem wypytał, w jakim celu potrzebuję tej książki, i w końcu zamiast mi ją sprzedać, po prostu wypożyczył, zaznaczając, że muszę ją zwrócić w ciągu trzech dni.

Wysłałam stamtąd tak zaskoczona, że przez całą drogę do domu zamiast patrzeć przed siebie, wpatrywałam się w tomiszczę, mając nadzieję, że nie przydarzy mi się jakiś nieszczęśliwy wypadek, który doprowadzi do jego zniszczenia. Poza tym niosąc księgę, odnosiłam wrażenie, że nie spodoba mi się jej zawartość, i miałam rację.

Goecja to, uważaj, system magiczny, którego zadaniem jest przywoływanie do świata żywych duchów i demonów. Mają służyć temu, kto je przyzwie, a zazwyczaj jest to mag (goeta). Wyczytałam, że goecję przypisuje się królowi Salomonowi, który władzę do przywoływania i kontrolowania demonów otrzymał od Boga. Zgodnie z legendą Salomon po przywołaniu wszystkich demonów zamknął je w specjalnym naczyniu, które wrzucił do jeziora nieopodal Babilonu.

Cały system magii oparty na owych księgach jest niezwykle skomplikowany i wymaga wielu lat studiowania i nauki. Duchy zamknięte przez Salomona, a jest ich aż siedemdziesiąt dwa, mają określoną hierarchię i żeby je przywołać, trzeba spełnić szereg warunków. Pomocny w tym jest „Większy Klucz Salomona”, który podzielony jest na dwie części. Pierwsza ma chronić wzywającego duchy, a druga zmuszać je do posłuszeństwa. Księga szczegółowo opisuje, jak przygotować specjalny atrament, którym mag wypisuje zaklęcia konieczne w rytuałach. Jednym ze składników, nie uwierzysz, jest krew nietoperza. Mag musi posiadać nie tylko wspomniany przeze mnie atrament, ale także specjalne ubranie.

Kiedy przeczytałam wstęp do księgi, nie miałam już zamiaru zgłębiać reszty. Jestem przerażona tym, że nasza mama dołączyła do ludzi, którzy uprawiają niebezpieczną magię.

Nagle wszystko zaczęło się układać w całość. Bo, widzisz, zanim zaczęłam dociekać, czym zajmuje się zakon, do którego dołączyła mama, przejęłam – całkiem przypadkiem, ponieważ ojca nie było jeszcze w domu, choć godzina była późna – list. Miarkuj sobie, anonim, który ktoś cichaczem, nie mając cywilnej odwagi, wsunął przez szparę. Mała koperta, zalakowana czerwonym woskiem niczym wiekowy królewski zwój, leżała w przedpokoju. Podniosłam ją i z czystej ciekawości zajrzałam do środka. Otóż ktoś wysłał ojcu pogróżki, żądając zwrotu zawrotnej sumy pieniędzy.

Teraz już wiem, dlaczego ojciec od wielu dni chodzi struty. Nie jada dobrze, pewnie też nie sypia. Głowę dam, że znowu wrócił do hazardu. Jedno jest pewne: chadza do kasyna, a po cóż innego miałby tam chodzić. Toż to nie kino...

Wtedy nie miałam pojęcia, za co ktoś domaga się takich pieniędzy. Myślałam właśnie, że to ojca długi karciane, ale teraz, po przestudiowaniu księgi, dochodzę do wniosku, że być może matka zakupiła gdzieś na czarnym rynku rzeczy niezbędne do uprawiania owej magii. Gdyby ojciec miał długi pokerowe, pewnie uiściłby stosowną opłatę, nie prowokując tego typu zagrywek. W końcu stroni od dawna od skandali i pomówień. Przypuszczam, że nie miał o niczym pojęcia, a że matka nie opłaciła zamówienia, dostawca domaga się stosownej zapłaty, obciążonej odsetkami.

Wiem, że nie dalek jak dwa dni temu ojciec, korzystając z wolnego dnia, wybrał się do Wieliczki. Nie rozmawiałam z nim jeszcze na temat tej eskapady, ale nie wydaje mi się, żeby jej rezultat był zadowolający. Ojciec wrócił niemiłosiernie późno. Powiedzieć, że wrócił w sobotę w nocy, to jakby nic nie powiedzieć. Był już prawie niedzielny poranek. Świtało. Nie chciałam napadać go tak od razu w progu. Wolałam dać mu odpocząć. Nie wiem, kiedy i jak, ale wymknął się w ciągu dnia, zostawiając mi tylko lakoniczną informację, żebym nie czekała na niego ani z obiadem, ani z kolacją. Chciał ponoć nadrobić zaległości w banku, ale mnie się widzi, że najzwyczajniej w świecie unika rozmowy. Jak znam matkę, zaparła się, zmusiła ojca do spłacenia jej zobowiązań i powiedziała, że wróci, kiedy uzna za stosowne, a to może potrwać nie miesiące, a całe lata.

To jeszcze nie wszystko. Kiedy odnosiłam księgę, antykwariusz już na mnie czekał. Znowu zmierzył mnie wzrokiem, a na odchodnym wcisnął mi do ręki inną, niewielką w porównaniu z tą, którą odniosłam, i przykazał przeczytać oraz nauczyć się umieszczonego w niej alfabetu, bo kto wie, kiedy będzie nam potrzebna pomoc.

Gnałam do domu, jakby mnie stado diabłów goniło, ponieważ byłam ciekawa, co też zawiera podarunek. Sama nie mogłam uwierzyć, ale była to kolejna książka traktująca o magii, przy czym tej dobrej, jakby powiedziała matka – białej. To podręcznik do nauki języka enochiańskiego, czyli anielskiego, który podobno został przekazany Johnowi Dee przez anioły.

Niżej podaję Ci próbkę tego języka, którą z wielką skwapliwością przepisałam z książki, nie wiedząc, o czym piszę i czy nie przywołuję jakiegoś anioła stróża:

*Madariatza das perifa Lil cabisa micaolazoda saanire caosago of fifia balzodizodarasa iada. Nonuca gohulime: micama adoianu mada, faods beliorebe, soba ooanoa cabisa luciftias yaripesol, das aberaasasa nonucafe jimicalzodoma larasada tofejilo marebe pereryo Idogio od terezodualpe\*.*

W książce jest wspomniany alfabet. Próbowалаm go przeczytać, ale tego nie można wymówić, a co dopiero zapamiętać.

Proszę, wracaj jak najszybciej, bo oszaleję od tych magicznych formuł.

Dość już o aniołach i demonach. Czas napisać coś o ludziach.

Wyobraź sobie, że przełknęłam wstyd i dumę. Odwiedziłam Dionizego Matulę, wuja Jana. Musiałam to zrobić. Jan nie odzywał się słowem. Boję się o niego. Łapałam się na tym, że popadałam w zadumę, w czasie której zmawiałam krótkie modlitwy, prosząc o jakiś znak. Znak, że z Janem wszystko w porządku. Nie mogłam tego znieść. Tej niepewności. Poszłam więc na Podgórze. Dionizy Matula nie chował do mnie urazy za moje zachowanie podczas naszego ostatniego spotkania. Przeprosiłam go, a on przyjął przeprosiny od razu, zapewniając, że już nawet nie pamiętał, o czym wówczas rozmawialiśmy. Powiedział, że z Janem wszystko dobrze. Czuję się już spokojniejsza, bardziej podniesiona na duchu, i gdyby nie kłopoty z matką, pewnie nawet zaczęłabym się uśmiechać i wróciłabym do malowania, które całkiem porzuciłam. Jedyną rzeczą, jakiej poświęcałam czas, był portret Janka. Ukończyłam go i chociaż obiecałam, że odeślę obraz na Podgórze, nie zamierzam tego robić. Zostawiłam go dla siebie. Może to swego rodzaju jasyr. Wzięłam ten obraz do niewoli. Zmuszę Jana, żeby pofatygował się do nas odebrać to, co jego. Wówczas przeproszę go za swoje słowa. Może mi wybaczy? Jak myślisz, wybaczy?

Przepraszam, że opisałam Ci tyle problemów. Masz dość swoich, jednak jeżeli to ma sprowokować Cię do powrotu szybszego niż za kilka tygodni, nie czuję się winna, ale usprawiedliwiona.

Żeby nie kończyć tak zupełnie ponuro, zapytam, czy wiesz, jak brzmią żołnierskie przysłowia?

Wiedziałam, że nie wiesz, ale już spieszę z wyjaśnieniem. To z pewnością poprawi Ci humor:

„Jak sobie pościelisz, to zaraz zaczną trąbić na alarm...”

Pewnie znasz to aż za dobrze, prawda?

„Czem chata bogata, to już przed nami zarekwirovano...”

Mam nadzieję, że nie głodujesz. Nie głodujesz?

„Czego się Jaś nie nauczył, to jeżeli jest oficerem, zrobi za niego sierżant...”

Niestety nie jesteś lekarzem, nawet jeżeli czegoś się nie nauczyłaś, to i tak musisz to zrobić sama, prawda?

„Pokorne ciele idzie na konserwy...”

Przepraszam, ale nie mogłam się oprzeć, żeby tego nie napisać.

Tęsknię.

Twoja Stefcia

Stefania odłożyła pióro. Od tego pisania, a rozpisala się niemiłosiernie, rozboleła ją ręka. Potrząsnęła dłonią. Przeczytała list i uznawszy, że nie ma nic, co należałoby zmienić, sięgnęła po kopertę. Już miała ją zakleić, kiedy jej wzrok spoczął na otwartej książce traktującej o języku anielskim. Nie zastanawiając się nad swoim barbarzyńskim gestem, jednym sprawnym szarpnięciem wyrwała z niego stronę z alfabetem.

A poucz się w wolnej chwili, pomyślała, zerkając na kartkę po raz ostatni.

\*\*\*

Jan ocknął się z głębokiego, spokojnego snu. Spał tak dobrze po raz pierwszy od wielu tygodni. Przyjechał do domu pociągiem sanitarnym, który podobnie jak inne wysłane z Warszawy rozwoził po kraju nadmiar rannych, gdyż nie radzono sobie z nimi w stolicy. Maszyna wtoczyła się na krakowskie tory z samego rana, kiedy jeszcze noc gościła nad miastem, ledwie ustępując zbliżającemu się leniwie świtowi. Niebo przykryte było ciężkimi chmurami, z których lunął rzęsisisty deszcz.

Jan nie miał zamiaru dać się wywieźć do jednego ze szpitali, w których przygotowano łóżka dla rannych, dlatego z pomocą sanitariusza wcisnął się do samotnie stojącej nieopodal dworca taksówki i kazał się wieść na Podgórze.

Wuj Dionizy nie posiadał się ze szczęścia, widząc go na progu. Od razu przygotowano przyjezdnemu kąpiel, przy której musiał skorzystać z pomocy starego Matuli. Zmył z siebie podróżny brud i szpitalny zapach.

– Zanim położysz się spać, zmienimy opatrunki.



Matula wyciągnął apteczkę. Kiedy odwijał obandażowane stopy bratanka, Jan z całych sił zaciskał zęby. Miał ochotę krzyczeć, wyć i płakać. Dionizy zadarł głowę, pytając przyglądając się Jankowi.

– Wielu nie miało butów i mundurów. Byli tacy, którzy szli do walki w poszarpanych spodniach. Kradli, co się dało. Ktoś ukradł i moje. Poszedłem więc boso, jak inni. Ja przynajmniej miałem broń. Wielu nie miało nawet tego. Mieliśmy dostać karabiny w okopach, ale niektórzy szli do walki z gołymi rękami i dopiero na polu bitwy zabierali broń zabitym lub rannym. – Jan westchnął z ulgą, kiedy Matula skończył opatrywać jego pokiereszowane stopy.

Zamiast na górze, gdzie dotychczas miał swój pokój, przygotowano mu drugi w mieszkaniu, które do tej pory stało puste. Miał tu spokój i wygodę.

Tamtego deszczowego sobotniego dnia po lekkim śniadaniu, które zjadł z apetytem, położył się spać. Wuj budził go tylko, kiedy podawano posiłki. Przeleżał tak całą sobotę i niedzielę, wychodząc z pachnącej czystością pościeli jedynie za potrzebą.

W poniedziałek ocknął się sam, niebudzony przez nikogo. Zerknął na zegar. Dochodziła siódma trzydzieści. Śniadanie jedli zawsze około dziewiątej. Gdzieś z głębi domu dolatywały go strzępy rozmów i stukanie garnkami. Śmiech dobiegający z kuchni i jego wprawił w dobry nastrój. Jan wciągnął powietrze głęboko do płuc. Ktoś otworzył okno. Musiała to zrobić Antonina albo Irenka. Robiły tak zawsze, nawet kiedy on i wuj jeszcze spali. Jak tylko ubrały się i umyły, przechodziły po sypialniach i nawet zimą uchylały okna, żeby wygonić z pokoju nocny zaduch. Poczul świeży zapach igliwia. Rosnące w ogrodzie choinki najpiękniej pachniały po deszczu, dając im tu, w mieście, namiastkę prawdziwego lasu. Wraz z aromatem zieleni poczuł mocny zapach świeżo mielonej kawy. Zaburczało mu w brzuchu. Przeciągnął się. Miał jeszcze trochę czasu dla siebie.

Przez chwilę siedział, spoglądając na kołyszące się za oknem konary drzew. Zieleń nie była już tak soczysta jak na wiosnę, nie była już nawet w pełni zielona jak latem. Niebawem liście zmienią kolor. Nie przepadał za jesienią i zimą, ale ten czas, kiedy natura przybierała żywe kolory czerwieni, żółci i brązu, nieodmiennie go zachwycał. Jan pomyślał o Stefanii, której nie widział od wielu tygodni. Zastanawiał się, czy ukończyła portret. Powinien zapytać wuja. W końcu Stefcia obiecała, że prześle obraz na adres Matuli. Postanowił, że jak tylko poczuje się lepiej, pójdzie do kamienicy Pod Irysami. W końcu musi wypełnić obietnicę, nawet jeżeli Stefania nie będzie chciała go więcej widzieć. Obiecał, że wróci, i wrócił.

Pojedyncze bicie zegara obwieściło wpół do ósmej. Jan zerknął na mały stoliczek, który wuj postawił koło łóżka. Niewielki notatnik w wyswiechtanej skórzanej oprawie, poobcieranej na brzegach, leżał na nim spokojnie. Młody Matula sięgnął po niego i otworzył go na pierwszej wolnej stronie. W końcu miał czas, aby zasiąść do zapisania wspomnień z ostatnich tygodni.

Pisał:

Na początku sierpnia dołączyły do nas grupy ochotników. Wyglądali na pełnych animuszu i zapału. Wystarczyło kilka kolejnych dni, żeby ich morale oklapło. Przyglądali się nam z ciekawością, ale i pewnym podziwem, pewnie zastanawiając się, jak to możliwe, że w strzępach mundurów, podartych spodniach, tylko ze szmatami na nogach i bez broni jesteśmy gotowi do walki. Byliśmy. Część z nas dodawała sobie odwagi, popijając coś mocniejszego, ale i tego z czasem zabrakło. Gruchnęła wieść, że wprowadzono zakaz sprzedaży alkoholu. Żołnierze marudzili, biadolili i szukali, ale wysoka kara, jaką podobno nakładano na handlarzy, skutecznie odstraszała. Byliśmy boleśnie trzeźwi i świadomi, w jak okrutnej sytuacji się znaleźliśmy.

W połowie sierpnia nadszedł dziwny rozkaz. Nakazano nam ciszę i wzmożoną ostrożność. Ściągano żołnierzy z innych placówek. Z ust do ust podawaliśmy sobie pocieszającą wiadomość, że bezskuteczne bolszewickie ataki na nasze oddziały skończą się niebawem, wraz z pojawieniem się dywizji jazdy, konnej artylerii i batalionu piechoty.

Niestety puściły skrzydła. Na nic zdał się nasz wysiłek utrzymania pozycji. Ruszyliśmy za kolumną taborów. Za nami jechał pułk ułanów. Wyszliśmy ciemną nocą. Było przerażająco smutno i beznadziejnie. Jeszcze gorzej zrobiło się nad ranem, bo chociaż sierpniowe dni wciąż były gorące,

o świecie szron pomalował pola na biało. Nie przeszkodziło nam to położyć się na wilgotnej ziemi, kiedy zarządzono postój. Spaliśmy jak zabici.

W końcu znowu wyruszyliśmy. Przeszliśmy ponad trzydzieści kilometrów. Dopiero po tak morderczym marszu pozwolono nam odpocząć zaledwie trzy godziny. Byłem wycieńczony, słaby i głodny, ale tak jak i moi towarzysze rzuciłem się tego upalnego dnia do rzeki schłodzić ciało i umysł. Po kąpeli zaczęliśmy ogłuszać ryby ręcznymi granatami. Wtedy po raz pierwszy usłyszałem, że niektórzy z ułanów rozmawiają ze sobą po rusku. Czyżby przeszli na naszą, wroga, stronę?

Kiedy wznowiono marsz, kapitan Żongołłowicz rozwiązał nasze wątpliwości. Nie szliśmy do Krasnypola, ale do Żółkwi, a stamtąd do Warszawy.

Byliśmy jak dzieci rozpakowujące prezenty pod choinką. Jakaż to była radość! Nie mogłem w to uwierzyć, że dom jest coraz bliżej. Przestałem myśleć o zmęczeniu. Obdarte do krwi stopy w cudowny sposób przestały boleć. Nie biadoliliśmy przez kolejne długie kilometry. Zaczęliśmy śpiewać. Donośnie, entuzjastycznie. Podchwyciły to inne kompanie. W tak radosnej atmosferze doszliśmy do małego miasteczka. Zaordynowano nieco dłuższy odpoczynek. Kładliśmy się, gdzie popadło. Spaliśmy jak susły.

Następnego dnia ktoś rozpuścił wieść, że nie idziemy na Warszawę. Klnąc, czekaliśmy na potwierdzenie wiadomości. Wreszcie nasz batalion załadowano na ciężarówki. Podziękowałem Bogu gorącą modlitwą za ten odpoczynek dla moich pokiereszowanych stóp. I tak pewnie nie uszedłbym daleko. Przespałem większość drogi. Obudziłem się w kolejnym mieście. Akurat trafiliśmy na dzień targowy. Rozeszliśmy się po miasteczku, szukając czegoś do zjedzenia, ale wszystkiego brakowało. A i drożyzna okrutna. Coś jednak udało nam się zjeść. Pod wieczór wyruszyliśmy w dalszą drogę. Obudził mnie zimny deszcz. Tabor zatrzymał się na postój. Wraz z kolegami położyliśmy się pod wozem. Leżeliśmy w błocie pomieszany z pyłem węglowym – lepsze to jednak było niż strugi zimnego deszczu wpadające za kołnierz.

Podróż dłużyła się niemiłosiernie. W końcu stanęliśmy na stacji Lwów Łyczaków. Wystawiliśmy posterunki. Nie pozwolono nam wychodzić na miasto. Całe szczęście miasto przyszło do nas. Mieszkańcy przynieśli owoce, bułki, a nawet piwo. Niektórzy po kryjomu wieczorem wyrwali się do lunaparau. Mnie też namawiali. Kiedy odmówiłem, zaczęli się naigrawać. Nic to. Nie miałem takiej potrzeby. Korzystałem z niego raz jeden, podczas wojny. Nie ma w tym nic pięknego. Zwykła chuć odarta z uczucia i nuty romantyzmu. Tylko popęd. Przyjąć, załatwić potrzebę i wyjść. Podziękowałem i życzyłem kolegom miłej zabawy. Udało im się wejść do burdelu pomimo godziny policyjnej. Dziwne, bo dom był otwarty i jasno oświetlony. Po powrocie opowiadali, że przywitała ich srogiej postury mamusia. Panienki ponoć przyjmowały na pryczach oddzielonych parawanami. Nie mogło być mowy o dyskrecji. Musiałbym być prawdziwie zdesperowany. Wolałem odespać nieprzespane noce.

W ciągu dnia, kiedy nasz pociąg stał na bocznicu, przychodziły do nas dzieci. Co sprytniejsze zaczęły parać się handlem. Papierosy, czekolada, nawet broń. Jeden z oficerów kupił rewolwer, futerał i dwadzieścia pięć naboji.

– Wstałeś już?

Wuj Dionizy zajrzał do pokoju Jana, który odłożył notatnik, zatknąwszy ołówek w miejscu, w którym skończył.

– Zjesz tu czy dołączysz do mnie?

– Zjem razem z wujem. Nie mogę przeleżeć całego życia. Proszę, niech wuj da mi kwadrans na toaletę. Marzę o prysznicu, ale przyjdzie mi jeszcze na niego trochę poczekać. – Mówiąc to, skinął głową w stronę opatrzonych stóp.

– Po śniadaniu zmienimy opatrunki. Już wczoraj wieczorem przekonałem się, że ta maść to dobry wybór. Działa i wszystko zaczyna się ładnie goić. – Stary Matula stał jeszcze chwilę w drzwiach, przyglądając się bratankowi z czułością. W końcu zaczął się wycofywać. – Zatem poczekam w jadalni. Nie musisz się spieszyć – powiedział na odchodnym i cichutko zamknął wysokie, ciężkie drzwi.

Kwadrans później Jan zatrzymał się w drzwiach do jadalni. Wuj siedział już przy stole, a widząc zdziwione spojrzenie rozglądającego się po pokoju Janka, poczuł się w obowiązku pospieszyć z wyjaśnieniem.

– Pewnie nie pamiętasz, ale meble zamówiłem jeszcze na początku roku. Dostarczyli je kilka dni po twoim wyjeździe. Usiądź – dodał, wskazując Janowi krzesło na wygiętych nóżkach, z wysokim fikuśnym oparciem i dość dużym tapicerowanym siedziskiem.

– Wymieniłeś wszystko – skwitował Jan, sadwiąc się na miejscu.

Krzesło okazało się wygodne, chociaż na pierwszy rzut oka nie zachęcało do skorzystania. Po starym komplecie, który zapewne pamiętał jeszcze czasy babki Dionizego, pozostało już tylko wspomnienie. Na dawnym miejscu stanął nowy, ogromny kredens z przeszklonymi wysokimi słupkami po bokach; poustawiano tam zastawy stołowe i kieliszki do różnych alkoholi. Kiedyś, spożywając obiad samotnie, Jan z nudów policzył wystawione porcelanowe komplety. Dwa tuziny, nie mniej, nie więcej. Zastanawiał się, po co Dionizemu aż tyle różnych serwisów kawowych i obiadowych, skoro nigdy nie wyprawia przyjęć – nawet urodziny spędzali we własnym gronie. Teraz wszystkie te zastawy znalazły miejsce w nowym kredensie, zajmującym większą część jednej ze ścian. Po przeciwnej stronie ustawiono mniejszą nieco komodę, bez przeszkleń; tam upchano zapewne bieliznę stołową, w której nabywaniu lubowała się babcia Matulowa. W rogu stanął nowy, smukły zegar, którego wahadło mozolnie, ale niestrudzenie odliczało upływający czas.

Centralne miejsce zajął stół długi na ponad dwa metry, wokół którego rozstawiono zaskakująco wygodne krzesła.

– Nie były tanie. Meble, meble nie były tanie. Grzech przyznać, że kosztowały fortunę, ale robota pierwszorzędna i materiał, solidny dąb, też najwyższej jakości. Będą z nich korzystać jeszcze twoje prawniki, wspomnisz moje słowa. – Dionizy miał wrażenie, że musi usprawiedliwić przed bratankiem zakup, który poczynił nie z potrzeby, a z powodu kaprysu i chęci posiadania nowych, nieużywanych przez poprzednie pokolenia mebli.

– Najważniejsze, że jest wuj zadowolony. Nie musi się wuj przede mną tłumaczyć, bo nie mnie oceniać, co wuj za swoje ciężko zarobione pieniądze kupuje – odparł Jan, smarując ciepłą jeszcze maślaną bułeczkę własnoręcznie ukręconym przez kucharkę masłem.

– A skoro już mowa o finansach. Zamyśliłeś sobie przed wyjazdem z Krakowa, że w Warszawie zajrzysz do kancelarii w sprawie spadku po twojej babce. Udało ci się wszystko sfinalizować?

– Tak, ale obawiam się, że nie takich efektów wuj się spodziewał. Wykonawcy testamentu nie wspomnieli w liście o kwestii fundamentalnej dla całej sprawy. Gdyby napisali o niej już wtedy, zaoszczędziliby wszystkim czasu, nerwów i rozczarowania.

Z każdym kolejnym słowem Matula słuchał uważniej.

– Rzecz w tym, że dwór wraz z przynależnościami mógł stać się moim dziedzictwem i własnością tylko w wypadku, gdybym sam osobiście nadzorował zarządzanie majątkiem, mieszkając w nim przez większą część roku.

– Rozumiem, że nie przyjąłeś spadku?

– Ma wuj rację, odrzuciłem go. Chyba się wuj nie gniewa? – Jan patrzył na starego Matulę, próbując wyczytać coś z jego twarzy.

Jak zwykle Dionizy zachowywał isticie stoicki spokój. Znany był z tego w mieście. Jego partnerzy w interesach nigdy nie mogli rozgryźć jego intencji w czasie negocjacji. Często powtarzano mu, że z taką niezachwianą mimiką powinien chadzać do kasyna i grywać w karty.

– Nie mam podstaw, żeby się na ciebie gniewać. Cóż, gniewałbym się pewnie, gdybyś wyprowadził się tak daleko. Przyzwyczaiałem się mieć ciebie pod ręką. Wiem, wiem, nadejdzie kiedyś czas, że zechcesz opuścić mój, ba, nasz dom i stworzyć własny, ale przez jakiś czas jeszcze będę mógł cieszyć się twoim towarzystwem. Martwi mnie jedynie, że straciłeś majątek, który mógł być doskonałym zabezpieczeniem przyszłości twojej i twojej rodziny. Nie ma jednak co płakać nad rozlanym mlekiem. Nadejdzie dzień, że przejmiesz moje dobra. Marzy mi się, że już niebawem przekażę ci stery w firmie.

– To nie do końca tak, wuju. Okazało się, że starsza pani przewidziała taką okoliczność. Wykonawca poinformował mnie, że w przypadku mojej odmowy wszystkie nieruchomości mają przejść na rzecz organizacji charytatywnych. W tym celu zostanie ustanowiona fundacja, której miałem prawo nadać nazwę. Nie wahałem się ani chwili i nazwałem ją imionami moich rodziców. Zarządcą fundacji,

w której będę mógł się udzielać, nie mając jednak głosu decydującego, będzie kancelaria zajmująca się testamentem. Obrazy i rzeźby mają przejść na skarb państwa. Mnie z kolei przypadły w udziale zdeponowane w szwajcarskim banku pieniądze, głównie w walucie, jak i biżuteria, kamienie szlachetne oraz złoto.

– Nie miałem okazji poznać twojej babki, ale coś mi się widzi, że starsza pani miała głowę nie od parady. Nie mogła wpaść na lepsze rozwiązanie. Jeden majątek stał się powodem radości wielu osób. Ufam w twoją roztropność, dlatego nie będę czynił sugestii, jak masz dysponować swoim spadkiem. Jedźmy, bo herbata stygnie.

Przez kilka minut siedzieli w milczeniu, delektując się przygotowanym posiłkiem. Jan zamknął oczy, przełykając kęs maślanej bułeczki z masłem i domowej roboty śliwkową konfiturą, za którą przepadał od dziecka. Tylko w ten sposób, pozbawiwszy umysł prawie wszystkich innych bodźców, mógł w pełni cieszyć się smakiem domowego jedzenia. Miał nadzieję, że już wkrótce odzyska stracone podczas tych kilku wycieńczających tygodni kilogramy i siły.

– Chciałem wuja o coś zapytać. Czy wuj wie coś może o Stefanii Schramm?

– W zasadzie wiem. – Stary Matula uśmiechnął się szeroko, wycierając usta wykrochmaloną białą serwetką. Odłożył ją z boku talerzyka, na którym zostało tylko kilka okruchów. – Miałem ci o tym powiedzieć, a potem wszystko jakoś tak się potoczyło, że rzecz całkiem wypadła mi z głowy. Bardzo przepraszam, ale w moim wieku człowiek zmaga się z wieloma niedogodnościami organizmu. Jedną z nich jest skleroza. A wracając do meritum... Panna Schramm była tu swego czasu.

Jan pochylił się nad stołem, jakby zmniejszenie dystansu między nim a wujem miało przyspieszyć wyjaśnienia Matuli. Zaczął podejrzewać, że wuj czuje dziwną przyjemność w trzymaniu go w niepewności. Robienie zbyt wielu przerw i powolne mówienie nie leżało w jego charakterze, a jednak odpowiadając na niewinne pytanie, co rusz robił pauzę, budując napięcie.

– To było jakoś w sierpniu. Skwar był tego dnia tak uciążliwy, że zostałem w domu, i to był chyba podszept losu, bo niedługo po obiedzie na progu stanęła panna Stefania. Przyszła zapytać, czy mam wieści od ciebie. Powiedziała mi, jak zareagowała, kiedy wyznałeś, że zaciągnąłeś się na ochotnika, i że pewnie z tego powodu nie napisałeś do niej, za co wcale cię nie winiła. Martwiła się jednak o ciebie i postanowiła zasięgnąć języka u mnie. Miała nadzieję, że pisałeś do mnie i będę mógł nieco ją uspokoić.

Dionizy podniósł się z miejsca i ruszył do wyjścia. Przystanął w drzwiach, przerywając Janowi snucie planów.

– Na spacer jeszcze za wcześnie, ale jeżeli kuracja będzie dalej postępować tak obiecująco, kto wie, może za kilkanaście dni będziesz mógł osobiście zapewnić pannę Schramm, że jesteś cały i prawie zdrowy. Na razie połóż się do łóżka. Odpoczywaj, śpij, bo sen jest najlepszym lekarstwem. Na plany będziesz miał jeszcze dużo czasu.

\* [https://pl.wikipedia.org/wiki/J%C4%99zyk\\_enochia%C5%84ski](https://pl.wikipedia.org/wiki/J%C4%99zyk_enochia%C5%84ski), 28.05.2020

## Rozdział 19

Jan Schramm spojrział na zegarek. Dzisiejsze spotkanie wzbudzało w nim obawy. Postanowił założyć wełniany garnitur w stonowanym granatowym odcieniu, z dopasowaną dwurzędową marynarką, którą wciąż trzymał jego osobisty lokaj Szymon, stojący sztywno niedaleko przeglądającego się w lustrze bankiera. Schramm poprawił krótką kamizelkę, którą założył na białą koszulę wpuszczoną w spodnie zwężające się ku dołowi. Nogawki lekko opierały się na wypastowanych na glanc butach z delikatnie zaokrąglonymi noskami. Mężczyzna przysunął się w stronę lustra, żeby dokładniej przyjrzeć się węzłowi krawata o dyskretnym wzorze. Wełniany płaszcz wisiał na garderobie. Niestety pogoda, która zaczęła się psuć już pod koniec września, nie uległa poprawie i teraz, z początkiem października, chociaż wszyscy wypatrywali pięknej, złotej polskiej jesieni, zrobiło się przenikliwie zimno, a padające od dłuższego czasu deszcze tylko ów ziąb zaostrzały. W powietrzu unosił się zapach wilgoci i zbliżającej się zimy.

– Jeśli ziąb nie zelżeje, trzeba będzie odświeżyć płaszcz z pelisą.

Szymon skinął głową, potwierdzając życzenie Jana.

Chwilę później Schramm w pełnym rynsztunku, ułożywszy na głowie filcowy kapelusz z niewielkim rondem i zabrawszy nieodzowne skórzane rękawiczki w głębokim granatowym kolorze, idealnie współgrające z garniturem, był gotowy do wyjścia. Raz jeszcze zerknął do lustra. Zatrzymał się na moment. Zmartwienia, jakich ostatnio przysporzyła mu Tekla, odbiły się na jego twarzy. Wokół ust i nosa zarysowały się wyraźne bruzdy, które uwypukliły się tym mocniej, że przez ostatnie tygodnie nieco schudł. Pod oczami pyszniły się cienie, które dodawały mu posępnego wyglądu. Włosy, chociaż wciąż gęste, straciły blask, a siwych pasm nie trzeba już było szukać. Na szczęście jego zarost wciąż jeszcze był ciemny. W końcu ledwie w ubiegłym roku skończyłem pięćdziesiąty piąty rok życia, pomyślał Schramm, odsuwając się wreszcie od lustra.

Westchnął, skinął Szymonowi głową i już go nie było. Niecały kwadrans później stanął przed neogotycką fasadą kamienicy Pinocińskiej, w której w roku 1865 otwarto mieszczańskie kasyno. Pamiętał, że będąc małym chłopcem, raz czy dwa prosił ojca, żeby zabrał go tu ze sobą, na co ten nigdy się nie zgodził. Kiedy Jan dorósł na tyle, żeby odwiedzić przybytek hazardu, kasyno przestało funkcjonować. Dziś w kamienicy mieściła się siedziba Banku Komercyjnego, którego Schramm był wiceprezesem.

Kieszonkowy zegarek, z którym nigdy się nie rozstawał, wskazywał za pięć dziesiątą. Spotkanie miało się odbyć za godzinę. Jan wszedł do budynku i przystanął w głównej sali, w której znajdowały się kasy. To dziwne uczucie, towarzyszące mu i teraz, odnotował już wcześniej. Zauważył, że kiedy stał w sali kas własnego banku, czuł się jak u siebie w domu. Pracujący tam kasjerzy nie byli tylko pracownikami obsługującymi potencjalnych klientów. Byli częścią jego rodziny. Znał ich od lat, nierzadko znał także ich bliskich. Ba, znał dokładnie wszystkich swoich podwładnych. Od najwyższego do najniższego szczebla. Poczul ukłucie w sercu. Pierwsza radość z podpisania kontraktu z Bankiem Komercyjnym już dawno minęła. Euforia opadała. W jej miejscu pojawiła się refleksja, która im częściej powracała, tym bardziej depresyjnie na niego działała. Czy ludzie, którzy dla niego kiedyś pracowali, którzy mu ufali, znaleźli nowe, równie dobre stanowiska pracy? Bo tego, że nie zatrudniono ich w nowym banku, był pewny. Gdyby Tekla trwała przy nim, tak jak to robiła przez długie lata, zanim omamiła ją chęć poznania rzeczy nadprzyrodzonych, pewnie porozmawiałby z nią szczerze o swoim kroku. Potrzebował oczyszczającej rozmowy. Potrzebował zapewnienia, że zrobił dobrze, a ludzie, którzy przez lata byli wierni jego bankowi, poukładali sobie życie. Mógł zwierzyć się córkom, ale nie chciał obarczać ich własnymi problemami. Rodzice byli po to, aby ujmować trosk swoim dzieciom, a nie żeby to one taszczyły ich krzyż. Dlatego też, chociaż Schrammówny – Stefcia już od dłuższego czasu, a Eleonora od chwili powrotu z Warszawy, to znaczy od końca września – nalegały na poważną, dorosłą, jak ją nazwały, rozmowę, wymigiwał się, jak tylko mógł.

Czuł, że dzisiejsze spotkanie, o które w ubiegłym tygodniu poprosił go Karol Rolle, prezes

banku, nie będzie miłą pogaduszką.

Ruszył w stronę schodów. Miał jeszcze sporo czasu, żeby przynajmniej psychicznie przygotować się na spotkanie. Zaszył się w swoim gabinecie. Chwilę siedział przy biurku, w końcu jednak podszedł do okna. Na Grodzkiej jak zawsze panował ruch. Schramm spojrzał w niebo wciąż zasnutę ciężkimi deszczowymi chmurami. Gdzieś w oddali brzuch ciemnego chmurzyska rozjaśnił się małym słonecznym promieniem. Czyżby słaby promyk nadziei, że życie znowu wróci na swoje tory? – pomyślał Schramm. Stał tak dość długo. Sam nie wiedział, czy upłynęło kilka minut, czy może trzy kwadransy. Z zamyślenia wyrwało go ciche pukanie do drzwi, które uchyliły się chwilę później.

– Pan prezes Rolle prosił zapytać, czy może przyspieszyć spotkanie.

Asystent czekał na odpowiedź. Jan skinął głową.

– W takim razie prosi do sali narad. – Po tych słowach młodzieniec wycofał się do swojego biurka.

Jan przeszedł szybko długi korytarz. Jego zdecydowane kroki tłumił skutecznie puszysty dywan. Schramm stanął przed wysokimi, masywnymi, teraz zamkniętymi drzwiami. Nie zamierzał pukać. Nie był pracownikiem, ale jednym ze współwłaścicieli i zarządzających bankiem. Wszedł do środka.

Przy ciężkim owalnym stole siedzieli już wszyscy: prezes Karol Rolle, Tadeusz Epstein, również pełniący funkcję wiceprezesa, oraz Aleksander Adelman, Leo Fuerst, doktor Alfred Porada Rapoport i Adolf Warnecke, których Jan widział do tej pory tylko kilka razy. Gdyby nie spodziewał się ich tu zobaczyć, pewnie poczułby się zaskoczony i osaczony. Odniosł dziwne wrażenie, że jego pewność siebie i brak zaskoczenia na twarzy nie spodobały się Rollemu.

– Dziękuję, że jesteś – zaczął prezes. – Znamy się wszyscy, więc nie ma potrzeby dokonywania prezentacji.

– Witam panów – odezwał się Jan, zajmując miejsce naprzeciwko Epsteina. – Masz rację, Karolu, przejdźmy od razu do meritum.

Rolle poprawił się na krześle, czując się coraz mniej pewnie. Nie takiej postawy Schramma się spodziewał. Jan był jednak zbyt doświadczonym przedsiębiorcą – przez lata przyszło mu stawiać czoła najtrudniejszym nieoczekiwanym sytuacjom – aby tak łatwo dał się zapędzić w kozi róg.

Aby jeszcze bardziej zakłopotać zebrane towarzystwo, każdemu po kolei przyjrzał się uważnie, przez dłuższą chwilę nie opuszczając wzroku i zmuszając mężczyzn do odwrócenia spojrzenia. Wygrał wszystkie wzrokowe pojedynki, wiedział jednak, że trudno będzie wygrać wojnę, którą jeszcze miał przed sobą.

– Wszyscy wiemy, że nasz bank stara się utrzymywać najwyższe standardy. Zawsze o to zabiegaliśmy, ale odkąd na początku roku Sejm przyjął ustawę o nadzorze nad przedsiębiorstwami bankowymi, której nie muszę wam, panowie, przypominać, zwiększyliśmy także nasze wewnętrzne obostrzenia, a wszystko po to, żeby nie pozwolić odebrać sobie koncesji. Poza tym, chcąc tworzyć nowe oddziały naszego banku – a przecież nie dalej jak w okresie letnim pochyłaliśmy się nad wielce obiecującymi perspektywami – musimy ubiegać się o nowe licencje. Nie możemy pozwolić, żeby cokolwiek nam w tym przeszkodziło. Bank nasz, jak wiadomo, należy do Związku Banków w Polsce, który powstał, aby reprezentować prywatne instytucje wobec władz państwowych. Prezes związku, Stanisław Karpiński, niestety nie jest znany żadnemu z nas na gruncie prywatnym, a doświadczenie uczy, że należy z wielką starannością poznać przeciwnika. Z wywiadu, jaki pozwoliliśmy sobie przeprowadzić, wynika, że Karpiński nie toleruje żadnych niejasności. Słowem, wszystko musi być czyste niczym górski kryształ. W innym przypadku drąży, szpieguje, wtyka nos w nie swoje sprawy, śledzi i nie daje spokoju.

Rolle zrobił przerwę.

W pokoju panowała całkowita cisza. Zebrani czekali na odkrycie kart. Jan spoglądał na prezesa. Był pewien, że ta przemowa skierowana była nie do wszystkich, ale do niego, i to z jego wyłącznego powodu się spotkano. Kolejne słowa Rollego tylko go w tym utwierdziły.

– Spotkaliśmy się tu, żeby wyjaśnić pewne kwestie, które w związku z tym, co powiedziałem wcześniej, mają zasadniczą dla nas wartość. Janie. – Rolle w końcu zwrócił się bezpośrednio

do Schramma. – Doszły nas ostatnio niepokojące słuchy. Czy prawdą jest, że jesteś szantażowany? Ponoć od jakiegoś czasu nachodzą cię podejrzani ludzie. Dostajesz też coraz to bardziej uporczywe anonimy domagające się zapłaty poważnej sumy?

– Nie rozumiem – odparł Schramm. – Od kiedy moje sprawy prywatne stały się przedmiotem zainteresowania rady? – Jan starał się odsunąć konieczność bezpośredniej odpowiedzi.

– Nie chcielibyśmy, abyś poczuł się nagabywany, śledzony czy, nie daj Boże, w jakikolwiek sposób przez nas osaczony. Pragniemy jedynie, abyś zrozumiał, że za wszystkimi naszymi pytaniami stoi troska o wspólne dobro, którym jest nasz bank. Nasz, Janie, bowiem ty również w jakimś stopniu, tak jak każdy z nas tu zebranych, jesteś jego współwłaścicielem.

– Panowie wybaczą, ale nie odpowiem na to pytanie. Problemy rodzinne, o ile w ogóle borykam się z jakimiś, są tylko moją i mojej rodziny sprawą. Byłbym wielce niełojalny wobec najbliższych, gdybym poza czterema ścianami dyskutował o tym, co nas trapi.

– Raz jeszcze pragnę zaznaczyć, że nie jesteśmy tu po to, aby polować na czarownice – odparł Rolle – jednak informacje, jakoby twoja żona odeszła z domu i zamknęła się w podejrzanym zakonie, by uczyć się starożytnej, niebezpiecznej magii, bardzo nas frasują.

– Panowie – podjął Jan – może przestańmy owijać w bawełnę. Wiecie pewne rzeczy, ponieważ podobnie jak w przypadku Karpińskiego, przesłedziliście nas i nasze rodziny. Jak mniemam, Karolu, nie tylko moja osoba stała się obiektem przeszpiegów?

Po tym pytaniu oczy wszystkich uczestników zebrania zwróciły się w stronę Karola Rollego, na którego twarzy wykwitł rumieniec zażenowania.

– Nie musisz się tłumaczyć – ciągnął Schramm. – Któż z nas nie zna tych praktyk, prawda? Zbyt długo siedzimy w tym interesie, żeby naiwnie sądzić, że wierzymy wszystkim na słowo. A zatem skoro wiesz, co wiesz, a ja nie mam zamiaru ani zaprzeczać, ani przytakiwać, jaka jest twoja propozycja wyjścia z impasu?

W izbie zrobiło się cicho. Rolle milczał dość długo, mając nadzieję, że Jan wyjdzie z jakąś propozycją, ale Schramm nie zamierzał odzywać się pierwszy. W końcu Rolle przerwał milczenie.

– Ustaliliśmy... – Przy tych słowach powiódł wzrokiem po pozostałych mężczyznach. – Ustaliliśmy, że zwrócimy się do ciebie z prośbą o możliwość wykupu twojego udziału. Przygotowaliśmy stosowną ofertę, wielce zadowalającą, oraz umowę.

Jan zerknął na teczkę, którą Rolle przesunął w jego stronę. Wyjął umowę i przebiegł po niej wzrokiem.

– Panowie, wiemy, że załatwienie tej sprawy może odbyć się tylko na stopie pokojowej. Inna droga raczej nie wchodzi w grę, ponieważ skandalu właśnie staramy się uniknąć, a przegadywanie się przez adwokatów czy nie daj Boże w sądzie odbiłoby się szerokim echem nie tylko w Krakowie. Od razu powiem, że nie satysfakcjonuje mnie przedstawiona oferta. Przez śledztwo, które zostało przeprowadzone za moimi plecami, został naruszony mój mir domowy. Zresztą nie tylko mój. Zastanawia mnie, czy podobne spotkanie odbyłoby się, gdyby moja żona wstąpiła do zakonu katolickiego lub innego religijnego. Sądząc po waszych spojrzeniach, nie siedzielibyśmy tu dziś, omawiając moje życie prywatne. Jeszcze do niedawna odnosiłem wrażenie, że pewne kwestie można wyjaśnić na stopie przyjacielskiej, koleżeńskej. Czy nie porządniej byłoby po prostu zapytać, czy ostatnimi czasy nie borykam się z jakimiś problemami, zamiast od razu sięgać po nieczne usługi prywatnego detektywa?

Jan mówił spokojnie. Widział, że każde jego słowo powoduje coraz większą nerwowość w zgromadzonych.

– Jaka jest zatem twoja propozycja? – zapytał Tadeusz Epstein.

– Prosta, Tadeuszu, prosta. Pozostaję nadal współwłaścicielem. Jeżeli nie chcecie, aby moje nazwisko figurowało w dokumentach, można nazwać mnie cichym współwłaścicielem. Rozumiem, że moja osoba nie jest zbyt dobrze widziana w tym gmachu. W takim razie nie będę nalegał, mogę zrezygnować z pracy w biurze, a w zasadzie z pracy całkowicie. Niemniej jednak za lojalność... – tu Schramm zrobił stosowną pauzę, którą wszyscy doskonale zrozumieli – ...będzie mi bank tak jak

do tej pory wypłacał comiesięczną gratyfikację.

– Wątpię, abyśmy zaakceptowali takie rozwiązanie. Jeżeli dobrze rozumiem, wszystko ma zostać jak dotychczas, poza twoją obecnością w banku i pracą na jego rzecz. Chcesz, abyśmy ci płacili za milczenie? – Rolle aż uniósł się na zajmowanym fotelu.

– Karolu, te słowa padły z twoich ust. Nie myślałeś chyba, że po tym, jak uchybiono mojej rodzinie, zgodzę się potulnie na twoją propozycję?

– Panowie! – Do rozmowy po raz kolejny włączył się Epstein. – Wypowiem swoje zdanie, ale mam nadzieję, że i inni myślą podobnie. Faktem jest, że zagranie wobec naszego nie tylko wspólnika, ale i kolegi, prowadzące do przeświecenia jego życia prywatnego, było zagranem niestosownym i nie powinno mieć miejsca. Jako dżentelmeni, a ufam, że za takich się uważamy, powinniśmy porozmawiać ze sobą szczerze, nie włączając w te rozmowy osób postronnych. Rozumiem wzburzenie Jana i uważam, że jego propozycja w zaistniałej sytuacji jest do przyjęcia. Co panowie o tym myślą? I proszę, Karolu, nie doprowadzajmy do eskalacji. – Epstein zwrócił się bezpośrednio do Rollego, który już chciał wyjść z kontrofensywą.

Trzy kwadranse później, po podpisaniu przygotowanych na nowo dokumentów, Jan opuszczał mury Banku Komercyjnego. Chociaż wciąż był jego współwłaścicielem, miał go już więcej nie oglądać.

Nie cieszyła go podpisana umowa. Nie cieszyła go też perspektywa wolnego czasu, którego teraz miał mieć w nadmiarze. Od zawsze poświęcał się pracy. Zawsze zajęty, oddany firmie. Poczł ukłucie w sercu. Gdybym tylko mógł cofnąć czas, pomyślał, nigdy nie zgodziłbym się sprzedać mojego banku.

Raz jeszcze spojrzął na fasadę kamienicy Pinocińskiej i noga za nogą ruszył do domu.

\*\*\*

Od powrotu z Warszawy Eleonora przesypiała długie godziny. Budziła się zawsze później niż Stefcia, co do tej pory nigdy się nie zdarzało. Tak było i dziś. Starsza z córek Schramma wciąż leżała w łóżku, ociągając się ze wstawaniem, zwłaszcza że pogoda nie zachęcała do wyściubiania nosa na dwór. Kilka dni temu Eleonora słyszała, że po dziesiątym aura ma się poprawić, tymczasem dziś był już jedenasty października, a słońca wciąż było jak na lekarstwo. Nadstawiła uszu, wsłuchując się w odgłosy dochodzące zza okna. Tak jak przypuszczała, deszcz bębnił o parapet. Już miała wystawić nogi spod kołdry, kiedy drzwi się otworzyły, wpuszczając do środka nie tylko zapachy z kuchni, w której przygotowywano już obiad, ale i Stefcie, na której policzkach wykwitły rumieńce.

– Nie uwierzysz. Ojciec zostawił ją w kuchni. – Potrząsnęła gazetą. – Notabene znowu zaszył się w gabinecie, prosząc, żeby mu nie przeszkadzano. Coś się święci, Norciu. Powinniśmy przycisnąć ojca, ponieważ nasze dotychczasowe podchody i prośby ma za nic. Powinniśmy mu zagrozić.

Eleonora spojrzała na siostrę z powątpiewaniem.

– A, gazeta... – przypomniała sobie Stefcia. – Nie wiem, czy ojciec doczytał to co ja, ale mam szczerą nadzieję, że nie. Musimy ją zniszczyć, spalić, wyrzucić, bo tatko całkiem osiwieje...

– Mówże już, co jest w tym „Ikacu”, że aż zaczerwieniły ci się policzki!

Eleonora przeciągnęła się na łóżku. Uśmiechnęła się pod nosem, myśląc o wczorajszej wizycie u Juliana. Odpędziła przyjemne wspomnienia, ponieważ zrobiło jej się gorąco, a nie zamierzała wtajemniczać siostry w szczegóły jej rozwijającego się dynamicznie związku, chociaż, jak przypuszczała, Stefania doskonale zdawała sobie sprawę, jak daleko posunęły się jej kontakty z Julianem.

– Posłuchaj tego.

Niebezpieczne myśli Eleonory uleciały, kiedy Stefcia zaczęła czytać.

– „Wczoraj sędzia jednostkowy, pan Palak, rozpatrywał w tutejszym sądzie okręgowym ciekawą sprawę natury kryminalnej. Przed sądem stanęli...” Nie, to nie jest ważne. – Stefania zamilkła na chwilę, przebiegając wzrokiem tekst prasowej notatki. – „Właścicielka dworu, która padła ofiarą złodziei, widząc niemoc służb, które nie mogły trafić na ślad przestępców, urządziła seans spirytystyczny”.

Stefania zawiesiła głos i spojrzała na siostrę. Ta wpatrywała się w nią z wyczekiwaniem.



– Nasze zaufane źródło twierdzi, że za jego przebieg odpowiedzialni mieli być członkowie zakonu, którego siedziba mieści się w Wieliczce, a o którym od dłuższego czasu jest coraz głośniejsze, albowiem, o czym już pisaliśmy, mieszkańcy Wieliczki domagają się jego przeniesienia lub likwidacji, twierdząc, że od momentu zintensyfikowania jego działalności w mieście dzieją się niewyjaśnione rzeczy. Seans przeprowadziła spirytystka, której nazwiska nie udało się niestety ustalić... Myślisz, że to mogła być mama? – Stefcia złożyła gazetę i położyła ją na kolanach. – Jestem przerażona. Czy nie możemy nic zrobić, żeby namówić mamę do powrotu?

– Nie wiem. – Eleonora westchnęła ciężko. – Zastanawiam się nad tym od czasu, kiedy otrzymałam twój list. Martwi mnie, że matka od zawsze zbyt interesowała się rzeczami nieodgadzionymi. Od kiedy sięgam pamięcią, fascynował ją świat kart, magii, wróżb i duchów. Kiedyś wzbudzało to tylko delikatny uśmiech na twarzy ojca i jego ciche przyzwolenie na niegroźną fanaberię. Nikt z nas nie mógł przewidzieć takiego obrotu sprawy. Wyjazd mamy do ciotki Agnieszki wydawał się taki zwyczajny. Niewinne odwiedziny. Ojciec chyba nie wierzy, że matka wróci. Mam wrażenie, że dowiedział się czegoś podczas tej swojej wyprawy do zakonu. Ukrywa to przed nami. Poza tym musiał spłacić długi mamy, ponieważ anonimy przestały przychodzić. To jakby zamknął za sobą pewien rozdział. Rozmawiałam z Julianem. Niestety nie możemy jej przymusić prawnie. Nie jest niepoczytalna, nie jest ubezwłasnowolniona. Jest dorosła i wedle własnego uznania może dysponować swoją osobą. Jedyne, co możemy zrobić, to spróbować z nią porozmawiać. Poproszę Juliana, żeby wybrał się ze mną do Wieliczki. W razie potrzeby zostaniemy tam kilka dni. Nie będziesz miała nic przeciwko? Ktoś musi zostać z ojcem.

– Nie, oczywiście, że nie. Jedź i sprowadź mamę do domu. Brakuje mi jej. – W oczach Stefanii pojawiły się łzy.

Eleonora wyciągnęła ramiona. Objęła siostrę mocno, starając się z całych sił powstrzymać płacz. Ona też tęskniła za matką, nawet za jej gderaniem, że zamiast szukać męża, córka chowa nos w książkach.

Siedziały tak jeszcze chwilę, kiedy rumor dochodzący z przedpokoju wyrwał je z zadumy. Stefania zerwała się z łóżka i wybiegła z sypialni.

– Dobrze, że panienka już jest. Ten pan powiedział, że nie wyjdzie, dopóki nie dostanie tego, co należy się zleceniodawcy, czyli panu Janowi Matuli z Podgórze. Został tu przysłany po obraz, który rzekomo jest własnością pana Matuli. Czy panienka coś z tego rozumie? – Franciszek, za którego plecami pojawił się również Szymon, spoglądał na Stefanię z przerażeniem. Nawet ojciec wytknął głowę z gabinetu.

– Mam rozumieć, że przybył tu pan na polecenie Jana Matuli? Czy aby na pewno?

– Panna Stefania Schramm, tak? – Mężczyzna wyglądał na nastawionego bojowo. Pytaniem odpowiedział na pytanie. – Muszę się upewnić, ponieważ przykazano mi, żeby nie rozmawiać z nikim innym. Tylko z panną Stefanią.

– Tak, to ja.

– Polecono mi odebrać własność pana Matuli, która rzekomo miała trafić do niego już jakiś czas temu. Pan Matula pyta, czy odda pani obraz, który został mu obiecany, polubownie, czy będzie musiał przedsięwziąć w celu jego odzyskania inne kroki.

– Czy Jan mi grozi? – Stefania aż sapnęła.

– Nie wiem, czy wystosowane były jakieś groźby. Wypełniam tylko polecenie. Czy odda pani rzeczony obraz?

– Ani mi się śni! – wykrzyknęła Stefania. – Proszę przekazać, że jeżeli Jan chce dostać swój portret, będzie musiał ruszyć swój szanowny zadek z Podgórze i pofatygować się na Rynek. A teraz żegnaj pana. Oziębło – dodała na odchodnym, siłą wypychając zaskoczony jej wybuchem młodzieńca.

Odgłos zamykanych z impetem drzwi rozniósł się po całej kamienicy.

– Jestem prawie pewna, że z irysów na fresku opadły wszystkie płatki – skwitowała Eleonora trzaśnięcie drzwiami.

Stefania wciąż stała przy drzwiach, kiedy głośne pukanie przstraszyło ją tak bardzo, że aż podskoczyła.

– Bezczelny typ! – wykrzyknęła, otwierając drzwi. – Czego pan nie zro... – Przerwała w pół słowa. – Jeszcze go nie skończyłam – powiedziała spokojnie, wpatrując się w poważną twarz Jana Matuli, który stał na progu mieszkania Schrammów.

– Przypuszczałem, że nie zechcesz go oddać po dobroci, dlatego nie czekając na odpowiedź, którą przywiezie kurier, od razu zaciągnąłem tu swój szanowny zadek. – Mówiąc to, dał jej do zrozumienia, że krzyczała tak głośno, że pewnie było ją słychać w całej kamienicy. – Mogłaś powiedzieć temu biedakowi, że jeszcze pracujesz nad portretem, ale po twojej reakcji wnoszę, że kłamiesz i obraz dawno już został ukończony. – Oczy Jana uśmiechały się do niej.

Zerknęła za ramię. Musiała się upewnić, czy wciąż ma widownię, ale najpewniej Eleonora pogoniła wszystkich, chcąc zapewnić siostrze prywatność. Stefania była jej za to dozgonnie wdzięczna.

– Masz rację, jest ukończony. Od dawna, ale nie zamierzam się z nim rozstawać. To wszystko, co mi zostało... – Przerwała. Głos zdrzął jej niepokojąco, a w oczach pojawiły się łzy ulgi, że widzi Jana całego i zdrowego. – Schudłeś – powiedziała bez związku.

Podszedł do niej i nie pytając o pozwolenie, po prostu ją przytulił. Od dawna wybierał się do kamienicy Pod Irysami, ale chciał, żeby stopy wyleczyły się całkowicie, a to niestety wymagało czasu i cierpliwości.

– Tęskniłem za tobą każdego dnia. Pilnowałem się, jak tylko mogłem, żeby dotrzymać obietnicy. I dotrzymałem. Wróciłem – wyszeptał prosto do ucha Stefanii.

– Byłam u twojego wuja. Nie pisałeś, a ja musiałam się dowiedzieć, czy wszystko z tobą w porządku.

– Wiem. Wuj opowiedział mi o twojej wizycie. I tak bym przyszedł, ale jego słowa dały mi nadzieję, że jednak ze mnie nie zrezygnowałaś.

Stefania potrząsnęła głową. Wtuliła się mocniej w ramiona Jana. Czekala na niego. Wierzyła, że wróci, i wrócił. Odsunął ją nieco.

– Proponuję wymianę – powiedział, uśmiechając się szeroko.

Stefania uniosła brew w niemym pytaniu.

– Oddasz portret prawowitemu właścicielowi, który w zamian za obraz oferuje nie zapłatę tradycyjną, ale przejażdżkę eleganckim, niestety wypożyczonym, wozem.

– Wszystko zależy od tego, dokąd mnie zabierzesz.

– Do Tyńca. Czy Tyniec nie będzie doskonały?

– Będzie wyśmienity. Mam wrażenie, że wciąż jeszcze z niego nie wróciłam.

## Rozdział 20

Wyruszyli z Krakowa, kiedy nad światem wciąż panowała ciemność. Wczoraj z okazji Wszystkich Świętych Eleonora poszła ze Stefanią na cmentarz, żeby zaświecić znicz ku pamięci Mikołaja Grabowskiego, a zaraz po powrocie zaczęła przygotowania do wyprawy. Teraz ukochany ford T Juliana, który w hrabinie Michałowskiej wciąż wzbudzał niesmak, sunął drogą w stronę Wieliczki.

– Martwię się, że tyle czasu zabrało nam przygotowanie wszystkiego – powiedziała Eleonora, spoglądając na spokojnie prowadzącego auto Michałowskiego. – Kiedy tamtego październikowego dnia ustaliłyśmy ze Stefcią, że porozmawiamy z matką, miałam szczerą nadzieję, że wyruszymy przy najbliższej nadarzającej się okazji. Nie dopuszczałam myśli, że zabierze nam to ponad dwa tygodnie.

– Dobrze jednak, że posłuchałyście mojej rady – odparł Julian, wciąż wpatrując się w drogę. Noc zaczęła z wolna ustępować świtowi, chociaż było już dobrze po szóstej rano. – Gdybyś zdecydowała się na podróż bez uprzedniego zapowiedzenia się z wizytą, i tak musiałybyś pojechać do Wieliczki raz jeszcze.

– Nie rozumiem, jak to możliwe, że ojciec mógł spotkać się z matką bez wcześniejszego zaanonsowania? Czy to dlatego, że jest jej mężem? Na Boga, ja jestem jej córką! Cóż to za miejsce, gdzie ogranicza się kontakty z rodziną?

– Przypuszczam, że twojemu ojcu udało się ta sztuczka, ponieważ w tamtym czasie wciąż jeszcze nie zostały spłacone długi, które zaciągnęła wasza matka. Jestem przekonany, że listy z pogrozkami, które otrzymywaliście, były dziełem zarządzających zakonem. Możliwe, że pozwolono waszej matce na rozmowę z mężem z jeszcze jednego powodu. Kto wie, czy wasz ojciec nie został zobowiązany do jakiejś dodatkowej opłaty. Wszak nie myślisz chyba, że wasza matka jest tam za darmo? Taki pobyt musi kosztować. Podobnie sama nauka, tak nietypowa, tak tajemnicza – a zarządzający będą ją robić jeszcze bardziej tajemniczą – też musi być kosztowna. Im więcej sekretów i zawiłości, tym większe czeki do opłacenia. Myślę, że przyjęto waszą matkę tylko dlatego, że wasz ojciec jest bankierem. O ile zdążyłem poznać Teklę Schramm, nie ma ona żadnych nadprzyrodzonych zdolności, a i jej wróżenie z tarota wymaga dalszej pracy i dogłębniejszego poznania sztuki. Jest po prostu stawianiem pasjansa dla zabicia czasu przy użyciu mniej standardowej talii kart. Nie znam zbyt dobrze zasad działania tego klasztoru, ale poczytałem co nieco o innych tego typu zgromadzeniach. Widzi mi się, że zakon, do którego wasza matka z taką ochotą wstąpiła, nie jest niczym innym jak niebezpieczną sektą. Przypuszczam, że ludzie, którzy nim zarządzają i którzy mienią się nauczycielami, goetami, magami, jakkolwiek by ich zwać, są zwykłymi ludźmi, niemającymi niezwykłych umiejętności. Mamia tych, którzy się do nich zgłaszają, ponieważ wiedzą, że fascynacja życiem pozagrobowym pozwoli im okręcić sobie przyjezdnych wokół palca i wyciągnąć z nich jak najwięcej pieniędzy. Mam jedną głowę, ale jestem gotowy położyć ją pod topór, że rezydentami tego zakonu są tylko ludzie majątni.

Julian zamilkł, dając Eleonorze czas na przemyślenie tego, co przed chwilą powiedział.

Spotkanie z Teklą Schramm zostało umówione po przesłaniu telegramu z prośbą o wyznaczenie terminu. Odpowiedź przyszła prawie natychmiast. Niestety nie taka, jakiej spodziewała się rodzina Schrammów, co ich oczywiście zbulwersowało. W końcu jednak wspólnie doszli do wniosku, że muszą wykazać się cierpliwością i zaakceptować propozycję albo zrezygnować w ogóle.

– Całe szczęście, że podano termin poranny. Nie wiem, czy miałabym siły czekać kolejne godziny.

– Miałabyś, wierz mi, że miałabyś. Czekałyście ze Stefanią tyle dni, to i kilka godzin nie zrobiłoby już różnicy. Spróbuj odpocząć, zanim dojedziemy.

Eleonora skinęła głową i oparła ją o zimną szybę. Zamknęła oczy. Sen przyszedł zadziwiająco szybko.

– Nora, Nora. – Ktoś delikatnie potrząsał jej ramieniem.

Chciała powiedzieć, że wstanie za chwilę, ale głos rozbrzmiewający tuż przy jej uchu nie należał do Stefanii. Z trudem uniosła powieki. Nie leżała w swoim łóżku, ale siedziała w aucie.

– Przepraszam, zasnęłam zbyt mocno – powiedziała usprawiedliwiająco.

Spojrzała przez okno. Patrzyła na wysoki mur, za którym pięły się ku niebu rosnące choinki. Były posadzone tak gęsto, że stanowiły znacznie lepszą zaporę dla ciekawskich spojrzeń niż płot. Nie była w stanie dojrzeć budynku, w którym od kilku miesięcy mieszkała jej matka.

– Czy mam jeszcze czas? – zapytała. Julian zerknął na swój kieszonkowy zegarek.

– Jechałem dość wolno, żeby cię nie zbudzić, a i warunki nie były dziś zbyt dobre. Kiedy spałaś, w pewnym momencie zaczął padać śnieg. Tu, w Wieliczce, jest go zaskakująco mało, biorąc pod uwagę ziąb, jaki panuje od dłuższego czasu. Wracając do twojego pytania: jesteśmy prawie na czas. Masz jakieś dziesięć minut, żeby przygotować się do spotkania z matką.

– Muszą tu bardzo wcześnie wstawać – skwitowała Eleonora, biorąc kilka głębszych oddechów. – Pójdiesz ze mną?

– Poczekam w samochodzie. Wątpię, żeby wpuścili postronną osobę.

– Życz mi powodzenia – poprosiła, wygrzebując się z forda T.

– Powodzenia – odparł Julian, patrząc, jak Eleonora zbliża się do ciężkiej kutej furtki. Stała przed nią przez chwilę, po czym zniknęła w środku. Sprawdził godzinę. Wybiła ósma. Czekał na Eleonorę, mógł siedzieć i przyglądać się przechodniom albo zamknąć oczy i dać im nieco odpocząć. Wybrał drugą opcję; po chwili zapadł w płytką, czujną drzemkę. Powiew świeżego powietrza wybudził go natychmiast. Eleonora właśnie sadowała się na fotelu pasażera. Sprawdził godzinę. Minęły zaledwie trzy kwadransy, a on czuł się tak, jakby przespał całą noc. Był wyspany, rześki i głodny. Zanim jednak zaproponował odwiedzenie którejś z miejscowych restauracji, musiał dowiedzieć się o efekty spotkania. Przyjrzał się dziewczynie. Nie wyglądała na zaniepokojoną, przestraszoną czy rozgniewaną. Powiedziała by nawet, że wydawała się zadowolona.

– Nie zapytasz, jak poszło?

– Miałem zamiar, ale sądząc po twojej minie i wesołych ognikach w oczach, raczej dobrze. Jak mama?

– Bałam się tego spotkania, Julianie. Kiedy prowadzili mnie do salonu, z nerwów miałam ściśnięty żołądek. Teraz już rozumiem, po co kiedyś panny nosiły przy sobie sole trzeźwiące. Ubzdurałam sobie, że wnętrze pewnie jest upiorne, wiesz, jak w jakimś koszmarze, a okazało się, że salon wyglądał zupełnie jak u nas. Przyjrzałam się też korytarzowi, kiedy mama odprowadzała mnie do wyjścia, i również nie zauważyłam niczego niepokojącego. Mama także wyglądała bardzo dobrze. Kiedy usłyszałam jej zbliżające się kroki, modliłam się gorąco, żebym miała siłę i nie wybuchnęła płaczem na widok jej wymizerowanej twarzy. A tymczasem mogłabym pokusić się o stwierdzenie, że mama wyglądała kwitnąco. Nie była już tak szczupła jak jeszcze kilka miesięcy temu. I wyobraź sobie, nie miała na sobie czarnej sukni, tylko piękną, śliwkową. Ucieszyła się na mój widok i przeprosiła za to, że wyznaczyła spotkanie dopiero na dziś. Najwyraźniej na mojej twarzy widziała powątpiewanie, ponieważ pospieszyła z wyjaśnieniem, że nie była wcześniej psychicznie gotowa wyjaśnić, dlaczego tak nagle zdecydowała się na tymczasowe odejście z domu. Zapewniła mnie, że już niebawem, o ile ojciec jej wybaczy ten afront, wróci.

– Pytałaś ją o te dziwne praktyki, jakimi ponoć para się zakon? Powiedziałaś, czego dowiedziała się Stefania?

– Oczywiście. Faktycznie zakon bada zagadnienia kluczy Salomona, ponieważ jest mniejszy i większy. Mama próbowała wszystko wyjaśniać, ale nie miałam do tego głowy i chęci. Wolałam się dowiedzieć, czy zamierza parać się magią. Roześmiała się, czym także mnie zaskoczyła, ponieważ nie pamiętam, żeby Tekla Schramm śmiała się tak spontanicznie.

– Nie sądzisz, że to dziwne? – zapytał Julian. – Nie wydaje ci się podejrzane, że twoja matka nagle zachowuje się inaczej?

Eleonora milczała przez chwilę. Spojrzała przez okno. Czowała, jak w jej gardle zbiera się dziwna, ciężka do przełknięcia gula. Kiedy Schrammówna odwróciła się do Juliana, jej oczy lśniły od powstrzymywanych łez.

– Miałam nadzieję, że kiedy wszystko ci opowiem, ucieszysz się tak, jak ja chciałam się cieszyć.

Chciałam wierzyć, że mama mówi prawdę, ale ty powiedziałeś głośno to, co ja czułam przez cały czas rozmowy z nią. Tekla Schramm nigdy się tak nie zachowywała. Albo ktoś ją do tego zmusił i matka wcale wkrótce nie wróci do domu, albo wiedza, którą tam zgłębia, zmienia jej charakter i zachowanie. Nie wiem tylko, czy ta nowa, dziwna mama będzie się nam podobać. Wiem, że czasami doprowadzała mnie do obłędu, zwłaszcza kiedy byłam młodsza – wciąż gderała o moim staropanieństwie i wieszczyla, że z powodu zamiłowania do nauki nie znajdę męża – ale taką matkę znałam i kochałam. Nie znam tej nowej, udającej wesołość kobiety. Co robić, Julianie? Czy w ogóle możemy coś zrobić?

Julian milczał. Brak odpowiedzi z jego strony powiedział Eleonorze więcej niż tysiąc słów.

Mężczyzna sięgnął w jej stronę i przyciągnął ją do siebie. Siedzieli tak dłuższą chwilę. W ciszy. Każde zatopione w swoich myślach.

– Może nie znam twojej matki tak dobrze jak ty, ale mogę powiedzieć jedno. Tekla Schramm nie da się oszukiwać zbyt długo i nawet jeżeli teraz jest zafascynowana działalnością zakonu, wystarczy, że jakiś mankament wzbudzi jej podejrzenie, żeby straciła zainteresowanie. A wtedy wróci do was szybciej, niż myślisz. Odzyskasz dawną matkę i znowu będziesz narzekać, że wytyka ci staropanieństwo, przy czym teraz będzie miała całkowitą rację. – Julian uśmiechnął się szeroko.

Musiał jakoś rozweselić Eleonorę. Nie chciał, aby resztę pobytu w Wieliczce – a nie zamierzał jeszcze wracać – spędzili w minorowych nastrojach. Na ustach dziewczyny pojawił się cień uśmiechu. Roześmiała się głośno dopiero, kiedy zaczęło mu porządnie burczeć w brzuchu.

– Przepraszam, zgłodniałem.

– Prawdę mówiąc, ja też.

– Kiedy byłem tu po raz ostatni, to znaczy przed wyjazdem na studia do Paryża, ojciec zabrał nas, mnie, mamę i Rozalię, do restauracji na Zamku Żupnym. To kawałeczek stąd. Wiem, że pogoda nie nastraja do spacerów, ale może jednak się przejdziemy? Świeże powietrze dobrze nam zrobi.

Eleonora ochoczo skinęła głową. Po rozmowie z matką poczuła się osłabiona, zrezygnowana, chociaż w pierwszej chwili zawładnęła nią euforia, która niestety uleciała tak szybko, jak się pojawiła. Zimne, orzeźwiające powietrze było doskonałym lekarstwem na przywrócenie dziewczynie równowagi. Mały spacer nie tylko otrzeźwi jej umysł, ale też zwiększył apetyt. Jakby na potwierdzenie zaburzało jej w brzuchu. Zerknęła w stronę Juliana. Najwyraźniej niczego nie usłyszał. W innym przypadku nie pozostawiłby tego bez komentarza. Patrząc, jak zamykał auto, po raz któryś zdała sobie sprawę, że jest szczęśliwa. Nawet bardziej niż kiedyś, zanim wojna zmieniła wszystko.

– Idziemy? – zapytał Julian, przerywając jej rozmyślenia.

Podeszła do niego i złapała go pod ramię. Trzymając go mocno, czuła się silniejsza i pewniejsza. Gdyby nie ciągnęła obawa o ojca i matkę, mogłaby nawet powiedzieć, że wycieczka do Wieliczki była miłą odmianą od codziennego życia. Zaczęli zbliżać się do kościoła św. Sebastiana.

Mały modrzewiowy kościółek posadowiony na stromym zboczu wzgórza Babiny chował się za grubymi pniami kilkusetletnich drzew, które rozpościerały nad nim rozłożyste konary niczym dżentelmen parasol nad ukochaną, chroniąc stare drewno kościółka przed padającym jesiennym deszczem.

– Czytałem, że pod koniec XVI wieku ówczesny żupnik Sebastian Lubomirski, spełniając obietnicę mieszkańców, że postawią kościół jako wotum za powstrzymanie zarazy, która wówczas pustoszyła Wieliczkę, rozpoczął jego budowę. Chcesz wejść? – zapytał Julian.

– Tak, pomódlmy się – odparła Eleonora.

Od razu poczuła podniosły nastrój kościoła. Miała wrażenie, że dotyka sacrum. Usiadła w jednej z drewnianych ław, tuż przed ołtarzem głównym, wpatrując się w obraz przedstawiający św. Sebastiana przywiązanego do drzewa, ze strzałą przeszywającą bok. Przeżegnała się i pogrążyła w krótkiej, ale intensywnej cichej modlitwie, prosząc o rozwiązanie rodzinnych problemów, zdrowie i natchnienie. Julian siedział tuż obok niej. Rozglądał się, podziwiając obrazy sprzed kilku wieków, którym czas nie odebrał nic z pierwotnego piękna.

– Byłem tu, w Wieliczce, kiedy w kościele trwały prace renowacyjne – szepnął Julian. – Wówczas nie zezwolono na jego zwiedzanie. Pamiętam, że matka była oburzona, ponieważ chwilę przed

tym, jak chciała przestąpić próg kościółka, wrzuciła sówitą ofiarę do wystawionej na zewnątrz puszki. Chciała zobaczyć witraże zaprojektowane przez Stanisława Matejkę i polichromię, o, tamtą... – Julian wskazał starca z gęstą siwą brodą – którą wykonał Włodzimierz Tetmajer.

– Uwielbiam przychodzić do starych kościołów. Tylko w takich miejscach jak to można poczuć siłę przez wieki wznoszonych do Boga próśb i modłów.

Siedzieli w milczeniu jeszcze przez chwilę, po czym przeżegnawszy się, wyszli na ulicę św. Sebastiana i ruszyli w stronę Zamku Żupnego. Nie spieszyli się, chociaż wciąż burczało im w brzuchach. Skręcili w Mikołaja Kopernika, która niepostrzeżenie zmieniła się w Zamkową.

– Jesteśmy – powiedział Julian.

Jego słowa zagłuszył głos bijącego dzwonu, który obwieścił godzinę jedenastą. W środku było ciepło i przytulnie. Usiedli przy małym stoliku ustawionym tuż przy ogromnym oknie. Za ciężką storą rozciągał się widok na drzewa i krzewy, których liście opadały przy każdym silniejszym podmuchu wiatru. Zamówili suto śniadanie.

– Nigdy o tak wczesnej porze nie jadłam kaszy – szepnęła Eleonora, kiedy kelner odszedł od ich stolika.

– Podobno większość podawanych tu potraw opiera się na staropolskich przepisach. Taką kaszę prażoną na rozgrzanym smalcu jadaliby górnicy po skończonej zmianie, bo trzeba ci wiedzieć, że kopalnia dbała o swoich pracowników i zapewniała im jedzenie w tutejszej jadalni.

– Przygotowałeś się – pochwaliła Eleonora.

– To nie wszystko – odparł Julian, mrugając do niej zawadiacko. – Mam niespodziankę. Jak tylko zjemy, zapraszam do biblioteki, która znajduje się tuż za murem, na Zamku Żupnym. Nie, o nic nie pytaj. – Zaśmiał się, kiedy zobaczył, że usta Eleonory już się otwierają, a oczy rozszerzają się z zainteresowaniem. – Najpierw zjemy. Powoli, delektując się każdym kęsem. I od razu zapowiadam, że po smacznej kaszy z dodatkiem szynki na soli skosztujemy jeszcze pachnącego staropolskiego piernika.

Eleonora westchnęła teatralnie. Nie było sensu spierać się dłużej. Julian zaciął się i żadne prośby ani groźby nie zmusiłyby go do wyjawienia tajemnicy. Życzywszy sobie smacznego, skupili się na wyśmienitym posiłku. Zjedli w milczeniu.

– Było pyszne. Najadłam się. Jestem ospała, ale nie myśl, że zapomniałam o niespodziance. Ruszajmy czym prędzej do biblioteki. Od tego czekania rozboleł mnie brzuch, a po takim przejedzeniu to bardzo niezdrowe.

Kiedy wyszli, zaczął padać drobny, mokry śnieg. Szli wolno w stronę północnego skrzydła Muzeum Żup Krakowskich.

– Jakiś czas temu, będąc w bibliotece uniwersytetu, przez przypadek znalazłem pewną wskazówkę. Kiedy dowiedziałem się, że będziemy odwiedzać Wieliczkę, odpowiednio wcześniej umówiłem wizytę w tutejszej bibliotece. – Zerknął na kieszonkowy zegarek. – Jesteśmy punktualni.

Kiedy weszli do przyjemnie ciepłego pomieszczenia wypełnionego charakterystycznym dla bibliotek zapachem, mieszaniną świeżej farby drukarskiej z nieokreślonym aromatem wilgoci, przywitała ich drobnej postury, posunięta mocno w latach kobieta.

– Czekałam na państwa. – Wyciągnęła pomarszczoną dłoń w stronę Eleonory, potem zwróciła się do Juliana. – Tędy proszę. – Poprowadziła ich do małej sali znajdującej się tuż obok. Wskazała niewielki drewniany stolik, przy którym stały cztery niezachęcające do odpoczynku krzesła. Sama zniknęła w kolejnej izbie, do której prowadziło kilka drewnianych schodków. Nie musieli długo czekać. Bibliotekarka wróciła po kilku zaledwie minutach, taszcząc pod pachą zwiniętą mapę.

– Zdziwiłam się, kiedy hrabia Michałowski napisał do nas telegram, prosząc o informację, czy faktycznie znajdzie u nas to, czego szukał. Tłumaczył, że przywiezie ze sobą młodą damę, która od dawna nie tylko zgłębia wszelką wiedzę, ale swego czasu uczyła się w szkole pielęgniarskiej, praktykowała na froncie i marzy o studiach, może nawet medycznych.

Eleonora czuła, jak na jej policzki występują rumieńce. Nic z tego nie rozumiała. Zerknęła na Juliana, ale on wpatrywał się w starszą kobietę, udając, że nie dostrzega spojrzenia.

– To mapa naszego miasteczka z XVII wieku. Tu – postukała palcem po mapie, na której narysowano niewielki budynek – znajdował się szpital salinarny, znaczy się urządował w nim cyrulik na usługach kopalni, musicie bowiem wiedzieć, że kopalnia od dawien dawna dbała o swoich robotników. W mieście był jeszcze cyrulik miejski, ale prawo cechowe zakazywało wchodzić jednemu w kompetencje drugiego. W drugiej połowie XVII wieku posadę cyrulika salinarnego przejął po swoim ojcu Walenty Bendzislawski. Będąc synem ówczesnego chirurga, miał prawo do wyboru żony bez konieczności opuszczania zakładu. Ożenił się z Magdaleną, sporo od siebie młodszą, ale bystrą i niedającą sobie w kaszę dmuchać dziewczyną. Ponoć niejeden miał ją na oku, ale ona z jakichś względów wolała starszego Bendzislawskiego niż młodszych starających się o jej rękę kawalerów.

Bibliotekarka zrobiła krótką przerwę, żeby zaczerpnąć powietrza. Eleonora zapomniała, że siedzi na niewygodnym krześle. Całkiem pochłonęła ją opowiadana historia.

– Bendzislawski szybko spostrzegł, że jego żona jest nie tylko pracowita, ale i pojętna. Chociaż przyjął na naukę uczniów i miał czeladnika, któremu lada moment miał wystawić kolację z okazji ukończonych egzaminów, i tak wszędzie zabierał Magdalenę. W kopalni zajmował się głównie zabiegami dentystycznymi, ale zdarzały się i inne, nawet poważne operacje chirurgiczne. Magdalena przyglądała się, powtarzała każdy krok, jeśli tylko mąż jej na to pozwolił, zaznajamiała się z narzędziami.

Kobieta sięgnęła po jedną z przyniesionych książek. Otworzyła ją w zaznaczonym miejscu. Oczom Eleonory i Juliana ukazał się rysunek dawnych narzędzi chirurgicznych. Eleonora jęknęła na ich widok. Kobieta uśmiechnęła się ze zrozumieniem.

– Nie wiadomo, co się stało, ale Bendzislawski nagle zmarł. Zostawił nie tylko zakład, na który chrapkę miał czeladnik, ale i młodą żonę, która zgodnie z prawem cechowym winna przekazać zakład owemu czeladnikowi lub wyjść za niego za mąż. Ale Bendzislawskiej nie było to w głowie. Miała fach w rękach. Mąż nauczył ją wszystkiego, a że była pilną uczennicą, ludzie zaczęli gadać, że przerosła swego mistrza. Nikt nie miał jej za złe, że zaczęła leczyć. Górnicy znali ją i szanowali. Dla nich nie było w tym nic zdrożnego. Jednak ignorując tradycję, Magdalena narobiła sobie wrogów. Zaczęli knuć za jej plecami i kto wie, jak by się to dla niej skończyło, gdyby nie otrzymała przywileju królewskiego, oficjalnej zgody monarchy, Augusta II Mocnego, potwierdzającej prawo do wykonywania zawodu. Przywilej dostała w październiku w 1697 roku i tym samym stała się prawdziwym ewenementem na skalę, rzec by można, ówczesnego świata. Została pierwszym chirurgiem–kobietą.

– Nie masz wyjścia – wtrącił Julian, kiedy bibliotekarka zostawiła ich na chwilę samych. – Nie masz wymówki. Bendzislawska miała dużo trudniej, a jednak została lekarzem. Czy coś może cię jeszcze powstrzymać?

– Czytasz w myślach, hrabio Michałowski. Chciałam skorzystać z propozycji, z jaką wyszedł uniwersytet. Warunkiem przyjęcia miały być dokumenty potwierdzające odbycie służby obywatelskiej, ale teraz, kiedy z matką są takie problemy, muszę pomóc w domu. Może w przyszłym roku spróbuję swoich sił.

Julian przytulił ją na krótką chwilę. Zostali jeszcze w bibliotece, by przejrzeć stare mapy, wysłuchać historii kopalni i dowiedzieć się więcej o zasadach panujących w cechu. Zanim wyruszyli w drogę powrotną, zjedli sycący obiad. Do Krakowa wrócili zmęczeni, ale szczęśliwi, chociaż szczęście Eleonory nie było pełne ze względu na obawę o matkę.

– Nie martw się na zapas – powiedział Julian, stojąc z Eleonorą pod drzwiami jej mieszkania. – Najważniejsze, że dobrze wygląda i dobrze się czuje. Najwyraźniej nie dzieje się nic, co mogłoby was faktycznie głęboko martwić, jak chociażby kolejne anonimy.

– Mam nadzieję, że moja dzisiejsza wizyta sprawi, że matka szybko zmądrzeje i wróci. Usilnie ją do tego namawiałam i zapewniałam, że wszyscy za nią tęsknimy.

Eleonora przytuliła się do Juliana. Uniosła głowę. Pocałowali się powoli.

– Jedźmy do mnie – szepnął. – Stęskniłem się za tobą. – Jego głos wibrował od oczywistego pragnienia.

– Chciałabym, ale wolę nie denerwować ojca. I tak przemyka na wszystko oko, ale w końcu

i jemu przestanie się to podobać. Nie drażnijmy Iwa. Spotkamy się wkrótce, Julianie. Obiecuję. – Wspięła się na palce i szepnęła mu prosto do ucha: – A wówczas wynagrodzę ci stracony czas.

\*\*\*

Eryk przeciągnął się leniwie. Spragniony był tej wolnej soboty jak kania dżdżu. Nie pamiętał, kiedy ostatni raz mógł się położyć późno i nie martwić, że następnego dnia będzie niewyspany. Najchętniej przewróciłby się na drugi bok i zasnął snem sprawiedliwego, zerknął jednak na zegarek, który trzymał zawsze pod ręką. Dochodziła ósma trzydzieści. Na dziesiątą umówiony był z Jackiem. Miał zajrzeć do domu, na Łobzowską. Nie uśmiechała mu się ta wizyta, ale obiecał już jakiś czas temu, że wpadnie, jak tylko znajdzie chwilę wolnego.

– Toż to czysta rozpusta – szepnął, gramoląc się z łóżka.

Augustyna już dawno nie było. Miał wraz z ojcem i matką wyjechać do znajomych poza miasto i wrócić dopiero jutro wieczorem. Eryk ubrał się, umył. Patrząc w lustro, przyjrzał się policzkom, na których rysował się delikatny cień dwudniowego zarostu. Przekręcił głowę na jeden bok, potem na drugi. Pomruczał, podumał i w końcu doszedł do wniosku, że wygląda całkiem przyzwoicie, a nawet lepiej niż gładko ogolony.

Zaszedł do kuchni. Miał tylko nadzieję, że Augustyn zostawił choć trochę płatków owsianych i mleka, z których dałoby się przyrządzić supę mleczną. Nie przepadał za tym specjałem, ale nie rysowały się przed nim inne perspektywy. Chleba nie było już wczoraj wieczorem, dlatego, chociaż był tak głodny, że mógłby zjeść konia z kopytami, spać niestety położył się głodny i zły.

Na stole leżała niewielka kartka zapisana niestarannym pismem Augustyna. Eryk uniósł ją i zaczął czytać:

Mieszkanie zostawiam do twojej wyłącznej dyspozycji. Masz pewność, ba, masz moje słowo, że wrócimy dopiero jutro późnym wieczorem. Nawet gdyby matka nalegała na wcześniejszy powrót, zrobię wszystko, zabarykaduję się nawet pod drzwiami niczym Rejtan, żeby ją zatrzymać. Będę sabotował wyjazd, byle wrócić jak najpóźniej. Mam nadzieję, że kiedyś mi się odwdzięczysz. Tak więc haruj, używaj, uwodź, spółkuj, bierz jedną, a nawet dwie dziewczki naraz. Stań się wreszcie ogierem. Zrób wszystko, żebym nie musiał wciąż patrzeć na osła.

Twój Augustyn

Bardzo śmieszne. Strząsnął kartkę na stół, jakby go parzyła, albowiem przyjaciel dotknął go do żywego, czyniąc aluzję do słów Rozalii, które Eryk nieopatrznie mu powtórzył.

Trochę ponad pół godziny później szedł już ulicą Długą. Zatrzymał się przy płocie odgradzającym ogród Zakładu Wychowawczego ks. Siemaszki od chodnika, żeby przyjrzeć się chłopcom grabiącym liście. Stał tak przez chwilę, wspominając dni, kiedy i on wraz z innymi wychowankami grabił, zbierał, odgarniał śnieg. Na myśl o śniegu zerknął na chodnik. Zauważył to od razu po wyjściu z domu: w powietrzu unosiło się coś na kształt mgły, która opadała i zostawiała na wszystkim biały osad. Uniósł głowę, by spojrzeć w niebo, jednak tego dnia próżno byłoby szukać chmur. Wzruszył ramionami i ruszył w górę ulicy. Chcąc dojść na Łobzowską, powinien kierować się na Krowoderską, a potem na Biskupią, jak zawsze. Dziś jednak chciał zerknąć na dom, w którym zgodnie z informacjami, jakie udało mu się zebrać, miał mieszkać i urzędować Julian hrabia Michałowski, brat Rozalii Tojew, wdowy.

Na wspomnienie, że Rozalia jest wdową, a nie świeżo upieczoną żoną, uśmiechnął się. Nie powinien, a jednak nie mógł powstrzymać unoszących się kącików ust.

W czasie, kiedy Eryk powoli zdążał w kierunku łuku, gdzie Długa stykała się z ulicą Szlak, Rozalia wychodziła z kamienicy, w której mieszkał Julian.

– Nie spodziewałam się zaproszenia na śniadanie. Kiedy kilka dni temu przysłałeś swojego asystenta z zapytaniem, czy przyjdę w sobotę, żeby razem z tobą i Eleonorą zjeść poranny posiłek, musiałam czytać wiadomość dwa razy. Szkoda, że Eleonora uparła się, że wróci do domu pieszo, skoro



śmiało mogłeś ją podrzucić. – Rozejrzała się po ulicy, szukając wzrokiem zaparkowanego forda T.

– To, że ty nie czujesz się zgorazona, nie znaczy, że nie powinniśmy zachowywać chociaż elementarnej ostrożności. Wiem, że świat się zmienia. Idzie ku nowemu, obyczaje ulegają rozluźnieniu, ale dla zwykłej przyzwoitości jakieś pozory należy zachować. – Julian wziął siostrę pod ramię i skierował się pod numer 19, gdzie czekał jego samochód.

– A cóż to za dziwny biały pył? – Rozalia namalowała na masce forda zabawne esy-floresy.

– To mąka – odparł Julian. – Już wczoraj unosiła się nad miastem. Zapewne Urząd do Walki z Lichwą nadal prowadzi rewizje piekarń. Szukają nielegalnie składowanej mąki, którą inkasują. Stąd od kilku godzin w powietrzu unosi się oblepiający wszystko biały pył.

Julian otworzył samochód i pomógł siostrze zająć miejsce przy kierowcy.

Eryk był akurat na wysokości kamienicy, w której Michałowski prowadził kancelarię, kiedy Rozalia odwróciła głowę: miała dziwne wrażenie, że czuje na sobie czyjś wzrok. Julian włączył się do ruchu. Mężczyzna stojący pod numerem 21 patrzył za odjeżdżającym w stronę Krowoderskiej samochodem. Nagle podniósł rękę, jakby chciał ich zatrzymać.

– Eryk? – szepnęła Rozalia.

Już chciała poprosić Juliana, żeby zawrócił, kiedy w objęcia Zdanowskiego rzucił się szczupły nastolatek.

Eryk przytulił witającego go serdecznie Jacka.

– Co ty tutaj robisz? – Starszy chłopak zagadnął brata, obejmując go ramieniem, żeby rozgrzać nieco jego przygarbione, zmarznięte plecy.

Pod cienkim, sfatygowanym płaszczkiem wyczuł wychudzone ciało. Miał ochotę zakląć siarczyście. Wysyłał do domu prawie każdy zarobiony grosz, zostawiając dla siebie niewiele, a jednak to wciąż było za mało, żeby rodzeństwo mogło wreszcie najeść się do syta.

– Pomyślałem, że wyjdę ci na spotkanie – odparł Jacek, podążając za wzrokiem Eryka.

– A nie przyszło ci do głowy, że przyjdę od strony Biskupiej?

– Pewnie i przyszło, ale jak ostatnio rozpytywałeś o tę całą Rozalię i jej brata, co to ma tu kancelarię, pomyślałem, że jak nic będziesz szedł tędy w nadziei, że może jakimś cudem spotkasz tę pannę. I odjechała, co?

– Długo nad tym myślałeś? – Eryk zmierzwił włosy brata, nie odpowiadając na zadane pytanie.

– Nie za bardzo. Jesteś jak ta, jak to mówią... – Jacek przerwał w pół słowa.

– Jak otwarta księga – odpowiedział mu Eryk.

Zdanowscy przekomarzali się ze sobą, a Rozalia odprowadzała ich wzrokiem. W końcu, kiedy skręcili w Krowoderską, straciła ich z oczu. Z westchnieniem opadła na fotel pasażera.

– Mógłbyś przejechać Straszewskiego, dalej Franciszkańską i wysadzić mnie na Brackiej?

– Coś się stało? Wyglądasz, jakbyś zobaczyła ducha. – Julian zerknął na siostrę, szybko jednak odwrócił wzrok w stronę ulicy. Ruch był dziś duży.

– Nie, nic się nie stało. Wydawało mi się, że zauważyłam znajomego. Pomyliłam się. A chcę na Bracką, ponieważ mam sprawę do załatwienia na Rynku pod 24.

– Zaintrygowałaś mnie. Mogę zapytać, cóż to za sprawa?

– Oczywiście. – Rozalia otworzyła torebkę. Wyciągnęła z niej zmięty fragment gazety. – Dwa dni temu znalazłam w „Kurierze” ogłoszenie. „Przyjmę natychmiast pannę biegle piszącą na maszynie...” – zaczęła czytać. – To ogłoszenie o pracę. Wprawdzie nie znam się na stenografii, ale kto nie próbuje, ten nie pije szampana. A ponieważ widzę ten anons już któryś raz z rzędu, mniemam, że albo nie zgłosiła się żadna chętna, albo żadna nie zyskała aprobaty.

– Masz zamiar pracować? – Julian spojrzął na Rozalię prawdziwie zaskoczony.

– A czy coś w tym dziwnego? – Wydawała się oburzona. Po raz kolejny wprawiła go w osłupienie.

– Prawdę powiedziawszy, tak. Nie przypuszczałem, że mając dochody, jakie przynależą ci się po mężu, oraz dywidendy wypłacane z jego majątku, który był spory, będziesz musiała podjąć się pracy zarobkowej. Czy jest coś, o czym nie wiem? Masz kłopoty? – dopytywał, prowadząc auto spokojnie

i płynnie.

– Dlaczego kobieta, która pragnie pracować, musi od razu mieć kłopoty? – ofuknęła go Rozalia. – Nie mam kłopotów. Mam zamiar zrezygnować i z pieniędzy, jakie dostaję po Tojewie, i z majątku po nim, poza domem, który traktuję jak własny. Czy takie wyjaśnienie jest wystarczające, czy pragniesz, żebym się nadal tłumaczyła? Poza tym proszę cię, zatrzymaj się.

– Jesteśmy dopiero na wysokości Szewskiej. – Julian nie zamierzał zwolnić.

– Czy mam błagać? Nie zmuszaj mnie do tego.

Julian rozejrzał się za miejscem, w którym mógłby bezpiecznie zaparkować.

– Zaczekaj – poprosił, przytrzymując ją za rękę. – Proszę jak brat. Nie jestem twoim wrogiem i nie rozumiem twojego nagłego zdenerwowania. Czy coś się stało?

– Przepraszam – odparła Rozalia. – Kilka dni temu niespodziewanie odwiedziła mnie matka Mikołaja. Wciąż nie może mi darować śmierci syna i tego, że nie udało jej się podważyć testamentu. Wyrzuciłam ją. Nie miałam zamiaru słuchać obelg we własnym domu. Postanowiłam jednak, że poszukam pracy. Jak tylko zacznę stawać na nogi – a mam szczerą nadzieję, że stanie się to już niebawem, ponieważ mam dla ciebie niespodziankę – odetnę się od matki Tojewa. Mam nadzieję, raz na zawsze.

– Potrzebujesz pomocy?

– Nie, ale dziękuję za propozycję.

– Wiesz, że jeżeli tylko...

– Wiem, braciszku, wiem. – Rozalia nachyliła się i pocałowała go w policzek. – Dziękuję za śniadanie, towarzystwo twoje i Eleonory, wspaniałą rozmowę przy wyśmienitej kawie i stymulującą, oczyszczającą kłótnię – powiedziała, wysiadając z samochodu.

Chwilę później po tym, jak straciła z oczu samochód brata, skierowała kroki w stronę Rynku, pod numer 24.

Do domu wróciła po południu. Pogoda zaczęła się psuć. Niebo zasnuło się ciężkimi chmurami zwiastującymi śnieg i chociaż dochodziła dopiero piętnasta, świat za oknem zaczął szarzeć. Dziś jednak Rozalii nie martwił nadciągający chłód. Dostała pracę, chociaż nie było łatwo.

– Czy potrafi pani pisać na maszynie? – zapytał starszy mężczyzna, który przedstawił się jako Albin Jaworski, właściciel sklepu handlującego naczyniami kuchennymi.

– Oczywiście – odparła Rozalia. Starła się być pewna siebie, ale wiedziała, że wszystko zależeć będzie od pana Jaworskiego.

– Rozumiem, że faktury też pani potrafi wystawić i o korespondencję zadbać?

– Będąc mężatką przez jakiś czas, dłuższy nawet, miałam pieczę nad aktami mojego małżonka, Mikołaja Tojewa. Jako polityk większość czasu spędzał w Wiedniu, cedując na mnie obowiązek dbania o dokumentację i finanse domu. Nie jest mi także obca korespondencja bardziej formalna. Nauki dotyczące języka, jaki należy w takiej korespondencji stosować, pobierałam u brata, Juliana Michałowskiego, prawnika, który od dawna prowadzi prywatną praktykę na ulicy Szlak 21. – Rozalia celowo pominęła fakt, że Julian posiadał tytuł hrabiowski. Może i zrobiłaby na Jaworskim wrażenie, ale była prawie pewna, że nie dostałaby posady.

– A stenografować pani potrafi?

– Obawiam się, że nie – przyznała zgodnie z prawdą. Widząc zawód w oczach właściciela sklepu, dodała pospiesznie: – Uczę się jednak szybko i zapewniam, że zrobię wszystko, żeby jak najszybciej zdobyć stosowne umiejętności.

Antoni Jaworski namyślał się przez chwilę, po czym wyłuszczył warunki przyjęcia, a Rozalia przystała na nie z ochotą. Była zadowolona. Pracować miała na pół etatu, co było dla niej niezwykle korzystne, zwłaszcza teraz, kiedy w „Nowościach Ilustrowanych” zaczęła ukazywać się jej powieść, która – jak zapewnił ją redaktor naczelny – została przez czytelników dobrze przyjęta. Miała nadzieję, że nie będzie to jej jedyna powieść, jaka ukaże się drukiem. A żeby pisać, potrzebowała czasu.

Kiedy więc wróciła do domu, nie zwracając uwagi na zmęczenie, postanowiła od razu zasiąść do kolejnego rozdziału. Już miała udać się do biblioteki, kiedy jej wzrok spoczął na kopercie czekającej

w korytarzu, gdzie zawsze kładziono korespondencję. Wzięła ją do ręki. Nie było znaczka ani namiarów na nadawcę, tylko adresat – Rozalia Tojew.

Rozalia sięgnęła po nożyk do listów i szybkim, zniecierpliwionym ruchem rozcięła kopertę.

W środku była niewielka kartka.

Gdybym wiedział, że spotkam panią dziś na ulicy Szlak, nie ociągałbym się tak ze spacerem po Długiej. Bo to pani siedziała w czarnym fordzie T, nieprawdaż? Już widzę, jak obracają się w pani głowie małe trybiki, kiedy zachodzi pani w głowę, skąd wiem, gdzie pani mieszka... Gdybyś nie zrobiła na mnie tak piorunującego wrażenia, nigdy nie zadałbym sobie trudu, żeby rozpytywać w całym Krakowie o panią Tojew.

Tak, zwróciłem się do Ciebie po imieniu, i nie, nie zamierzam już nigdy mówić do Ciebie per „pani”. I chociaż, jak twierdzi mój przyjaciel Augustyn, wciąż jestem osłem, chciałbym zaprosić Cię jutro do Rakowic. Na razie udowodnię, że świat z wysoka wygląda zupełnie inaczej. Na resztę przyjdzie czas.

Eryk Zdanowski

– Impertynent – skwitowała Rozalia, kierując się w stronę biblioteki.

Na jej ustach malował się szeroki uśmiech.

\*\*\*

Niedzielny poranek zastał Eryka wyspanego, rześkiego i gotowego do działania, chociaż w nocy nie zmrządził prawie oczu, wciąż zastanawiając się, jaką Rozalia Tojew zrobiła minę, kiedy znalazła list, który pod jej nieobecność podrzucił. Trochę czasu zajęło mu zebranie informacji na jej temat. Gdyby mu tak bardzo nie zależało, nie poprosiłby o pomoc Augustyna, wiedział bowiem, że prośbą swoją ściągnie sobie na głowę liczne kpiny i żarciki, których przyjaciel nie będzie mu szczędził. Jak ten zamieszczony w liście czekającym na niego wczoraj w kuchni. Gotów był jednak przełknąć tę małą gorzką pigułkę, ponieważ przekonany był, że prędzej czy później nadarzy się okazja do wzięcia odwetu. Poza tym Augustyn był jedyną osobą, którą mógł o to poprosić. Po pierwsze tylko jemu ufał, a po drugie nie znał nikogo innego, kto miałby tak rozległe kontakty.

Dzięki zaradności młodego Grimma Eryk dowiedział się, że Rozalia jest wdową, która dosyć niedawno pochowała męża.

– Wdowa? – zapytał, kiedy Augustyn przyniósł informacje.

Posmutniał. To nie była dobra wiadomość. Kobieta rozpaczająca po stracie ukochanego męża raczej nie szuka nowego mężczyzny w swoim życiu.

– Wdowa – potwierdził Augustyn, ale sposób, w jaki to powiedział, sprawił, że Eryk zerknął na niego pytająco. – Powiedziałbym nawet, że wesoła wdówka.

Po tych słowach popłynęła cała rzeka informacji. Dobrze poinformowane źródło przekazało Grimmowi wszystko, co wiedziało, a była tego cała masa. Michałowska, bo tak Rozalia nazywała się przed ślubem, wyszła za mąż raczej z przymusu niż z wielkiej miłości. Mąż zaraz po ślubie opuścił kraj i zaszył się w Wiedniu z racji zajmowanego politycznego stanowiska. W Krakowie zjawiał się od wielkiego dzwonu, aż w końcu – tu Augustyn ściszył głos i zaczął szeptać, jakby ktoś miał ich podsłuchać – „pani Tojew, znaczy się Rozalia, pofatygowała się do swojego brata, żeby powiadomić go, że ona i Mikołaj Tojew chcą rozwodu”.

Eryk otworzył usta ze zdziwienia. Ta opowieść zaczynała mu się coraz bardziej podobać. Do rozwodu nie doszło. Tojew gotowy był posmarować, gdzie trzeba, aby uzyskać unieważnienie małżeństwa, ale ponieważ został zamordowany przez zazdrosnego męża kobiety, z którą od lat prowadził życie w Wiedniu, Rozalia zamiast owianą niesławą rozwódką została wdową, której notabene nie znosiła była teściowa. Matka Tojewa co rusz rzucała w eter kalumnie na byłą synową i nachodziła ją w sprawie odziedziczonego ogromnego majątku.

Tak więc Eryk wiedział o Rozalii prawie wszystko i chociaż z jednej strony cieszył się, że nie

jest pogrążoną w nieutulonym żalu wdową, z drugiej miał świadomość ziejącej między nimi przepaści. Ona pochodziła z bogatego arystokratycznego rodu, który miał w posiadaniu olbrzymi, samowystarczalny majątek w Zakrzówku. Jej brat od dawna prowadził dobrze prosperującą kancelarię z wyśmienitą reputacją. Ba, spotykał się z córką bankiera Schramma, którego znał nawet Eryk, chociaż jego noga do tej pory w banku stała raz jeden, kiedy zaciągnął go tam Augustyn, chcąc otworzyć rachunek na własne nazwisko.

On zaś urodził się i pierwsze lata spędził w ruderze, która po dziś dzień straszyla przechodniów na Łobzowskiej. Potem przez jakiś czas mieszkał u Siemachy w chłopięcym przytułku, z którego pewnego razu zabrał go Eugeniusz Grimm. Cóż z tego, że skończył dobre szkoły i niebawem miał otrzymać licencję pilota. Cóż z tego, że był wykształcony, odcytany i potrafił się wysłowić, skoro tak naprawdę oprócz siebie nie mógł nic zaoferować kobiecie, która przez całe życie była otoczona luksusem.

A jednak na nic zdały się wszystkie wątpliwości. Kiedy zobaczył ją wczoraj na ulicy Szlak 21 przed kancelarią jej brata, wiedział, że musi spróbować. W decyzji o napisaniu listu pomógł mu Jacek.

– Skąd te wahania? – zapytał chłopak, kiedy zmierzali do wynajmowanego przez Eryka i Augustyna mieszkania na Krótkiej. – Czasy, kiedy mezalianse były skandalem na skalę światową, dawno się skończyły. Za dużo przebywasz w powietrzu i przy samolotach i chyba nie zauważyłeś, że dzisiejsze kobitki różnią się od swoich mam.

Eryk przyglądał się Jackowi.

– Gdybym nie wiedział, że jesteś moim bratem, zapytałbym, gdzie podział się ten urwis.

Żałował, że nie może chłopakowi zapewnić takiego startu w życie, jaki jemu zapewnił los, któremu na imię było Eugeniusz Grimm. Jego młodszy brat był mądry, bystry i potrafił radzić sobie w życiu. Pewnie gdyby urodził się w rodzinie pokroju Grimmów, Schrammów czy Michałowskich, skończyłby jakiś wymyślny uniwersytet, otrzymał od ojca pokaźną sumkę na dobry początek, zaręczyłby się z równie bogatą panną i wiodł beztrudne życie. Ale czy szczęśliwe? – przemknęło Erykowi przez myśl. Jak pokazywał przykład Rozalii, każdy kij miał dwa końce.

Kiedy dotarli z Jackiem na Krótką, na chwilę potrzebną do napisania listu weszli do domu, a potem ruszyli w stronę Podgórze, snując marzycielskie plany na przyszłość.

Wchodząc teraz do kuchni, Eryk zastanawiał się, czy podobnie jak on Rozalia nie mogła spać. Byłby niepokieszony, gdyby wiedział, że wdowa Tojew nie miała najmniejszych problemów z zaśnięciem. Pewien niepokój zaczęła odczuwać dopiero po przebudzeniu, kiedy dotarło do niej, że lada moment pod jej domem może pojawić się Eryk Zdanowski.

Leżąc w łóżku, zaczęła się zastanawiać, co było takiego w tym mężczyźnie, że wciąż zajmował jej myśli, a kiedy zobaczyła go przez przypadek na Kleparzu kilka tygodni temu i wczoraj pod kancelarią Juliana, serce przyspieszyło nieznacznie, nie ze strachu, a z radości.

Doktor Kurkiewicz pewnie powiedziała, że brakuje mi mężczyzny, pomyślała, przypominając sobie kontrowersyjnego medyka, u którego jeszcze nie tak dawno pracowała Eleonora. Czyżby histeria, jak kiedyś mawiano o damskich przypadłościach? Faktycznie już dawno nie była z mężczyzną. Wstyd się przyznać, ale ostatni raz miała taką przyjemność, widując się z Maksymilianem. Nie chciała nawet myśleć, ile czasu upłynęło od ich ostatniego spotkania.

Głośne rozmowy dochodzące z głębi domu wygoniły ją z łóżka. Po niecałych dwóch kwadransach była ubrana, uczesana, delikatnie umalowana i gotowa do nieoczekiwanej wizyty. A przecież nienawidziła bezproduktywnie czekać.

Po lekkim śniadaniu, ponieważ ze zdenerwowania nie potrafiła nic przełknąć, zaszyła się w bibliotece. Miała zamiar poświęcić się pisaniu, ale nie umiała sklecić najprostszego zdania.

– A nich to gęś kopnie! – wykrzyknęła akurat w chwili, kiedy ktoś zapukał do drzwi.

– Taksówkarz, który był u nas przed chwilą, powiedział, że zaczeka, aż pani się przygotuje – powiedziała pokojówka, zaglądając do środka.

– Taksówkarz?

Kiedy pokojówka skinęła twierdząco głową, Rozalia westchnęła z irytacją.

– Impertynent – skwitowała.

Ruszyła jednak do garderoby, żeby narzucić na garsonkę gruby płaszcz i szal. Na głowę założyła mały, fikuśny kapelusik, który dodawał jej uroku, a w rękę wzięła torebkę i mięciutkie skórzane rękawiczki.

– To pan – powiedziała, wsiadając do czekającej taryfy.

– To ja – odparł mężczyzna, który kilka miesięcy temu wiozł ją i Eryka na lotnisko do Rakowic.

– Pan też bierze udział w tym spisku? – dopytywała.

– Nie wiadomo mi nic o żadnym spisku. Dostałem polecenie odebrać klienta spod tego adresu, nie miałem zielonego pojęcia, że to pani.

Rozalia przyglądała mu się z uwagą. Ten człowiek nie potrafił kłamać.

– Dokąd mnie pan zabiera?

– Niespodzianka – odparł i ruszył, nie wdając się w dalsze dyskusje.

\*\*\*

– To nasz samolot szkoleniowy, dwumiejscowy Albatros. – Eryk trzymał Rozalię za rękę, prowadząc ją przez pole, wzdłuż którego zaparkowano maszyny.

Kiedy wysiadła z taksówki, Zdanowski już czekał.

– Na wyrzuty, pytania, pretensje, obrażone miny zawsze będzie czas – przywitał Rozalię, nie dając jej dojść do słowa. – Nic nie mów. Pozwól mi skończyć, a jeżeli coś nie będzie się zgadzać, zawsze możesz wrócić taryfą do miasta. – Mówiąc to, wskazał na auto, które czekało nieopodal, chociaż Rozalii wydawało się, że taksówkarz wrócił do Krakowa. – Tak, zrobiłem mały, wróc: duży rekonesans. Dzięki niemu nie mam wyrzutów sumienia, że zamierzam zbałamucić pogrążoną w żałobie i żalu wdowę. Nie próbuj zaprzeczać i zapewniać, że całymi nocami wyplakujesz za mężem oczy, ponieważ wiem wszystko, no, prawie wszystko, o twoim małżeństwie. W twarz możesz dać mi później – powiedział, widząc, jak drży ręka Rozalii. – Dowiedziałem się, gdzie mieszkałaś, zanim poślubiłaś Tojewa. Wiem, że Julian hrabia Michałowski jest twoim bratem i że przyjaźnisz się z Eleonorą Schramm. No i oczywiście gdzie mieszkasz. Obiecuję, że nie zamierzam cię nachodzić, jeżeli teraz pošlesz mnie do diabła.

– Idź do diabła. – Rozalia mówiła zadziwiająco spokojnie.

– Jeszcze nie skończyłem. Nie liczy się. – Eryk zauważył, że usta Rozalii drgnęły w delikatnym grymasie, który obawiał się nazwać uśmiechem. – Nie zrobiłbym tego, gdybym nie był przekonany, a jestem, że tobie też spodobała się nasza słowna utarczka i że też nie mogłaś przestać o mnie myśleć. Bo ja nie mogłem.

– Wiedziałam, że jesteś narcyzem, ale żeby aż tak... Myślisz o sobie cały czas? – Patrzyła na niego tak poważnie, że zaczął się zastanawiać, czy aby na pewno żartuje.

– Nie mogłem przestać myśleć o tobie – dodał, uśmiechając się szeroko, ponieważ nie mógł już zapanować nad ustami. – A kiedy wczoraj zauważyłem cię w samochodzie brata, widziałem, jak patrzyłaś przez okno. I nie udawaj, że nie wiesz, o czym mówię... – Jego głos zawisł w powietrzu. Zapadło milczenie. – To jak, mam iść do diabła? – kusił ją niebezpiecznie. Czuł, że mogłaby potwierdzić tylko po to, żeby się z nim podroczyć.

– Nie zamierzasz chyba trzymać tu tego biednego taryfiarza przez cały dzień? – zapytała, wymijając go spokojnie.

Szła w kierunku zaparkowanych samolotów ustawionych w równym rzędzie. Musiała na chwilę zostać sama, żeby uspokoić emocje. Poza tym nie chciała, żeby Eryk zobaczył, że zaczęła się uśmiechać od ucha do ucha.

Chwilę później Zdanowski poprowadził ją w stronę samolotu, o którym teraz mówił.

– Jest dwumiejscowy, ale loty, nawet ten pierwszy, odbywaliśmy sami. Instruktor zostaje na ziemi. Wszystko w naszych rękach. Zaczynałem od tego. – Pociągnął ją do kolejnego samolotu, który

dla Rozalii wyglądał identycznie. – To albatros B.II, potem przesiedliśmy się na te tam, to albatrosy C.I i C.V. W Poznaniu, na Ławicy, gdzie byliśmy trzy tygodnie temu, mają jeszcze rumplery i francuskie breguety.

Rozalia przyglądała się Erykowi, kiedy mówił. Oczy błyszczały mu z emocji, a kiedy dotykał samolotu, wyglądał, jakby gładził ciało ukochanej kobiety. Na myśl o tym zrobiło jej się ciepło.

– Szkolenie kończymy za tydzień, maksymalnie dwa. Po świętach, na początku przyszłego roku, czeka mnie miesiąc treningów akrobacji i walki powietrznej na myśliwcach. Razem z Augustynem, moim przyjacielem, jedziemy do Poznania. To dzięki jego ojcu mogłem zostać pilotem.

Eryk spojrzał na Rozalię. Milczała, a uśmiech, który gościł jeszcze przed chwilą na jej twarzy, zgasł. Podeszedł bliżej.

– Czy coś się stało?

– Pilot myśliwca, tak? – powiedziała to z dziwnym wyrzutem.

– Eugeniusz Grimm, ojciec Augustyna i mój opiekun, twierdzi, że mam talent, który byłoby szkoda zmarnować w lotnictwie cywilnym.

– To niebezpieczne – naciskała Rozalia.

– Ale tylko podczas wojny – odparł Eryk, przysuwając się jeszcze bliżej.

Nie odsunęła się.

– Nie sądzisz chyba, że po dopiero co zakończonej wojnie, i nie mówię o tej z Ruskimi, ktoś mógłby wszcząć nową?

– Nie takich wariatów ziemia nosi – ofuknęła go Rozalia i ruszyła przed siebie.

Eryk roześmiał się głośno.

– Złóścisz się? Boisz się o mnie?

– Mówiłam już, że jesteś narcyz i impertynent? Mówiłam. I do tego jeszcze głuchy, skoro muszę tyle razy powtarzać.

Ale tak, martwiła się, a złość zaskoczyła ją samą. W końcu prawie wcale go nie знаła. Rozmawiali ze sobą dopiero drugi raz, a jednak miała wrażenie, że wie o nim wszystko. Przy nikim, nawet przy Maksymilianie, nie czuła się tak dobrze. Jednak było coś, co wciąż nie dawało jej spokoju. Ta obawa, ten pulsujący w głowie strach niepokoił ją coraz bardziej.

– To ansaldo – powiedział Eryk, przystając przy samolocie parkującym na samym końcu. – Prawie cały jest zrobiony z drewna.

– Kadłub wygląda jak proste łódzie rybackie – zauważyła Rozalia.

– Nigdy nie zwróciłem na to uwagi – stwierdził Eryk. – W takim razie powinnaś czuć się wyśmienicie, jakbyś płynęła łodzią. Chodź, pomogę ci wsiąść. – Wyciągnął rękę w jej stronę.

– Oszalałeś! – wykrzyknęła Rozalia, cofając się mimowolnie. – Za nic w świecie do tego nie wsiądę. Gdyby Bóg chciał, żebyśmy latali, dałby nam skrzydła.

– Więc dał nam skrzydła. – Eryk poklepał jedno z nich. – Wsiadaj, bo pomyślę, że jesteś tchórzem – droczył się nią.

– Jestem, Boże, jestem okropnym tchórzem – roześmiała się Rozalia.

– Zaufasz mi? – zapytał Eryk, podchodząc blisko i przytrzymując ją za ramiona. Spojrzał jej prosto w oczy. – Rozalio, zaufasz mi?

– Tobie tak, ale nie tej drewnianej krypie – odparła. – A poza tym nie będziesz miał przez to kłopotów? Na pewno będziesz miał. Nie warto dla zwykłego popisania się przed dziewczyną rezygnować z licencji pilota.

– Twoja troska o mnie jest niczym miód na moją duszę, ale chyba zauważyłaś, że jestem na tyle zaradny i sprytny, żeby rozwiązać kwestię ewentualnego przyłapania nas odpowiednio wcześniej, prawda?

Rozalia opierała się jeszcze przez jakiś czas, ale chęć przeżycia przygody, która może nigdy się już nie powtórzyć, i ciekawość, jak świat wygląda z góry, wzięły górę.

– Zuch dziewczyna – pochwalił Eryk, prowadząc ją w stronę hangaru. – Zdejmij płaszcz. Załóż to. – Podał jej ciężki kozuch. – Kapelusik też zostaw. Nałóż pilotkę i okulary.

Rozalia nie protestowała.

– Na górze bywa lodowato. Gotowa?

Pokręciła głową. Nie mogła mówić, ponieważ ze strachu miała zbyt ściśnięte gardło.

– Chodź, to będzie krótki lot. Nie mamy zbyt wiele czasu. Teraz szybko robi się ciemno, a nikt nie będzie rozpalać dla nas ognisk naprowadzających.

Zanim jednak wyprowadził ją z hangaru, przystanął tak nagle, że Rozalia wpadła na niego. Eryk odwrócił się i bez pytania, zaskakując ją szybkością, przyciągnął do siebie i pocałował. Nie opierała się. Przysunęła się bliżej i oddała pocałunek.

– Czy to na wypadek, gdyby jednak łódź miała zatonać? – zapytała.

– Czy jesteś gotowa zrobić coś jeszcze, tak bez słowa, na wypadek zatonięcia? – spytał z błyskiem w oku.

– Mogłeś o to zapytać, zanim ubrałeś mnie w ten kozuch i tę śmieszoną czapkę – odparła, oblizując przy tym wargi.

Eryk roześmiał się, po czym ruszyli w stronę ansalda.

\*\*\*

– To było niesamowite – ekscytowała się Rozalia, kiedy nie bacząc na listopadowe zimno, wolnym spacerkiem wracali do miasta. – Dziękuję. Dziękuję za to, że byłeś taki uparty – powiedziała, wsuwając mu rękę pod ramię.

– Osły tak mają – skwitował Eryk, czym wywołał u niej niepohamowany, radosny, autentyczny śmiech.

Śmiała się głośno, nie bacząc na ciekawskie spojrzenia. Eryk wzruszył tylko ramionami, widząc minę oburzonej starszej kobiety.

– A willa Rożnowskich! – wspominała Rozalia. – Zawsze uważałam ją za małe cudencko. Taka malusieńka wysepka na środku rzeki, a na tej wysepce ogromny dom, niczym warowny zamek, do którego można się dostać tylko wąską ścieżką. Z lotu ptaka wyglądała jeszcze piękniej i jeszcze bardziej tajemniczo. A ci ludzie! – Była jak mała dziewczynka, której w upalne lato podarowano lody waniliowe. – Jak mrówki. A Zakrzówek! Staralam się rozpoznać swój dom, ale wszystko było takie malutkie. To było cudowne przeżycie. Z tych emocji zgłodniałam jak wilk, a ty?

– Proponuję Hawełkę, chyba że wolisz do Kuczmierczyka na św. Anny?

Dał Rozalii wybór, ale miał nadzieję, że kobieta zdecyduje się na Hawełkę, który służył z wyśmienitych wielowarstwowych kanapek. Najbardziej upodobał sobie te obłożone bryndzą z papryką, kawałkami wędzonego łososia krojonego w cieniutkie plasterki i plastrem szwajcarskiego sera. Nie przeszkadzało mu, że stoły u Hawełki przykryte były szarym papierem zamiast białym obrusem – przy takich kanapkach, z których co rusz coś skapywało, obrusy byłyby mało praktyczne. Ludzi zawsze u Hawełki było co niemiara. Subiekci uwijali się jak w ukropie i to głównie dzięki ich zwinności nie trzeba było czekać na zamówione jedzenie w nieskończoność. Zresztą ludzie przychodzili tam nie tylko dla owianych sławą kanapek, ale także dla wyśmienitego piwa.

– Chcesz zawołać „Jeszcze bomba!”, żeby przynieśli ci wielgachny kufel piwa? – zapytała Rozalia, robiąc ręką charakterystyczny ruch naśladujący unoszenie pucharu ze złocistym chmielowym napojem.

– A nawet dwie bomby – odparł ze śmiechem Eryk. – Jeśli wolisz na św. Anny, to zapraszam – dodał po chwili.

– To lokal, w którym kiedyś świetnie czułaby się siostra Eleonory Schramm, bo tam popijała cyganeria, a Stefania swego czasu grała w amatorskich teatrach i jak muchę do lepu ciągnęło ją do artystycznego świata. Nie powiem, lubię polędwiczki u Kuczmierczyka, te ze znakomitym sosikiem grzybowym. Julian, mój brat, zawsze śmiał się ze mnie, kiedy ten sos ściekał mi po brodzie i po palcach. Mawiał, że ten, kto wymyślił slogan reklamowy polędwiczek u Kuczmierczyka z sosem ściekającym aż do ramienia, musiał niechybnie zapatrzeć się na mnie. Jestem jednak zbyt zmęczona, żeby siedzieć

na beczkach, których używa się tam zamiast stołków. Może to fascynujące i takie inne, ale nie kiedy nogi powoli zaczynają odmawiać posłuszeństwa.

I tak, przecinając ulicę tuż obok cmentarza Rakowickiego, do którego Rozalia miała swoisty sentyment, kierowali się już zwawszym krokiem w stronę Lubicz. Po chwili minęli Browar Krakowski Goetza. Na Stare Miasto weszli od strony Barbakanu, przez Bramę Floriańską, z Floriańskiej skręcili na św. Jana, a stamtąd mieli już prosto do Hawełki.

Zamówili po kanapce i po kuflu piwa. Zjedli w ciszy, delektując się wysmienitym posiłkiem. Kiedy skończyli, Rozalia sięgnęła po portfel, żeby uregulować rachunek.

– Nie myślisz chyba, że pozwolę ci zapłacić? – zapytał, a że powiedział to tonem ucinającym wszelkie dyskusje, Rozalia schowała portmonetkę.

– Teraz wygrałeś – powiedziała, kiedy wyszli z lokalu – ale nie myśl, że tak łatwo się poddaję.

W czasie, który spędzili u Hawełki, zrobiło się prawie ciemno, a na chodniku i ulicach leżał świeży śnieg. W powietrzu czuć było zbliżającą się szybkimi krokami zimą. Dochodziła siedemnasta.

– Odprowadzę cię. Nie pozwolę, żebyś wracała sama.

– A kto powiedział, że chciałam wrócić? – zapytała Rozalia, wpatrując się w Eryka.

Zdanowski zatrzymał się w pół kroku. Nie wiedział, co ma sądzić o słowach, które przed chwilą usłyszał. Stał w milczeniu przez dłuższą chwilę.

– Miałam rację. Ogłuchłeś. – Rozalia podeszła do niego i złapała go pod ramię. – Powiedz, Eryku, której części nie rozumiałeś? Jesteś młodszy, ale nie więcej niż o dwa, trzy lata, więc chyba miałeś już okazję poplirtować z kobietą, nieprawdaż? Znane ci są chyba pewne niuanse damsko-męskiej gry?

– Mam dwadzieścia trzy lata – odparł, jakby składał raport przełożonemu. Rozalia wybuchnęła śmiechem.

– Brawo, Eryku.

Po tych słowach wspięła się na palce i szepnęła mu prosto do ucha, tak żeby nie usłyszał jej żaden z przechodniów, którzy ich akurat wymijali:

– Mam nadzieję, że zrobisz wszystko, żebym do jutra zapomniała, że kiedykolwiek nazwałam cię osłem.

\*\*\*

Od pierwszego i na razie ostatniego spotkania Eryka z Rozalią, które niespodziewanie zakończyło się u niego w mieszkaniu na Krótkiej, minęły dwa długie tygodnie. Tamtego dnia odprowadził Rozalię późnym wieczorem. Kiedy wrócił, Augustyn akurat zdejmował płaszcz. „Dziękuję, bracie” – powiedział Eryk. Augustyn kiwnął głową, tym razem nie komentując niczego.

Dni dłużyły się Erykowi niemiłosiernie. Jutro, w niedzielę, miał zamiar złożyć Rozalii wizytę.

Skończył ostatni w tym roku lot i chociaż uwielbiał wzbijać się w powietrze, doszedł do wniosku, że te kilka najbliższych tygodni, które poświęci tylko pracy dla pułkownika Zalberga, bardzo mu się przyda. Miał nadzieję spędzać z Rozalią jak najwięcej czasu. Chciał w ten sposób zrobić zapas na te dni, które w przyszłym roku będzie musiał poświęcić na miesięczne szkolenie w Poznaniu.

Przywitał go głos dobiegający z sypialni Augustyna:

– List do ciebie. Zostawiłem na stole w kuchni. Coś mi się zdaje, że napisała go twoja Rozalia. Nie tylko ma piękne pismo, ale i musi pachnieć cudownie, bo ten anielski aromat wsiąknął nawet w papeterię.

Eryk podniósł kopertę. Faktycznie w powietrzu unosiła się kwiatowa woń, którą wyczuł na ubraniach i ciele Rozalii. Powąchał list, przymykając oczy, po czym otworzył go zniecierpliwionymi palcami. Uśmiech, który zagościł na jego ustach po tym, jak Augustyn przekazał mu wieść o liściku, zgasł po słowach, które przeczytał.

Eryku,

to sierpniowe spotkanie z Tobą w taksówce przewróciło moje życie do góry nogami. Nigdy



jeszcze po pierwszej rozmowie, a w zasadzie słownej utarczce, nie rozmyślałam o nikim tak jak o Tobie. Szukałam Cię wśród mężczyzn, chodząc ulicami Krakowa, i gdy raz zobaczyłam Twoją gibką sylwetkę przecinającą szybkim, sprężystym krokiem targ kleparski, moje serce biło jak u frywolnej, egzaltowanej panienki.

Miałeś rację, mówiąc, że patrzyłam na Ciebie w ten charakterystyczny sposób – wtedy, w samochodzie, pod kancelarią mojego brata.

Budzisz we mnie emocje, których nie budził nikt wcześniej. Nie znam się od tej strony. Kiedyś byłam skryta i bałam się własnego cienia. Małżeństwo z Mikołajem otworzyło mnie na świat, dodało mi odwagi. Nabrałam pewności siebie i stałam się świadomą kobietą, ale to myśl o Tobie sprawia, że czuję się jeszcze pewniejsza, a z drugiej strony pewna obaw.

Boję się o Ciebie, a przecież spotkaliśmy się raptem dwa razy.

Nie potrafię sobie wyobrazić, jak bardzo drżałabym o Ciebie, gdybym poznała Cię lepiej, gdyby moja fascynacja Tobą, Twoją energią i Twoim ciałem się pogłębiła – a tak z pewnością by się stało, zapewne już niebawem, bo szturmem zdobywasz nie tylko moje serce, ale i umysł. Obawa, że coś mogłoby Ci się przydarzyć, towarzyszyła mi przez ostatnie dni i godziny.

Pewnego dnia dopadła mnie straszna myśl. Staralam się usilnie ją odepchnąć, ale nie mogłam, dlatego poprosiłam znajomego dziennikarza z „Nowości Ilustrowanych” o pomoc i uzyskałam ją. Musiałam się dowiedzieć, jak niebezpieczna jest praca lotnika. To nie bycie krawcem, szewcem, prawnikiem czy maszynistą na kolei.

I mówię tu tylko o Ławicy w Poznaniu, gdzie niebawem się wybierasz.

Już na początku tego roku zdarzył się pierwszy wypadek, w którym śmierć poniósł wytrawny pilot, kapitan Wiktor Land. Siedział wówczas za sterami samolotu szkoleniowego, który runął na ziemię, nie dając mężczyźnie żadnych szans na przeżycie. Miał zaledwie dwadzieścia pięć lat, ale i doświadczenie bojowe wyniesione z wojny. Następny wypadek zdarzył się zaledwie trzy miesiące później. Nie pomogły wysiłki lekarzy. Podporucznik Banaszak zmarł jeszcze tego samego dnia. W czerwcu kolejny porucznik poniósł tragiczną śmierć podczas lotu szkoleniowego na rumplerze, na którym i Ty będziesz ćwiczył. Nie będę wymieniała innych podobnych tragedii, ale ta z czerwca nie była ostatnią tego roku.

Podobno piloci śpiewają: „A jeśli z nas ktoś padnie wśród szaleńczych jazd, czerwienią będzie kwadrat, nasz lotniczy znak. Znów pełny gaz! Bo cóż, że spadła któraś z gwiazd, gdy cała wnet eskadra pomknie na szlak”.

Nie chcę pewnego dnia dowiedzieć się, że Twój koledzy piloci śpiewali tak o Tobie. Nie chcę bać się, że któregoś dnia ktoś zapuka do drzwi z wiadomością, że Twój samolot runął. Dlatego muszę zakończyć nasze spotkania, zanim w ogóle się zaczęły.

Nie przychodź więcej. Uszanuj moją prośbę.

Wybacz.

Rozalia

Eryk odłożył list. Siedział przez chwilę w milczeniu. Potem zerwał się z krzesła, walnął pięścią w stół, klął niczym szewc, i wykrzyczał co sił w płucach:

– Niedoczekanie!

Dwa dni później Rozalia otrzymała pierwszy list:

Rozalio,

obiecałem, że nie będę Cię nachodził, i obietnicy zamierzam dotrzymać, ale mowy o niewysyłaniu listów nie było. Przygotuj się na całe ich stosy, bo nie odpuszczę.

Nie przekonują mnie Twoje argumenty. Nie można rezygnować z życia i miłości z powodu nieuzasadnionych obaw.

Nie pozbędziesz się mnie. Osły tak łatwo nie odpuszczają.

Eryk

Rozalia uśmiechnęła się przez łzy. Najchętniej odwołałaby słowa skreślone w tamtym liście, ale wciąż żywa obawa nie pozwalała jej na swobodę działania. Znowu poczuła się tamtą Rozalią z przymierzalni u Szarskich, która z wściekłości na własną bezsilność chciała krzyczeć i płakać.

## Rozdział 21

– Są piękne. Widać w nich nie tylko dbałość o każdy, nawet najdrobniejszy szczegół, ale także zmysł artystyczny, dzięki któremu tchnęłaś w nie życie. Patrząc na te kwiaty, czuję ich zapach, a szum tych liści przenosi mnie do wiosennego ogrodu. – Panna Bronisława przeglądała rysunki, które Stefania przyniosła na ostatnie spotkanie. – Uczyć kogoś z takim talentem to czysta przyjemność, Stefano. Jednak, skoro nie zdecydowałaś się na dalszą naukę, musisz ćwiczyć. Nawet najwięksi mistrzowie wciąż szkicowali, malowali, dążyli do perfekcji. Za przykład weź Leonarda. Nigdy nie dawał odpocząć ani swoim oczom, ani dłoniom, a tym bardziej umysłowi. – Mówiąc to, wertowała kolejne rysunki. – Skarabeusz? – zapytała.

– To efekt korespondencji, jaką prowadzę od jakiegoś czasu ze znajomym. Jego ojciec jest znanym i cenionym archeologiem, a Tristan, który jest na wpół Egipcjaninem, na wpół Niemcem, najbardziej na świecie ukochał historię swojego antycznego kraju. Jego opowieści przenoszą mnie w czasy faraonów, a listy są dla mnie inspiracją do poszukiwań. Odwiedzam biblioteki, czytam, oglądam rysunki dawnej biżuterii, fotografie odkrytych skarbów. A potem próbuję... – Stefania przerwała w pół zdania, wzruszając ramionami, jakby niepewna tego, co chciała powiedzieć.

Rozmawiały jeszcze przez jakiś czas. Stefania zerknęła na wskazówki zegara, który nieubłaganie odmierzał czas. Lubiła jego miarowe tykanie. Towarzyszyło jej od pierwszej lekcji. Wahadło wybijało rytm, uspokajając jej skołatane serce, które podczas malowania zawsze było zbyt szybko.

W końcu dziewczyna podniosła się z fotela stojącego w gabinecie panny Bronisławy i podziękowała za cierpliwość, wyrozumiałość i możliwość pobierania lekcji nie tylko malarstwa, ale i języka niemieckiego.

– Przychodź, kiedy chcesz – powiedziała panna Bronisława, kiedy żegnały się już przy głównych drzwiach.

Zanim Stefania na dobre pożegnała się z willą Julią, raz jeszcze zerknęła na efektowną fasadę budynku. Pod zegarem, którego wskazówki już dawno przestały wskazywać właściwą godzinę, przycupnęła sowa. Posępne, pozbawione liści pnącza, wijące się tuż przy kamiennych szponach ptaka, tworzyły dziwny nastrój grozy, łagodzony tajemniczością przykrytego świeżym grudniowym śniegiem ogrodu, rozciągającego się na tyłach i po bokach ceglanego gmachu.

Wreszcie Stefania ruszyła w stronę miasta. Przechodząc obok willi Dionizego Matuli, zerknęła w okno, gdzie po raz pierwszy zobaczyła Jana. I chociaż wiedziała, że nie zobaczy tam jego sylwetki, ponieważ młody Matula o tej porze – dochodziła dopiero czternasta – był wciąż na uniwersytecie, poczuła rozczarowanie.

Dalej ruszyła już szybkim marszem. Mogła wsiąść do tramwaju, ale pomimo panującego na dworze zimna postanowiła zrobić sobie szybki spacer dla zdrowia. Świeży śnieg przyjemnie skrzypiał pod jej stopami. Ani się spostrzegła, jak otworzyła się przed nią biel Plant, które w śnieżnej szacie wyglądały miękko, bajecznie, a jednak niepokojąco zimno. Stefania zatrzymała się na chwilę tuż przy jednej z wielu kamiennych ław. Nie zachęcały teraz do odpoczynku, a jednak na niektórych z nich siedzieli mieszkańcy, prowadząc spokojną konwersację.

Niechciane wspomnienia wdarły się do głowy dziewczyny. To tu jeszcze kilka lat temu w okresie wiosenno-letnim niczym grzyby po deszczu wyrastały amatorskie teatryki i rewie, w których miała okazję grać u boku Mikołaja. Słyszała jego głos – chwalił ją, kiedy zrywały się oklaski. Widziała jego roziskrzone oczy, kiedy patrzył na nią, jakby była ósmym cudem świata. Przysiadła na zimnej kamiennej ławie. Łzy, które zebrały się pod powiekami, odgoniła, mrugając szybko, raz za razem. Już wcześniej nosiła się z pewnym zamiarem, dziś jednak podjęła decyzję. Musiała zakończyć ten okres w życiu. Jeżeli chciała otworzyć kolejny, ten musiał zostać zamknięty.

Wstała i szybkim krokiem ruszyła w stronę Siennej. Patrzyła wprost przed siebie, zmierzając do jasno wytyczonego celu.

– Panna Schramm? Stefania Schramm?! – Zatrzymała się dopiero, kiedy kobiecy głos powtórzył

jej nazwisko.

Rozejrzała się i na wysokości kamienicy Bidermanowskiej, która otwierała Sienną na Rynek, zauważyła Idę Goldbaum. Towarzyszył jej starszy, przysadzisty mężczyzna, żywo gestykulujący w rozmowie z robotnikami, którzy uwijali się z wynoszeniem gruzu. Wszystko wskazywało na to, że budynek znowu przechodził przynajmniej częściową przebudowę. Stefania wprawdzie nie pamiętała poprzedniego remontu generalnego, ponieważ była jeszcze małym szkrabem, ale ojciec lubił powtarzać, przechodząc koło gmachu, że Amalia Eibenschuetzowa zwróciła się do jego banku po pożyczkę, kiedy na dwa lata przed końcem XIX wieku postanowiła zlecić modernizację zakupionej kamienicy Beniaminowi Torbem. Fasadzie nadano styl eklektyczny, a mieszkania mieszczące się na pierwszym piętrze zaadaptowano na działalność handlową. Na parterze z kolei wydzielono część dla sklepu meblowego firmy Mendel Pamm oraz restauracji – tę jednak zamknięto na początku tego roku.

– Cóż za spotkanie. Może panna nie wierzyć, ale jakiś czas temu myślałam o panie. – Ida Goldbaum szepnęła coś do przysadzistego mężczyzny i podeszła do Stefci. – Czy to teczka z rysunkami? – zapytała, wskazując na dużą tekę, w której Stefcia zmieściła prawie wszystkie swoje dzieła.

– Tak, wracam akurat z pożegnalnego spotkania z panną Bronisławą, u której pobierałam lekcje malarstwa, rysunku i języka niemieckiego. Chciałam pokazać jej wszystko, no, może prawie wszystko, co wyszło spod mojego ołówka i pędzla.

– Czy mogę zerknąć?

Stefania zawahała się na moment, widząc jednak zachęcający uśmiech na ustach znajomej ojca, podała jej teczkę. Kobieta otworzyła ją ostrożnie. Powoli, z uwagą studiowała rysunki, zatrzymując się dłużej przy tych, na których Stefcia uwieczniła kwiaty, liście, rozłożyste korony drzew.

– Skarabeusz? – zapytała, zamykając teczkę.

– A, tak. Mój znajomy, który jest Egipcjaninem, tak pięknie opisuje swój kraj, zwłaszcza ten sprzed tysięcy lat, że czekam z utęsknieniem na każdy jego list. O ile wiem, przebywa teraz ze swoim ojcem w Berlinie. Pan Borchardt, ojciec Tristana, jest znanym archeologiem i pracuje dla tamtejszego muzeum. To dzięki opowieściom Tristana zainteresowałam się starożytnym Egiptem. Czytam, oglądam. Kilka razy dostałam od niego zdjęcia egipskiej biżuterii. Kunszt ówczesnych złotników był niesamowity. Tristan zaprasza mnie do Egiptu. Mówi, że wystarczy pojechać tam raz, a Egipt już na zawsze pozostaje w człowieku. Może kiedyś skorzystam... – Stefania zaśmiała się cicho.

– Raz jeden miałam okazję bawić w Kairze. Panny znajomy ma całkowitą rację. – Ida spojrzała w stronę pracujących. – Mam szczerą nadzieję, że na wiosnę przyszłego roku uda nam się skończyć remont. Zamierzam otworzyć tu salon jubilerski, jakiego jeszcze w Krakowie nie widziano, a do tego potrzeba nie tylko ciężkiej pracy i zapału, ale także ludzi z pasją i talentem. Całe szczęście złotnicy, którzy kiedyś pracowali dla mojego męża, gotowi są przyjechać do Krakowa. Może tu zostaną, a może tylko wyszkolą następców? Ale oprócz zręcznych rąk złotników potrzebują też projektantów i chociaż mam już dwóch utalentowanych ludzi gotowych stanąć na moim pokładzie, mam propozycję także dla pani, panno Schramm.

– Dla mnie? – zdziwiła się Stefania.

– Kiedy byłam na rozmowach w banku u panny ojca, zobaczyłam panny rysunek. Był bardzo dobry. To wtedy w mojej głowie zrodziła się pewna myśl. Moi złotnicy i projektanci to sami mężczyźni. Robią piękne rzeczy, ale wszystko, co wychodzi spod ich rąk, chociaż robione jest dla kobiet, widziane jest z perspektywy mężczyzny. A jak obie dobrze wiemy, świat się zmienił. Kobiety już nie pytają o zdanie. Nie krygują się, nie boją się mówić, czego chcą, a kiedy czegoś pragną, po prostu po to sięgają. Dziś kobiety chodzą do pracy, bo chcą być niezależne. Oczywiście mówię o tych, które mogłyby być na utrzymaniu swoich mężów. Role utrzymanek, które muszą prosić o pieniądze na kolejny kapelusz lub sukienkę, przestały im już odpowiadać. Nie będę hipokrytką. Ten salon będzie dla ludzi majątnych, a kobiety wywodzące się z takiego środowiska najbardziej pragną niezależności. Zresztą nie trzeba daleko szukać, prawda, panno Schramm?

Pytanie było retoryczne, dlatego Stefcia milczała.

– A więc, przechodząc do sedna. Panno Stefanio... a może mogłabym zwracać się do panny po prostu Stefciu? – zapytała Ida.

Stefania skinęła głową na znak zgody.

– A więc, Stefciu. Zaprojektuj dla mnie biżuterię. Kobięcą, delikatną, uwodzicielską. Nie podsuwam żadnego tematu, ale mam dziwne wrażenie, że temat już jest w twojej głowie.

– Ile mam czasu? – zapytała Stefania.

Ida uśmiechnęła się zadowolona. Tego się spodziewała.

– Właśnie taką miałam nadzieję: że nie będziesz zadawać zbędnych pytań, a moją propozycję potraktujesz jako wyśmienitą okazję, żeby zaprezentować światu swój talent. Kto wie, może zostaniesz sławna? Projektuj, próbuj, szkicuj. Spotkamy się po Nowym Roku. U mnie, na Zakrzówku. Znajdziesz. Mieszkam niedaleko Michałowskich, jak wiesz. Tu – podała Stefanii swoją wizytówkę – jest mój numer domowy. Przed spotkaniem zadzwoń.

Stefcia wpatrywała się w podany kartonik.

– Mamy umowę? – zapytała Ida, wyciągając dłoń w stronę młodszej córki Schramma.

– Mamy umowę – odpowiedziała Stefcia, pewnie potrząsając ręką Frau Goldbaum.

\*\*\*

Stefania jak na skrzydłach pomknęła do domu. Rozmowa z Idą Goldbaum oraz propozycja, na którą Schrammówna zgodziła się bez zastanowienia, tak ją pochłonęła i uszczęśliwiła, że dziewczyna całkiem zapomniała o swoich wcześniejszych planach. A przecież chciała złożyć wizytę na Zwierzynieckiej, w domu państwa Grabowskich! Chciała ich zobaczyć, porozmawiać z nimi i zamknąć rozdział życia sprzed wybuchu wojny.

Schody do mieszkania pokonała po dwa stopnie. Dobrze, że matka tego nie widzi, pomyślała, i na wspomnienie o Tekli Schramm przystanęła. Westchnęła, a ciężar, który nagle zrodził się w jej sercu, uświadomił jej, że nie wiadomo jak długo jeszcze nie będzie mogła dzielić z matką radosnych wiadomości. Kilka ostatnich stopni pokonała powoli, wlokąc się noga za nogą. Rozchmurzyła się dopiero tuż przy drzwiach.

Pochwali się ojcu, Eleonorze i Jankowi. Na myśl o młodym Matuli chciała zawrócić i przebiec całą drogę do Podgórze, żeby paść w jego ramiona i opowiedzieć o swoim niedawnym sukcesie. Pomyślała też o pannie Bronisławie, która byłaby z niej dumna. Miałam ćwiczyć, przypomniała sobie Stefcia, zdejmując ciepły płaszcz, który odebrał od niej czekający w korytarzu Franciszek, więc będę ćwiczyć.

– Tatko w domu? – zapytała, kierując się do gabinetu, i zanim Franciszek zdążył potwierdzić, już otwierała drzwi, za którymi przy ciężkim biurku siedział ojciec. Jak zwykle pochylał się nad papierami.

Odkąd przestał wychodzić do biura w banku, większość dnia spędzał ukryty w swoim gabinecie, wertując i analizując papiery giełdowe.

„Lepsze to niż kasyno” – powtarzała Eleonora, kiedy Stefania zwracała jej uwagę, że ojciec z jednego nałogu przerzucił się na drugi. „Pytałam go o to. Powiedział, że giełda to przyszłość, a on z racji tego, że przez całe życie był bankierem, ma odpowiednie doświadczenie i nosa, żeby inwestować. Akurat tu się z ojcem zgadzam”. Eleonora nie dała Stefanii możliwości przedstawienia swojego punktu widzenia.

Delikatne skrzypnięcie otwieranych drzwi zmusiło Jana Schramma do podniesienia głowy znad papierów. Uśmiechnął się szeroko na widok Stefanii.

– Jesteś! – wykrzyknął pełen entuzjazmu. – Czekałem na ciebie. Mam wspaniałe wieści. Boże, nie uwierzysz! – ekscytował się jak małe dziecko.

– Ja też mam cudowne wiadomości – powiedziała Stefcia. – Ale widzę, że tatko nie wytrzyma ani minuty dłużej, jeżeli od razu nie podzieli się swoimi. – Zaśmiała się dziwnie zdenerwowana. Dlaczego podświadomie czuła, że za chwilę jej świat rozsypie się w drobny mak?

– Zaszedłem dziś do Grabowskich na Zwierzyniecką. Pamiętasz Grabowskich? – zapytał, a kiedy

Stefania skinęła niepewnie głową, podchodząc do krzesła stojącego w pobliżu ojcowskiego biurka, Schramm mówił dalej: – Jakże mogłabyś nie pamiętać Grabowskich?

– Też miałam zamiar ich dziś odwiedzić, ale niespodziewane spotkanie nieco pokrzyżowało moje plany – wtrąciła Stefania.

– Chciałaś dziś odwiedzić Teofila? Ach, cóż za pech, że do nich nie zajrzałaś. Kochanie – powiedział Schramm, podchodząc do córki. – Grabowscy dostali list z Francji, napisany przez polską pielęgniarkę służącą w tamtejszym szpitalu. Wszystko wskazuje na to, że Mikołaj żyje.

Stefania poczuła, jak uchodzi z niej powietrze. Musiała usiąść na krześle, którego oparcia kurczowo trzymała się od jakiegoś czasu. Nie słyszała już podekscytowanych słów ojca. Nie widziała gabinetu. Nagle wszystko zrobiło się czarne, a świat przestał wydawać odgłosy.

W czasie, kiedy Jan Schramm starał się ocucić zemdloną córkę, Dionizy Matula żegnał na progu swojego domu chudego chłopaka na posyłki, który od wiosny tego roku pracował dla Grabowskiego, roznosząc lekarstwa do klientów. Stary Matula oparł się o drzwi. Wieści, które właśnie do niego dotarły, był dobre, i chociaż powinien się cieszyć, że jego znajomy, z którym nie raz przychodziło mu robić interesy, najprawdopodobniej doczekał się cudu, nie mógł wykrzesać z siebie radości. Z ciężkim sercem skierował się ku schodom prowadzącym na wieżę. Po tym, jak stopy Jana całkowicie się zagoiły, chłopak wrócił do swojego dawnego pokoju. Wuj zastał go pochylonego nad książkami.

– Zastanawiam się, ki diabeł pokusił mnie, żeby składać papiery na studia farmaceutyczne – odezwał się Jan, spoglądając na wchodzącego do pokoju wuja. – Jeżeli już zgodziłem się z sugestią, żeby studiować, czyż nie łatwiej było zostać nauczycielem?

Dionizy wyglądał na dziwnie zmartwionego.

– Wuju, czy coś się stało?

Kwadrans później Jan pędził ciemnymi, spokojnymi już ulicami Krakowa pożyczonym samochodem wuja w stronę kamienicy Pod Irysami. Musiał porozmawiać ze Stefanią. Był pewien, że mały posłaniec Grabowskich zajrzał także do Schrammów.

Wczoraj wieczorem, jak mówił wuj Dionizy, do rodziców Mikołaja dotarł list z francuskiego szpitala, w którym służą pielęgniarki z Czerwonego Krzyża. Leczone w nim żołnierzy, którzy z jakichś powodów nie wrócili jeszcze do swoich domów, chociaż od czasu zakończenia wojny upłynął szmat czasu. Okazało się, że jednym z nich był syn Teofila. Długo nikt z personelu nie wiedział, kim mężczyzna jest i jak się nazywa. Cieszyli się, że przynajmniej z wolna zaczął dochodzić do zdrowia. Uległ poważnemu wypadkowi. Pielęgniarka napisała, że uważają, iż zdarzył się prawdziwy cud, że ranny przeżył. Z powodu urazu głowy najpierw przez długie tygodnie leżał nieprzytomny, a kiedy w końcu odzyskał świadomość, nie pamiętał, jak ma na imię, skąd pochodzi i gdzie się znajduje. Wiedzieli tylko, że jest Polakiem. Powolna, systematyczna rehabilitacja pomogła nie tylko wycieńczonemu ciału, ale z czasem też umysłowi. Kiedy tylko Mikołaj przypomniał sobie, kim jest i gdzie mieszkają jego rodzice, pielęgniarki napisały list. Okazało się, że nieśmiertelnik mężczyzny zapodział się podczas walk, a kiedy znaleziono go przy ciele zabitego, błędnie wzięto go za Grabowskiego, co nie było niczym nadzwyczajnym.

Jan wysłuchał spokojnie relacji Matuli. Przez chwilę siedział jak skamieniały. Potem zerwał się z fotela, narzucił na siebie pierwszą lepszą rzecz i patrząc błagalnie na wuja, wyciągnął rękę po klucze od samochodu. Dotarcie na Rynek zajęło mu mgnienie oka. Wpadł do kamienicy, schody pokonał w kilka sekund i nie bacząc na późną porę, zaczął dobijać się nieprzystojnie do drzwi Schrammów, które prawie od razu otworzyła starsza siostra Stefci.

– Nie chce nikogo widzieć – powiedziała Eleonora, patrząc współczująco na gościa.

– Nawet mnie? – Jan nie wydawał się przekonany słowami starszej córki Schramma.

– Nikogo – potwierdziła Eleonora. – Proszę ją zrozumieć. Mikołaj był jej pierwszą miłością. Widziałam, jak patrzyła na niego, kiedy razem odbywali te swoje próby w amatorskich miejskich teatrach. Kiedy zaciągnął się do wojska, bardzo to przeżyła. Wieść o jego śmierci, jak się okazuje, przedwczesna wieść, załamała ją. Moja siostra nie chciała nawet zostać w Krakowie. Na jakiś czas wyjechała do Wiednia. Potrzebowała wielu miesięcy, żeby zacząć normalnie żyć. – Eleonora podeszła

do Jana. – I zaczęła dzięki tobie. Więc proszę, daj jej czas.

– Czas... – powiedział Matula i zamyślił się na chwilę. – Czas ...

Po tych słowach zwiesił głowę i bez pożegnania zbiegł po kamiennych schodach domu Schrammów.

\*\*\*

Kolejne dni przeleciały Stefanii przez palce. Nie wychodziła z domu. Nie podzieliła się radością, jaką czuła, kiedy Ida Goldbaum zaoferowała jej współpracę. Nie rozmawiała ani z ojcem, ani z Eleonorą, chociaż oboje nalegali. Zamknęła się w sobie.

Jan nie pojawił się już więcej od tamtego dziwnego wieczoru. Nazywała go w myślach dziwnym, czasami feralnym, a innym razem szczęśliwym. Wciąż nie potrafiła się zdecydować, czy cieszyła się z otrzymanej wiadomości, czy była wściekła na przewrotny los, który sprowadził do jej życia Mikołaja akurat teraz, kiedy zaczynała układać je sobie na nowo. Bała się odpowiedzieć na pytanie, którego z nich, Jana czy Mikołaja, kocha bardziej. Zapamiętała pewną sentencję, którą kiedyś usłyszała: że jeżeli człowiek zakocha się po raz drugi, to znaczy, że nigdy tak prawdziwie nie kochał za pierwszym razem.

Czy mogło być prawdą, że nie kochała Mikołaja? A może nie kochała Jana, który stanowił dla niej tylko pocieszenie? Od tego myślenia poczuła ból głowy. Siedziała sama w pokoju. Zmagała się z różnymi emocjami. To cieszyła się, że Jan dał jej czas i przestrzeń, to znowu była na niego wściekła, że zostawił ją samą. Najgorsze, że nie wiedziała, co powinna w tej sytuacji zrobić. A czas uciekał.

– Stefcu? – Jan zajrzał do sypialni córek, w której od kilku dni chowała się jego młodsza latorośl. Był zatroskany. Był też wściekły na Teklę, że nie było jej w domu akurat teraz, kiedy najbardziej jej potrzebował.

– Stefcu, był u nas Teofil Grabowski.

– Kiedy? – zapytała cicho.

– Dziś rano. Spałaś, nie chciałem cię budzić, ale obiecałem mu, że przekażę ci wiadomość. Wyjeżdżają do Francji, żeby osobiście sprowadzić Mikołaja do domu. Pytają, czy chciałabyś jechać z nimi.

– Kiedy? – zapytała ponownie Stefcia, wciąż wpatrując się w okno.

– Niedługo po świętach. Dwudziestego dziewiątego grudnia. Pojedziesz?

– Chyba tak – odparła niepewnie. A kiedy Schramm zamykał drzwi sypialni, dodała: – Tak, tato, pojedę.

\*\*\*

Józefa Michałowska planowała spędzić tegoroczne święta w gronie rodzinnym. Ona, Aleksander, Julian i Rozalia. Tylko ich czworo. Miała nadzieję, że zarówno Julian, jak i Rozalia – której matka już od dawna nie poznawała i nie rozumiała i której stylu życia nie akceptowała – przyjmą zaproszenia. Obawiała się także o syna, który wciąż zauroczony Eleonorą Schramm, mógł odmówić wspólnej wieszki i wybrać spotkanie u bankiera. Liczyła jednak, że uda się go przekonać.

– Nie rozumiem, skąd u mamy taka nagła niechęć do Eleonory? O ile mi wiadomo, byliście swego czasu z ojcem za naszym mariażem, czy coś umknęło mi po drodze? – pytał Julian podczas ostatniej wizyty w domu, którą złożył kilka dni po szóstym grudnia.

– To nie niechęć do panny Schramm – odparła Michałowska, wążąc słowa, ponieważ życie nauczyło ją, że poruszając temat Eleonory, powinna być ostrożna. – To bardziej poczynania najpierw jej ojca, który swego czasu nie stronił ani od hazardu, ani od używek...

– Rozmawialiśmy już o tym – przerwał matce Julian.

– Proszę, nie przerywaj – ofuknęła go Michałowska. – To niegrzeczne. A więc, nie stronił od używek, a potem jej matki, której odejście z domu i zamieszkanie w jakimś podejrzanym miejscu stało się prawdziwym i szeroko komentowanym skandalem w Krakowie. A zresztą i Eleonora nie jest

ostatnio tak czysta, jak nam się wydawało. Jej praca dla Kurkiewicza... – Hrabina zawiesiła głos i potrząsnęła głową z obrzydzeniem.

– Dobrze mama wie, że Eleonora już tam nie pracuje. W zasadzie od dawna nie chodzi na Biskupią. I dlaczego mama zawsze wypomina Eleonorze pomyłki, a nigdy nie pochwali jej za ciężką pielęgniarską posługę na froncie?

Jeśli więc chciała, aby ich rodzina wspólnie zasiadła do wigilijnego stołu, musiała uważać na słowa.

– Do Wigilii jeszcze sporo czasu, a u nas już panuje taki rozgardiasz – zaśmiał się Aleksander. Wyłonił się z biblioteki i dołączył do żony w drodze do salonu.

– Ach, co roku powtarzasz to samo, a doskonale wiesz, że takich świąt jak Boże Narodzenie nie można przygotować z dnia na dzień.

Wiedział o tym doskonale, ale lubił od czasu do czasu podroczyć się z Józefą. Uwielbiał świąteczny czas. Tego roku wreszcie powrócił do dawnej tradycji polowań. Kiedyś, przed wojną, organizował je u siebie lub gościł u znajomych, w zależności od tego, komu przypadła ta przyjemność – bo zorganizowanie polowania nigdy nie było rozpatrywane w kategoriach obowiązku. W lesie przynależącym do majątku Michałowskich może nie było wilków, jak u niektórych, ale zawsze można było pokusić się o ustrzelenie dzika, głuszca, lisa, sarny, a czasami łosia.

Goście mieli zjechać niebawem. Józefa nie przepadała za tym zwyczajem, ale była skłonna przymknąć oko, byle polowania nie odbywały się w Zakrzówku co roku.

– Wciąż mam w pamięci incydent z księdzem Chełmickim – mówiła teraz, idąc do salonu przy boku Aleksandra. – Do dziś zachodzę w głowę, co też on sobie uroił, żeby swoją okrągłą, odzianą w sutannę figurą przetaczać się po pełnym stole, zrzucając wszystko na dywan. Ja rozumiem zabawy, ale jednak pewnych manier można oczekiwać po, było nie było, gościach z towarzystwa.

– Ależ Józefo, to był jeden mały incydencik, który już się nie powtórzył, a Chełmicki własnoręcznie pomagał przy porządkach. Potem przecież zebraliśmy się przy fortepianie i długo śpiewaliśmy twoje ulubione kolędy.

Faktycznie, tak było. Uśmiechnęła się więc szeroko, siadając w wygodnym fotelu z zamiarem dalszego planowania. Chciała, żeby tegoroczne święta były wystawne i na długo zapadły w pamięć. Wszak miała to być pierwsza od dawna Wigilia bez strzałów. Na samo wspomnienie ostatnich lat zrobiło jej się smutno, a jej oczy zaczęły się szklić. Szybko zamrugowała, żeby przegonić wzruszenie.

Pomyślała, ile mieli szczęścia. Iluż ludzi w Krakowie jednak nie miało powodów do radości... Chociaż osobiście nie znała nikogo, kto wciąż czekałby na powrót żołnierza, słyszała, że takich rodzin było wiele. I znowu przyjdzie im zostawić przy wigilijnym stole dwa puste nakrycia.

Z zamyślenia wyrwał ją głos Aleksandra.

– W gazecie piszą, że we Lwowie drożyzna znowu szaleje.

Michałowska odłożyła notatnik i pióro.

Tak, wielu ludzi nie będzie mogło również pozwolić sobie na zakup świątecznej żywności, ponieważ ceny rosły z dnia na dzień.

– Podobno może tam dojść do prawdziwej katastrofy. Trudno w to uwierzyć, ale pasterze za kilo buraków żądają dziesięć marek. Ach, to jeszcze nic. Za kilogram fasoli chcą aż czterdzieści marek, za ziemniaki siedem, a za białą mąkę pszenną dziewięćdziesiąt. Toż to paranoja! – wykrzyknął hrabia Michałowski, spoglądając na żonę.

– U nas nie jest lepiej – odparła Józefa. – Kiedy Katarzyna wróciła wczoraj z targu, poinformowała mnie, że mleko drożeje z godziny na godzinę. Tylko wczoraj kosztowało za litr trzydzieści pięć marek, a masło za kilo czterysta pięćdziesiąt. Kiedy wysyłałam ją na zakupy, kazałam zamówić sześćdziesiąt jaj, ale sama podjęła decyzję, żeby kupić tylko czterdzieści, bo jedno kosztuje aż dziesięć marek.

– Powinni karać za takie spekulacje. Po co nam ta cała komisja do zwalczania lichwy, skoro sprzedający robią, co chcą. – Michałowski ostentacyjnie odłożył gazetę.

– Wypisują mandaty lawinowo, ale sprzedającym bardziej opłaca się je przyjmować i płacić niż



opuścić ceny. Grzywny są za niskie. Cóż to dziesięć lub nawet sto marek, kiedy wystarczy sprzedać dziesięć jaj, aby pokryć mandat.

– Niech konfiskują towar. Ten zawsze można rozdać biednym, a recydywistów, którzy nie stosują się do kar i upomnień, zamykać w więzieniach jak zwykłych przestępców. – Michałowski wstał zdenerwowany. – Pójdę do siebie. Od tego wszystkiego rozboleła mnie głowa.

Józefa odprowadziła go zatroskanym wzrokiem. Od dłuższego czasu Aleksander narzekał na zdrowie. Michałowska sięgnęła po gazetę i otworzyła ją na stronie, którą przed chwilą czytał mąż.

Redaktor pisał:

Tak urząd targowy, jak i ten do walki z lichwą wykazują się w ostatnich czasach wzmoczoną aktywnością, ale pomimo ich działalności walka z drożyzną jest niczym walka z wiatrakami. Czas ukrócić działania targowych paskarzy, bo jeśli drożyzna nie zostanie zatamowana, zrozpaczona ludność, zwłaszcza teraz, przed zbliżającymi się świętami Bożego Narodzenia, może zacząć z desperacji sama wymierzać sprawiedliwość. Któż bowiem, chcąc zapewnić rodzinie święta radosne i dostatnie, takie, aby móc zapomnieć o koszmarach minionych lat, będzie w stanie udźwignąć wzrost cen, kiedy te szybują w górę z godziny na godzinę? Magistracie, czas zacząć działać, bo sprostać obowiązującym cenom mogą dziś tylko paskarze i złodzieje.

Michałowska smętnie pokiwała głową. Ona i jej rodzina należeli zapewne do niewielkiego grona ludzi, którzy spędzą święta przy suto zastawionym stole. Przez chwilę poczuła się dziwnie nieswojo, ale od razu odgoniła śmieszne myśli, zdając sobie sprawę, że na styl życia, jaki mogli sobie zapewnić Michałowscy nawet w latach kryzysowych, pracował nie tylko jej mąż, ale także poprzednie pokolenia.

Józefa właśnie kierowała się do kuchni, aby wydać kolejne instrukcje, kiedy do salonu zajrzała Katarzyna.

– Pani hrabino, ja chciałam tylko potwierdzić, czy aby na pewno te kosze, co to kazał hrabia Michałowski przygotować, mamy wysłać do tego przytułku Siemachy na Długiej?

– Kosze? – Józefa poderwała się czym prędzej. – Jakie kosze?

– Hrabia poprosił o kawę zbożową bez cukru i kiedy czekał na jej przygotowanie, polecił spakować dwa wielkie kosze i dziś jeszcze zawieźć je do przytuliska.

– Proszę niczego nie pakować do samochodu – zaordynowała Michałowska i szybkim, energicznym krokiem ruszyła w stronę sypialni męża. – Aleksandrze, a cóż to za śmieszny pomysł z tymi koszami?

– Przypomniało mi się, jak znajoma mojego ojca, hrabina Krystyna Stawińska, podczas adwentu i postu zawsze wyrzekała się słodyczy, masła, a herbatę, jeżeli już piła, to tylko ziołową i bez cukru. Swoje dzieci, mnie także, o ile byliśmy u Stawińskich w odwiedzinach, zachęcała do pracy na rzecz ubogich. Jej córki robiły na drutach ciepłe szaliki, a w kuchni piekły się pierniczki i kruche ciasteczka – wszystko to wkładano potem do świątecznych paczek. Oprócz tego w każdej paczce była mąka, cukier, bakalie, a dzieci, wyobraź sobie, z własnego kieszonkowego wrzucały pieniążki. Ja też kiedyś wrzuciłem. Ależ byłem z siebie dumny. I teraz też jestem – dodał, patrząc na żonę, której grymas niezadowolonia wykrzywił usta.

Michałowska nie miała jednak sumienia, żeby zmienić decyzję męża, a poza tym starała się nigdy nie podważać zdania współmałżonka.

– Jak tylko odpoczniesz, proszę, żebyś pamiętał o drzewku. Czas najwyższy zacząć je stroić, a choinka nawet nie została jeszcze wybrana.

Z ustami zaciśniętymi w wąską kreskę Józefa wkroczyła do kuchni. Naprędce przejrzała przygotowane kosze, niektóre produkty kazała wyciągnąć, zapas innych nieco uszczuplić. W końcu skinęła głową, zezwalając na załadunek podarków, które kierowca miał dostarczyć do domu stworzonego przez księdza Siemaszkę.

Wróciła do salonu. Zlustrowała go wzrokiem. Choinka jak zwykle miała stać pod oknem. Hrabina miała nadzieję, że tego roku też będzie sięgała sufitu. Pierwsze takie drzewko stało w tym salonie, kiedy Julian i Rozalia byli małymi dziećmi. Przypomniała sobie święta sprzed wielu lat – zaprosili wtedy rodzinę Ochockich. Na wspomnienie ich córki Michałowska westchnęła

z rozrzewnieniem. Miała nadzieję, że Julian zainteresuje się dziewczyną, ale on wciąż marzył o pannie Schramm. Tamtego roku Rozalia narobiła kłopotów. Z niczego nie była zadowolona. Julian dostał mały fortepianik, na którym mógł wygrywać dziecięce melodie, Rozalia zaś małą maszynę do szycia, ponieważ od wielu tygodni męczyła hrabinę o nowe ubranka dla lalek. Ktoś podsunął Michałowskiej ten pomysł. Pierwsza radość od razu przemieniła się w donośny płacz, kiedy zabawkowa igiełka ukuła Rozalię w palec. Jej wrzask Michałowska pamiętała do dziś. Aleksander zerwał się wówczas z fotela i pobiegł po środki opatrunkowe. Napiętą sytuację rozładowała dopiero świętej pamięci babka Aleksandra, która gdcząc głośno, zaczęła udawać kurę. Nawet Rozalia zapomniała o malutkiej, już zastygniętej kropli krwi.

To były cudowne, beztroskie lata, pomyślała Michałowska, rozmasowując obolałe skronie.

\*\*\*

Eleonora zakasała rękawy, żeby przyłączyć się do urzędującej w kuchni Joasi. Starła się namówić także Stefcie, ale młodsza siostra wolała zaszyć się w ojcowskim gabinecie, który Jan dzielił teraz z córką, i oddać się szkicowaniu, co robiła ostatnio zapamiętane, niż zacząć przygotowywać smakołyki na świąteczny stół.

Jan Schramm stanął na wysokości zadania i na prośbę Eleonory zakrzętnął się przy zakupie wędlin i mięsiwa. W tym celu wybrał się do pobliskiej wsi, do znajomego, który jak co roku o tej porze urządzał świniobicie. Nie musząc się martwić przynajmniej o to, Schrammówna poddała się dyktatowi Joasi.

– Proszę pamiętać, że z ciastem na piernik trzeba obchodzić się ostrożnie. Temperatura pieca musi być w sam raz. Jak piec będzie za zimny, ciasto nie urośnie, będzie twarde i z zakalcem. A jak za ciepły, to pierniczki się przypalą. Dobry piernik musi być pulchny i mięciutki. Nie za słodki i nie za bardzo korzenny. Szkoda, że nie nastawiłyśmy ciasta wcześniej. Moja świętej pamięci babka mawiała, że dobre piernikowe ciasto może i kilka miesięcy fermentować. Nam musi starczyć kilka godzin.

Joasia opowiadała i komenderowała, Eleonora zaś co rusz zerkała na wiszący w kuchni zegar. Powoli przygotowywały kolejne partie ciasta piernikowego.

– Panienska se teraz usiądzie i poczyta przepis. – Joasia podała Eleonorze wyświechtany kawałek papieru, na którym ktoś drobnym drukiem spisał składniki i sposób przyrządzenia „piernika higienicznego”.

– Pół litra miodu, 60 dekagramów cukru, jedna ósma litra wody, 5 jaj, pół łyżeczki sody, 5 dekagramów potażu, pół kilograma mąki żytniej i 7 dekagramów mąki pszennej.

Eleonora przyglądała się, jak Joasia kładzie na stole kolejne wyczytane składniki. Kiedy wszystko było już przygotowane, zaczęła czytać dalej:

– Pół kilograma cukru zagotować z podaną ilością wody. Miód zarumienić. Rozpuszczony cukier wlać do miodu. – Co jakiś czas przerywała, dając kucharce czas na przygotowanie. – Raz jeszcze zagotować. Zostawić na 5 minut. Potem dodać potaż, cały czas mieszając. Uważać, żeby nie wykopiało.

Joasia uwijała się jak w ukropie.

Eleonora zerknęła na zegar. Dochodziła piętnasta trzydzieści.

– Joasiu, bardzo cię przepraszam, ale na mnie już czas.

Kucharka skinęła głową, podziękowała za dotychczasową pomoc, zwinęła papier z przepisem i nie patrząc na niego, zabrała się do dalszego wyrabiania ciasta.

Kilka minut później Eleonora stała w korytarzu i owijała wokół szyi gruby szal. Kiedy wczoraj otrzymała wiadomość, że Julian chce się z nią spotkać o szesnastej na Straszewskiego, zaczęła się zastanawiać, jaki jest tego powód. Było jeszcze dwadzieścia minut do wyznaczonej godziny. Całe szczęście z domu miała niedaleko. Ze św. Anny skręciła w Jagiellońską, na której, zresztą tak jak wszędzie na kilkanaście dni przed świętami, tłoczyli się krakowianie. Szybkim krokiem, któremu towarzyszyło mroźne skrzypienie ubitego śniegu, przecięła Jagiellońską i na siedem minut przed szesnastą zatrzymała się pod wyznaczonym adresem. Owijała się akurat szczelniej szalikiem,

by ochronić się przed lodowatym wiatrem, który przewiewał ją do szpiku kości, kiedy z budynku pod numerem 26 wyłonił się Julian. Zauważył ją od razu. Na jego twarzy pojawił się szczery, szeroki uśmiech. Nie bacząc na przechodniów, Michałowski podszedł do niej, przyciągnął ją do siebie i pocałował.

– Przyszłaś. – Nie pytał, po prostu stwierdził. – Chciałem porwać cię dziś na świąteczny jarmark, ale najpierw chciałbym się czymś pochwalić – mówił z blaskiem w oczach. Nie przerywała mu, czekała, aż podzieli się niespodzianką. – Właśnie patrzysz na świeżo upieczonego wykładowcę w prywatnej szkole prawniczej Codex, której siedziba znajduje się tu, pod numerem 26.

Eleonora klasnęła w dłonie, pisnęła, a potem zarzuciła Julianowi ręce na szyję. Jej wesołość udzieliła się kilku spieszącym na zakupy – na ich zmarzniętych ustach pojawił się wesoły grymas.

– To wspaniale. Jesteś doskonałym prawnikiem. Odnosisz sukcesy w sądzie, a ludzie polecają twoją kancelarię. Dziwię się, że dopiero teraz ktoś zaproponował ci stanowisko wykładowcy.

– Przed chwilą skończyłem rozmowę na temat warunków zatrudnienia. Doktorzy Adler i Rychlewski, właściciele szkoły, to bardzo uprzejmi i znający się na swoim fachu prawnicy. Spędziłem na rozmowie przyjemne dwie godziny. Czas minął jak z bicia strzelił. Zaczynam zaraz po świętach. Na razie będę prowadził tylko wykłady, z czasem, o ile sprawy w kancelarii na to pozwolą, także ćwiczenia. Cóż, mój drogi Rosenblatt będzie miał okazję, żeby się wykazać.

– Coś mi się wydaje, że przyjdzie ci nająć do kancelarii jeszcze niejednego takiego Rosenblatta. – Eleonora się zaśmiała. – W takim razie należałoby uczcić twój sukces.

– Co proponujesz? Grzaniec na jarmarku czy filiżanka wykwintnej czekolady u Piaseckiego?

– U Piaseckiego. Jego czekolada zawsze rozbudza apetyt. A przecież stamtąd do ciebie jest już tylko kawaleczek. – Eleonora zaśmiała się cicho, widząc minę Juliana, który wyglądał jak mały chłopczyk przyłapany na podkradaniu pieniędzy z ojcowskiego portfela.

Ruszyli spacerkiem w stronę Podwala, potem z Basztowej skręcili w Garbarską. Byli już na Łobzowskiej, kiedy Julian zwolnił jeszcze bardziej i przystanął pod 14. Przyglądał się kobiecej postaci kładącej coś na progu starej rudery.

– Rozalia? – zawołał niepewnie.

Kobieta, którą wziął za swoją siostrę, odwróciła się przestraszona.

– Julian. – Rozalia odeszła od drzwi, pod którymi stała przed chwilą. – Nie spodziewałam się ciebie tutaj. – Była speszona. Co jakiś czas zerknęła za siebie, jakby się czegoś obawiała.

– A co ja mam powiedzieć? To raczej ja nie powinienem spodziewać się ciebie tutaj. O tej porze na dodatek. Co robiłaś koło tej rudery?

– Dobry uczynek – odparła Rozalia gniewnie.

Najwyraźniej nie podobał jej się sposób, w jaki Julian określił dom, na który wciąż zerknęła.

– Eleonoro, wybacz, ale muszę was pożegnać. – I nie czekając na odpowiedź, Rozalia szybkim marszem ruszyła w stronę Garbarskiej.

Julian patrzył na siostrę ze zdziwieniem. Zaskakiwała go coraz bardziej. Miał ochotę zapukać do drzwi, pod którymi stał wielki kosz, ale wiedział, że Rozalia nigdy by mu nie wybaczyła, że ją szpieguje. Martwił się jednak, że zostawiony przez nią podarunek zniknie bardzo szybko, jeżeli nikt z rozpadającej się chatki nie pofatyguje się go odebrać. Już chciał przejść na drugą stronę, kiedy drzwi domu otworzyły się i chudy jak szczapa nastolatek zabrał kosz.

Resztę drogi przeszli w milczeniu. Eleonora nie komentowała. Była zdumiona zachowaniem Rozalii tak samo jak Julian. Niemniej jednak nie zamierzała roztrząsać tej kwestii. Znała Juliana i wiedziała, że jeżeli zechce podzielić się zmartwieniami, sam się przed nią otworzy.

Niedługo potem siedzieli w małej salce, którą dla klientów fabryki wygospodarowano tuż przy drzwiach wejściowych.

– Tu nigdy nie ma miejsca – zaczął Julian. – Zawsze trzeba czekać, aż coś się zwolni.

Tak było i tym razem. Musieli swoje odczekać, ale roznoszący się tutaj zapach rekompensował wszelkie niewygody. W końcu, trzymając kubki gorącej, gęstej czekolady, zajęli swoje miejsca.

– Kiedy Piasecki kupił parcelę, żeby na tym pustym wtedy skrawku postawić ten parterowy

budynek, Edmund narzekał, że hałas dobiegający z placu budowy nie pozwala mu się skupić. W końcu, kiedy budowę ukończono i fabryka zaczęła produkcję, wciąż otwierał okna, nawet gdy na dworze panował prawdziwy ziąb. „Uwielbiam ten czekoladowy zapach”, mówił, i stawał przy oknie, by zaciągnąć się aromatem, który unosił się w powietrzu.

– Pamiętam, jak ojciec wrócił do domu. To było prawie dekadę temu, ale do dziś widzę jego niezadowoloną minę i posępne czoło. „Miałem nadzieję, że Piasecki zaciągnie u mnie kredyt na te maszyny, co to je pragnie kupić w Dreźnie”, biadolił, próbując zainteresować mamę, która jak zwykle wpatrywała się w swoje karty. Och, byłaby tego pokazna sumka.

Julian śmiał się, słuchając, jak Eleonora papuguje swojego ojca. A szło jej to doskonale.

– „Wyobraź sobie, Teklo, siedemset kilogramów czekolady dziennie. I taki kredyt przeszedł nam koło nosa. Tylko dlatego, że ubiegli mnie ci z Krajowej Komisji do Spraw Przemysłowych. Zamiast zysku dostałem to”. I wtedy wyciągnął zamaszystym ruchem z kieszeni płaszcz tabliczkę czekolady z logo Piaseckiego. Nie trzeba nas było ze Stefcią jakoś specjalnie do tej tabliczki przeko-nywać.

– Wcale się nie dziwię, że twój ojciec czuł się niepoczyszony. Piasecki miał nosa do czekolady, a twój ojciec do dobrych inwestycji. A kiedy Piasecki sprowadził wraz z maszynami szwajcarskiego mistrza czekolady, wiadomo było, że nie stracą na tym nawet ci, którzy udzielili mu potężnej pożyczki.

– Tatko co jakiś czas odwiedzał potem pana Piaseckiego. Przedstawiał oferty, robił kalkulacje. Był nawet czas, że zamiast pożyczki rozważał zaferowanie mu swojego okazałego kapitału w zamian za przystąpienie do spółki. Piasecki znał jednak wartość swojego przedsiębiorstwa.

– I wartość czekolady. Na słodyczach raczej nie można stracić. Któż z nas nie lubi czekolady? – zapytał Julian retorycznie.

– Nie mogę nawet ogarnąć tych stosów słodyczy. Staram się wyobrazić sobie te tysiąc pięćset kilogramów słodkości dziennie.

– Trzyście gatunków czekolady nadziewanej, jednaście twardej, trzy mlecznej, osiemnaście gatunków karmelków twardych, nadziewanych i oblanych czekoladą, galanteria czekoladowa, pralinki, marcepanki, alberty, biszkopty... – Julian czytał reklamę, która wisiała w małej salce, gdzie smakosze ciepłej, słodkiej, gęstej czekolady popijali wyśmienity wyrób.

– Przestań. Na samą myśl o tych wszystkich łakociach aż cieknie mi ślinka – zaśmiała się Eleonora.

– Moja matka bardzo lubi wyroby Piaseckiego. Zawsze zachwyca się ich opakowaniami. Jak twierdzi, są na najwyższym poziomie. Jak znam matkę, na święta zamówi u niego stosy słodyczy. A ponieważ jest wierną klientką, za każdym razem, kiedy firma wypuszcza nowy kolorowy cennik, hrabina Michałowska dostaje go jako pierwsza.

– Z kolei moja mama podczas każdego spaceru zachodziła do ich sklepu na Rynku. Będzie niepoczyszona, że na miejscu Hotelu Drezdeńskiego i sklepików powstaje nowy bank. I muszę ci powiedzieć, że gdyby to działo się jeszcze w ubiegłym roku, ojciec dopiąłby swego i stałby się współudziałowcem fabryki czekolady. Ponoć Piasecki wysłał do tatki zaproszenie do spółki, ale ojciec zajęty sprawami rodzinnymi i, jak mówi, giełdą, której poświęcił się ostatecznie, grzecznie podziękował.

– Słyszałem, że dzięki przyjęciu wspólników firma znowu się rozrośnie. Niestety tu, na ulicy Szlak, nie ma już możliwości rozbudowy. Wiem z dobrego źródła, że Piasecki kupił dość dużą parcelę w centrum miasta, przy Wrocławskiej. Słyszałem też, że kiedy rozbudowa się zakończy, będzie szukał nowej kancelarii i nowego prawnika. Mam zamiar złożyć mu ofertę.

Eleonora uściśliła dłoń Juliana. Siedzieli w fabryce jeszcze chwilę, po czym spacerkiem ruszyli do jego mieszkania.

– Ja też mam dla ciebie niespodziankę – powiedziała Eleonora, kiedy Julian pomógł ściągnąć jej płaszcz.

Spojrzał na nią uważnie, z napięciem. Eleonora powoli zdjęła rękawiczki. Podała mu prawą dłoń. Od razu go zauważył. Na palcu serdecznym lśnił pierścionek zaręczynowy.

– Założyłaś go? Czy...

– Tak, jako pierścionek zaręczynowy, który mi podarowałaś. Należy do mnie, tak jak ty, Julianie

hrabio Michałowski. – Mówiąc to, wspięła się na palce i pocałowała go. – Chciałam powiedzieć ci o tym podczas kolacji wigilijnej, ale ponieważ zdecydowaliśmy, że święta spędzimy ze swoimi rodzinami, informuję cię teraz. Niestety nie jesteś już wolnym mężczyzną – szepnęła mu do ucha.

– Nie jestem wolnym mężczyzną od balu, podczas którego nie dałaś się zaprosić do tańca, ale chętnie ruszyłaś ze mną na spacer. – Zaśmiał się, podnosząc ją delikatnie nad ziemię i okręcając się razem z nią.

Eleonora zrobiła mu najlepszy gwiazdkowy prezent. Pomyślał, że teraz nawet matka nie będzie w stanie popsuć mu radosnego świątecznego nastroju.

\*\*\*

Rozalia odłożyła pióro i zerknęła na strony pokryte gęstym, starannym pismem. Powieść, którą pisała dla „Nowości Ilustrowanych”, jak donosił jej redaktor prowadzący, przyjęta została dobrze. Wczoraj wysłała do redakcji kolejny fragment. Żałowała, że nie może wysłać tego, co zapisała przed chwilą, wiedziała jednak, że nikt nie zdecydowałby się opublikować tego tekstu. Był zbyt intymny i zbyt odważny. Zbyt osobisty.

Jej wzrok powędrował na stos równo złożonych kartek. Właśnie zamierzała sięgnąć po pierwszą z nich, kiedy w uchylonych drzwiach stanęła pokojówka.

– Przyszedł kolejny – powiedziała, podając Rozalii następny arkusik.

Rozłożyła go szybkim ruchem.

Rozalio,

choć minął już szmat czasu, wciąż nie znudziło mi się wysyłanie tych kilku słów skreślanych do Ciebie każdego dnia. Będę to robił tak długo, aż w końcu zmądrzejesz. Wiem, że tęsknisz. Gdybyś o mnie zapomniała i gdybym był Ci obojętny, nie przynosiłabyś koszy z jedzeniem pod drzwi mojej rodziny.

Najwyraźniej nie tylko ja zrobiłem małe przeszpiegi. Gdyby nie fakt, że smakołyki, które im podsyłasz, tak cieszą moje rodzeństwo, odesłałbym ci wszystko z powrotem. Nie tego mi potrzeba, ale im tak. I tylko dlatego kosze zostają.

Pamiętam, że kiedy byłaś ze mną, pytałaś, skąd blizny na moim ciele. Jeżeli chcesz się dowiedzieć, musisz się ze mną zobaczyć.

Eryk

Rozalia opuściła na kolana dłoń z liścikiem. Patrzyła przed siebie pustym wzrokiem. Zamyśliła się tak bardzo, że nie zauważyła, że pokojówka znowu stanęła na progu biblioteki.

– Pani Rozalio – odezwała się kobieta donośnym głosem. – Jakiś urwis czeka przed domem. Mówi, że nie ruszy się stamtąd, dopóki go pani nie wysłucha.

– Wpuść go. Przyrowadź do biblioteki.

Chwilę później w pokoju stanął smukły, chudy, ciemnowłosy chłopak. Nie musiał się przedstawiać. Podobieństwo było uderzające.

– Eryk cię przysyła? – zapytała, wskazując fotel stojący po drugiej stronie biurka.

– Nie wie, że tu jestem. I niech tak zostanie – odpowiedział, przyglądając się Rozalii.

– Jesteś głodny? Napijesz się ciepłej herbaty?

Chłopak skinął głową.

– Zaczekaj tu. Niczego nie dotykaj. Zaraz wracam.

Przyniosła mały dzbanuszek świeżo zaparzonej herbaty, mleko i chleb grubo posmarowany masłem. Na talerzu leżały też plastry żółtego sera i wyśmienicie pachnąca szynka. Rozalia przyglądała się, jak brat Eryka je ze smakiem. Na razie o nic nie pytała. W końcu w ustach chłopaka zniknął ostatni kęs szynki.

– W takim razie co cię do mnie sprowadza? – zapytała.

– Troska – odparł spokojnie. – Eryk zawsze nadstawiał za nas karku. Teraz, kiedy potrzebuje

pomocy, przyszła pora na mnie, żeby mu się zrewanżować.

– Eryk nie potrzebuje pomocy. Nie grozi mu z mojej strony żadne niebezpieczeństwo.

– Ja się tam na miłości nie znam, za smarkaty jestem, ale widzę, co się z nim dzieje.

Rozalia zaczęła się wiercić na swoim fotelu. Nie takich słów spodziewała się po tym młodzieńcu.

– On, proszę pani, kocha latać. Od zawsze chciał zostać pilotem. Kiedy opowiadał o samolotach, widziałem, jak śmiały się jego oczy. A teraz już nie mówi o lataniu. Już nie odwiedza lotniska. Nie siada za sterami. To twoja wina. – Chłopak wstał z fotela. Był tak wzburzony, że nie zwracał sobie głowy konwenansami.

– Usiądź – powiedziała twardo Rozalia, pomijając fakt, że zwrócił się do niej niestosownie. – W ogóle jak masz na imię?

– Jacek. – Opuścił głowę pod jej surowym spojrzeniem. – Przepraszam – powiedział po chwili. – Martwię się o Eryka. W przyszłym roku miał jechać do Poznania. Mówił o tym cały czas, a teraz, chociaż tego nie powiedział, wiem, że chce zrezygnować. Musi pani coś zrobić, żeby nie zrezygnował. Słyszysz pani?

– Ja nie mogę nic zrobić. Nie spotykam się z Erykiem.

– Oj, jakie wy jesteście głupie.

Jego słowa zaszokowały Rozalię. Już chciała upomnieć smarkacza, ale on nie dał jej dojść do słowa.

– A jak pani myśli, czemu chce zrezygnować? – Zacisnął pięści. Był rozgniewany. Na jego policzkach pojawiły się rumieńce. – Nie dlatego, że się z nim spotykasz, tylko dlatego, że skończyłaś to robić. Powiedział mi, że się martwisz. – Podeszedł do Rozalii. Znowu gdzieś po drodze zapomniał, że nie powinien do niej mówić w ten sposób. – Kocham brata, znam go najlepiej na świecie i wiem, że on kocha ciebie. Zrobi wszystko, żebyś wróciła.

Po tych słowach, nie czekając na odpowiedź, Jacek pognał korytarzem w stronę drzwi, przystanął na krótką chwilę, a potem otworzył je na oścież i zatrzasnął za sobą. Pozostawił po sobie tylko mroźne powietrze, zapach zimy i całą górę wątpliwości, z którymi Rozalia walczyła już od jakiegoś czasu. Wstała i chciała wyjść z biblioteki, kiedy zauważyła, że niedawno zapisana strona została wyrwana z jej pamiętnika. Cały smutek, który nagromadził się podczas spotkania z Jackiem, zniknął jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. W jego miejscu pojawiło się oburzenie i złość na bezczelne zachowanie smarkacza.

– To rodzinne – warknęła – Impertynent. – dodała, zmierzając w stronę garderoby.

Nie zamierzała dziś nigdzie wychodzić. Następnego dnia miała spotkać się z rodziną przy wigilijnym stole. Dzisiejszy wieczór chciała spędzić w domowych pieleszach, zwłaszcza że pogoda nie rozpieszczała mieszkańców Krakowa. Śnieg sypał gęsto od samego rana. Ulice w niektórych miejscach były nieprzejezdne, a i chodniki nie zachęcały do spacerów, ale nie zamierzała darować temu małemu złodziejaskowi.

Zanim ruszyła do centrum, zastanowiła się, gdzie pobiegł Jacek. Do Eryka, na Krótką? Nie, to zbyt oczywiste. Zapewne do domu, na Łobzowską. Idąc, pomstowała w myślach. Miała dziwne wrażenie, że za tym wszystkim stoi Eryk. Kiedy jednak była już na Basztowej, doszła do wniosku, sapiąc ciężko, umęczona przedzieraniem się przez nieodśnieżone chodniki, że on nie zniżyłby się do takiego poziomu. Nie, Jacek musiał zauważyć jej wpis, kiedy była w kuchni i czekała, aż kucharka przygotowuje herbatę i kanapki. Zamyślił sobie zapewne, że przekaże kartkę Erykowi. Niedoczekanie.

W końcu, dysząc jak lokomotywa, stanęła na Łobzowskiej. Nim zdążyła zapukać, Jacek otworzył jej drzwi. Nie powiedziała nic, tylko wyciągnęła rękę. Nie protestował, oddał wyrwaną kartkę.

– Nie czytałem – powiedział.

– I bardzo dobrze, nie czyta się cudzych pamiętników. I nie kradnie.

– Wróc do niego – powiedział, przewiercając ją błagalnym wzrokiem.

Rozalia uśmiechnęła się pod nosem. Oczy Jacka też rozświecił uśmiech.

– Mój uśmiech o niczym nie przesądza – powiedziała, gasząc tę radość w jego oczach. – Nie podjęłam jeszcze żadnej decyzji. Ale mam do ciebie prośbę. Powiedz mu... – Zawahała się. – Powiedz

mu, żeby nie rezygnował. Jeżeli... Nieważne. Powiedz, żeby nie rezygnował – powtórzyła.

Odwróciła się i odeszła powoli. Tam, na progu domu Jacka, chciała powiedzieć, że jeżeli mają mieć z Erykiem jakąś szansę, nie powinien rezygnować, ale wiedziała, że jeżeli wypowie te słowa, Eryk uczepli się ich jak rzep psiego ogona, a ona wciąż jeszcze była bardziej pewna ich rozstania niż ponownego spotkania.

\*\*\*

Józefa Michałowska wstała skoro świt. W domu na Zakrzówku wszyscy wiedzieli, że hrabina zrywa się z łóżka wraz z paniem koguta tylko raz w roku. W Wigilię.

– Pańskie oko konia tuczy – powtarzała przez lata, starając się mieć baczenie na wszystko, co tego dnia wyrabiano w kuchni.

Nie spuszczała z oczu także innych części domu, gdzie dokonywano ostatnich przygotowań: dekoracji, sprzątnięcia, prasowania obrusów, ustawiania zastawy stołowej i pakowania prezentów, które później odkładano pod wcześniej udekorowaną, sięgającą sufitu choinkę.

Kiedy wmaszerowała do gorącej kuchni, kucharka i jej dwie pomocnice pracowały już pełną parą.

– Chciałabym wypróbować ciasto piernikowe. To wciąż dojrzewające – odezwała się głosem nieznoszącym sprzeciwu, do którego Katarzyna przez lata pracy u Michałowskich zdążyła się już przyzwyczać.

– To, jak hrabina wie, przepis na piernik staropolski. Musi leżeć kilka tygodni. Te pierniczki zgodnie z zarządzeniem gotowe będą dopiero na Nowy Rok. Jak zwykle ciasto nastawiłam po andrzejkach. Zaczniemy je wypiekać jutro, na sylwestra będą doskonałe. Jak zawsze. – Z tymi słowami podeszła do spiżarki, skąd przyniosła leżące ciasto.

Michałowska zerknęła, wciągnęła nosem korzenny aromat, wzięła niewielką łyżeczkę i tak, aby za bardzo nie naruszyć ciasta, zagarnęła odrobinę. Smakowała je powoli, z zamkniętymi oczami. Skinienie głowy było zwyczajową pochwałą, ponieważ Józefa nigdy nie wychwalała swoich pracowników.

„Czy mnie lub ciebie, Aleksandrze, chwali się za pracę?” – zapytała pewnego dnia, kiedy Michałowski, szczerze zachwycając się tortem przygotowanym przez wynajętego cukiernika, pochwalił go przy pozostałym personelu. Hrabia zerknął wówczas na małżonkę, a słowa, które cisnęły mu się na usta, że przecież Józefa nigdy nie pracowała, przeleciały wraz ze słodkim kęsem.

Michałowska wciąż krzątała się po kuchni, zaglądając do stojących wszędzie naczyń. Tymczasem Katarzyna, która zdążyła odstawić dojrzewające ciasto, nadal rozplątywała się nad jego zaletami.

– To ciasto to rzecz idealna. Nastawia się je, kiedy za oknem już szaruga, kiedy człowiekowi nie chce się wyściubić nosa z domu, bo na deszcz i słońce nawet psa szkoda wygonić. I kiedy tak człowiek przygotowuje ten piernik, to aż mu się na sercu lepiej robi, jak sobie pomyśli, że już za kilka tygodni znowu będzie Boże Narodzenie. – Potok słów płynął z ust kucharki niezrażonej tym, że hrabina nie zwraca na nią uwagi, a pomocnice i tak są zajęte swoimi sprawami.

– Kiedy Katarzyna zamierza piec pierniki? – zapytała Michałowska, potwierdzając tym samym, że w ogóle nie słuchała.

– Jutro, mówiła, że jutro. Jak państwo będą sobie odpoczywać, ja rozgrzeję piekarnik, wyjmę ciasto, uformujemy je z dziewczynami – mówiąc to, wskazała na dwie pomocnice – upieczemy, a potem udekorujemy. Och, jaka szkoda, że pan Julian i pani Rozalia nie są już dziećmi. Jak oni zawsze lubili polewać ciasteczka czekoladą!

– Doskonale pamiętam, że ta zabawa zawsze kończyła się porządną kąpielą – odparła Michałowska oschle.

– Cóż, czas leci – dodała Katarzyna, nie przejmując się odpowiedzią hrabiny. – Ważne, że pierniczki niezmiennie smakują tak samo. Będzie ich cała masa, bo przecież znikają w okamgnieniu.

– Katarzyna przestanie już z tymi wspominkami. Proszę zająć się przygotowaniami. – Z tymi słowami Michałowska wypadła z kuchni. Przypomniała sobie, że warto jeszcze po raz ostatni przejść się po całym domu i dokładnie sprawdzić, czy wszystkie kąty zostały dobrze wysprzątane.

Na kilkanaście dni przed świętami osobiście zagoniła wszystkich pracowników, nawet Katarzynę, która zazwyczaj rządziła tylko w kuchni, do sprzątania. W ruch poszły wszystkie ścierki i szczotki, jakie trzymano w domu. Firanki i zasłony, które zmieniano raptem raz w roku, właśnie z okazji świąt Bożego Narodzenia, wzniecały tumany kurzu, kiedy ściągano je z okien. Przy okazji pozdejmowano ze ścian wszystkie obrazy. W całym domu unosiła się woń terpentyny, którą w tym czasie wykorzystywano w isticie zastraszających ilościach, czyszcząc nią podłogi, skórzane meble, a czasami nawet ściany.

Gdy porządki miały się z wolna ku końcowi, nadchodził czas przygotowywania świątecznych ozdób, co największą radość sprawiało dzieciom. Niestety w domu państwa Michałowskich nie było już maluchów, które z wypiekami na twarzy zasiadłyby do stołu i na długie godziny zanurzyły się w świecie kolorowego papieru, bibulek, słomek, orzechów czy kasztanów, zbieranych jesienią z myślą o świątecznej choince.

Od kilku już lat Michałowska zmuszona była przygotowywać ozdoby własnoręcznie. W tym roku po raz pierwszy zrezygnowała z tradycji, którą pielęgnowała przez lata.

„Aleksandrze” – powiedziała na kilka dni przed Wigilią, kiedy jeszcze w mieście stały stragany bożonarodzeniowego jarmarku. „Pojeżdż, proszę, na Rynek. Kup ozdoby, ponieważ nie mam siły, żeby robić je w tym roku własnoręcznie”. Józefa mówiła umęczonym głosem, na który Aleksander nie zwracał uwagi. Jej czasami dziwne zachowanie wynikało z niechęci do gotowych dekoracji, które uważała za tandetne i niewarte uwagi. Pojechał jednak do miasta, skąd przywiózł całe stosy kolorowych bombek z dmuchanego szkła i innych błyszczących ozdób z folii.

I tak tegoroczna choinka u Michałowskich po raz pierwszy została udekorowana kupionymi bombkami. Józefa stanęła w salonie, by przyjrzeć się stojącemu drzewku. Musiała przyznać w duchu – ale oczywiście za nic w świecie nie powiedziałaaby tego głośno, szczególnie w obecności Juliana – że wyglądało dostojnie i po prostu pięknie.

– A gdzie karty, które zamówiłam u Anczyca? – pytała, zaglądając do jadalni, gdzie jedna z pokojówek wykładała wcześniej wypolerowaną zastawę.

– W gabinecie pana hrabiego – odparła dziewczyna, nie odrywając się od pracy.

Michałowska zajrzała do pokoju, w którym spodziewała się zastać zatopionego w czytaniu Aleksandra. Tymczasem gabinet był pusty. Twarda koperta z oznaczeniami drukarni leżała na małym stoliczku. Józefa podeszła do niej z uśmiechem, otworzyła ją i z westchnieniem zadowolenia wyjęła sztywną kartę z ozdobnym złożonym nadrukiem świątecznego menu. Spis serwowanych potraw zwieńczony był rysunkiem świątecznej gałązki.

Wydrukowanie jadłospisu kolacji wigilijnej zleciła jeszcze w listo-padzie.

– Już dziś chcesz słać zamówienie do drukarni? – pytał wówczas Aleksander, ze zdziwieniem wpatrując się w żonę. – Czy aby nie za wcześnie?

– Ach, jak ty nic nie rozumiesz – odparła, widocznie zirytowana jego brakiem zrozumienia i doświadczenia w kreowaniu świątecznego wystroju. – Anczyc będzie już pewnie obłożony na dobre. Przypuszczam, że nasze zamówienie zostanie przyjęte tylko z powodu znajomości, jaką mój świętej pamięci ojciec zawarł z poprzednim właścicielem, Ludwikiem Gumplowiczem.

Aleksander wzruszył ramionami. Faktycznie nie rozumiał zamieszania, jakie od połowy listopada robiła jego żona w związku z przypadającymi na koniec grudnia świętami. Wiedział jednak, że miała rację co do zleceń u Anczyca. Trzeba było się wykazać albo wielką cierpliwością, czekając w kolejce na realizację zamówienia, albo znajomościami. Józefa od zawsze powoływała się na rodzinne znajomości. Chociaż Gumplowicz swoją drukarnię, którą otworzył na Starowiślniej na trzy dekady przed końcem XIX stulecia, sprzedał po zaledwie pięciu latach działalności, Ludwik Anczyc i dwaj warszawscy księgarze, którzy warsztat przenieśli na Kanoniczą, nadal bazowali na dawnych towarzyskich koligacjach. Przez kolejne dziesięciolecia drukarnia zdobyła europejską sławę, a wszystko



za sprawą pięknego kroju czcionek, wysokiej jakości papieru, starannego tłoczenia, dokładnej korekty i profesjonalnego wykonania. Zlecenia napływały tak szerokim strumieniem, że oficyna zatrudniała już ponad stu pracowników.

Józefa delikatnie dotknęła jednej z kart. Była ukontentowana. Nie każdemu udawało się realizować stricte prywatne zamówienia i to w tak gorącym okresie. Wzięła karty do ręki i skierowała się na powrót do jadalni.

– Proszę położyć je przy nakryciach. – Już miała wyjść, kiedy jej wzrok spoczął na wazonie z kwiatami, które dostarczono wczorajszego popołudnia. – Wazon proszę postawić na komodzie. Tym razem chciałabym, żeby na stole znalazły się gałązki choinki udekorowane srebrnymi nitkami i jasnozielonymi wstążeczkami. I proszę nie zapomnieć o drobnymi czerwonych kokardkach.

Po tych słowach ruszyła do kuchni. Musiała sprawdzić, czy potrawy, które zapowiedziała na pięknych kartach, pojawią się na stole. Chociaż do Wigilii miała zasiąść tylko rodzina Michałowskich, Józefa nie wyobrażała sobie, że mogłoby dojść do jakiegoś uchybienia.

– Katarzyno – odezwała się donośnie, aby oderwać główną kucharkę od pracy. – Mam nadzieję, że wszystkie ustalone w listopadzie potrawy zostały przyrządzone.

– Ależ oczywiście, pani hrabino – zachnęła się Katarzyna. – Zupa grzybowa i łazanki. – Mówiąc to, podeszła do wielkiego garnka, który stał spokojnie z boku, na piecu. Miska z łazankami czekała na półce w spiżarni. – Zupa rybna, pierożki z kapustą, ryba smażona, która czeka na podsmażenie, ryby wędzone.

– Po jednym kawałku na osobę, niech Katarzyna pamięta.

– Po jednym kawałku – powtórzyła niczym echo. – Do rybki smażone kartofelki, duszona czerwona kapusta, groch z kapustą, który uwielbia pani Rozalia. A na deser kluski z makiem, makielki i kompot z suszu.

– Wyśmienicie – skwitowała Michałowska, zmiernie do wyjścia.

Szkoda, że na stole zabraknie marcepanów, ale w tym roku kupienie ich było rzeczą niemożliwą.

Był dopiero początek dnia, zegar wskazywał zaledwie kilka minut po dziesiątej, a ona już czuła się, jakby na nogach spędziła kilka godzin, ciężko pracując. Jak tak dalej pójdzie, pomyślała, padnę umęczona przed samą kolacją. Była przy drzwiach swojej sypialni, kiedy przypomniała sobie, że nie powiedziała Katarzynie o przygotowaniu dodatkowego stołu w kuchni, przy którym kolację miała zjeść służba. Już miała zawrócić, ale w końcu machnęła ręką. W końcu Katarzyna nie pracowała u nich od pięciu minut. Trochę zaufania do kompetencji pracowników powinnam mieć, przemknęło hrabinie przez myśl.

– Jeszcze prezenty – wyszeptła, kładąc rękę na klamce sypialni.

Wahała się tylko chwilę. Perspektywa krótkiego odpoczynku była zbyt kusząca. Józefa była już w środku, kiedy z pokoju wywabił ją przytłumiony chichot pracujących w jadalni pokojówek. Nastawiła uszu. Szeptaly o czymś rozentuzjasmowane. Ciekawość wzięła górę.

Hrabina podeszła na palcach pod pokój i zerknęła do środka. Dwie pokojówki pochylały się nad rozłożoną gazetą i czytały coś z wielkim zacięciem.

– Czy panny nie mają czasem pracy do wykonania? – zapytała.

Przyłapanie na gorącym uczynku, aż podskoczyły. Szybko zaczęły związać szeleszczące wydanie „Nowości Ilustrowanych”, którego nagłówek mignął Józefie. O ile dobrze pamiętała, Aleksander czytywał raczej „Ikaca” lub „Czas”. Na twarzach dziewcząt malował się rumieniec zażenowania. Spoglądały na siebie strwożone, co rusz zerkając także dziwnie na hrabinę, której wydawało się, że uśmiechają się do tego ironicznie.

– Proszę oddać mi gazetę – powiedziała głosem nieznoszącym sprzeciwu.

Dziewczęta najwyraźniej nie zamierzały wykonać polecenia, schowały czasopismo za plecami – ostre spojrzenie Józefy spowodowało jednak, że skapitulowały.

– A teraz proszę wracać do pracy. Nie płacę wam za czytanie gazet. Możecie poświęcać szmatławcom wolne chwile.

Szybkim krokiem ruszyła do swojego salonu. Dziwne zachowanie dziewcząt wzbudziło w niej

uzasadnione podejrzenie. Zamierzała dokładnie przejrzeć najnowsze wydanie „Nowości Ilustrowanych”.

Z każdym kolejnym słowem czuła, jak szybciej krąży w niej krew, jak pulsują jej skronie i jak wstrętna wydaje się dzisiejsza kolacja wigilijna. Przeszła jej całkiem ochota do świętowania. Z wściekłością zmięła gazetę i rzuciła ją w kąt. Zapomniała o prezentach, ozdobnych kartach, strojnej choince i pachnącej kuchni. Najchętniej odwołałaby dzisiejszy dzień. Najchętniej odwołałaby święta.

\*\*\*

Eleonora wraz ze Stefcią, która już wczoraj przyłączyła się do ostatnich świątecznych przygotowań, krzątały się w salonie, dekorując stół. Właśnie wygładzały niewidoczne zmarszczki na wykrochmalonym białym obrusie, kiedy u drzwi odezwał się dzwonek. Stefcia zerknęła na zegar, którego wskazówki z wolna przetaczały się po cyferblacie. Dochodziła jedenasta trzydzieści.

– Mama? – zapytała Eleonora, mając nadzieję, że Tekla Schramm ocknie się z tego dziwnego amoku i wróci na święta, robiąc wszystkim cudowny prezent.

Stefania pokręciła głową. Ostatnio powinna wierzyć w cuda, ale wątpiła, by matka zjawiła się akurat dziś. Aż tak wierząca nie była. Ruszyła w stronę korytarza. Eleonora stała już w drzwiach i kwitowała odbiór przesyłki.

– Do ciebie, Stefciu. – Podała siostrze mały pakunek.

Stefania zerknęła na stronę, gdzie powinien znajdować się adres nadawcy. Pusto. Otworzyła paczuszkę ostrożnie.

– Czyż to nie twoja apaszka? – zapytała Eleonora.

Stefania skinęła głową. Myślała, że chustka zaginęła, ale najwyraźniej się myliła. W środku znajdował się list. Od razu poznała pismo Jana.

Kochana Stefano,

zapewne myślałeś, że chustka, którą założyłaś na naszą pierwszą wycieczkę do Tyńca, przepadła. Zapomniałaś jej z samochodu. I ja o niej zapomniałem. Na kilka dni przed moim wyjazdem na front pracownicy wypożyczalni odesłali ją na mój adres. Zabrałem ją ze sobą. Przepraszam, że jest w tak kiepskim stanie. Była zawsze ze mną. W czasie deszczu, w czasie ostrzału, kiedy leżeliśmy w błocie i kiedy szliśmy kilometrami bez butów. Cały czas była ze mną i przypominała mi o Tobie. O Tobie i o obietnicy, którą Ci złożyłem.

Że wrócę. Wróciłem.

Ta chustka to niecodzienny prezent, jeżeli w ogóle można nazwać ją prezentem, ale chciałem, żebyś ją miała. Ona stała się dla mnie symbolem wypełnienia obietnicy.

Kiedy do mnie wrócisz, a wierzę, że tak się stanie, dam Ci taki prezent, jaki sama sobie wybierzesz.

Jan

Stefcia przytknęła apaszkę do nosa. Materiał pachniał ziemią, wilgocią, ogniem, ale także Jankiem, za którym tak bardzo tęskniła, a im bardziej tęskniła, tym miała większe wyrzuty sumienia, że kiedy ona na nowo urządzała sobie życie, Mikołaj walczył o swoje. Wciąż czuła się tak, jakby każda myśl o Janie wbijała się w serce Mikołaja.

Zerknęła na Eleonorę, która ze zrozumieniem skinęła głową. Z oczami wypełnionymi łzami Stefcia zamknęła się w ich wspólnej sypialni.

\*\*\*

– Mieliśmy spotkać się dopiero jutro – powiedział Julian, stojąc w salonie Schrammów, do którego wprowadziła go Eleonora, kiedy zajrzał do nich tuż po trzynastej. – Ale nie mogłem sobie odmówić tej przyjemności, żeby dać to dziś. – Mówiąc to, wyciągnął z kieszeni płaszcz niewielką kopertę.

Eleonora sięgnęła po nią ostrożnie. Spojrzała na Juliana, który uśmiechał się szeroko.

– Wiem, że nie powinienem, ale nie mogłem się powstrzymać. Sprawę załatwiłem na początku grudnia. Jeżeli nie zechcesz skorzystać, wszystko odmówię, ale mam nadzieję, że nie pogniewasz się na mnie i nie zarzucisz mi braku szacunku.

Z każdym kolejnym słowem brwi Eleonory unosiły się wyżej. W końcu drżącymi rękami wyciągnęła coś, co w pierwszej chwili wyglądało jak list. Kiedy jednak rozłożyła szeleszczącą kartkę papieru, zauważyła, że to rodzaj potwierdzenia.

– Hotel-Pensjonat w Zakopanem potwierdza rezerwację pokoju dwuosobowego z widokiem na Krupówki... – Eleonora przerwała czytanie.

– Powiedziałem, że jesteśmy małżeństwem. – Julian wyglądał na skruszonego. – To komfortowy dom, byłem tam kiedyś z rodzicami. Pokoje mają wygodne. Ogrzewane centralnie, a dodatkowo, jeżeli ma się ochotę, można samemu rozpałcić ogień w piecu kaflowym. Niektóre z pokoi, także ten, który zarezerwowałem, wyposażone są w łazienki.

Julian podszedł do Eleonory. Zerknął w stronę korytarza, skąd dochodziły odgłosy przedświątecznej domowej krzątaniny. Jan Schramm zniknął w swoim gabinecie od razu, jak tylko przywitał się z Julianem, a Stefania nie pokazała się do tej pory wcale.

Przyciągnął Eleonorę. Uśmiechał się zawadiacko, kusząco. Odkąd zbliżyli się do siebie, nie tylko uczuciowo, ale i cieleśnie, od dnia, kiedy po raz pierwszy byli ze sobą, poczuł się wolny. Nie wstydził się pustego oczodołu zakrytego powieką i ciemną opaską. Nie ukrywał swoich blizn, już mu tak nie doskwierały. Wciąż jeszcze chodził na wizyty do szeptuchy, ale nie tak często. Zresztą przeplatał je wizytami u doktora Kazimierza Kotlarza, który po powrocie z Wiednia, gdzie praktykował w klinikach specjalizujących się w chorobach skórnych, otworzył prywatną praktykę na Niecałej 5.

– Pozwól mi – powiedziała Eleonora, kiedy leżeli wtuleni w siebie tamtego pamiętnego dnia.

Zatrzymał jej rękę. Palce Eleonory zastygły na wąskiej wstążeczce. W końcu rozwiązała kokardkę i zdjęła opaskę. Delikatnie, niczym podmuch letniego wiatru, dotknęła powieki Juliana. Nachyliła się nad nim i pocałowała go. Raz, drugi i trzeci. Od tamtej pory już się nie krępował. Czuł się w obecności Eleonory swobodnie i chciał się tą swobodą cieszyć z dala od potajemnych spojrzeń. Z dala od goniącego czasu i udawania, że nie śpią ze sobą. Poza tym marzył, żeby wreszcie porozmawiać z Eleonorą o ślubie. Teraz, kiedy założyła pierścionek, nie chciał odsuwać tego w czasie. Już dość czekał. Zbyt wiele dni przeleciało im przez palce. Dlatego zerknął na dziewczynę z lekką przyganą.

– Chyba nie zaczniesz oponować? Nigdy nie uwierzę, że boczysz się na mnie za tę rezerwację – kusił ją cichym, zmysłowym głosem. – Zgodzisz się wyjechać, prawda?

– A co powiem ojcu? A jeśli moja matka wróci? A twoja matka? Znienawidzi mnie jeszcze bardziej, kiedy dowie się, że wyjechałam z jej synem.

Eleonora zadawała kolejne pytania, ale Julian wiedział, że robi to tylko po to, aby się z nim droczyć.

– Twój ojciec żyje we własnym świecie. Poza tym mamy lata dwudzieste. Kobiety chcą wolności i całego życia, nieprawdaż? Czy nie tak krzyczałyście na wiecach? A więc bierz to życie we własne ręce. Uwolnij się od konwenansów, które narzuciła ci matka i jej podobne. Wyjedź na kilka dni z Krakowa z mężczyzną, który cię kocha i którego ty kochasz. Jesteśmy dorośli, Eleonoro. Nie musimy przed nikim się tłumaczyć. – Pocałował ją delikatnie, nie pozwalając jej dojść do słowa.

Kusił ją tak zręcznie, że zapomniała o wszystkich wątpliwościach. Jej serce wyrывało się do tego wyjazdu, chociaż rozum cichutko podpowiadał, że jednak powinna zostać w domu. W końcu zgodziła się na krótki wypad do Zakopanego, uciszając małego aniołka, który przycupnął na jednym ramieniu, i dopuszczając do głosu rozweselonego diabełka, któremu na imię było Julian.

\*\*\*

Julian zatrzymał forda T tuż przed kunsztownie kutym ogrodzeniem domu Rozalii. Miał nadzieję, że siostra wciąż czeka. Spóźnił się ponad pół godziny. Zerknął na zegarek: dochodziła czternasta

trzydzieści. Pewnie gdyby nie podjęta w ostatniej chwili decyzja, żeby zajechać do kamienicy Pod Irysami, zdążyłby bez problemu. Ba, byłby grubo przed czasem.

Wysiadł z samochodu i szybkim krokiem ruszył do furtki. Przystanął jednak, ponieważ widok prywatnego parku otaczającego dom Tojewów nieodmiennie go zachwycił.

Pałacyk pokryty tego roku grubą warstwą śniegu wyglądał, jakby ktoś przykrył go puchową kołderką chroniącą przed zimowymi mrozami. Wolno sunąca ku niebu strużka dymu zawijała się, kręciła i w końcu wtapiała w szarobłękitne bezchmurne niebo. Julian zadarł głowę. Niebawem zaczną pojawiać się gwiazdy. Nacisnął klamkę i ze skrzyknięciem stanął na pokrytej zdeptanym śniegiem ścieżce prowadzącej do głównego wejścia.

– Nareszcie! – zawołała Rozalia. – Zastanawiałam się, czy przypadkiem nic się nie stało. Przestraszyłeś mnie. Zawsze taki punktualny – gderała, wpuszczając go do środka.

– Przepraszam – ukorzył się Julian. – Spontanicznie podjąłem decyzję, żeby odwiedzić Eleonorę. Chciałem jej jeszcze dziś przekazać prezent, chociaż umawialiśmy się na spotkanie jutro po obiedzie.

– Och, zakochani. – Rozalia westchnęła teatralnie, ale coś w jej głosie sprawiło, że Julian zerknął na nią badawczo.

Odniósł wrażenie, że przy słowie „zakochani” jej głos zadrżał delikatnie.

– Dlaczego musiałam czekać na ciebie w domu, skoro mogłam sama dostać się do rodziców? – zapytała, celowo zmieniając temat. – Czy jest coś, o czym nie wiem?

– Chciałem dać ci prezent – odparł Julian.

– Prezent? – Rozalia zlustrowała sylwetkę brata. Zajrzała nawet za jego plecy i rozłożyła ręce w bezradnym geście, dając do zrozumienia, że nie widzi żadnego podarku. – A czy przypadkiem nie powinniśmy obdarować się po kolacji? Mój prezent dla ciebie leży spokojnie pod choinką w salonie w Zakrzówku. Jeżeli chciałeś dać mi coś w tajemnicy, to wybrałeś najmniej odpowiedni sposób. Matka od razu zacznie zadawać pytania – skwitowała Rozalia.

– Nie martw się, nie zacznie. Pod choinką położyłem coś symbolicznego. To, co chciałem ci dać, mogłoby pociągnąć za sobą zbyt wiele pytań. Nie żebym ja ich nie miał. Po pierwsze, dlaczego nie powiedziałaś, że piszesz powieść?

– Skąd wiesz? – Rozalia otworzyła szeroko oczy. Serce zaczęło jej bić przyspieszonym rytmem.

– Może nie czytuję „Nowości Ilustrowanych” tak systematycznie jak choćby „Ilustrowanego Kuriera Codziennego”, ale niekiedy zmuszony jestem przejrzeć i inne tytuły. Wyobraź sobie moje zdziwienie, kiedy natknąłem się w nich na powieść w kawałkach podpisaną przez moją siostrę. Przeczytałem. Musiałem przeczytać, a że był to już któryś odcinek z rzędu, sięgnąłem też po archiwalne egzemplarze. Czekam na ciąg dalszy. Masz talent, siostrzyczko. A mając taki talent, nie można... – Przerwał w pół słowa i skierował się w stronę drzwi. – Zaraz wracam – dodał, prosząc Rozalię, żeby została w bibliotece.

– ...nie można pisać na pierwszej lepszej maszynie. – Skończył zdanie, taszcząc w rękach nowiusieńki model maszyny do pisania.

Rozalia aż pisnęła z radości. Podbiegła do Juliana i zarzuciła mu ręce na szyję, wtulając się w jego ramiona.

– Chyba czytasz w moich myślach. Ta, na której pracuję... Szkoda słów.

Z uwielbieniem wpatrywała się w nowiutką, lśniącą, czarną maszynę Remingtona. Dotykała jej z czułością.

– Rosenblatt poinformował mnie, że właściciel małego handelku na Berka Joselewicza spodziewa się większego transportu maszyn do pisania z Ameryki. Dostałem od mojego asystenta numer telefonu i kiedy dowiedziałem się, że będą jeszcze przed świętami, nie namyślając się długo, obstałowałem jeden egzemplarz dla ciebie.

– Kocham cię, braciszku. Dziękuję, dziękuję. – Rozalia była rozpromieniona.

– Cieszę się, że sprawiłem ci tyle radości, ale wierz mi, jeżeli za chwilę nie wyjdziemy, cała ta radość zniknie, kiedy matka powita nas w progu.

Rozalia pospieszyła do garderoby. Szybko narzuciła na siebie przygotowane ubranie. Nakładając

kapelusz, raz jeszcze zerknęła w lustro. Matka powinna być ukontentowana. Żadnych ekstrawagancji. Rozalia zrezygnowała z garsonki z powodu awersji, jaką hrabina miała wobec kobiet chodzących w spodniach. W sumie dziękowała Julianowi, że uparł się ją odebrać, ponieważ w sukience z rękawami trzy czwarte z pewnością by zmarzła. Nie pomogłyby ani pończochy, ani płaszcz z szerokim kołnierzem z lisa. Półbuciki na wysokim obcasie, mocno wycięte, zapinane na wąski paseczek okręcany wokół kostki, też nie bardzo nadawały się na takie mrozy, ale czasami gotowa była pocierpieć dla świętego spokoju. Spojrzała w lustro po raz ostatni.

– W porządku – szepnęła, łapiąc za rękawiczki i malutką torebkę.

W drodze do samochodu trzymała się Juliana kurczowo, starając się nie upaść na śliskiej drodze.

– Rozalia! Rozalia! – usłyszała znajomy głos.

Zatrzymała się tuż przy fordzie. W jej kierunku biegł Jacek.

– Miałem nadzieję, że będziesz w domu. – Dyszał, wyczerpany biegiem.

– Czy coś się stało? – zapytała zdenerwowana.

Julian przyglądał się całej scenie z zainteresowaniem. Gdzieś już widział tego chudego podrostka. Tak, przypomniał sobie: to on otworzył drzwi na Łobzowskiej 14. To on mieszkał w starej ruderze, którą miasto co roku skazywało na wyburzenie, do czego nikt się potem nie kwapił.

– Nie – odparł, łapiąc powietrze. Jego oddech powoli się uspokajał. – Eryk prosił, żebym ci to dał. To prezent na Gwiazdkę. – Mówiąc to, Jacek gmerał w kieszeniach marnego, wyświechtanego płaszczyka, który z pewnością nie chronił przed mrozem.

W końcu chłopak wręczył jej niewielką paczuszkę. Rozalia chciała jeszcze o coś zapytać, ale on odwrócił się na pięcie i pobiegł w stronę Wielickiej.

Wyciągnęła z zawiniątka metalowe serce zawieszona na srebrnym łańcuszku.

– To nieśmiertelnik. – Julian stanął tuż obok Rozalii. – Dowiem się, o co w tym wszystkim chodzi?

– Jedźmy. Nie chcemy się spóźnić, prawda?

Popatrzył na siostrę, ale Rozalia już zajmowała miejsce obok kierowcy. Nie miała zamiaru odpowiadać na pytanie, a on nie zamierzał naciskać. Drogę do Zakrzówka pokonali w milczeniu. Rozalia wpatrywała się w pejzaż za oknem, ściskając w dłoni tajemniczy podarunek. W końcu na horyzoncie pojawił się zarys rodzinnego domu. Julian westchnął, nie zdając sobie z tego sprawy. Miał nadzieję, że nie pożałuje decyzji, żeby kolację wigilijną spędzić z rodziną.

Pożałował, kiedy tylko przekroczył próg. Wystarczyło jedno spojrzenie, by wiedzieć, że matka jest nie w humorze. Chociaż usilnie starała się przywołać na usta uśmiech, witając się z Rozalią, skrzywiła się niemilosiernie.

Ojciec był bardziej wylewny. Przytulił Rozalię, poklepał Juliana po ramieniu. Chciał poprowadzić ich do salonu, ale Józefa stanowczo zaprotestowała.

– Już późno – powiedziała urażona. – Zasiądźmy do stołu.

I nie czekając na pozostałych, ruszyła w kierunku jadalni. Spojrzeli na siebie skonsternowani. Ojciec wzruszył ramionami. Nie widział się z nią od jakiegoś czasu – jeszcze przed południem zaszyła się w swojej sypialni. Wyszła z niej dopiero przed przybyciem dzieci. Nos miała spuszczonej na kwintę i gdyby nie znał swojej żony, pomyślałby, że płakała. Tak było w istocie – rzecz w tym, że hrabina Michałowska płakała z wściekłości, której nie mogła wykrzyczeć.

W jednym z kątów wielkiej sali jadalnej stał ogromny słup z suchych zbóż, symbolizujący jesienny urodzaj i nadzieję na płodny kolejny rok.

– Mogła mama powiedzieć, że postawi go tutaj. Z pewnością przyniosłbym małe czerwone jabłuszka, które tak lubiliśmy wieszać na nim z Rozalią – odezwał się Julian, aby rozluźnić nieco drętą atmosferę.

Prawdę mówiąc, miał ochotę odwrócić się na pięcie i uciekać, gdzie pieprz rośnie, a najlepiej zaszyć się z rodziną Schrammów w ich przytulnym salonie.

– Ja przynajmniej pamiętałam, żeby zabrać jabłka dla naszych koni.

Na słowa córki Michałowska zacisnęła zęby.

– Mam zamiar wymknąć się po kolacji do stajni i sprawdzić, czy zaczną mówić. – Rozalia starała się nie zwracać uwagi na dziwne zachowanie rodzicielki. Zdażyła już przywyknąć do jej fochów.

– Chciałbym rzucić okiem na choinkę – zagadnął Julian.

– Nie ma takiej potrzeby. Choinka jak choinka. Po kolacji zbierzemy się tam, żeby wręczyć prezenty. Siadajcie, skoro wszystko jest już gotowe – dyrygowała Józefa.

Michałowski, nie chcąc drażnić małżonki, zajął miejsce u szczytu stołu. Śnieżnobiały obrus tego wieczoru przybrano gałązkami świerkowymi, a kompozycja stojąca pośrodku była oryginalna i równie piękna jak tradycyjne cięte kwiaty.

Hrabina zajęła miejsce przy drugim końcu stołu, a Rozalia i Julian siedli po obu jego stronach. Tego wyjątkowego dnia, w odróżnieniu od innych uroczystych kolacji, kiedy potrawy podawała służba, wszystko było przygotowane wcześniej. Zupa grzybowa stała w wielkiej białej wazie. Julian poczuł, że burczy mu w brzuchu. Lubił grzybową, ale miał cichą nadzieję, że matka zarządzi przygotowanie migdałowej lub rakowej. Przypuszczał jednak, że drożyzna wyeliminowała tego typu frykasy z wielu domowych jadłospisów.

– Wszystko wygląda wyśmienicie – odezwał się wreszcie starszy hrabia Michałowski. – Karp jak zwykle zachęcający, aż ślinka cieknie. Wędzony węgorz też pachnie niebiańsko.

– Nie ma to jak groch z kapustą – roześmiała się Rozalia, która już od dziecka uwielbiała tę potrawę.

Czekała na wigilijną wieczerzę cały rok z utęsknieniem i zawsze narzekała, że matka zmusza ją do jedzenia zup, ryby i innych potraw, kiedy ona miała ochotę tylko na groch z kapustą. Bardzo chciała nałożyć sobie sporą porcję, ale wiedziała, że swoim zachowaniem jeszcze bardziej rozżłościłaby matkę. Pamiętała czasy, kiedy przed kolacją, na którą zapraszano gości, zaszywała się w kuchni i pod czujnym okiem Katarzyny podjadała, żeby uciszyć głód i nie skompromitować się przy stole głośnym burczeniem w brzuchu. Poza tym, jak mawiała Michałowska, dobre wychowanie i przykazanie przestrzegające przed obżarstwem nakazuje skosztowanie potrawy, a nie napchanie się do syta. Do końca można było zjeść tylko zupę, ale cóż z tego, kiedy matka zawsze nalewała tylko jedną chochlę.

– Po co tyle jedzenia na stole, skoro nie można go zjeść? – pytała mała Rozalia, wpatrując się w ojca, który również z utęsknieniem wodził oczami po pachnących przysmakach.

– Żeby zapewnić sobie obfitość na nadchodzący rok. – Józefa krótką, stanowczą odpowiedzią uciniała wszelkie dyskusje.

Od tamtej pory nic się nie zmieniło. Dziś też hrabina nalała każdemu po jednej chochli grzybowej. Na najedzenie się do syta nie było szans. Całe szczęście nic się nie zepsuje, pomyślała Rozalia, wiedząc, że raz usunięta ze stołu potrawa już nigdy na stół nie wróci, za to trafi do kuchni, gdzie zniknie w brzuchach służby. Niech przynajmniej inni poczują, że są święta, dodała w myślach, ciesząc się głębokim smakiem zupy, po mistrzowsku przygotowanej przez Katarzynę.

Reszta kolacji upłynęła im w milczeniu. Ciężkim, niepokojącym, drażniącym milczeniu.

Hrabia Michałowski podniósł się ze swojego miejsca.

– Podzielmy się opłatkiem.

Życzenia były krótkie i chłodne. Nie było w nich rodzinnego ciepła, miłości i bliskości, za którymi już od dziecka tęskniła Rozalia. Tylko Julian, tuląc ją i życząc jej wszystkiego dobrego i spełnienia marzeń, okazał jej morze braterskiego przywiązania.

– W takim razie czas na prezenty. – Michałowski poprowadził ich do salonu, gdzie główną rolę odgrywała ogromna, błyszcząca od zapalonych świec choinka. Malutkie drgające płomyczki odbijały się od powierzchni kolorowych bombek, iskrząc się niczym gwiazdy na niebie.

– Jest piękna – pochwaliła Rozalia, podchodząc bliżej. – Taka kolorowa, błyszcząca. Nie wiem jak wy, ale ja mam wrażenie, że śmieje się do nas.

– Fanaberie. – Ostry głos Józefy ostudził budzącą się świąteczną radość, której nie odczuwali przy wigilijnym stole.

– Może rozdamy podarunki? – Aleksander starał się mówić radośnie, ale urażona mina Józefy psuła wszelkie próby wykrzesania rodzinnej atmosfery.

Julian sięgnął po prezent, który przygotował dla Rozalii. Podał jej cieniutką kopertę. Siostra uniosła brew. Podszedł do niej, wykorzystując moment, w którym matka rozpakowywała swoje podarunki.

– Otwórz – powiedział.

Odczekał chwilę. Rozalia wyciągnęła małą wizytówkę. Na jej odwrocie ktoś zapisał dzień i godzinę.

– Czyżby spotkanie? – zapytała.

– Udzielałem im niedawno porady prawnej. Niedługo po tym, jak przeczytałem to, co przeczytałem – powiedział tajemniczo. – I kiedy miałem wystawić rachunek za swoje usługi, pomyślałem, że czasami warto wrócić do starego dobrego systemu wymiany dóbr. Umówiłem cię na spotkanie z redaktorem naczelnym u Gebethnera, panem Aleksandrem Słapą, który od zeszłego roku kieruje wydawnictwem.

– Ależ Gebethner zajmuje się wydawaniem podręczników dla szkół elementarnych i uczelni wyższych – zachnęła się Rozalia.

– Nic bardziej mylnego. Od dawna interesują się też beletrystyką. Nic nie stracisz, a możesz zyskać. Jesteś dobra, Rozalio. Nigdy nie daj sobie wmówić, że jest inaczej.

Jakby na potwierdzenie słów Juliana odezwała się Michałowska:

– O czym tak spiskujecie? – zapytała, tnąc ostrym niczym brzytwa głosem ciężkie powietrze.

Atmosfera w salonie jeszcze bardziej zgęstniała. Aleksander chciał zaprotestować, ale Józefa uciszyła go gestem dłoni.

– O niczym nie spiskujemy, mamó – odezwał się Julian, starając się załagodzić rodzący się konflikt.

– Ach, jak to miło z twojej strony, że wciąż jeszcze stajesz w obronie siostry. Niemniej jednak odnoszę wrażenie, że Rozalia od dawna nie potrzebuje już rycerza w lśniącej zbroi. Zresztą znajduje ich sobie na pęczki, prawda?

– Mamó! – Julian uniósł głos, chcąc utemperować rozzłoszczoną hrabinę. – O czym, na Boga, mama mówi?

– Nie przyzywaj imienia Pana Boga nadaremnie, tym bardziej teraz. Ty, Rozalio, doskonale wiesz, o czym mówię. Klnę się na własną matkę, nich spoczywa w pokoju, że nie miałam zamiaru poruszać tego tematu, ale...

– Więc niech mama nie porusza – wtrącił się Julian.

Rozalia nadal nie powiedziała ani słowa.

– Prosiłam, żebyś się nie wtrącał. Ale to, co odkryłam dziś, przelało czarę goryczy. Już od dłuższego czasu dochodziły mnie słuchy, jak skandalicznie prowadzi się moja córka. Najpierw ten pomysł z rozwodem. Nie mogę uwierzyć, że chciałeś, Julianie, brać w tym udział.

– Mamó, nie bądźmy hipokrytami. Czy lepiej, żeby Tojew i Rozalia prowadzili podwójne życie? Zresztą sprawa jest już dawno nieaktualna. Tojew nie żyje.

– O, tak. Nie żyje i wciąż słyszę, że moja córka wymodliła jego śmierć. Wiem, że to wstrętne kalumnie, które rozsiewa po mieście rozgoryczona matka Tojewa, ale mogę ją zrozumieć. Gdybyś nie prowadziła się w taki sposób, nie dałabyś jej do rąk karty przetargowej.

Michałowska przerwała na chwilę. Rozalia nadal milczała, czym doprowadzała matkę do jeszcze większego wzburzenia.

– Potem skandaliczne zachowanie na pogrzebie Mikołaja i rezygnacja z przestrzegania żałoby. Dziś zaś nakryłam nasze pokojówki chichoczące po kątach. Jakież było moje zdziwienie, kiedy okazało się, że jakaś marna opowiastka wydrukowana w „Nowościach Ilustrowanych” została podpisana przez Rozalię Arenstein. Nie masz prawa szastać moim rodzowym nazwiskiem na prawo i lewo! Zabraniam. To wstrętne, ohydne i wzbudza we mnie obrzydzenie. Jak moja własna córka może w taki sposób upokarzać rodziców? Jak możesz zniżyć się do poziomu pisareczki?

– Józefo, uspokój się. – Aleksander podszedł do żony, chcąc ją przytulić, ale Michałowska wyrwała się z jego objęć.

Zbliżyła się do Rozalii i złapała ją za ramiona.

– A, i zapomniałabym. Jeszcze ten chłoptaş, z którym ponoć się spotykasz. Nie, nie rób takiej miny. Kraków to małe miasto, a kiedy córka hrabiego łajdaczy się po nocach, prowadząc się z byle kim, nie sposób tego nie zauważyć.

– Dosyć tego! – krzyknęła Rozalia, wyrwijając się z uścisku matki. Hrabina patrzyła na córkę w osłupieniu.

W salonie zaległa idealna cisza, którą przerywało tylko skwierczenie palących się świeczek na choince.

– Mogłam znieść obelgi dotyczące mojego stylu życia, w tym sposobu na zarabianie pieniędzy. Zagryzałam wargi, kiedy nachodziła mnie matka Mikołaja. To głównie z jej powodu podjęłam się pracy u handlarza na Rynku, któremu prowadzę buchalterię. Dzięki tym bezceństwom, które drukują „Nowości Ilustrowane”, mogłam myśleć o oddaniu tego, co zostawił mi Mikołaj, ale teraz wiem, że to było złe myślenie. Gdyby Mikołaj nie chciał, żebym dostała jego majątek, zapisałby go swojej matce. Nie wiem jeszcze, co z nim zrobię, ale jedno wiem na pewno: nie oddam go nikomu. Co nie znaczy, że przestanę robić to, co kocham. A uwielbiam pisać. I nie przestanę, matko. Nie przestanę. Jedno mogę ci obiecać: twoje nazwisko, czy to rodowe, czy po mężu, nigdy nie pojawi się pod niczym, co wyjdzie spod mojego pióra. Nigdy. – Rozalia rozejrzała się po pokoju. – A, i proszę nigdy nie szargać imienia człowieka, o którym nie ma mama pojęcia.

Ojciec stał oniemiały. Julian uśmiechał się do siostry krzywo, unosząc brew. Miała wrażenie, że najchętniej zaczęłyby bić brawo, ale z uwagi na dobre wychowanie powstrzymał się od tak ostentacyjnego okazania jej poparcia. Józefa Michałowska była blada jak prześcieradło.

– Wiedziałam, że robię duży błąd, przychodząc tutaj – odezwała się ponownie Rozalia. – Zrobiła to głównie przez wzgląd na ojca, ale teraz wybaczenie. Muszę coś załatwić. Muszę... – Urwała w pół słowa i szybkim krokiem ruszyła w stronę korytarza.

Odgłos ciężkich kroków gonił ją z każdym metrem. Obejrzała się przez ramię. To Julian podążał za nią.

– Zawiozę cię na Łobzowską, bo tam chcesz jechać, prawda? – zapytał, chociaż nie musiał.

Rozalia skinęła głową. Była mu wdzięczna, że nie komentował. Nie próbował jej zatrzymywać. Rozumiał ją jak nikt inny.

– Wiesz, że były czasy, kiedy myślałam, że nie znajdziemy wspólnego języka?

Julian przytrzymał płaszcz Rozalii. Skinął głową. On też kiedyś tak myślał.

– Całe szczęście mamy je za sobą.

\*\*\*

Eryk przyglądał się ojcu. Marcel Zdanowski stanął na wysokości zadania i od kilku dni nie tknął alkoholu. Pomagał w skromnych przygotowaniach do świąt. Udało mu się nawet załatwić drzewko, a młodsze dzieci z radością je przyozdobiły. Nawet Jacek chętnie sięgnął po kolorowe papierki, z których formował zabawne kokardki.

Eryk westchnął. Od czasu, kiedy Adam, jego młodszy o rok brat, zginął na wojnie, w domu Zdanowskich zawsze stawiano dwa puste nakrycia.

Właśnie skończyli skromną, ale przyjemną kolację. Ponieważ ojciec był trzeźwy, w domu panowała radosna, iście świąteczna atmosfera. Eryk starał się cieszyć razem z młodszym rodzeństwem, które padło na kolana tuż obok choinki, szukając pod nią skromnych prezentów. Michał podskoczył z radości, kiedy jego oczom ukazał się model lokomotywy parowej. Halinka i Madzia już bawiły się lalkami, przekrzykując się, czyja szmacianka jest piękniejsza. Jacek usiadł w kącie z nosem w książce, którą Eryk kupił w składzie Krzyżanowskiego na św. Tomasza 36. Zaciągnął go tam Augustyn.

– Uwielbiam Jacka. Traktuję go tak jak ty, jak młodszego brata. Pozwól mi więc dorzucić swoje trzy grosze do prezentu.

Pozwolił. Nie przypuszczał tylko, że przyjaciel odwiedzi z nim najpopularniejszy skład książek



w mieście, który od lat był miejscem spotkań krakowskiej elity.

– Nie martw się. Cóż z tego, że przychodził tu sam Sienkiewicz, Rubinstein albo Brahms. I oczywiście młody Paderewski. Stary Krzyżanowski wiedział, co robi. To była świetna reklama dla interesu, który teraz pręźnie działa i pozwala kolejnemu właścicielowi na wygodne życie – mówił Augustyn, ciągnąc Eryka w stronę składu. – Mój ojciec miał przyjemność poznać pana Mariana. Moja matka uwielbia go za poczucie humoru. „To wspaniały anegdociarz i kawalarz”. – Augustyn zaczął naśladować słodki głos pani Grimm. Eryk musiał się roześmiać.

– Ojciec kupił u niego kilka białych kruków, które Krzyżanowski trzyma pod ladą albo za grubym przepierzeniem. Sprzedaje je tylko przyjaciołom. Wieść niesie, że nie każdemu je pokazuje. Inna z kolei plotka mówi, że wśród ksiązek Krzyżanowski ma schowane jeden lub dwa gąsiorki. – Augustyn nie zwalniał kroku. Co chwila zerkał na Eryka. – Pan Marian praktykował u najlepszych księgarzy w Europie. Ponoć chcieli go zatrzymać w Wiedniu, a nawet w Paryżu. Kobiety zachodzące do tamtejszych księgarń uwielbiały go. Przyciągał bardziej niż najlepsze powieści. Potrafił sprzedać książkę, której nikt nawet nie zauważał. A potem wrócił do Krakowa, zaczął pracować z ojcem i godzinami przebywać w składzie nut, gdzie przychodziły najpiękniejsze i najzgrabniejsze panny z miasta. A potem się ożenił i wszystko się skończyło. Skład nut, panny i swawola. Został tylko skład, który kwitnie pod rządami młodego Krzyżanowskiego, bo, jak się coraz częściej mówi na mieście, jego ojciec jest bardzo schorowany.

Gdy wreszcie dotarli do księgarni, kupili jedno z pierwszych wydań *Konika garbuska* Piotra Jerszowa z przepięknymi ilustracjami. Augustyn dołożył większą część ceny.

– Nie szkodzi, że Jacek to nastolatek. Każdy musi mieć *Konika garbuska* – skwitował, kiedy wyszli na zewnątrz.

Przyglądając się teraz bratu pochłoniętemu baśniową historią, Eryk musiał przyznać Augustynowi rację. Miał ochotę wypytać Jacka o dzisiejsze spotkanie z Rozalią, ale po pierwsze nie chciał chłopakowi przerywać, a po drugie nie miał ochoty wystawiać się na ciekawskie pytania matki, która już i tak podejrzewała, że z synem dzieje się coś dziwnego.

– Jesteś chory? – pytała go co chwila, kiedy zamyślał się w czasie kolacji.

Uśmiechał się wówczas i zapewniał, że czuje się doskonale. Jacek za każdym razem puszczał do niego oko, śmiejąc się pod nosem.

Odgłos zatrzymującego się nieopodal samochodu przywrócił Eryka do rzeczywistości. Zerkał na wysłużony zegar, który od lat wisiał w kuchni. Dochodziła osiemnasta trzydzieści. Posiedzę jeszcze z godzinkę, pomyślał.

Delikatne pukanie do drzwi sprawiło, że w małym, skromnym mieszkaniu Zdanowskich zrobiło się cicho jak makiem zasiał.

– To na pewno zbłąkany wędrowiec! – zawołała najmłodsza Madzia i zanim ktokolwiek zdążył zareagować, porwała się do drzwi. – Nie wyglądasz na zbłąkanego wędrowca – powiedziała, cofając się do środka.

Eryk w trzech krokach znalazł się tuż obok siostry.

– Przyjmiecie potrzebującego rodzinnego ciepła? – zapytała Rozalia.

Patrzył na nią w osłupieniu. Bez słowa zaprosił ją do środka. Nawet nie chciał myśleć, jak biednie i żałośnie musi wyglądać jego rodzinny dom w oczach córki hrabiego Michałowskiego.

– Mamo, tato – odezwał się, wprowadzając Rozalię do kuchni. To tam spożywali wigilijną kolację. – Chciałbym wam przedstawić Rozalię Tojew.

– Dobry wieczór – odezwała się Rozalia nieśmiało. – Przepraszam za najście. Właściwie nie wiem, co sobie myślałam, przyjeżdżając tutaj. Ja... – Urwała i ruszyła w stronę drzwi.

– Ani się waż! – wykrzyknął Jacek, zastępując jej drogę.

– Jacek! Na Boga! – krzyknął Marcel Zdanowski. – Pani wybacz mojemu synowi.

W izbie zapadła cisza, którą przerwał głośny, szczery śmiech Rozalii. Śmiała się i śmiała, aż w końcu śmiech zmienił się w płacz. Dopiero tu dopadło ją zmęczenie. Dopiero tu dotarło do niej, w jak okrutny sposób została potraktowana przez matkę. Wreszcie zrozumiała, jak bardzo brakowało jej

Eryka. Chciał ją przytulić, ale ona odsunęła się na tyle, żeby rozsunać poły płaszcza. Powolnym ruchem odsunęła też szal. Oczom Eryka ukazał się jego nieśmiertelnik, który dał przerobić jednemu z jubilerów. Dopiero potem podeszła do niego i wtuliła się w jego ramiona. Nie przejmowała się widownią, chociaż gdyby mogła spojrzeć przez ramię, widziałaby, że Jacek pogonił młodsze rodzeństwo do malutkiego pokoiku tuż przy kuchni, a rodziców do większego po drugiej stronie korytarza.

– Wiem, że rzucam się z motyką na słońce, ale jadąc tu, wszystko sobie przemyślałam. Nie wiem jeszcze, co z tego wyniknie, ale nie chcę już dostawać twoich listów. Nie chcę czekać na kolejne spotkanie z tobą. I nie interesuje mnie, co pomyślą sobie ludzie, szczególnie moja matka. Mam pewien plan, a pan, panie Ośle, jest jego główną częścią składową – powiedziała, odsuwając się od niego na wyciągnięcie ramion.

– Gdyby ktoś powiedział, że zakocham się od pierwszego wejrzenia, to wyśmiałbym go od razu. Chociaż nie, zakochałem się od pierwszego słowa. Podskórnie wiedziałem, że będą z tobą same problemy. Od pierwszej chwili, kiedy zorientowałem się, że ta cholerna taksówka była zajęta. – Eryk zamilkł na chwilę.

– Wyduś to w końcu z siebie! – krzyknął Jacek, wystawiając głowę z dziecięcego pokoiku.

– Wyduś to w końcu z siebie – zawtórowała mu Rozalia.

– Kocham cię – powiedział Eryk, przytulając ją z całej siły.

– Alleluja! – rozniosło się po domu Zdanowskich.

\*\*\*

Michałowska kręciła się jeszcze chwilę po salonie. W końcu ruszyła w stronę korytarza. W drzwiach zatrzymał ją głos Aleksandra.

– Jak mogłaś, Józefo? Jak mogłaś tak potraktować naszą córkę? – Hrabia stał przy oknie i spoglądał w panującą za oknem ciemność, rozjaśnioną jedynie białą leżącego śniegu. Józefa wróciła do salonu i stanęła obok jednego z foteli.

– Nie rozumiem cię, Aleksandrze. Masz pretensje do mnie? A czy zanim powiedziałeś cokolwiek, chociaż przez chwilę pomyślałeś, żeby przeczytać to, co wyszło spod pióra twojej córki?

– Otóż, moja droga, zdziwisz się: czytałem to, co napisała nasza córka.

– Czytałeś?! – krzyknęła po raz pierwszy tego wieczoru Michałowska.

Jej podniesiony głos rozniósł się po domu. Dotarł zapewne i do kuchni, gdzie panowała niemała konsternacja. Katarzyna od dłuższego czasu siedziała przy suto zastawionym stole, ale nie przełknęła ani kęsa. Kiwała tylko głową z powątpiewaniem na postępowanie pani hrabiny. Takich świąt jak te nie pamiętał chyba najstarszy pracownik folwarku w Zakrzówku.

– Czytałeś? – zapytała Józefa już spokojniej. – I nie miałeś zamiaru mnie uprzedzić? Jakim cudem w ogóle dowiedziałeś się o tych wypocinach?

– Jakiś czas temu wracałem do domu spacerkiem z kancelarii Juliana. Była piękna pogoda i chciałem z niej skorzystać. Po drodze spotkałem Mariana Dąbrowskiego, którego, jak wiesz, znam od lat, i chociaż trudno naszą znajomość nazwać przyjacielską czy choćby koleżeńską...

– Na Boga! – krzyk żony wytrącił Aleksandra z rytmu. – Czy powiesz mi w końcu, jak się dowiedziałeś?

– Gdybyś dała mi dokończyć, już byś wiedziała. Usiądź i uspokój się.

Ton Michałowskiego nieco się zmienił. Nie było w nim już łagodnych nut, tak charakterystycznych dla pana domu. Nie było spokoju, tak w głosie, jak i na stężałej od gniewu twarzy. Michałowska przysiadła na fotelu, przy którym dotychczas stała. Od dawna, a może nawet nigdy, nie widziała męża w takim stanie.

– Na czym skończyłem? A! Czy koleżeńską, ale kiedy mamy okazję spotkać się przypadkiem, zawsze ucinamy sobie przyjemną pogawędkę. I właśnie w trakcie naszej ostatniej rozmowy Marian Dąbrowski powiedział, że nasza córka była u niego w redakcji. Wówczas nie wiedział jeszcze, w jakiej sprawie, ponieważ redaktor, który miał z nią spotkanie, nie dowiedział się powodów, dla których tak

usilnie chciała z nimi porozmawiać. Ponoć doszło do jakiegoś nieporozumienia. Jak wiesz, w środowisku wydawniczym nic się przed nikim nie ukryje. Dlatego niebawem w „Ikacu” dowiedziano się, że „Nowości Ilustrowane” wydają w kawałkach powieść Rozalii. Kiedy o tym usłyszałem, musiałem ją przeczytać, i nie widzę w niej nic, co mogłoby być powodem twojego haniebnego zachowania. Nasza córka ma prawdziwy talent. I docenili to nie tylko redaktorzy gazety, ale i czytelnicy; wiem z dobrego źródła, że już po pierwszym odcinku zaczęły do redakcji napływać listy z zapytaniem, czy nastąpi ciąg dalszy. Wstyd mi za twój dzisiejszy wybuch.

– A mnie wstyd, że ty, hrabia Michałowski, jesteś gotowy zniżyć się do takiego poziomu. Jak możesz być dumny z córki, która pisze! To prawie tak wstrętne jak córka, która grywa na scenie, jak swego czasu ta mała Schrammówna.

– Zawsze wiedziałem, że jesteś niecodziennym snobem, Józefo.

– Mam ku temu powody. Nazwisko Arenstein zostało w ten sposób zbrukane. Nazwisko, którego genealogia...

– Które ma krótszą tradycję niż nazwisko Michałowski! – przerwał jej wściekły już Aleksander. Spojrzała na niego niepewnie. – Kocham cię pomimo twych wad, które ostatnimi czasy urosły do absurdalnych rozmiarów, dlatego przez lata całe trzymałem w tajemnicy to, czego się dowiedziałem, gdy swego czasu chciałem potwierdzić prawdziwość twoich słów. To niedorzeczność. Twój ród nigdy nie miał nic wspólnego z cesarzem Fryderykiem Barbarossą. Nie wiem, czy nie byłaś tego świadoma, czy celowo dodawałaś sobie tymi wymysłami animuszu. Nie interesują mnie twoje pobudki.

W salonie zapadła ciężka, nieznośna cisza.

– Mam nadzieję, że zaprzestasz atakować nasze dzieci, a w szczególności Rozalię.

– Nie zamierzam patrzeć, jak nasza córka prowadzi się z jakimś mężczyzną z podejrzanego środowiska.

– Do mnie też dotarły pewne plotki. Masz rację: to małe, zaściankowe miasteczko, chociaż chcemy je widzieć jako wielką europejską metropolię. Popytałem. Ten młody mężczyzna nazywa się Eryk Zdanowski. Eryk Zdanowski, kochanie – powtórzył Aleksander, dając Józefie do zrozumienia, że ma zapamiętać jego imię. – To bardzo porządny, odpowiedzialny człowiek. Nie każdy ma szczęście urodzić się w arystokratycznej rodzinie. Też nie patrzyłem kiedyś dalej niż na czubek własnego nosa. Oczywiście, wciąż drażnią mnie pewne nowinki, ale wojna zmieniła moje zapatrywania. Wojna zmieniła wszystko, jeśli jeszcze nie zdążyłaś zauważyć. Nic już nie jest takie samo i już nie będzie. Ludzie się zmienili, chociaż wciąż są wśród nas tacy, którzy owych zmian nie dostrzegają lub nie chcą dostrzec. Są i tacy, którzy pluli, plują i będą pluć jadem niezależnie od czasów, w jakich przyjdzie im żyć.

– Nasza córka – powiedziała Józefa już nieco spokojniej – może ponownie wyjść za mąż. Za człowieka bardziej odpowiedniego. – Nie dawała za wygraną.

– Za niedługo pochodzenie nie będzie już miało znaczenia. Finanse, majątek zawsze, ale to ludzie zaczną osiągać własnymi rękami. Inicjatywą. Wykształceniem, które będzie mógł zdobyć każdy. A Eryk Zdanowski dzięki pomocy, jaką otrzymał od Eugeniusza Grimma, jest nie tylko człowiekiem wykształconym, ale także z perspektywami. Niedawno zdobył licencję pilota i wieść niesie, że na początku przyszłego roku wybiera się wraz z Augustynem Grimmem do Poznania, żeby na tamtejszym lotnisku szkolić się na pilota myśliwców. A nawet gdyby nie był pilotem, tylko zwykłym, dajmy na to, nauczycielem – czy nie zauważyłaś, że twoja córka kocha tego człowieka?

– Miłość – prychnęła Michałowska. – Miłością nikt się jeszcze nie najadł.

– Miłość daje siłę – powiedział Aleksander. – Jej brak ją odbiera. – I bez słowa, powłócząc nogami, jakby opadły z niego resztki niedawnej energii, skierował się do korytarza.

– Dokąd się wybierasz? – zapytała Michałowska z obawą w głosie.

Coś w postawie jej męża wzbudziło jej niepokój. Coś w jego wzroku, kiedy patrzył na nią, wypowiadając ostatnie słowa, sprawiło, że serce zatrzepotało jej ze strachem.

– Muszę się przejść. Muszę zaczerpnąć świeżego powietrza. Zajrzę do stajni. Może konie zaczną mówić ludzkim głosem. – Zaśmiał się sztucznie, zamykając za sobą drzwi.

Przez dłuższą chwilę chodził bez celu. Po prostu spacerował po zaśnieżonym parku otaczającym

dworek. W końcu ruszył w stronę browaru i gorzelni. Produkcja nie szła już tak jak kiedyś, za co sam był odpowiedzialny. Zresztą od dawna czuł, że brakuje mu energii, która dawniej buzowała mu w żyłach. Miał śmiałe plany, ale one pozostały niestety tylko w strefie marzeń. Może gdyby bardziej naciskał, cukrownia, którą chciał uruchomić, już by pracowała? Przecież mógł to zrobić. Miał wspólników. Kapitał. Chęci. Wszystko przerwała wojna, a po jej zakończeniu nic już nie było takie samo. Mimo to nic nie stało na przeszkodzie, aby dokończyć to, co zaczęli. Brakowało mu jednak motywacji. Może źle się do wszystkiego zabrali? Może niepotrzebnie zaczęli nową budowę, skoro w Zakrzówku wciąż stały porzucone budynki po dawnej cukrowni, która działała tu jeszcze w drugiej połowie ubiegłego wieku, aż wykupił ją pewien kijowski przedsiębiorca i wywiózł wszystko do siebie? Teraz nie było już sensu biadolić nad rozlanym mlekiem. Powinien skupić się na tym, co przynosiło zysk. Na browarze, który niestety zmniejszył produkcję, a co za tym idzie i obroty. Na gorzelni, której działalność też kulała od dawna. Na młynie, który jako jedyny pracował na pełnych obrotach, tak jak kiedyś. Był jeszcze las i pola.

Michałowski zamknął drzwi gorzelni. Unoszące się w środku opary alkoholu nieco go odurzyły. Skierował się w stronę stajni. Tam zawsze znajdował ukojenie. Kochał konie od dziecka. Uwielbiał na nich jeździć. Uwielbiał się nimi opiekować. A one odwdzięczały się za to uwielbienie. Zawsze żałował, że na dobre nie zajął się hodowlą koni rasowych. Że nie postawił na swoim, kiedy był młodym, jeszcze nieżonatym mężczyzną, i nie stworzył stadniny z prawdziwego zdarzenia. Nie miał jednak siły charakteru, która tak kiedyś drażniła go u Juliana. Dziś podziwiał go za to nieustępliwe dążenie do celu. Podziwiał też Rozalię. Podziwiał jej talent i nie zamierzał przytakiwać Józefie, nawet jeżeli miałyby to doprowadzić do poważnego między nimi rozdzwieku.

Konie zastrzygły uszami, kiedy wszedł do stajni. Zaciągnął się znajomym zapachem. Aromatem siana, końskiej sierści i skóry siodeł. Zatrzymał się przy pierwszym boksie. Koński łeb wychylił się w jego kierunku. Chrapy rozwarły się, kiedy Michałowski położył dłoń na czole ogiera. Gładził miękką skórę, czule przemawiając do konia. Podchodził do kolejnych boksów.

Zatrzymał się na końcu. Wyciągnął fajkę, którą trzymał tu od dawna. Józefa nie znosiła zapachu tytoniu, dlatego kiedy nachodziła go ochota, żeby popykać z fajeczki, zaszywał się w stajni. Konie były jego wiernymi towarzyszami. Sięgnął po zapalki. Powoli odpalił tytoń. Pyknął dwa razy i odetchnął przyjemnym aromatem. Oparł się o drewnianą ścianę i z przyjemnością koił zszargane nerwy. Z tej zadumy wyrwał go drażniący zapach i zbytnia nerwowość zwierząt. Zaczęły prychać i kopać w zamknięte furtki boksów. Z minuty na minutę stawały się coraz bardziej zniecierpliwione.

\*\*\*

Kiedy Michałowscy prowadzili burzliwą wymianę zdań, Julian zastanawiał się nad powrotem do Zakrzówka. Siedział w samochodzie na Łobzowskiej, rozmyślając, co robić. Najchętniej pojechałby do Schrammów, ale dość szybko zrezygnował z tego pomysłu. Nie miał zamiaru się narzucać: Jan Schramm za każdym razem witał go z dużą dozą sympatii i młody hrabia wolał, żeby tak zostało. Tym bardziej, że wymyślił sobie porwanie jego córki na kilka dni do Zakopanego. Już nie mógł się doczekać tego wyjazdu. Po raz pierwszy będą mieli okazję być sami. Nieskrępowani, wolni i beztroscy. Uśmiechnął się na myśl o podróży.

W końcu postanowił wrócić do domu. Pomyślał, że położy się na chwilę. Krótka drzemka powinna dobrze mu zrobić. Chciał wziąć udział w pasterce, na którą z pewnością wybiorą się także Eleonora i Stefcia. Wyjdzie wcześniej, żeby spacerkiem, przy akompaniamencie wygrywanej z kościelnej wieży *Cichej nocy* dotrzeć na czas do kościoła.

W domu był po kilku minutach. Kolejny kwadrans zabrało mu zdjęcie odświętnego ubrania. Kiedy przyłożył głowę do poduszki, od razu zasnął. Niespodziewana domowa awantura, odzierająca Boże Narodzenie ze świątecznej atmosfery, wyssała z niego całą siłę. Już dawno nie czuł się tak psychicznie wyczerpany.

Obudził go dziwny niepokój. Julian leżał w ciemnościach, wsłuchując się w odgłosy mieszkania.

Panowała idealna cisza. Tu zawsze było cicho i spokojnie. Sąsiedzi najpewniej już dawno położyli się do łóżek. A może było już na tyle późno, że wyszli na pasterkę.

Zapalił małą nocną lampkę i zerknął na zegarek, który leżał na nocnym stoliku.

Zdziwił się. Dochodziła dwudziesta pierwsza. Opadł na poduszki i wtedy to usłyszał. Wycie strażackiej syreny. Gdzieś w mieście wybuchł pożar. Nic nowego, a jednak dziwne drżenie serca sprawiło, że wstał i podszedł do okna. Wszystko wyglądało normalnie. W oknach paliły się światła. Po ulicy od czasu do czasu przemykali radośni, podekscytowani świętami ludzie. A jednak syreny wciąż wyły. Wiatr przyganiał ich przeciągły sygnał.

– A niech to – warknął i sięgnął po ubranie.

Wewnętrzny niepokój gnał go do Zakrzówka. Pierwszą łunę zobaczył już na Kapelance, kiedy przejeżdżał obok koszarów kawalerii. Przyspieszył. Nie mylił się: ten pomarańczowy blask narodził się na folwarku Michałowskich.

Na placu tuż przy domu kręcili się ludzie. Biegali jak w amoku. Matka stała na ganku, bez słowa przyglądając się całej scenie.

Julian spojrział w stronę stadniny. Palił się dach. Ojciec krzyczał, żeby pospieszyli się z wodą. Julian zrzucił z ramion płaszcz i podbiegł do ojca.

– Julian! – krzyknął Michałowski. – Niech ktoś, na litość boską, zawiadomi straż.

– Już jadą. – Julian starał się przekrzyknąć panujący harmider. – Słyszałem wycie aż w domu. Co z końmi? – zapytał, biorąc do ręki wiadro, które ktoś mu podał.

– Zdażyłem wyprowadzić.

Przez dłuższą chwilę pracowali w milczeniu, odbierając wodę, którą wciąż donoszono, ale ich walka z płomieniami była niczym walka z wiatrakami. Całe szczęście rozprzestrzenianie się pożaru tamował leżący śnieg. Mimo tego Julian patrzył, jak pomarańczowe języki ognia coraz szybciej zjadają drewnianą konstrukcję stodoły. Jeżeli wozy strażackie nie pojawią się za kilka chwil, płomienie przerzucą się na pobliskie zabudowania gospodarcze.

W końcu na horyzoncie zamajaczył pierwszy wóz strażacki. Nadszedł z Podgórza, z Zamojskiego, gdzie Miejska Zawodowa Straż Pożarna miała swój oddział. Tuż za sikawką marki Austro-Daimler wjechały beczkowsy. Z samochodów wysypali się strażacy zaopatrzeni w toporki, wiadra, pasy. Uwijali się jak w ukropie. W ciągu kilku minut parciany wąż był gotowy do pracy. Druhowie Bronisław i Franciszek Smoczyńscy ramię w ramię z Julianem Trzaskowskim zabrali się do gaszenia pożaru.

Mimo przybycia straży Julian, Aleksander i reszta mieszkańców folwarku nie dawali za wygraną. Ktoś wciąż donosił wiadra z wodą. Na twarzach Michałowskich perlił się pot. Policzki zaróżowiły im się od wysiłku i panującego gorąca. Huk trzaskających płomieni uniemożliwiał wszelką rozmowę.

– Odsunąć się! – krzyknął jeden ze strażaków.

Odskoczyli, patrząc bezradnie, jak stodoła wali się ścianą po ścianie. Na szczęście obora, do której przeniesiono konie, stała w innej części majątku, na razie wolna od zagrożenia. Inna rzecz, że od palącej się stajni zajęły się pobliskie drzewa. Płomienie przeskakiwały z jednej gałęzi na drugą, zbyt szybko zbliżając się do browaru i gorzelni.

Starszy Michałowski patrzył na to z przerażeniem. Jeżeli pożar dojdzie aż tam, alkohol wybuchnie. Zagrożony był cały teren. Cały dom. Czyżby przez jedną kłótnię mieli stracić dorobek kilku pokoleń? Hrabia poczuł ukłucie w sercu. Zgiął się wpół pod wpływem przeszywającego bólu. Poczucie winy z powodu nieostrożności, z jaką sobie poczynał w stajni dzisiejszego wieczoru, przygniotło go do ziemi. Julian doskoczył do ojca. Przestał martwić się budynkami. Michałowski potrzebował pomocy.

Całe szczęście za kolejnymi wozami strażackimi, które zapewne przyjechały tu aż z centrum, na teren folwarku wtoczyła się karetka pogotowia ratunkowego. Stary samochód zakupiony niedawno z demobilu był lepszy niż wciąż służące karetki konne. Dwaj sanitariusze, zapewne studenci medycyny pełniący dyżur, wybiegli z samochodu. Jeden z nich trzymał w ręce kufer wyjazdowy z niezbędnym sprzętem lekarskim, drugi przygotowywał lekkie nosze.

Akurat kiedy podchodzili, Michałowski upadł na kolana.

– Aleksandrze! – krzyknęła Józefa, która wreszcie ocknęła się z osłupienia. – Aleksandrze! – Przypadła do męża, przy którym krzatali się już sanitariusze.

– Zabieramy go do szpitala – zarządził jeden z nich.

Byli już przy samochodzie, kiedy ponad szum wody wybił się huk wybuchu oparów alkoholu. Pożar dotarł do magazynu, w którym przechowywano nie tylko gotowe wyroby, ale także składniki do produkcji. Języki ognia lizały ceglane budynki, wciąż podnosząc temperaturę. Po chwili w powietrze wzbił się ludzki wrzask. Julian zerknął za siebie. Jeden ze strażaków leżał na ziemi i krzyczał przerażająco.

– Zabierzcie tego człowieka – wyszeptał starszy Michałowski. – Ja pojedę z synem.

Julian skinął głową. Sanitariusze spojrzeli po sobie. Nie zamierzali wdawać się w dyskusję. Podnieśli nosze i pędem skierowali się do rannego strażaka, który balansował na granicy utraty świadomości. Chcąc podejść do zajętych ogniem drzew, nie zauważył, że jedna z gałęzi chybotrze się niebezpiecznie. Ciężki palący się konar spadł prosto na niego, przygniatając prawą nogę, która nie dość, że zajęła się ogniem, to jeszcze uległa otwartemu złamaniu. Ból wykrzywił twarz Tadeusza Morawskiego.

– Moja córka, moja córeczka – powtarzał w kółko, kiedy sanitariusze pakowali nosze do karetki.

– Do Szpitala Wojskowego – zaordynował jeden z sanitariuszy.

Julian pomógł ojcu wsiąść do samochodu. Chciał ruszyć jak najszybciej. Ostatni raz rzucił okiem na dom. Strażacy walczyli dzielnie. Miał nadzieję, że kiedy wróci tu później, będzie miał do czego.

\*\*\*

Jan Matula czekał już od dobrych dwóch godzin. Krążył wokół dworca, nie zważając na panujące zimno. Dwudziesty dziewiąty grudnia przywitał mieszkańców Krakowa chyba najmroźniejszą aurą z wszystkich dotychczasowych grudniowych dni. Palce u nóg zmarzły Matuli już całkowicie. Podobnie zresztą jak dłonie. Miał wrażenie, że nos też zaraz mu odpadnie. Ale nie zamierzał się poddać. Wiedział, że Stefcia miała dziś wyjechać razem z Grabowskimi, którzy chcieli osobiście przywieźć Mikołaja do domu. Problem polegał na tym, że nie udało mu się poznać dokładnej godziny. Przybiegł więc na dworzec z samego rana i postanowił czekać tu tak długo, aż cała grupa pojawi się na peronie.

Aby zapomnieć o panującym mrozie oraz zabić czas, zaczął bacznie się przyglądać nie tylko przechodniom, ale przede wszystkim fasadzie dworca, na który składały się trzy dwukondygnacyjne budynki. Najokazalszy był gmach środkowy, po bokach którego ustawiono dwa mniejsze, nadające całości symetrii. Na parterze, w ryzalitach budynku, znajdowały się wejścia do poczekalni oraz kasy. Obserwował je ze szczególną starannością.

Na chwilę zatrzymał wzrok na jednym z kolejowych budynków. Trudno było sobie to wyobrazić, ale wuj Dionizy opowiadał swego czasu, oprowadzając Jana po mieście, kiedy ten był dorastającym chłopcem, że jeszcze pół wieku wcześniej właśnie w tamtym miejscu znajdowały się ogrody. Zostały zlikwidowane z uwagi na wciąż zwiększający się ruch kolejowy i natężony przepływ pasażerów. Przebudowy nie uniknęły ponoć także ozdobne portale wjazdowe, o których dziś pamiętali tylko najstarsi mieszkańcy Krakowa. Dworzec wciąż przechodził modernizację. Ostatnią ukończono raptem kilka tygodni wcześniej. Poważne zmiany zaszły od strony torów, pod którymi znajdował się żelbetonowy tunel dla pasażerów – teraz spieszący się podróżni mogli bezpiecznie przedostać się na drugi peron wyspowy.

Dwa budynki mieszkalne, jeszcze do niedawna stojące po drugiej stronie torów, zniknęły z mapy miasta. W ich miejsce postawiono nową, przeszkloną halę, za którą znajdowało się miejsce dla torów objazdowych. Dzięki temu rozwiązaniu pociągi towarowe nie musiały przecinać hali dworcowej.

Jan ponownie skupił wzrok na dworcowych ryzalitach. Podczas niedawno zakończonej modernizacji dodano do nich parterowe łączniki.

W dalszym ciągu nie zauważył ani Stefanii, ani Grabowskich. Spojrzał na zegarek. Była prawie jedenasta trzydzieści. Zaczął tupać nogami.

– Janek? – zagadnął go młodzińczy głos.

Jan odwrócił się. Z początku nie potrafił skojarzyć, skąd zna stojącego nieopodal urwisa. W końcu przypomniał sobie, że chłopak od jakiegoś czasu pracował dla Grabowskich, roznosząc zamówione przez klientów lekarstwa.

– Grabowscy właśnie weszli na dworzec. Jest z nimi ta panna od bankiera – powiedział dzieciak i nie czekając na odpowiedź, ruszył szybkim marszem w stronę Pawiej.

Jan bez zastanowienia rzucił się biegiem do hali dworcowej. Od razu zauważył Stefanię stojącą wciąż na peronie. Była sama. Nie widział ani Teofila Grabowskiego, ani jego żony.

Tymczasem Stefcia nadal zastanawiała się nad podjętą decyzją. Kiedy wczoraj poinformowała bliskich, że wybiera się z Grabowskimi, Eleonora pożegnała się z nią w domu. Od czasu świątecznego pożaru w Zakrzówku prawie w ogóle jej nie było. Pomagała Julianowi na każdym kroku, wspierając go w tych trudnych chwilach.

Także ojciec przeprosił Stefcię, że nie odprowadzi jej na dworzec.

– Mam nadzieję, że mnie rozumiesz, córciu. Czas najwyższy zakończyć tę farsę. Nie mam zamiaru czekać już ani dnia dłużej. Jutro z samego rana pierwszym możliwym pociągiem wybieram się do Wieliczki. Ktoś w końcu musi przemówić waszej matce do rozumu.

I podobnie jak Eleonora pożegnał się z nią wieczorem. Kiedy więc młodsza córka Schramma opuszczała dziś mieszkanie w kamienicy Pod Irysami raptem kilka minut przed jedenastą, nie było w nim ani ojca, który już zapewne dojeżdżał do Wieliczki, ani siostry, która doglądała wciąż przebywającego w szpitalu hrabiego Aleksandra Michałowskiego.

Jeszcze kilkanaście minut temu żałowała, że jest sama. Teraz jednak cieszyła się z chwili samotności. Teofil poszedł wypytać o szczegóły podróży, a Grabowska, będąca kłębkim nerwów, zajęła już miejsce w przedziale. Tylko Stefcia została na peronie, przekonując się w duchu, że postępuje słusznie.

– Stefciu. – Cichy, charakterystyczny głos, za którym tak tęskniła, wyrwał ją z zamyślenia.

– Jan! Co ty tu robisz? – zapytała, chociaż doskonale wiedziała, po co przyszedł.

– Nie mogłem ci pozwolić odjechać bez pożegnania. Poza tym chciałem cię o czymś zapewnić. – Podszedł do niej.

Tęskniła za nim tak bardzo. Nie zrobiła jednak żadnego ruchu, który pozwoliłby mu na przytulenie jej, dlatego stał na wyciągnięcie ręki.

– Nie wiem, jaką podjęłaś decyzję, ale wiem jedno. Niezależnie od tego, co zrobisz po powrocie, nie poddam się. – Wreszcie wyciągnął rękę i przytulił ją do siebie. Pocałowała go, nie czekając na jego ruch. To dało mu nadzieję.

– Nie poddam się – powtórzył, puszczając ją powoli.

– Stefciu. – Głos Teofila rozbrzmiał za jej plecami. – Czas wsiadać. – Aptekarz skinął głową Jankowi na powitanie, a potem, po chwili wahania, jakby chciał coś powiedzieć, po prostu wsiadł do wagonu.

Stefania z ociąganiem podążyła za nim. Zatrzymała się na schodach i patrzyła za wolno odchodzącym Janem Matulą, którego siwe włosy odcinające się od młodej twarzy zwracały uwagę mijających go kobiet. Nagle Jan odwrócił się. Ich spojrzenia od razu się skrzyżowały.

– Chcę ciebie, Stefanio Schramm! – krzyknął, nie przejmując się ciekawskimi spojrzeniami.

Stefcia odprowadzała go wzrokiem tak długo, aż jego smukła sylwetka zniknęła jej z pola widzenia.

– Czas – szepnęła do siebie, ściskając w dłoni ostatni numer „Ikaca”, w którym znajdowało się ogłoszenie o naborze do teatru. – Czas pokaże...

**Koniec części drugiej...**